

Książki Lizy Marklund z Anniką Bengtson
w kolejności ukazywania się wydań oryginalnych:

Zamachowiec (Sprangaren, 1998)

Studio Sex (Studio Sex, 1999) Raj
(Paradiset, 2000)

W przygotowaniu:

PrimeTime (PrimeTime, 2002) Czerwony
wilk (Den roda vargen, 2003) Testament Nobla
(Nobels testamente, 2006) Dożycie (Livstid,
2007) Miejsce w słońcu (En plats i solen, 2008)

I
I

Raj

MAJ JIJUUUilD

Przełożyła
Kamila Knockenhauer

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2010

Tytuł oryginału
Paradiset

Redakcja Grażyna
Mastalerz

Projekt okładki
Kacper Głębicki

DTP Marcin
Labus

Korekta
Zespół

Copyright © Liza Marklund 2000
AU rights reserved.

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, 2010

Wydanie I

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.

(dawniej Jacek Santorski & Co Agencja Wydawnicza)

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

e-mail: wydawnictwo@czarnaowca.pl

Dział handlowy: tel. (22) 616 29 36

faks (22) 433 51 51

Zapraszamy do naszego sklepu internetowego:

www.czarnaowca.pl

Druk i oprawa

Drukarnia Naukowo-Techniczna, Warszawa

Książka została wydrukowana

na papierze Ecco Book Cream 70 g/m², vol. 2,0

dystrybuowanym przez:

map

ISBN 978-83-7554-205-9

Prolog

Czas minął, pomyślała. Tak wygląda umieranie.

Uderzyła głową o asfalt, prawie straciła przytomność. Strach minął, ucichły wszelkie dźwięki. Zapanowała cisza.

Ogarnął ją spokój, wszystko było takie wyraźne. Brzuch i podbrzusze przylegały do podłoża, włosy i policzek spoczywały na lodzie i kamieniach.

Jakie to wszystko dziwne. Jak niewiele właściwie można przewidzieć. Kto by przypuszczał, że stanie się to właśnie tutaj? Na obcym wybrzeżu, daleko na północy.

Nagle znowu stanął jej przed oczyma chłopiec. Widziała jego wyciągnięte ramiona. Ogarnął ją strach. Usłyszała strzały, chciało jej się płakać, poczuła się taka niedoskonała.

Przepraszam, szepnęła. Przepraszam za moje tchórzostwo, za moje beznadziejne nieudacznictwo.

Znowu poczuła, że wieje wiatr. Szarpał jej wielką torbę, sprawiał ból. Dźwięki wróciły, bolała ją stopa. Przemoczone dzinsy ziębiły jej uda. Tylko upadła, kula jej nie trafiła. Pozostała tylko jedna myśl.

Muszę uciekać.

Z trudem stanęła na czworakach. Powalił ją wiatr, podniosła się znów. Powiewy między budynkami były nieprzewidywalne,

przewalały się ulicą od morza niczym niemiłosierne uderzenia kijem.

Muszę uciekać. Natychmiast.

Wiedziała, że ten mężczyzna jest gdzieś za nią. Odciał jej drogę do miasta, była uwięziona.

Nie mogę tu stać, w świetle reflektorów. Muszę uciekać. Uciekać!

Kolejny poryw wiatru zaparł jej dech w piersiach. Z trudem go odzyskała i odwróciła się. Żółte reflektory oblały złotem rudery. Dokąd ma iść?

Złapała torbę i pobiegła z wiatrem, do budynku zwróconego fasadą ku wodzie. Wzdłuż biegła długa rampa załadunkowa, po której wiatr rozrzucił różne rupiecie. Część leżała na ziemi. Co to takiego? Schody? Komin! Meble. Fotel ginekologiczny. Furgonetka. Deska rozdzielcza wojskowego samolotu.

Wciągnęła się na nabrzeże, zrzuciła torbę. Przecisnąwszy się między wannami i ławkami szkolnymi, przykucnęła za starym biurkiem.

Znajdzie mnie, myślała. To tylko kwestia czasu. Nigdy się nie podda.

Siedziała skulona w pozycji embrionalnej, kołysząc się i dysząc, mokra od potu i asfaltowej mazi. Zrozumiała, że wpadła w pułapkę. Tu nie uda jej się ukryć. Wystarczy, że podejdziesz, przyłoży jej pistolet do tyłu głowy i naciśnie spust.

Ostrożnie wyjrzała spod szafek z szufladami. Nic nie było widać. Tylko lód i magazyn, skapane w złocie reflektorów.

Muszę poczekać, pomyślała. Muszę wiedzieć, gdzie on jest. Potem spróbuję uciec.

Po kilku minutach poczuła ból w zgięciu kolan. Udo i łydka ścierpły, kostki piekły, szczególnie lewa. Musiała ją skrócić, kiedy upadła. Z rany na czole ciekła krew, kapiała wprost na ziemię.

Wtedy go zobaczyła. Stał na skraju nabrzeża, trzy metry od niej. Jego ostry profil odcinał się na tle żółtego światła. Wiatr przyniósł do niej jego szept:

- Aida.

Zwinęła się i mocno zacisnęła powieki. Skurczyła się, chciała być jak zwierzę, chciała być niewidoczna.

- Aida, wiem, że tu jesteś.

Oddychała z otwartymi ustami, bezdźwięcznie, czekała. Wiatr mu sprzyjał, sprawiał, że nie słyszała jego kroków. Kiedy znów spojrzała w górę, zobaczyła, że przeszedł na drugą stronę szerokiej ulicy. Szedł wzdłuż płotu, trzymając pistolet w gotowości, pod kurtką. Zaczęła oddychać szybciej, nierówno, konwulsyjnie. Przyprawiało ją to o zawroty głowy. Kiedy wśliznął się za róg i wszedł do niebieskiego magazynu, zeskoczyła na asfalt i ruszyła biegiem. Jej kroki dudniły, wiatr wiał zdradziecko. Torba objęła się o plecy, włosy wpadały w oczy.

Nie usłyszała strzału, tylko świst kuli tuż przy głowie. Zaczęła biec zygzakiem, skręcając chaotycznie. Kolejny świst, kolejny zwrot.

Nagle grunt się skończył, ustępując miejsca wzburzonemu morzu. Fale były jak żagle, ostre niczym kawałki potłuczonego szkła. Zawahała się tylko na moment.

Mężczyzna podszedł do miejsca, z którego skoczyła dziewczyna, i obserwował tafłę wody. Zmrużył oczy.

Trzymając broń w gotowości, próbował wśród fal dojrzeć jej głowę. Bezskutecznie.

Nigdy jej się nie uda. Za zimno, zbyt wietrznie. Za późno.

Za późno dla Aidy z Bijeliny. Stała się zbyt ważna. Zbyt samotna.

Stał jeszcze chwilę, poddając się przesywającemu zimnu. Wiatr wiał, smagał go, siekł po twarzy lodem.

Odgłos rozrusznika ciężarowej scanii odpłynął w dal, nigdy do niego nie dotarł. Odjechała w blasku złotego światła, bez dźwięku, nie pozostawiając po sobie śladu.

Część pierwsza

Październik

Nie jestem złym człowiekiem

jestem wypadkową własnych ograniczeń i okoliczności. Wszyscy ludzie przychodzą na ten sam świat, różne są tylko warunki: genetyczne, kulturowe, społeczne.

Zabiłam, to prawda, ale właściwie nic w tym ciekawego. Pytanie, czy człowiek, który już nie żyje, w ogóle na życie zasługiwał. Mam swój punkt widzenia, który wcale nie musi się zgadzać z tym, co o tym myślą inni.

Można mnie uważać za porywczą, ale to nie musi oznaczać, że jestem zła. Przemoc to władza, dokładnie taka sama jak pieniądze czy wpływy. Ten, co wybiera przemoc jako narzędzie, może go używać, nie czyniąc zła. Ale zawsze trzeba za to zapłacić.

Przemocy nie akceptuje się za darmo, trzeba oddać w zastaw duszę. Wkład może być bardzo różny, ja niewiele musiałam poświęcić.

Okoliczności usprawiedliwiają stosowanie przemocy zawsze się znajdują. Jedną z nich jest zło, inną rozpacz, jeszcze inną chęć zemsty, kolejną szal, a u ludzi chorych - żądza.

A ja nie jestem złym człowiekiem.

Jestem wypadkową własnych ograniczeń i okoliczności.

Niedziela, 28 października

STRAŻNIK SECURITAS był czujny. Spustoszenie po huraganie, który szalał ostatniej nocy, było widać wszędzie: powalone drzewa, kawałki blachy z magazynów i dachów, porozrzucane części wyposażenia.

Kiedy zobaczył, co się stało, stanął jak wryty. Na szerokim placu przy brzegu morza leżał kokpit samolotu, sprzęt medyczny, części łazienki. Minęło kilka sekund, zanim zdał sobie sprawę, co widzi: szczątki rekwizytorni Telewizji Szwedzkiej.

Zabitych dostrzegł dopiero, gdy wyłączył silnik i odpiął pasy. To dziwne, ale nie ogarnęła go ani trwoga, ani strach, tylko zwyczajne zdziwienie. Ubrane na czarno ciała leżały rozrzucone przed schodami, które kiedyś były dekoracją w starym serialu telewizyjnym. Zanim jeszcze wysiadł z samochodu, wiedział, że mężczyźni zostali zamordowani. Nie trzeba być ekspertem, żeby to zrozumieć. Byli pozbawieni głów. W ich miejscu na pokrytym lodem asfalcie rozlała się kleista maź.

Nie myśląc o własnym bezpieczeństwie, wysiadł i ruszył ku nim. Dzielilo go od nich nie więcej niż kilka metrów. Na jego twarzy malowało się zdziwienie. Wyglądali jak młodszy bracia Martyego Feldmana. Wytrzeszczone oczy, wystawione języki. Obaj mieli niewielkie znamiona w górnej części głowy i obu brakowało jednego ucha i sporych części tyłu głowy i szyi.

Przyglądał się martwym mężczyznom jakiś czas. Nagły poryw wiatru, który wpadł między cysterny ze zbożem należące do firmy Lantmannen, powalił go na ziemię. Próbując się podnieść, przypadkiem włożył rękę w rozlany mózg

jednego z trupów. Zimna, gęsta maź, którą poczuł między palcami natychmiast przyprawiła go o silne mdłości. Zwymiotował na zderzak swojego samochodu i z obrzydzeniem starł lepka maź z palców o pluszową tapicerkę fotela kierowcy.

Wojewódzka policyjna centrala łączności na Kungsholmen w Sztokholmie przyjęła zawiadomienie z Frihamnen o piątej trzydzieści jeden. Do dziennika „Kvallspressen” wiadomość dotarła trzy minuty później.

Zadzwoił informator gazety, Leif:

- Radiowóz numer 1120 i dwie karetki są w drodze do Vartan.

O tej porze, tak wcześnie rano, czterdzieści minut po zamknięciu numeru i dwadzieścia sześć minut przed oddaniem go do druku w redakcji jak zwykle panował twórczy chaos. Redaktorzy z czerwonymi od czytania oczyma wklepywali ostatnie nagłówki, szlifowali ostatnie sformułowania na pierwsze strony i w opisach zdjęć, poprawiali literówki. Szef nocnej zmiany Jansson przeglądał gotowe strony i wysyłał je do druku nowym przyspieszonym elektronicznym łączem.

Zgłoszenie przyjęła Annika Bengtzon, odpowiadająca na nocnej zmianie za sprawdzanie tekstów.

- To znaczy? - zapytała, nerwowo zapisując na kartce.

- Przynajmniej dwóch zamordowanych - powiedział Leif i rozłączył się, żeby zdążyć, również jako pierwszy, dać cynk innej gazecie. Temu, kto przynosi informację jako drugi, się nie płaci.

Annika wstała, upuszczając słuchawkę.

- Dwóch zabitych z Vartan. Być może morderstwo, ale nie jest to jeszcze potwierdzone - powiedziała do tyłu głowy Janssona. - Chcesz to mieć w lokalnym wydaniu?

- Neee... - odpowiedział tył jego głowy.

- Mam to przydzielić Carlowi i Bertilowi? - zastanawiała się głośno.

- Taaa... - odpowiedział tył głowy.

Ruszyła w kierunku boksu reporterów. Żółta karteczka post-it zwisała jej z palca wskazującego jak chorągiewka.

- Jansson chce, żebyś to sprawdził - powiedziała i wycelowała palec w reportera.

Carl Wennergren oderwał karteczkę od jej palca z wyrazem lekkiego niesmaku na twarzy.

- Bertil Strand jest już na miejscu, jeśli musicie wyjechać - powiedziała. - Znajdziesz go na dole, w laboratorium fotograficznym.

Odwróciła się na obcasie i odeszła, nie doczekawszy się odpowiedzi. Ich relacje nie należały do najserdeczniejszych. Opadła na swoje krzesło, czując ziejącą pustkę w głowie. To była naprawdę ciężka noc, obfitowała w podbramkowe sytuacje. Wieczorem Skanię nawiedził huragan, a potem przewalił się przez cały kraj. „Kvallspressen” przyłożyła się solidnie do śledzenia pogody i świetnie jej poszło. Ostatnim samolotem do Sturup udało się wysłać reporterów i fotografów. Mieli wzmocnić redakcję w Malmö. Dziennikarze z Vaxjo i Göteborga pracowali całą noc, poza tym w terenie była ekipa wolnych strzelców, reporterów i fotografów. Cały materiał wylądował na biurku Anniki. Jej zadaniem było zestawienie i poskładanie artykułów. Oznaczało to tak naprawdę, że wszystkie musiała napisać od nowa, żeby ze sobą

współgrały i stanowiły logiczną całość. Mimo to jej nazwisko nigdy nie ukazywało się w gazecie. Mieli je wydrukować tylko w ramce z informacjami o huraganie, którą przygotowała wcześniej. Redagowała teksty, była jednym z wielu anonimowych dziennikarzy, których nikt nie dostrzegał.

- Do diabła, no! - zawołał nagle Jansson. - Ten cholerny żółty nie wszedł na pierwsze zdjęcie. Dziadostwo cholerne...

Rzucił się w stronę pulpitu ze zdjęciami i zawołał foto-edytora Pellego Oskarssona. Annika uśmiechnęła się blado. Ach, życie! Technika cyfrowa miała sprawić, że wszystko będzie można robić szybciej, wszystko będzie bezpieczniejsze, prostsze. A tymczasem na łączu ISDN do drukarni siedział mały chochlik, który co jakiś czas zjadał któryś z kolorów, zazwyczaj żółty. Jeśli błąd nie został wykryty na czas, w gazecie ukazywały się zdjęcia w przedziwnych kolorach. Jansson twierdził, że pożeracz kolorów to ten sam diabelski potwór, który siedzi w jego pralce i ciągle zjada po jednej skarpetce.

- ISDN - prychał szef nocnej zmiany w drodze do swojego biurka. Zdjęcie zostało wysłane jeszcze raz. Sytuacja była opanowana. - Internet Skurczybyk Do Niczego.

Annika posprzątała na swoim biurku.

- I tak wyszło nieźle, prawda? - rzuciła.

Jansson opadł na krzesło i włożył między zęby niezapałonego papierosa.

- Cholerarkawa! dobrej roboty odwaliłaś dziś w nocy - powiedział i pokiwał z uznaniem głową. - Widziałem oryginały. Super to poskładałaś.

- No, jako tako to wygląda - powiedziała Annika zawstydzona.

- Co to za trupy w porcie?

Annika wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Chcesz, żebym sprawdziła?

Jansson wstał i ruszył w stronę palarni.

- Zrób to - powiedział. Zaczęła od numeru alarmowego.

- Wysłaliśmy dwie karetki - powiedział dyspozytor.

- A nie samochody do transportu ciał?

- Braliśmy to pod uwagę, ale dzwonił strażnik. Wysłaliśmy karetki.

Annika zanotowała. Wozy do transportu ciał wysyłali tylko wtedy, gdy byli absolutnie pewni, że ofiary zginęły na miejscu. Zgodnie z regulaminem wolno je wzywać tylko wtedy, gdy głowa ofiary jest odcięta od reszty ciała.

Trudno było się dodzwonić na centralę policji na Kungs-holmen. Dopiero po kilku minutach ktoś odebrał telefon. Potem musiała czekać jeszcze pięć minut, zanim dyżurny oficer mógł z nią zamienić kilka słów. Kiedy wreszcie podniósł słuchawkę, mówił wyraźnie i zwięźle:

- Mamy dwóch zabitych. Dwóch mężczyzn. Zastrzeleni. Nie potrafimy powiedzieć, czy to morderstwo, czy samobójstwo. Zadzwoń później.

- Znalezione ich we Frihamnen - powiedziała Annika szybko. - Czy to podsuwa wam jakiś pomysł?

Oficer zawahał się.

- W tej chwili nie mogę spekulować - powiedział. - Ale sama możesz pomyśleć.

Kiedy odkładała słuchawkę, wiedziała, że podwójne morderstwo w porcie będzie w gazecie tematem numer jeden przez wiele dni. Z jakiegoś powodu dwa morderstwa

nie są tylko dwa razy ważniejsze niż jedno. To nieskończenie poważniejsza sprawa.

Westchnęła i zastanawiała się, czy nie przynieść sobie kubka kawy. Chciało jej się pić i czuła się osłabiona. Miała ochotę na kawę. Ale kofeina o tej porze sprawiłaby, że całe przedpołudnie leżałaby ze wzrokiem wbitym w sufit, z szeroko otwartymi oczyma, nie mogąc się ruszyć ze zmęczenia.

Ech, co mi tam, pomyślała i poszła do automatu.

Kawa była gorąca i dobrze jej zrobiła. Annika usiadła na swoim miejscu przy biurku dyżurnego nocnej zmiany i położyła nogi na stole.

Małe podwójne morderstwo we Frihamnen, no cóż, bywa.

Podmuchała w kawę.

Mężczyźni zginęli od strzałów, co oznaczało, że nie były to jakieś pijackie porachunki. Pijacy zabijają się nożami, butelkami, pięściami, kopniakami - albo spychają z balkonów. Gdyby mieli dostęp do broni, sprzedaliby ją i za zarobione pieniądze kupili wódkę.

Annika wypila kawę jednym haustem, wyrzuciła plastikowy kubek, poszła do łazienki i napiła się wody.

Dwóch mężczyzn. To z pewnością nie wskazuje na morderstwo ani na samobójstwo, nie w porcie Frihamnen w czasie huraganu. Najprawdopodobniej można też wykluczyć zazdrość, raczej nie taki był motyw. Oznacza to, że spekulacjom na temat motywów zabójstwa nie będzie końca. Porachunki kryminalistów, począwszy od gangów motocyklowych, przez grupy mafijne aż po przestępstwa finansowe. Motywy polityczne. Uwikłania międzynarodowe.

Annika wróciła do siebie. Jedno wiedziała z całą pewnością: na pewno nie będzie miała okazji się zbliżyć do tej

sprawy. W „Kvallspressen” będą się tym zajmowali inni. Wzięła płaszcz.

W weekendy nie było specjalnej porannej zmiany, co oznaczało, że Jansson zostawał w biurze do chwili, kiedy lokalne wydania były gotowe do druku. Annika kończyła o szóstej.

- Olewam to - powiedziała, gdy Jansson ją mijał.

Wyglądał na piekielnie zmęczonego. Chciał, żeby została.

- Nie poczekaś na gazetę? - zapytał.

Paczki przyszły z drukarni przesyłką kurierską kwadrans po rozpoczęciu druku. Annika pokiwała głową i wezwała taksówkę. Podniosła się z miejsca, założyła kurtkę, szalik i rękawiczki.

- Mogłabyś przyjść wcześniej wieczorem? - zawołał za nią Jansson. - Pozamiatać po huraganowym piekle?

Annika wzięła torbę i wzruszyła ramionami.

- Czy ktoś tu ma życie prywatne?

Thomas Samuelsson delikatnie dotknął brzucha żony. Dawna jędrność zniknęła. Ciało pod jego palcami było gładkie i ciepłe. Odkąd Eleonor została szefową banku, nie miała czasu trenować tak intensywnie jak dawniej.

Powoli przesunął rękę w dół, kolistymi ruchami, przez pępek. Odnalazł pachwinę, palec wskazujący wsunął między jej uda, dotykając włosów, odnajdując jej ciepłą wilgotność.

- Daj spokój - zamruczała i odwróciła się tyłem.

Westchnął, przełknął ślinę i położył się na plecach. Podniecenie waliło w jego ciele jak młot. Splótł dłonie, podłożył je pod głowę i wbił wzrok w sufit. Słyszał, jak jej oddech znów staje się długi i spokojny. Ostatnio nie miała na to ochoty.

Zirytowany zrzucił z siebie kołdrę i nagi poszedł do kuchni, z penisem zwisającym jak zwiędły tulipan. Napił się wody z nieumytej szklanki, nasypał kawy do nowego filtra, napełnił ekspres wodą i wcisnął przycisk. Poszedł do ubikacji się wysikać. W lustrze zobaczył swoje sterczące na wszystkie strony włosy. Nadawały mu wygląd nieodpowiedzialnego faceta, co właściwie pasowało do jego wieku. Westchnął i przeczesał czuprynę palcami.

Za wcześnie na kryzys wieku średniego, pomyślał. Do diabła, za wcześnie.

Poszedł z powrotem do kuchni i stanął przy oknie, żeby popatrzeć na morze. Było czarne. Szalało. Nocny huragan rwał grzywy fal. Zegar słoneczny sąsiada przechylił się i leżał oparty o drzwi ich altany.

Jaki to ma sens?, zastanowił się. Po co się człowiek tego trzyma? /

Ogarnęła go wielka, mroczna melancholia - musiał przyznać, że graniczyła z użalaniem się nad sobą. Od okna wiało, cholerna fuszerka. Przeszył go dreszcz. Westchnął i poszedł po szlafrok. Ubiegłoroczny prezent gwiazdkowy od żony, zie-lono-biało-czerwony, drogi, z eleganckiego domu towarowego. Dopasowała do niego kaptcie, których nigdy nie nosił.

Ekspres zabulgotał. Wyjął kubek z logo banku i włączył radio. Nadawano poranny dziennik „Eko”. Znudzony, pomiędzy drobnymi łykami kawy wyląwiał wiadomości. Docierały do niego, nie robiąc szczególnego wrażenia. Huragan, który przeszedł przez południową Szwecję, wyrządził mnóstwo szkód. Ludzie bez prądu. Firmy ubezpieczeniowe obiecują. Dwie osoby nie żyją. Strefa bezpieczeństwa w południowym Libanie. Kosowo.

Wyłączył radio, wyszedł do przedpokoju, założył kalosze i poszedł do skrzynki po gazetę. Wiatr szarpał papier we wszystkie strony, wdzierał się pod szlafrok, ziębił uda. Thomas przystanął na chwilę, zamknął oczy i wciągnął powietrze. Było lodowate. Morze z pewnością zamarźnie.

Spojrzał na willę. Piękny dom, który zaprojektowali i zbudowali rodzice Eleonor. W kuchni na górze paliło się światło, lampa nad stołem. Zapomniał już, jak się nazywał projektant. Światło było zielonkawe i zimne, jak złe oko strzegące morza. Meksykańska cegła o świetle lśniła szarością. Jego matka zawsze uważała, że to najpiękniejszy dom w Vaxholmie. Gdy się wprowadzali, zaproponowała, że uszyje firanki do wszystkich pokoi, ale Eleonor podziękowała, uprzejmie, lecz zdecydowanie.

Wszedł do środka. Przewertował całą gazetę, nie potrafiąc się skupić. Zatrzymał się, jak zwykle, na ogłoszeniach o nieruchomościach. Pięć pokoi na Vasastan, we wszystkich pięcie kaflowe. Dwa pokoje na Starówce, na poddaszu, z drewnianymi belkami i widokiem na trzy strony świata. Domek w okolicach Malmköpingu, z bali, prąd i woda w lecie, promocja jesienna!

Usłyszał w głowie głos żony: Marzyciel! Gdybyś poświęcał połowę tego czasu, który marnujesz na przeglądanie ogłoszeń o mieszkaniach, na analizę rynku akcji, byłbyś milionerem.

Ona już była milionerką.

Zawstydził się. Przecież chciała dobrze. Jej miłość była jak skała. To w nim tkwił problem, to on nie miał siły. Być może miała rację, że nie potrafił sobie poradzić z *jej* sukcesem. Może jednak powinni pójść do tego terapeuty.

Porządnie zwinął gazetę. Eleonor nie lubiła czytać już przeczytanych artykułów. Położył ją na stoliczku z pocztą i czasopismami. Potem poszedł z powrotem do sypialni, zrzucił szlafrok i wsunął się pod kołdrę. Eleonor przekręciła się we śnie, gdy poczuła przy sobie jego zimne ciało. Przyciągnął ją do siebie i podmuchał w jej miękką szyję.

- Kocham cię - powiedział.

- Ja ciebie też - zamruczała.

Carl Wennergren i Bertil Strand przybyli do Frihamnen odrobinę za późno. Kiedy zaparkowali służbowego saaba fotografa, dostrzegli karetki. Odjeżdżały, mijając ogrodzenia z taśm. Reporter nie mógł się powstrzymać od przekleństwa. Strand zawsze prowadził bardzo ostrożnie. Jeździł pięćdziesiątką, a nawet trzydziestką, nawet kiedy na ulicach nie było żywej duszy. Zrozumiał znaczące spojrzenie kolegi i zirytował się.

- Zachowujesz się jak baba - powiedział.

Ruszyli truchtem w kierunku policyjnej taśmy. Widać było, że wciąż nie do końca się pogodzili po niedawnej sprzeczce. Kiedy zbliżyli się do policjantów i świateł radiowozów, zapomnieli o tym i rzucili się w wir wydarzeń.

Policjanci szybko się uwinęli, huragan z pewnością podnosił im poziom adrenaliny.

Ogrodzili spory teren, od płotu po lewej aż do biurowca z prawej strony portu. Bertil Strand rozejrzał się. Robi wrażenie. Prawie w środku miasta, a jednak zupełnie odizolowany. Dobre światło, jasne, ale ciepłe. Magiczne cienie.

Carl Wennergren zapiał płaszcz przeciwdeszczowy. Cholera, jak zimno.

Nie byli w stanie dojrzeć ofiar. Porozrzucane rupiecie, karetki i policjanci zasłaniali im widok. Reporter tupał nogami. Podciągnął do uszu ramiona, ręce wbił w kieszenie. Nienawidził rannej zmiany. Fotograf wyłowił z plecaka aparat i teleobiektyw i ruszył wzdłuż taśm otaczających teren. Po lewej stronie udało mu się zrobić kilka niezłych zdjęć: mundurowi z profilu, czarne ciała ofiar, ubrani po cywilnemu technicy w czapkach z daszkiem.

- Gotowe! - zawołał do reportera.

Nos Carla Wennergrena zrobił się niemal czerwony. Z czubka zwisała mała przezroczysta kropla.

- Co za potworne miejsce na śmierć - powiedział.

- Jeśli chcemy coś wrzucić do lokalnych wydań, to czas spadać - powiedział Strand.

- Ale ja nie jestem jeszcze gotowy - odpowiedział Wennergren. - Nawet nie zacząłem.

- No to zadzwonisz z samochodu. Albo z redakcji. Pospiesz się i powdychaj trochę tutejszych zapachów, żebyś mógł doprawić tekst.

Fotograf poszedł w kierunku samochodu, jego plecak podskakiwał. Reporter pospieszył za nim. Całą drogę do Marieberga milczeli.

Anders Schyman z irytacją zamknął biuletyn agencji prasowej TT. Był jak narkotyk. Komputer można było ustawić tak, żeby telegramy wyskakiwały tematycznie: kraj, zagranica, sport, feature, ale on wolał mieć wszystko w tym samym koszu. Chciał widzieć wszystko naraz.

Przeszedł się po swoim ciasnym biurze, pogimnastykował ramiona. Usiadł na sofie i wyjął świeżą gazetę, dodatek

o huraganie. Pokiwał z zadowoleniem głową. Działy zrozumiały, o jaką współpracę mu chodziło. Jansson mówił, że Annika Bengtson zajęła się organizacją całości i wszystko poszło świetnie.

Annika Bengtson, pomyślał i westchnął.

Młoda redaktorka przypadkiem i w przykrych okolicznościach wywarła duży wpływ na jego pozycję w gazecie. On i Annika Bengtson dołączyli do redakcji w odstępie zaledwie kilku tygodni. Jego pierwsze starcie z resztą kierownictwa dotyczyło właśnie jej. Chodziło o długie zastępstwo za ciężarną dziennikarkę z działu wiadomości. Uważał, że Annika Bengtson jest najlepszą kandydatką. Owszem, była za młoda, zbyt niedojrzała, zbyt porywcza, brakowało jej rutyny, ale i tak uważał, że ma ogromny potencjał. Być może nie miała zbyt wielkiej wiedzy, ale zawsze postępowała etycznie. Jej prawość mogła być przykładem dla innych. Była szybka i miała nienaganny styl. Poza tym parla do przodu jak czołg, co u reportera popołudniówki jest cechą bardzo pożądaną. Jeśli nie udawało jej się obejść przeszkody, szła prosto na nią, nigdy się nie poddawała.

Reszta kierownictwa, poza szefem nocnej zmiany Janssonem, nie podzielała jego zdania. Chcieli zatrudnić Carla Wennergrena, syna jednego z członków zarządu. Carl był przystojny i bogaty, ale jego morale pozostawiało wiele do życzenia. Rozmijał się z prawdą i liczył na fory za koneksje. Schyman nie rozumiał, dlaczego reszta kierownictwa nie widzi w jego postawie nic kontrowersyjnego.

Kierownictwo „Kvallspressen” stanowili wyłącznie biali heteroseksualni mężczyźni w średnim wieku, z samochodami i niezłymi dochodami. Byli przedstawicielami tych, dla

których robili gazetę. Schyman miał wrażenie, że Wenner-gren przypomina im ich samych, kiedy byli młodzi, a może nawet pozwala mieć iluzję, że sami są młodzi.

W końcu znalazł *miejsce* dla Anniki - zastępstwo za ciężarną redaktorkę w zespole Janssona. Annika chętnie przystała na tę propozycję. Musiał się klócić z kierownictwem, żeby się na to zgodzili. Ta sprawa pozwoliła mu zademonstrować, że potrafi działać. Ale skończyło się fatalnie.

Kilka dni po objęciu stanowiska dziewczyna zabiła swojego chłopaka, uderzając go w głowę żelazną rurą. Chłopak zachwiał się i wpadł do pieca w fabryce. Już pierwsze plotki mówiły o działaniu w samoobronie, ale Schyman pamiętał dokładnie, co czuł, gdy się o wszystkim dowiedział. Chciał się zapaść pod ziemię. Myślał: to się nazywa postawić na złego konia. Zadzwoiła do niego wieczorem. Mówiła mało, była w szoku. Potwierdziła, że plotki są prawdziwe. Została przesłuchana i poinformowana, że jest podejrzana o spowodowanie śmierci człowieka, ale nie zatrzymano jej. Przez kilka tygodni, do czasu zakończenia dochodzenia, miała mieszkać w chatce w lesie. Chciała tylko spytać, czy ma jeszcze pracę w „Kvallspressen”.

Powiedział jej, jak było, że oczywiście zostanie przyjęta na zastępstwo, nawet jeśli niektórym w redakcji się to nie podoba, bo nie jest faworytką związków zawodowych. Sąd może uznać to zdarzenie za wypadek. Jeśli zostanie oskarżona o spowodowanie wypadku, w wyniku którego ktoś stracił życie, będzie to godne ubolewania, ale nie będzie podstawą do wypowiedzenia umowy o pracę. Jeżeli zostanie skazana na dłuższą odsiadkę, trudno mu będzie zachować dla niej etat. Musi być tego świadoma.

Annika rozplakała się. Walczył z pokusą, żeby na nią na-krzyczeć, zwymyślać ją, że jest niezdarna, że go wciąga w to całe bagno.

- Nie wsadzą mnie do więzienia - szepnęła do słuchawki. - To była kwestia: albo ja, albo on. Zabiłby mnie, gdybym go nie uderzyła. Prokurator o tym wie.

Zaczęła pracować na nocnej zmianie, tak jak zostało ustalone. Była blada i szczupła, wyglądała źle. Rozmawiała czasami z Schymanem, z Janssonem, z Berit, z Foto-Pellem i innymi, ale zwykle trzymała się na uboczu. Według Janssona robiła świetną robotę, przerabiała teksty, dodawała, sprawdzała fakty, opisywała zdjęcia i wymyślała tytuły na pierwsze strony. I nigdy nie robiła wokół siebie szumu. Plotki ucichły wcześniej, niż Schyman myślał. Gazeta codziennie zajmowała się morderstwami i skandalami. Nie można zbyt długo roztrząsać czyjejs śmierci. Są granice.

Sprawa znanego z maltretowania kobiet hokeisty Sve-na Matssona z Halleforsnas nie była dla policji z Eskilstu-ny szczególnie ważna. Annikę oskarżono o zabójstwo lub spowodowanie śmierci. Wyrok ogłoszono przed rokiem, pod koniec czerwca. Annika została uwolniona od zarzutu zabójstwa, ale skazano ją za spowodowanie śmierci. Karą był nadzór kuratora. W ramach tej kary przez pewien czas musiała uczestniczyć w terapii, ale, o ile Schyman wiedział, w kręgach sądowych cała sprawa poszła w niepamięć bardzo szybko.

Redaktor naczelny podszedł do swojego biurka i otworzył biuletyn agencji prasowej TT. Przebiegł wzrokiem ostatnie informacje. Powoli nadchodziły niedzielne wyniki sportowe, dalsze informacje o następstwach huraganu, kilka

powtórek wiadomości z soboty. Znow westchnął. Wszystko się kręci, nie będzie końca, nigdy i *nigdzie*. Tymczasem gazetę znow czekała reorganizacja.

Redaktor naczelny Torstensson chciał stworzyć nowy poziom kierownictwa, scentralizować podejmowanie decyzji. Taki model działał już w „Konkurrenten” i wielu innych ogólnokrajowych mediach. Torstensson postanowił, że przyszedł czas, aby go wprowadzić także w „Kvallspressen”. Miało to uczynić gazetę „nowoczesnym” przedsięwzięciem. Schyman był w rozterce. Ten plan bez wątplenia zapowiadał katastrofę. Spadek nakładu. Słabe wyniki finansowe. Coraz bardziej niezadowolone miny członków zarządu. Redakcja wyruszała na spotkanie ze sztormem, mając w ręku kiepski ster i na wpół zepsuty radar. Prawda była taka, że „KvaUspressen” nie wiedziała, dokąd i dlaczego zmierza. Schyman organizował rozliczne seminaria i konferencje na temat uwarunkowań i odpowiedzialności mediów, ale nie udało mu się dotrzeć do zbiorowej świadomości z przesłaniem, gdzie przebiegają granice. Co prawda, odkąd przyszedł do gazety, udawało się unikać zdarzających się wcześniej publicystycznych katastrof, ale naprawianie szkód szło bardzo powoli.

Do tego - i to martwiło go bardziej, niż chciał się przyznać - Torstensson wygadał się, że czeka na niego ciekawa praca w Brukseli. Być może właśnie dlatego potrzeba reorganizacji była tak pilna. Chciał zostawić po sobie ślad. Po reorganizacji Bóg jeden domyśliłby się, jak niewiele naczelny zrobił dla gazety na polu działalności publicystycznej.

Schyman westchnął ciężko. Niecierpliwym ruchem zamknął biuletyn.

Wkrótce coś się musi wydarzyć.

Kiedy się obudziła, pokój tonął w ciemnościach. Krótki dzień ustąpił nocy, a ona pociła się i wierciła w łóżku. Nie powinna była pić tego ostatniego kubka kawy. Wzięła kilka głębokich wdechów. Leżała bez ruchu, zastanawiając się, jak się czuje. Nic jej nie bolało. Głowę miała trochę ciężką, ale to od ciągłego mylenia dnia z nocą. Spojrzała w szary, poplamiony sufit. Poprzedni lokator pomalował go farbą winylową, nie zdzierając uprzednio klejówki, w wyniku czego cała powierzchnia popękała w różne wzory. Wodziła wzrokiem wzdłuż nieregularnych pęknięć. Znalazła motyla, samochód, trupa czaszkę. Nagle w lewym uchu usłyszała szum, odgłos samotności, raz wyższy, raz niższy.

Westchnęła. Musi iść siusiu, to takie uciążliwe. Wstała z łóżka i poczuła pod stopami szorstkie drewno. Czasami wbiły jej się drzazgi. Wciągnęła szlafrok. Materiał był jedwabisty i chłodził jej skórę. Wzdrygnęła się. Otworzyła drzwi i wsłuchała się w odgłosy dochodzące z klatki schodowej. Poza dźwiękiem rozbrzmiewającym w jej uchu nie było słycać nic. Szybko podreptała pół piętra w dół, do wspólnej toalety. Pod stopami poczuła zimno, ale nie miała siły się tym przejmować.

Gdy wróciła, owiało ją zimne powietrze. Cienkie firanki powiewały, chociaż nie wietrzyła pokoju. Zamknęła za sobą drzwi i powiew zamarł. Wytarła stopy o dywan w holu i weszła do salonu.

Jedna z górnych szyb stłukła się w nocy od porywu wiatru, a może uderzył w nią jakiś przelatujący przedmiot. Ze wnętrza szyba zupełnie wyleciała z ramy, a z wewnętrznej zostały resztki. Na podłodze leżały kawałki tynku i szkła. Ogarnęła wzrokiem spustoszenie, przymknęła oczy i przetarła dłonią czoło.

Normalka, pomyślała. Nie miała nawet siły sformułować słowa „szklarz”.

Chłód ciągnął po nogach, wyszła więc z salonu i usiadła w kuchni. Opadła na krzesło i wyjrzała przez okno. Zajrzała wprost do mieszkania na trzecim piętrze domu stojącego naprzeciwko. Mieszkanie było używane przez jedną z firm budowlanych jako lokal gościnny. W okna łazienki wstawiono piaskowane szyby. Ludzie, którzy tam mieszkali, przez jedną czy dwie noce nie zdawali sobie sprawy, że ich widać, gdy siedzą w toalecie. Gdy tylko zapalali światło, faliste kontury ich sylwetek majaczyły za szybą. W ciągu ponad dwóch lat widziała klientów firmy kochających się, robiących kupę i zmieniających tampony. Na początku była tym nieco zażenowana, ale po jakimś czasie stwierdziła, że to nawet zabawne. Potem zaczęło ją to irytować: nie chciała widzieć, jak ktoś sika, kiedy ona je kolację. Teraz było jej to prawie obojętne. W mieszkaniu rzadziej ktoś nocował. Dom był zniszczony, nie było w nim nic szczególnego do pokazywania. Teraz okno było szare i nieme, puste.

W nocy ze ściany domu odpadło sporo tynku. Leżał na podwórzu zmieszany z mazistą śnieżną breją. Na pierwszym piętrze wiatr wybił dwie szyby. Wstała, podeszła do okna, spojrzała na czarne dziury w dole, takie same jak u niej. Kuchenny grzejnik elektryczny grzał jej nogi. Stała, aż zaczął ją parzyć. Nie była głodna, chociaż powinna. Wypiła trochę wody prosto z kranu.

Jak mi dobrze, pomyślała. Mam wszystko, czego mi trzeba.

Znów poszła do pokoju, nie mogła sobie znaleźć miejsca. Usiadła na kanapie z nogami na poduszce, ramionami objęła kolana, zakołysała się. Oddychała głęboko. Wdech, wydech,

wdech, wydech. Było dość zimno. W budynku nie było centralnego ogrzewania. Grzejniki, które kupiła, mogły najwyżej utrzymać ciepło, nawet gdy szyby w oknach były całe. Ciąg powietrza szalał po pustej podłodze. Wszystko, co miała, kupiła w Myrorna albo IKEA, nic nie dzieliło z nią przeszłości.

Rozejrzała się po pokoju. Kołysała się i kołysała. Patrzyła, jak cienie gonią się po ścianach. Czyste światło, które tak kochała, nie było już białe. Błyszcząca matowość ścian, która kiedyś tak pięknie pochłaniała i oddawała światło, wyschła i stała się niema. Dzień nie sięgał już w głąb jej pokoju. Wszystko stało się szare, na przekór porze roku. Powietrze było ciężkie i głuche, jak wata.

Sofa irytowała ją. Szorstki materiał zostawiał ślady na jej pośladkach. Idąc z powrotem do sypialni, podrapała się lekko. Wsunęła się w przepoconą pościel. Naciągnęła na głowę kołdrę. Było wilgotno. Szybko zrobiło jej się gorąco, czuła kwaśnawy zapach. Hardrockowiec z parteru włączył swoją wieżę, bas rozchodził się po kamiennych ścianach i wstrząsał jej łóżkiem. Znów usłyszała w uchu ten dźwięk. Widziała irytujące światło, zmuszała się do leżenia. Do początku zmiany zostało jeszcze wiele godzin.

Odwróciła się do ściany i wpatrywała się w tapetę pokrytą cienką warstwą białej podkładowej farby, przez którą prześwitywał stary wzór - medaliony. Sąsiedzi z przeciwka wrócili do domu. Słyszała, jak chodzą i się śmieją. Przykryła głowę poduszką. Stłumiła śmiechy. Ton w uchu stawał się coraz wyższy.

Chcę spać, pomyślała. Dajcie mi tylko chwilę pospać, to może będę mogła ruszyć dalej.

Mężczyzna siedzący przy barze zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko i poczuł przyływ paniki. Nie wiedział, które uczucie jest silniejsze: wściekłość z powodu zdrady, strach przed jej skutkami, wstyd, że został oszukany czy nawiść do winnych.

Zemści się. O, do diabła, słono za to zapłacą.

Wypalił papierosa w dwie minuty. Został z niego tylko długi, żarzący się kawałek popiołu, zwisający na końcu jak kiełbaska. Zgniół go na podłodze i gestem zamówił następną kolejkę. Jeszcze tylko ta jedna, musi być przytomny, ważne, żeby mógł się poruszać. Przechylił szklanę, futerał przyjemnie ocierał się o pachę. Cholera, czuł, że jest śmiertelnie niebezpieczny.

Wyjaśnienie, pomyślał. Muszę wymyślić diabelnie dobre wytłumaczenie, dlaczego wszystko poszło tak źle.

Chciał zamówić jeszcze jedną kolejkę, ale powstrzymał się z ręką w górze.

- Kawę. Czarną.

Nic mu w tej historii nie pasowało. Nie rozumiał, co się stało, i nie miał pojęcia, jak zdoła to wyjaśnić zwierzchnikom. Zažadają całkowitego zadośćuczynienia. Problemem nie są trupy, nawet jeśli zawsze lepiej unikać tego rodzaju błędów. Morderstwo przyciąga uwagę policji i sprawia, że przez dłuższy czas trzeba się mieć na baczności. Problemem jest ciężarówka. Nie wystarczyło zlokalizować ładunek i zrobić z nim porządek. Będzie musiał osobiście oczyścić atmosferę wokół zajścia i pozamiatać po spartaczonej robocie. Ktoś zakablował. Musi znaleźć ładunek i tego, kto go upłynnił.

Jakkolwiek by kombinował, dochodził do wniosku, że wszystko kręci się wokół tej kobiety. Musiała być w to zamieszana, w przeciwnym razie nie byłoby jej tam.

Wypił kawę jak drinka, jednym haustem. Oparzył sobie przełyk.

- Nie żyjesz, dziwko.

Światło w windzie było zimne, jak zwykle. Annika wyglądała w nim jak śnięta ryba. Przymknęła oczy, żeby nie patrzeć na swoje odbicie w lustrze. Nie mogła zasnąć, więc poszła do parku Ralambshov, szukać powietrza i światła. Nadaremnie. Ziemia była miękka i ubita przez deszcz i tyśiące stóp, kleista i brązowa. Poszła do redakcji.

W niedzielne popołudnia w redakcji było pusto. Po-deszła do swojego biurka. Szef działu wiadomości Ingvar Johansson siedział tuż obok i rozmawiał przez telefon. Za-trzymała się i zamiast do siebie, skierowała się do działu kryminalnego. Z pustką w głowie, opadła na krzesło Berit Hamrin i zadzwoniła do babci.

Starsza pani była w domu, w Halleforsnas. Robiła pranie.

- Co tam u ciebie? - zapytała. - Przewiało cię?

Annika roześmiała się.

- Tak, żebyś wiedziała. Jedna szyba odfrunęła z wiatrem.

- Ale nic ci się nie stało? - powiedziała staruszka z troską.

Annika znów się zaśmiała.

- Nie, skąd, nie rozczulaj się tak. A jak tam u ciebie? Las jeszcze stoi?

Babcia westchnęła.

- Jakoś stoi, ale sporo drzew się przewróciło. Rano przez jakiś czas nie mieliśmy prądu, ale teraz włączyli. Kiedy przy jedziesz?

Babcia Anniki miała domek w majątku Harpsund. Otrzymała go po wielu latach bycia gospodynią w reprezentacyjnej, rekreacyjnej posiadłości premiera. Była to mała chatka bez prądu i wody. Annika spędzała tam wszystkie wakacje, odkad pamiętała.

- Pracuję dzisiaj i potem jeszcze jedną noc, więc przyjadę do ciebie we wtorek po południu - powiedziała Annika.

- Czy mam coś kupić i przywieźć?

- Nie, nic - powiedziała babcia. - Weź siebie. To wszystko, czego potrzebuję.

- Tęsknię za tobą - powiedziała Annika.

Wzięła gazetę i przejrzała ją z obowiązku. Dzisiejsze wydanie „Kvallspressen” było całkiem niezłe. Artykuły o huraganie znała, więc je pominęła. Natomiast tekst Carla Wennergrena o podwójnym morderstwie we Frihamnen nie okazał się wielkim dziełem. Napisał, że mężczyźni zostali postrzeleni w głowy i że policja wykluczyła samobójstwo. Aha. Dalej opisywał Frihamnen, nawet dość poetycko. Najwyraźniej przeszedł się po porcie i porozglądał się. Był „pięknie podniszczony” i panowała w nim „kontynentalna atmosfera”.

- Cześć, piękna, *quepasa**.

Annika przełknęła ślinę.

- Cześć, Sjólander - powiedziała.

Szef działu kryminalnego usiadł na biurku tuż przy niej. Czuł się jak u siebie w domu.

- Jak leci?

Annika spróbowała się uśmiechnąć.

- Dzięki, dobrze. Trochę jestem zmęczona.

Klepnął ją lekko w ramię i mrugnął.

- Ciężka noc, he?

Wstała, wzięła swoją gazetę, zgarnęła torbę i kurtkę.

- Jak cholera - powiedziała. - Ja sama i siedmiu facetów.

Sjolander zarechotał.

- Wiesz, jak się utrzymywać w formie.

Pomachała mu gazetą przed nosem.

- Pracowałam - wyjaśniła. - Co się dzieje we Frihamnen?

Patrzył na nią przez kilka sekund, odgarnął włosy z czoła.

- Przy ciałach nie znaleziono nic, co by pozwalało je zidentyfikować - odpowiedział. - Żadnych kluczy, pieniędzy, broni, gumy do żucia czy prezerwatyw.

- Ogołoceni ze wszystkiego - powiedziała Annika.

Sjolander przytaknął.

- Policja nie ma się czego trzymać. Nie wiadomo na wet, kim są. Ich odcisków palców nie ma w szwedzkich rejestrach.

- Więc nie mają bladego pojęcia kto to? A ich rzeczy?

Szef działu kryminalnego podszedł do swojego biurka i włączył komputer.

- Kurtki, dzinsy i buty włoskie, francuskie i amerykańskie, ale na kalesonach napis cyrylicą.

Annika spojrzała na niego.

- Zagraniczne, markowe ciuchy - powiedziała - ale tania, krajowa bielizna. Były Związek Radziecki, Jugosławia albo Bułgaria.

- Masz trochę nosa do kryminału, co nie? - powiedział i zachichotał.

Wiedział, wszyscy wiedzieli. Wzruszyła ramionami.

- Wiesz, jak to jest. Takie rysy nigdy nie znikają.

Odwróciła się i ruszyła do biurka szefa nocnej zmiany. Usłyszała, jak Sjólander parsknął. Dlaczego daję się w to wciągać?, pomyślała.

Włączyła komputer stojący na prawo od biurka Janssona, usiadła na krześle, podciągnęła nogi i oparła brodę na kolanie. Chciała sprawdzić, czy coś się wydarzyło. Czekwała cierpliwie, aż wszystkie programy się uruchomią. Kiedy wszystko było gotowe, otworzyła biuletyn. Czytała, sprawdzała, klikała.

- Słuchaj, Bengtson! Jaki masz wewnętrzny?

Zerknęła za siebie i zobaczyła, że Sjólander macha słuchawką. Podała mu numer i zaraz potem usłyszała w słuchawce jego głos:

- Jakaś babka chce porozmawiać o pomocy socjalnej. Wspomniała o cierpiących kobietach - powiedział kryminalny. - Nie zdążę tego teraz wziąć. To, jak by nie było, twoja działka, hehe. Możesz?

Zamknęła oczy, westchnęła, przełknęła ślinę.

- Właściwie jeszcze nie pracuję - powiedziała. - Chciałam poprzeglądać...

- Weźmiesz to czy mam ją spławić?

Uff.

- Okej, przełącz ją.

Usłyszała chłodny, spokojny głos.

- Halo? Chcę porozmawiać z kimś poufnie.

- Wszystkie telefony do gazety są poufne - powiedziała Annika i przebiegła wzrokiem biuletyn TT. - O co chodzi?

Klik, klik - remis w derbach.

- Nie jestem zupełnie pewna, czy dobrze się dodzwoniłam. Chodzi o nowy rodzaj działalności, nowy sposób chowania zagrożonych osób.

Annika przerwała czytanie.

- Ach tak? To znaczy?

Kobieta zawahała się.

- Mam informacje o zupełnie nowym sposobie pomagania zagrożonym osobom, o urządzaniu im nowego życia. Większość ludzi nie wie, jak to działa, ale zostałam upoważniona do przekazania tej informacji mediom. Chciałabym to zrobić na spokojnie, mieć wszystko pod kontrolą i zastanawiam się, czy jest w waszej gazecie ktoś, do kogo mogłabym się zwrócić.

Nie chciała słuchać, nie chciała się tym zajmować. Gapiła się w ekran: ludzie nadal bez prądu, kolejne ataki bombowe w Groźnym. Oparła głowę na dłoni.

- Może pani przysłać list albo faks? - zapytała.

Kobieta długo milczała.

- Halo? - powiedziała Annika, gotowa z ulgą odłożyć słuchawkę.

- Chciałabym się spotkać z kimś, z kim mogłabym bezpiecznie porozmawiać - powiedziała kobieta.

Annika skuliła się, opierając o biurko.

- To niemożliwe - powiedziała. - Nikogo tu teraz nie ma.

- No a pani?

Odgarnęła włosy, szukając wymówki.

- Zanim kogoś wyślemy, musimy wiedzieć, o co chodzi - powiedziała.

Kobieta znów zamilkła. Annika westchnęła i spróbowała zakończyć rozmowę.

- Jeśli to wszystko, to...

- Czy wie pani, że są ludzie, którzy żyją pod ziemią, dzisiaj, tutaj, w Szwecji? - zapytała kobieta cicho. - Kobiety i dzieci maltretowane, źle traktowane?

O nie, tylko nie to, pomyślała Annika.

- Dziękuję za telefon - powiedziała - ale dziś niestety nie jesteśmy w stanie się tym zająć.

Kobieta podniosła głos.

- Chciała pani odłożyć słuchawkę? Zignorować mnie i to, co robię? Wie pani, ilu ludziom pomogłam? Czy ma pani w nosie kobiety, którym dzieje się krzywda? Wy, dzien nikarze, siedzicie w tych swoich redakcjach i nie rozumiecie niczego, co dzieje się ze społeczeństwem.

Annika poczuła, że kręci jej się w głowie i robi duszno.

- Nic pani o mnie nie wie - powiedziała.

- Wszystkie media są takie same, wszędzie. Myślałam, że „Kvallspressen” jest lepsza od tych eleganckich gazet, ale pani też się nie przejmuje maltretowanymi i narażonymi na niebezpieczeństwo kobietami i dziećmi.

Krew zaszumiała jej w głowie.

- Proszę mi nie mówić, że pani wie, czym się przejmuję - powiedziała o wiele za głośno. - Niech pani nie mówi o rzeczach, o których nic pani nie wie.

- Dlaczego nie chce pani mnie wysłuchać?

Słychać było, że jest obrażona.

Annika zasłoniła twarz rękoma. Czekwała.

- Chodzi o ludzi, którzy muszą się ukrywać - powiedziała kobieta. - Grożono im śmiercią, strasznie się boją. Choćby nie wiem jak próbowali się ukryć, zawsze ktoś lub coś sprawia, że można ich wytropić: sekretarka z pomocy społecznej, sąd, konto w banku, przedszkole...

Annika się nie odzywała, słuchała w milczeniu. -Większość to oczywiście kobiety i dzieci, jak zapewne pani rozumie - ciągnęła kobieta. - To w naszym

społeczeństwie grupa największego ryzyka. Inni zastraszeni to świadkowie, osoby, które wycofały się z sekt albo ścigane przez mafię, dziennikarze, którzy napisali demaskujące artykuły, ale przede wszystkim są to, rzecz jasna, kobiety i dzieci, którym grozi śmierć.

Annika z wahaniem wzięła do ręki długopis i zaczęła notować.

- Jesteśmy grupą - powiedziała kobieta - która zajmuje się tą nową działalnością. Jestem jej szefową. Jest pani tam jeszcze?

Annika chrząknęła.

- Czym się różnicie od tradycyjnego pogotowia dla kobiet?

Kobieta westchnęła, nieco zrezygnowana.

- Wszystkim. Pogotowie dla kobiet działa dzięki skromnym środkom publicznym. Nie mają wystarczających zasobów, aby robić to co my. Jesteśmy czysto prywatną inicjatywą z zupełnie innymi możliwościami.

Długopis przestał pisać. Annika wyrzuciła go do kosza i wzięła nowy.

- To znaczy jakimi?

- Nie chciałabym rozmawiać o tym przez telefon. Może mogłaby pani się ze mną spotkać?

Annika się skuliła. Nie chciała, nie miała siły.

- Bengtson!

Ingvar Johansson stanął przed nią zniemacka.

- Chwileczkę - powiedziała do słuchawki i przyłożyła ją do piersi. - Słucham?

- Jeśli nie masz nic do roboty, to może mogłabyś powpi-sywać to tutaj?

Szef działu wiadomości podsunął jej pod nos plik wydruków z wynikami sportowymi niższych lig. To pytanie było jak policzek. Nie, do cholery ciężkiej! Mają zamiar zrzucić na nią to, co robiła jako czternastolatka w „Katrineholms-Kuriren”? Ma siedzieć i wklepywać w tabelki wyniki? Odwróciła się do Johanssona plecami, podniosła słuchawkę i powiedziała:

- Mogłabym się z panią spotkać teraz, zaraz.

Kobieta ucieszyła się.

- Już dziś? To świetnie!

Annika zagryzła wargi. Czowała na swoich barkach wzrok Johanssona.

- Gdzie chciałaby pani się spotkać? - spytała.

Kobieta wymieniła nazwę hotelu na przedmieściu. Annika jeszcze nigdy tam nie była.

- Za godzinę?

Kiedy odłożyła słuchawkę, Ingvara Johanssona już nie było. Szybko wciągnęła kurtkę, przerzuciła torbę przez ramię, zajrzała do pokoju ochrony. Żadnego z samochodów redakcyjnych oczywiście nie było, więc zadzwoniła po taksówkę. W wolnym czasie będzie robiła to, co chce.

Wypełniaj swoje cholerne tabelki sam, kutasie.

- Jesteś gotowy, kochanie?

Żona stała w drzwiach do bawialni, w płaszczu, wciągała rękawiczki z jagnięcej skóry.

Usłyszał zdziwienie w swoim głosie.

- Na co?

Z irytacją szarpała cienką skórę rękawiczek.

- Spotkanie mieszkańców - powiedziała. - Obiecałeś, że ze mną pójdziesz.

Thomas zwinął wieczorną gazetę i postawił stopy na podgrzewanej podłodze z klinkieru.

- Tak, oczywiście - powiedział. - Przepraszam. Zapomniałem o tym.

- Wychodzę i czekam na ciebie - powiedziała. Odwróciła się na obcasie i zniknęła.

Westchnął cicho. Na szczęście zdążył wziąć prysznic i się ogolić. Poszedł na górę do sypialni, po drodze zdjął dzinsy i koszulkę. Włożył białą koszulę, garnitur, zarzucił na szyję krawat. Usłyszał, jak Eleonor uruchamia bmw. Silnik rozkręcał się ponaglająco.

- Już, już - powiedział.

W całym domu paliły się światła, ale nie miał zamiaru biegać i ich gasić. Wyszedł z płaszczem przewieszonym przez ramię, w butach z rozwiązanymi sznurowadłami. Pośliznął się na kawałku lodu i niewiele brakowało, żeby się przewrócił.

- Można by tu posypać piaskiem - powiedziała Eleonor.

Nie odpowiedział. Zatrzaskał drzwi pasażera i oparł się o deskę rozdzielczą. Eleonor wyjeżdżała na Ostra Ekudds-gatan. Zawiązał krawat. Sznurowadła zawiąże na miejscu.

Zrobiło się ciemno. Gdzie się podział ten dzień? Umarł, zanim się w ogóle narodził. Czy w ogóle było jasno?

Westchnął.

- Co tam? - zapytała, już przyjaźnie usposobiona.

Wyglądał przez okno, patrzył na morze.

- Trochę mi słabo - powiedział.

- Może to ten wirus, którego miał Nisse - powiedziała.

Pokiwał głową bez zainteresowania.

Spotkanie mieszkańców. Dobrze wiedział, o czym będzie mowa. O turystach. Ilu ich było, jak ściągnąć więcej i zatrzymać tych, którzy już trafili do gminy. Będzie mowa o właścicielach sklepów otwieranych tylko na lato i doprowadzających do ruiny te całoroczne. Dobre jedzenie w hotelu Vaxholm. Przygotowania do jarmarku świątecznego, otwieranie sklepów wieczorami i w weekendy. Wszyscy tam będą. Zadowoleni i zaangażowani.

Tak jest zawsze, obojętne dokąd się wybiorą. Ostatnio bywali na wielu wystawach sztuki. Ostatnio wiele związanych było z życiem parafii oraz z konserwacją starych domów i ogrodów. Za którą najlepiej, żeby ktoś inny zapłacił.

Znów westchnął.

- No, wysiadaj już - powiedziała żona.

- Annika Bengtzon? To ja jestem Rebecka Björkstig.

Kobieta była młoda, o wiele młodsza, niż się Annika spodziewała. Mała, drobna, jak z porcelany. Przywitały się.

- Przepraszam za to dziwne miejsce - powiedziała Rebecka. - Ostrożności nigdy za wiele.

Przeszły pustym korytarzem i weszły do pomieszczenia, które było połączeniem lobby i baru. Oświetlenie było oszczędne, wystrój nasuwał skojarzenie z państwowymi hotelami w byłym Związku Radzieckim. Brązowe okrągłe stoliki z fotelami. Kilku mężczyzn rozmawiało cicho w przeciwnym rogu, poza tym było pusto.

Annika doznała surrealistycznego wrażenia, że gra w starym filmie szpiegowskim i poczuła nagły impuls, żeby uciec. Co ja tutaj robię?

- Jak dobrze, że mogliśmy się spotkać tak szybko - powiedziała Rebecka i usiadła przy jednym ze stolików. Ostrożnie spojrzała przez ramię. Rzuciła okiem na męża czyżn siedzących w rogu.

Annika zamruczała coś ledwie słyszalnie.

- Czy będzie o tym w jutrzejszej gazecie? - zapytała Rebecka i uśmiechnęła się z nadzieją.

Annika potrząsnęła głową. Poczowała, że kręci jej się w głowie od stęchłego powietrza.

- Nie, skąd. Nie jest wcale pewne, czy w ogóle o tym na piszemy. Decyzje o tym, co zostanie opublikowane podejmuje wydawca.

Spojrzała na stół, unikając wzroku Rebecki. Rebecka poprawiła jasną spódnicę, wygładziła zaczesane do tyłu włosy.

- O czym zazwyczaj pani pisze? - zapytała, próbując uchwycić wzrok Anniki. Jej głos był jasny, lekko matowy.

Annika chrząknęła.

- W tej chwili zestawiam i przeglądam teksty - powiedziała zgodnie z prawdą.

- Jakie teksty?

Przetarła czoło.

- Wszelkiego rodzaju. Dziś w nocy o huraganie, wcześniej w tym tygodniu przeglądałam tekst o niepełnosprawnym chłopcu. Gmina nie chciała wziąć odpowiedzialności za...

- Ach! - Rebecka założyła nogę na nogę. - Więc nasza działalność idealnie wpisuje się w pani tematykę. To właśnie gminy są naszymi głównymi zlecciodawcami. Czy mogę prosić o filiżankę kawy?

Kelner w poplamionym fartuchu nagle zmaterializował się przy ich stoliku. Zapytał, czy Annika też chce kawę, więc kiwnęła szybko głową. Było jej niedobrze, chciała iść do domu, chciała uciekać. Rebecka znów opadła na wygięte oparcie fotela. Oczy miała jasne i okrągłe, łagodne i bez wyrazu.

- Jesteśmy fundacją, ale skądś musimy mieć pieniądze. Najczęściej koszty pokrywa opieka społeczna z różnych gmin w całym kraju. Nie zarabiamy na tym ani óre.

Nadal mówiła spokojnie, ale jej słowa brzmiały dobitnie.

To poszukiwaczka złota, pomyślała Annika. Robi to po to, żeby zarabiać na zastraszonych kobietach i dzieciach.

Rebecka uśmiechnęła się.

- Wiem, co pani myśli. Zapewniam, że się pani myli.

Annika spuściła wzrok. Obracała w palcach wykałaczkę.

- Dlaczego zadzwoniła pani właśnie do nas? Właśnie dziś? Rebecka westchnęła lekko i wytarła czubki palców w serwetkę, którą wyjęła z torebki.

- Szczerze mówiąc, chciałam tylko zadzwonić i popytać - powiedziała. - Czytałam waszą gazetę, dzisiejsze artykuły o spustoszeniach po huraganie, i zobaczyłam numer telefonu w stopce redakcyjnej. Od jakiegoś czasu rozmawiamy o tym, żeby się ujawnić, ale zadzwoniłam raczej spontanicznie, można powiedzieć.

Annika przełknęła ślinę.

- Nigdy o was nie słyszałam - powiedziała.

Rebecka znów się uśmiechnęła. Jej uśmiech był ulotny jak *powiew wiatru*.

- Wcześniej nie mieliśmy środków, żeby przyjmować wszystkich, którzy mogliby się do nas zgłosić, gdybyśmy

byli działającą na szerszą skalę instytucją użyteczności publicznej, ale teraz już mamy. Dziś mamy środki i możliwości, żeby się rozwijać, i nie chcemy dłużej czekać. Tak wielu ludzi potrzebuje naszej pomocy.

Annika wyjęła z torby notes i długopis.

- Proszę opowiedzieć, na czym ta pomoc polega.

Rebecka znów rozejrzała się dookoła. Wytarła kąciki ust.

- Bierzemy sprawy w swoje ręce, gdy władze nie potrafią już nic zrobić - powiedziała lekko zdyszana. - Jesteśmy po to, żeby pomagać ludziom, którym naprawdę coś grozi, zacząć nowe życie. Przez trzy lata dopracowywaliśmy system, żeby dobrze działał. Teraz mamy już pewność, że działa dobrze.

Annika czekała w milczeniu.

- To znaczy jak działa?

Kelner przyniósł kawę. Była szara i gorzka. Rebecka położyła jedną z serwetek między filiżanką a spodkiem i zamieszała kawę łyżeczką.

- Nasze społeczeństwo jest tak skomputeryzowane, że nikt nie jest w stanie się ukryć - powiedziała cicho, kiedy kelner się oddalił. - Dokądkolwiek ci ludzie się zwrócą, zawsze znajdzie się ktoś, kto zna ich nowy adres, nowy numer telefonu, nowy numer konta, wie, że od niedawna mają nowe mieszkanie. Nawet jeśli wszystkie dane mają być trzymane w tajemnicy, to zawsze są jakieś dokumenty w szpitalach, w opiece społecznej, w sądzie, w urzędzie podatkowym, w rejestrach spółek, wszędzie.

- Nie można tego w jakiś sposób załatwić? - zastanawiała się Annika ostrożnie. - Nie ma żadnego sposobu, żeby usunąć adres z rejestrów, nadać nowy PESEL i tak dalej?

Z piersi Rebecki wydobyło się kolejne westchnienie.

- Oczywiście, są różne sposoby. Problem w tym, że to nie działa. Nasza grupa wymyśliła, jak wymazywać ludzi z rejestrów, zupełnie, bez śladu. Czy wie pani, że istnieje ponad sześćdziesiąt oficjalnych rejestrów, w których zapisani są wszyscy Szwedzi?

Annika mruknęła przecząco. Kawa była naprawdę okropna.

- Przez pierwsze pół roku głównie analizowałam wszystkie bazy danych. Opracowywałam plany i sposoby, jak się w nich nie znaleźć. Pytań było wiele, odpowiedzi czasami tkwiły bardzo głęboko. To, co robimy, jest zupełnie wyjątkowe.

Ostatnie słowa zawisły w powietrzu. Annika przełknęła łyk szarej brei. Rozlała trochę, gdy odstawiała filiżankę.

- Dlaczego pani się w to zaangażowała? - zapytała.

Zapadła gęsta cisza.

- Mnie też grożono - odpowiedziała Rebecka.

- Dlaczego? - zastanawiała się głośno Annika. Kobieta chrząknęła. Zawahała się, wytarła serwetką przedramiona.

- Jeśli pani pozwoli, wołałabym o tym nie rozmawiać. To mnie paraliżuje. Ciężko pracowałam, żeby ułożyć sobie życie na nowo i chcę wykorzystać swoje doświadczenia.

Annika spojrzała na Rebeckę, tak zimną i tak kruchą jednocześnie.

- Proszę opowiedzieć o waszej działalności - powiedziała.

Rebecka ostrożnie wypila łyk kawy.

- Jesteśmy fundacją, postanowiliśmy się nazwać Raj. To, co robimy, to właściwie nic nadzwyczajnego. Pomagamy zastraszanym ludziom wrócić do normalnego życia. Ale dla kogoś, kto był prześladowany i wie, co oznacza strach i terror, zwykły powszedni dzień jest prawdziwym rajem.

Annika spojrzała w notes, zażenowana frazesem.

- I jak się wam to udaje?

Rebecka uśmiechnęła się lekko. Jej głos brzmiał pewnie i mocno.

- Raj był pod ochroną - powiedziała. - Otaczał go nie widzialny mur. Nie docierało tam żadne zło. My działamy tak samo. Klient przychodzi do nas, mija nas i znika za nieprzebijalną fasadą. Zostaje po prostu wymazany. Gdy ktoś próbuje wyśledzić naszego klienta, obojętnie jakim sposobem, natyka się na grubego, niemy mur: na nas.

Annika spojrzała w górę.

- Nie boicie się?

- Jesteśmy świadomi ryzyka, ale fundacji Raj nie da się tak łatwo wytropić. Mamy kilka biur, między którymi się poruszamy. Nasze telefony są podłączone przez stacje z innych części kraju. Jest nas pięcioro, pracujemy w Raju w pełnym wymiarze, wszyscy jesteśmy wymazani z rejestrów. Jedyną drogą do Raju jest zastrzeżony numer telefonu.

Annika spojrzała na małą porcelanową kobietę, bezwiednie skręcającą w palcach papierową serwetkę. Nie pasowała do tego miejsca, taka biała i czysta w niechlujnym, skąpo oświetlonym barze.

- Jak wygląda to wymazywanie?

Ktoś zapalił lampę zwisającą z sufitu. Padające z ukosa światło pogrzyżyło twarz Rebecki w ciemnościach. Jej jasne, nieme oczy wyglądały teraz jak czarne dziury.

- Myślę, że na tym skończymy - powiedziała. - Mam nadzieję, że mi pani wybaczy, ale chciałabym poczekać z przekazywaniem reszty informacji.

Annika odetchnęła. Była rozczarowana i jednocześnie jej ulżyło. Rebecka wyjęła z torebki wizytówkę.

- Może pani porozmawia z wydawcą i zapyta, czy będzie cie pisać o naszej działalności. Potem może pani do mnie zadzwonić, to nasz zastrzeżony numer. Nie muszę mówić, że powinna się z nim pani obchodzić bardzo ostrożnie.

Annika przełknęła ślinę i zamruczała potakująco.

- Jak już pani załatwi sprawę publikacji, możemy się spotkać znowu - powiedziała Rebecka i wstała. Mała i ja sna, ale nadal w cieniu.

Na twarzy Anniki wykwitł cielecy uśmiech. Wstała. Uścisnęły sobie dłonie.

- Może zadzwonię - powiedziała.

- Proszę wybaczyć, muszę już iść. Trochę mi się spieszy - powiedziała Rebecka. - Czekam na telefon.

I wyszła. Pojawił się kelner.

- To będzie razem pięćdziesiąt pięć koron.

Annika zapłaciła.

Wracała taksówką, myśli pędziły jej przez głowę. Przedmieścia przemykały za brudnymi szybami. Mijała tereny przemysłowe z blaszanymi budynkami, nijakie wysokościowce, drogi szybkiego ruchu z czerwonymi światłami.

Jak ona właściwie wyglądała, ta Rebecka Björkstig? Annika uświadomiła sobie, że już zapomniała. Przypominała sobie tylko coś nieuchwytnego, coś, co jej umykało.

Zastraszani ludzie, maltretowane kobiety. Jeśli miała unikać jakiegoś tematu, to właśnie tego. Czowała się zdyskwalifikowana na zawsze.

Co ona właściwie powiedziała o raję? Annika szukała w pamięci słów, ale nie mogła ich znaleźć. Wyjęła notatki. Przerzucała strony, próbowała czytać w migających żółtych światłach autostrady.

Otaczał go niewidzialny mur, przez który nie mogło przeniknąć zło.

Odłożyła notes i zobaczyła migające za szybą wysokie niebieskie bloki osiedla Blakulla.

A wąż?, pomyślała. Skąd się tam wziął?

Kiedy wróciła do redakcji, Berit Hamrin siedziała przy swoim biurku. Annika podeszła i uścisnęła ją.

- Podwójne morderstwo? - zapytała.

Berit uśmiechnęła się.

- Nie ma to jak mała wojna mafijna - powiedziała.

Annika zdjęła kurtkę i upuściła ją na podłogę.

- Jadłaś już?

Poszły do stołówki nazywanej przez personel „Siedem Szczurów”, zamówiły danie dnia.

- Masz coś na warsztacie? - zapytała Berit, robiąc sobie kanapkę z chrupkiego chleba.

Annika westchnęła.

- Pewnie dziś w nocy też trochę poszaleje huragan - powiedziała. - Poza tym spotkałam się z pewną kobietą. Opo wiedziała mi bardzo dziwną historię.

Berit uniosła z zainteresowaniem brwi, kosztując zapiekankę ziemniaczaną.

- Dziwne historie mogą być całkiem zabawne - powiedziała. - Podasz mi sól?

Annika wychyliła się do tyłu i sięgnęła po stojak z solą i pieprzem, który stał na stoliku obok.

- Mówiła o fundacji o nazwie Raj, pomagającej kobiecie i dzieciom, którym grozi śmierć, wrócić do normalnego życia.

Berit z uznaniem pokiwała głową.

- Brzmi ciekawie. To prawda?

Annika się zawahała.

- Nie wiem, nie dowiedziałam się wszystkiego. Ta kobieta wyglądała bardzo poważnie. Z tego co mówiła, opracowali system pozwalający usuwać z rejestrów prześladowanych ludzi.

Wzięła od Berit sól i posoliła swoją porcję.

- Myślisz... że to źle, że sprawdzam taką historię? - spytała ostrożnie.

Berit przez chwilę przeżuwała.

- Nie, wcale tak nie uważam - powiedziała. - Myślisz o Svenie?

Annika przytaknęła. Nagle straciła głos.

Starsza koleżanka westchnęła.

- Rozumiem, że o tym myślisz, ale ta sprawa nie może cię na zawsze wyłączyć z wykonywania normalnej dziennikarskiej roboty. To był wypadek, przecież masz na to papiery.

Nie pozostało już nic do powiedzenia. Annika spojrzała na talerz i pokroiła na paski liść sałaty.

- Tylko zawiadom szefa - powiedziała Berit. - Łatwiej umieścić tematy w gazecie, kiedy dziadki tam, na górze, myślały, że to ich pomysł.

Annika uśmiechnęła się, żując sałatę. Jadły chwilę w cieplej i miękkiej ciszy.

- Byłaś we Frihamnen? - spytała Annika, odsuwając talerz i sięgając po wykałaczkę.

Berit wstała.

- Chcesz kawę?

- Czarną.

Przyniosła dwie.

- Nieprzyjemna historia - powiedziała, kiedy postawiła przed Anniką filiżankę. - Faceci byli prawdopodobnie Serbami. Policja sądzi, że należeli do mafii jugosłowiańskiej. Boją się, że wyniknie z tego jakaś rzeź.

- Jakies ślady?

Berit westchnęła.

- Trudno jakies znaleźć - powiedziała. - Technicy byli na miejscu aż do zmroku, odwracali dosłownie każde ziarno piasku, żeby znaleźć ślady i pociski.

Annika podmuchała w kawę.

- Będziemy mogli zrobić użytek ze standardowych sformułowań? Egzekucja? Porachunki świątka przestępczego? Policja obawia się wojny gangów?

Roześmiały się.

- Prawdopodobnie ze wszystkich - powiedziała Berit.

Przepisała swoje notatki na temat fundacji Raj. Potem Jansson kazał jej wyczyścić kolejne teksty o huraganie. Długie nocne godziny w pracy coraz bardziej dawały jej się we znaki. Musiała przecierać oczy, żeby litery ustawiały się w prostym szeregu. Na szczęście artykuł o niepełnosprawnym chłopcu był już poprawiony i gotowy do druku. Cztery strony o tym, jak opieka społeczna złamała przepisy obowiązujące w gminie i nie zapewniła chłopcu takiej pomocy,

do jakiej miał prawo. To będzie spokojna noc, może nawet zbyt spokojna.

Tuż przed północą cały zespół zszedł na dół, żeby coś zjeść. Annika została przy biurku. Pilnowała telefonu i biuletynu agencji prasowej, szczęśliwa, że nie musi iść z nimi. Kiedy poszli, zastanawiała się przez chwilę, czy odpłynąć w drzemkę, czy trochę powęszyć. Usiadła na miejscu Jansona, który zawsze był podłączony do sieci, i wrzuciła w wyszukiwarce Yahoo hasło „Fundacja Raj”. Komputer chrząścił i myślał, ale nie wypluł żadnej informacji. Sprawdziła sam Raj. Komputer znalazł kilka stron: agencji reklamowej, pastora jakiegoś niezależnego zboru w Vetlandy, filmu z Leonardem DiCaprio, ale nic, co dotyczyłoby organizacji pomagającej zagrożonym kobietom i dzieciom.

Wróciła do swojego biurka i zerknęła na biuletyn agencji prasowej. Żadnych sensacyjnych wiadomości. Wybrała numer do archiwum na trzecim piętrze. Mieli tam folder na temat fundacji wydany przez Główny Urząd Skarbowy w rubryce „Obowiązek podatkowy”. Zamówiła go na górę, ale kiedy woźny zadał sobie trud i go przyniósł, nie miała siły go przeglądać. Przeszła się po biurze. Przecierała oczy, zmęczona, słaba i obojętna. Znow usiadła przy biurku, marząc, żeby zmiana się skończyła i żeby już nie musiała tu przychodzić. Wiedziała, że potem będzie liczyć godziny do powrotu, żeby nie siedzieć w domu. Poczula lekki ucisk w piersi. Beznadziejność ją przytłaczała.

- Sjólander! - zawołała. - Mam coś zrobić? Jakąś ramkę z faktami o historii mafii jugosłowiańskiej?

Rozmawiał przez telefon, ale kciukiem pokazał, że może to zrobić.

Annika przymknęła oczy i przełknęła ślinę. Znów poszła do biurka Janssona i połączyła się z archiwum. Wyszukała „Jugo” i „Mafia”.

Z wycinków wynikało, że grupy przestępcze z Jugosławii od kilkudziesięciu lat były dobrze osadzone w wielu miejscach w Szwecji, w dużych miastach i na wsi. Zajmowały się głównie przemysłem i handlem narkotykami, często pod przykrywką branży restauracyjnej, ale w ostatnich latach nieco zmieniły profil. Kiedy przed kilku laty rząd drastycznie, w dwóch etapach, podniósł podatek od wyrobów tytoniowych, przemysłowicy przetrzucili się z narkotyków na papierosy. W Europie Wschodniej, gdzie produkowano na licencji Prince i Blend, paczka papierosów kosztowała trzydzieści do pięćdziesięciu koron. Potem przewożono je do Szwecji albo bezpośrednio, albo przez Estonię.

Annika siedziała chwilę w ciszy i czytała notatki. Potem poszła do Sjólandera. Skończył rozmowę i pisał coś na komputerze, stukając mocno w klawiaturę.

- Będziemy utrzymywać, że to mafia jugosłowiańska? - zapytała.

Sjólander ciężko westchnął.

- Hmm... to kwestia techniczna. Na pewno to gangsterzy, jakieś porachunki mafijne.

- Może nie powinniśmy się w tym przypadku ograniczać do jednego kraju? - zapytała Annika. - Przecież cała masa grup przestępczych od lat robi tu interesy. Mam zrobić małe zestawienie różnych grup i ich ulubionych akcji?

Sjólander wycelował w nią palce wskazujące.

- Pewnie, że masz.

Annika wróciła do biurka i zadzwoniła do swojego informatora w policji.

Odebrał po pierwszym sygnale.

- Pracuję do późna - powiedziała.

- Udało ci się uciec z tego bagna? - zastanawiał się policjant.

- Skąd - powiedziała - nadal dostaję gówno. Masz czas na kilka szybkich pytań?

Mężczyzna jęknął.

- Mam tu dwóch chłopaków - powiedział. - Postrzelonych w głowę.

- Oj - westchnęła. - Brzmi boleśnie. Jesteś pewien, że to Jugosłowianie?

- Zgiń, przepadnij...

- Okej, kilka ogólnych pytań dotyczących różnych grup etnicznych. Co robią... Latynosi?

- Nie mam tyle czasu.

Annika zaczęła udawać, że jej przykro.

- Ale może chociaż trochę? - marudziła.

Komisarz się roześmiał.

- Kokaina - powiedział. - Z Kolumbii. W ubiegłym roku skonfiskowaliśmy ponad sto procent więcej.

- A ci z krajów bałtyckich? - pytała dalej Annika i skrupulatnie notowała.

- Trochę papierosów. Dużo kradzionych samochodów. Wygląda na to, że Szwecja staje się krajem tranzytowym dla handlarzy kradzionych samochodów.auta kradzione we Włoszech czy Hiszpanii są przywożone tutaj przez całą Europę, by potem opuścić Szwecję promami. Płyną do krajów bałtyckich i do Rosji.

- Okej, inne grupy. Znasz je lepiej niż ja.

-Turcy zajmowali się heroiną, ale w ostatnich latach przejęli to Albańczycy z Kosowa. Rosjanie piorą pieniądze. Do tej pory zainwestowali u nas pół miliarda w nieruchomości. Jugosłowianie działają najprężniej w przemyśle papierosów i alkoholu. Mają też trochę salonów gier i wymuszają haracze. Czasami używają branży restauracyjnej jako przykrywkę. Wystarczy?

- Jedź dalej - powiedziała Annika.

- Gangi motocyklowe bazują na odbieraniu pożyczonych pieniędzy i haraczach. Wszystko to Szwedzi z północy. Mafią pornograficzną też sterują Szwedzi, no, ale to wiesz...

- Ha ha ha - zaśmiała się sucho Annika.

- Przestępstwa finansowe to prawie zawsze Szwedzi. Często współpracują ze sobą w różnych konstelacjach. Okradają firmy, ściemniają z podatkami, tego rodzaju oszustwa. Wielu z nich wynajmuje gangsterów. Mieliliśmy kilka gangów z Gambii przywożących heroinę.

- *AU right* - powiedziała Annika. - Do ramki informacyjnej wystarczy.

- Zawsze miło mieć swój udział - powiedział policjant kwaśno i odłożył słuchawkę.

Annika uśmiechnęła się. Był taki słodki.

- Co robisz? - zapytał Jansson z plastikowym kubkiem w garści.

- Tworzę - odpowiedziała Annika.

Wydrukowała ramkę, dopisała swoją wizytówkę i wrzuciła tekst do tak zwanej redakcyjnej puszki.

- Idę się przejść - powiedziała.

Jansson nie odpowiedział.

Uczucie beznadziei znowu dało o sobie znać.

Kobieta zakaszła głucho, odgłos był przytłumiony. Miała ranę na czole. Głowa pękała jej od pulsującego bólu. Przeszył ją lekki dreszcz, więc oceniła, że temperatura jej ciała musi wynosić nieco powyżej trzydziestu ośmiu stopni. Podejrzewała bakteryjne zapalenie dróg oddechowych albo płuc. Mniej więcej w porze lunchu wzięła pierwszą tabletkę antybiotyku o szerokim spektrum działania. Ognistoczer-wone cyfry na zegarku radia stojącego przy łóżku wskazywały, że niedługo przyjdzie czas na następną.

Wyrzebała się z łóżka. Drżąc, wyciągnęła pudełko z lekarami i zaczęła szukać. Znalazła antybiotyk pod bandażami. Wzięła kilka tabletek paracetamolu na zabicie gorączki. Pastylki były stare, przyjechały z nią aż z Sarajewa. Termin ważności minął wiele lat temu. Nie było rady, nie miała wyboru.

Wczołgała się z powrotem do łóżka, lepiej to wszystko przespać.

Sen nie przychodził. Dręczyło ją poczucie kłęski. Przed jej zamkniętymi oczami rozgrywały się różne sceny, umierali ludzie, wymykające się spod kontroli fantazje zaczęły nabierać kształtu, gorączka zdawała się nasilać. W końcu pojawił się on, mały chłopiec z wyciągniętymi ramionami, zawsze biegnący w zawrotnym tempie, krzyczący, że śmiercią w oczach.

Wstała zdenerwowana, zakaszła, wypila pół litra wody. Musi się pozbyć tego cholerstwa, zanim ją znajda. Nie ma czasu chorować.

W końcu się pozbierała. Czymże jest przeziębienie w porównaniu z tym, co się mogło zdarzyć? Morze zamknęło się ponad jej głową, lodowate i twarde. Ciemność i ból.

Stłumiła panikę, zmusiła ciało do ruchu, odpłynęła pod powierzchnią tak daleko od nabrzeża, jak tylko mogła, nabrała powietrza, znów zanurkowała. Na ostatnich metrach fale rzucały jej ciałem, przy nabrzeżu po drugiej stronie portu uderzyła ramieniem w beton. Odwróciła się i zobaczyła go. Wpatrywał się w powierzchnię wody. Jego czarna sylwetka rysowała się na tle magazynu w złotej poświacie.

Wspięła się na nabrzeże portu naftowego. Leżała chwilę bez przytomności między dwoma żółtymi pacholkami. Strach i adrenalina wyrwały ją z odrętwienia. Przeczolgała się w osłonięte od wiatru miejsce i sprawdziła zawartość swojej torby. Po kilku próbach udało jej się włączyć komórkę i zamówiła taksówkę do portu naftowego Loudden. Głupi taksówkarz nie chciał jej wpuścić do samochodu, bo była całkiem mokra, ale uparła się i w końcu odwiózł ją do tego podrzędnego motelu.

Przymknęła oczy, przetarła powieki.

Kierowca taksówki stanowił pewien problem. Na pewno ją zapamiętał i na pewno wszystko wygada, jeśli dostanie wystarczająco dużo kasy.

Powinna uciekać. Spakować swoje rzeczy i opuścić pokój już dziś.

Nagle poczuła, że musi się spieszyć. Wstała, już trochę spokojniejsza. Tabletki przeciwgorączkowe zaczęły działać. Wciągnęła pogniecione ubrania. W kieszeniach płaszcza wciąż było trochę wilgoci.

Gdy włożyła pudełko z lekarstwami do torebki, ktoś zapukał do drzwi. Serce skoczyło jej do gardła, trzepotało jak motyl.

- Aida?

Głos był niski i miękki, przytłumiony. Ktoś gra w kotka i myszkę.

- Aida, wiem, że tam jesteś.

Złapała torbę i wpadła do łazienki. Zamknęła za sobą drzwi, weszła na wannę i otworzyła małe okienko. Zimny wiatr wdarł się do środka. Wyrzuciła torbę, zdjęła płaszcz i przecisnęła go przez otwór. W tym momencie z pokoju dobiegł odgłos roztrzaskującego się szkła.

- Aida!

Zaparła się i przecisnęła przez otwór. Zasłoniła się ramiionami i kiedy dotknęła ziemi, przekoziółkowała. Uderzenia dudniły o drzwi łazienki w otwartym okienku. Usłyszała odgłos łamanego drewna. Wciągnęła płaszcz, wzięła torbę i pobiegła w kierunku autostrady.

Poniedziałek, 29 października

WYSIADŁA NA OSTATNIM PRZYSTANKU LINII 41. Odetchnęła. Patrzyła, jak autobus odjeżdża i znika za niskim budynkiem administracyjnym. Panowała cisza, nie było nikogo. Dzień poddawał się nocy, odchodził, zanim w ogóle przyszedł. Nie tęskniła za nim.

Przewiesiła torbę przez ramię i przeszła kilka metrów. Rozejrzała się wokoło. Czowała się dziwnie wśród tych budynków i magazynów. Tutaj kończy się Szwecja. Tablica stojąca po lewej stronie wskazywała kierunek na Tallin, Klajpedę, Rygę, Sankt Petersburg. Nowe ekonomie, młode demokracje.

Kapitalizm, pomyślała Annika. Całkowita odpowiedzialność za własny los, prywatyzacja. Czy to jest rozwiązanie?

Zwróciła twarz w kierunku wiatru, zmrużyła oczy. Wszystko poszarzało. Morze, przystanie, budynki, dźwigi. Zimno, na wodzie sztormowe fale. Zamknęła oczy, pozwoliła, żeby smagał ją wiatr.

Mam wszystko, czego sobie życzyłam, pomyślała. Tak chcę żyć. Sama tak wybrałam. Nie ma co zrzucać winy na innych.

Spojrzała wprost pod wiatr, wyciskał łzy z jej oczu. Przed nią stał piękny, stary ceglany budynek z pasażem, tarasami i falistymi blaszanymi dachami na różnych poziomach. Miał w nim siedzibę zarząd Portów Sztokholmskich. Za budynkiem wznosiły się ku niebu wielkie silosy Lantmannen. Wyglądały jak zrośnięte penisy. Terminal promów do Estonii znajdował się po lewej stronie, za nim zaczynało się morze. Po prawej basen portowy z dźwigami i magazynami z obu stron.

Podniosła kołnierz kurtki, otuliła się mocniej szalikiem i ruszyła ku biurom. Prom z Tallina stał przy nabrzeżu, wyglądał przy budynkach jak olbrzym. Okno na zachód dla ludzi z krajów bałtyckich.

Kiedy skręciła za róg biurowca, zobaczyła taśmy ogradzające teren. Biało-niebieska plastikowa płachta powiewała na wietrze przy silosach, samotna i zmarznięta. Nie było widać policjantów. Zatrzymała się i przez chwilę obserwowała rozciągający się przed nią kawałek lądu. To musi być serce portu. Długi na kilkaset metrów, po obu stronach ogromne magazyny. Dalej, za taśmami, prześwitywał parking dla przyczep ciężarówek. W oddali zobaczyła sylwetki w jaskra-wożółtych kamizelkach kręcące się koło przyczep.

Ruszyła wolno w kierunku terenu otoczonego przez policjantów. Spojrzała w górę na ogromne silosy. Choć stała na

ziemi, wysokość przyprawiła ją o zawrót głowy. Szczyty spotykały się z niebem, nie tworząc kontrastu, szarość z szarością. Pobiegnęła za nimi wzrokiem, zakołysała się, aż uderzyła udami o miękki plastik.

Między silosami była ciasna przestrzeń, do której nie docierało światło dzienne. To tutaj mężczyźni stracili życie. Przymknęła oczy, aby przyzwyczaić wzrok do ciemności. Udało jej się wypatrzeć czarne plamy na ziemi, plamy ich krwi. Ciała leżały przy wyjściu z pasażu, nie ukryto ich w mroku.

Odwróciła się tyłem do śmierci i rozejrzała dookoła. Wzdłuż nabrzeża stały rzędy wielkich reflektorów. Cały port powinien w nocy tonąć w świetle, z wyjątkiem przestrzeni między silosami.

Jeśli się kogoś zastrzeli, po co zostawiać go w świetle reflektorów? Dlaczego nie przeciągnąć go w cień silosów?

To zależy, oczywiście, jak bardzo się temu komuś spieszy, pomyślała.

Spuściła wzrok, podreptała w miejscu i pochuchała w rękę. Pod jej nogami rozpryskiwała się breja. Cholerna zima. Za otoczonym terenem znajdowała się rekwizytornia Telewizji Szwedzkiej.

Przeszła wzdłuż taśmy. Zmarzła już porządnie, deszcz był lekki, ale ostry, z powodu lodowatego wiatru od morza. Owinęła głowę szalem i podeszła bliżej wody. Przeszła wzdłuż płotu stanowiącego granicę z krajami bałtyckimi. Ciężarówka pamiętająca lepsze czasy stała po drugiej stronie i wyrzucała z siebie spaliny. Annika przytknęła szalik do nosa. Ogrodzenie wieńczyła duża brama, tuż przy zaparkowanych przyczepach. Trzech celników kontrolowało

przedostatnią tego dnia ciężarówkę. Tuż za Anniką czekała na odprawę prawdziwa bomba ekologiczna. Miała być ostatnia.

- No, co tam?

Mężczyzna był zarumieniony od zimna, pod żółtą kamizelką widać było mundur celnika. Oczy miał przejrzyste i pogodne. Annika uśmiechnęła się.

- Byłam trochę ciekawa. Pracuję w gazecie i czytałam o morderstwie, które tutaj popełniono - powiedziała i wskazała przez ramię na miejsce zbrodni.

- Jeśli chce pani coś napisać, to odsyłam do naszego rzeczownika prasowego - powiedział uprzejmie celnik.

- Nie, nie, ja nic nie piszę, tylko sprawdzam, czy inni dobrze piszą. Dlatego muszę czasem wyjść w teren i trochę się rozejrzeć, żeby zobaczyć, czy reporterzy nie odstawiają fuszerki.

Celnik się roześmiał.

- No to pewnie ma pani mnóstwo roboty - powiedział.

- Pewnie tyle co pan, domyślam się - powiedziała Annika.

Uścisnęli sobie ręce i przedstawili się sobie.

- Koniec na dzisiaj? - zapytała Annika i wskazała na ostatni transport, który właśnie podjeżdżał do bramy.

Mężczyzna cicho westchnął.

- Przynajmniej dla mnie - powiedział. - Przez kilka dni było trochę zamieszania przez te blokady policyjne i w ogóle. I te wszystkie papierosy.

Annika uniosła brwi.

- Stało się coś szczególnego?

- Zatrzymaliśmy dzisiaj rano chłodnię z papierosami upakowanymi wszędzie, w podłodze, w dachu, w ścianach. Zdjęli całą izolację i wypakowali papierosami.

- *Wow* - powiedziała Annika. - Jak na to wpadliście?

Celnik wzruszył ramionami.

- Odkręciliśmy jeden panel z tyłu samochodu. Było trochę izolacji, ale cienka warstwa. Za nią była jeszcze jedna blacha, no i fajki.

- Ile tego?

- W podłodze jednej przyczepy mieści się pięćset tysięcy, pięćset tysięcy w dachu i tyle samo w ścianach. W sumie to daje jakieś dwa miliony, a za jednego papierosa można liczyć jakąś koronę.

- *Oh, man* - powiedziała Annika.

- To właściwie nic w porównaniu z tym, co tu przychodzi. Szmuglują niesamowite ilości papierosów. Gangi skończyły z narkotykami i zaczęły wozić fajki. Odkąd podnieśli nam podatek, fajki przynoszą taki sam zysk jak heroina, przy znacznie mniejszym ryzyku. Narkotyki za miliony oznaczają więzienie, można w nim zgnieć. Za papierosy nie grozi prawie żadna kara. Jeżdżą z podwójnymi plandekami, podłogami na zawiasach, wytrzymałymi belkami stalowymi...

- Pomysłowe gagatki - powiedziała Annika.

- Bez wątplenia - powiedział celnik.

Annika zaryzykowała.

- Wie pan, kim były ofiary?

Mężczyzna pokręcił głową.

- Nie. Nigdy wcześniej ich nie widziałem.

Annika otworzyła szeroko oczy.

- To pan ich widział?

- *Yes*. Leżeli tam, kiedy przyjechałem. Postrzeleni prosto w czaszki.

- Cholera, ale makabra - powiedziała Annika.

Celnik się skrzywił, dreptaniem próbował pobudzić krążenie w stopach.

-No, wkrótce pora zamknąć kram. Czy jeszcze nad czymś się pani zastanawia?

Annika rozejrzała się.

- Co jest w tych budynkach?

Celnik wskazywał i objaśniał:

- Magazyn numer osiem stoi w tej chwili pusty. Dwójka, tam z tyłu, to terminal odprawy do Tallina i morski urząd celny. Wszystkie przewozy z Tallina muszą tam podjechać i pokazać papiery, zanim do nas wjadą.

- Jakie papiery?

- Dokumenty przewozowe. Z opisem zawartości każdej skrzyni. Potem dostają taki papier i pokazują go nam.

Mężczyzna wyjął jaskrawozielony pasek papieru z pieczęciami, podpisami i oznaczeniem IN.

-I sprawdzacie wszystko po kolei? - zapytała Annika.

- Większość, ale nie wszystko zdążamy.

Annika uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Kiedy rezygnujecie ze sprawdzania samochodu?

Celnik westchnął.

- Kiedy otwieramy tył i naszym oczom ukazują się skrzynie i kartony upakowane od podłogi po sufit, może się zdarzyć, że uznamy, że nie mamy siły. Żeby sprawdzić taki samochód, musimy go wziąć na siódmkę, o tam, do kontenerów, i rozładować wszystko, wyciągać wózkami widłowymi. Mamy celników, którzy potrafią je obsługiwać, ale nie jest ich aż tak wielu.

- Nie, jasne - powiedziała Annika.

- Są jeszcze samochody zaplombowane, takie, które tylko przejeżdżają przez Szwecję z opieczętowanymi przyczepami. Nikomu nie wolno zdejmować, dokładać ani wymieniać towaru, dopóki transport nie trafi do kraju docelowego.

- To te z napisem TIR?

Mężczyzna kiwnął głową.

- Są też inne, ale TIR jest najbardziej znany.

Annika wskazała ręką.

- Co tu robią te wszystkie przyczepy? Celnik odwrócił się i spojrzał na parking.

-To towary czekające na prom do krajów bałtyckich i takie, które zostały odprawione i czekają na dalszy transport na terenie Szwecji.

- Można tu wynająć miejsca?

- Nie, tu można tylko zaparkować. Nikt specjalnie nie kontroluje, kto tu stoi. Ani dlaczego. Ani jak długo. Może tu stać cokolwiek.

- Na przykład przemycone paczki papierosów?

- Jak najbardziej.

Uśmiechnęli się do siebie.

- Dziękuję, że poświęcił mi pan czas - powiedziała Annika.

Przeszli razem do wjazdu do Frihamnen. Kiedy znaleźli się przy taśmach policji, zabłysnęły reflektory, zalewając bezlitosnym światłem cały teren.

- Cholernie tragiczna historia - powiedział celnik. - Młodzi faceci, mieli ledwo po dwadzieścia lat.

- Jak wyglądali? - zapytała Annika.

- Chłopcy nie wiedzieli, jak może wyglądać zima - powiedział. - Musiało im być diabelnie zimno. Mieli na sobie

cienkie kurtki skórzane i dzinsy. Nic na głowach, na rękach też nie. Sportowe buty.

- Jak leżeli?

- Prawie jeden na drugim, z przedziurawionymi głowami. - Celnik postukał się w ciemność.

Annika się zatrzymała.

- Nikt nic nie słyszał? Nie ma tu żadnych strażników w nocy?

-We wszystkich magazynach oprócz ósemki są psy. Szczekają jak opętane, gdy ktoś próbuje się do nich dostać. Odkąd pojawiły się psy, kradzieży i włamań jest znacznie mniej, chociaż psy nie są zbyt dobrymi naocznymi świadkami. Nie wiem, czy ktoś słyszał strzały. Przecież był huragan.

Wymienili grzeczności. Annika ruszyła szybko w stronę wiaty przystanku autobusowego obok szyldu Tallin Kłajpeda Ryga St. Petersburg. Było jej zimno, aż dzwoniły jej zęby. Poczowała, jak zalewa ją samotność, ciężka i mokra samotność. Stała pod wiatą, szara postać zlewająca się z szarym tłem. Było za wcześnie, żeby jechać do redakcji, za późno, żeby wstąpić do domu. Zbyt wielka pustka, żeby mieć siłę zebrać myśli.

Kiedy zza budynku administracyjnego SVEX nagle wyjechał autobus 76, poszła za impulsem. Zamiast wsiąść do 41 i pojechać z powrotem na Kungsholmen, pojechała na Stare Miasto. Wysiadła na Slottsbacken i kluczyła wąskimi uliczkami, zmierzając w kierunku Tyska Brinken. Deszcz ustał, wiatr osłabł. Między kamiennymi budynkami czas stał w miejscu. Szum samochodów od strony Skepps-bron ucichł, jej kroki dudniły głucho na pokrytym lodem bruku. Ciemność zapadała szybko, kolory traciły głębię

w złotym blasku kutych latarni, zmieniały się w niewielkie plamy w kręgach światła. Czarne kute żelazo. Czerwona ochra. Lśniące, ręcznie robione szyby okienne w małych obramowaniach. Stare Miasto to inny świat, inny czas, echo przeszłości. Annę Snapphane oczywiście udało się znaleźć mieszkanie na poddaszu koło Tyska Kyrkan. Z drugiej ręki wprawdzie, ale zawsze.

Była w domu i gotowała makaron.

- Weź sobie miskę. Wystarczy i dla ciebie - powiedziała, kiedy wpuściła Annikę i zamknęła za nią drzwi. - Za co spotyka mnie ten zaszczyt?

- Chodziłam trochę po mieście, właśnie wracam z Fri-hammen.

Annika opadła na krzesło pod spadzistym sufitem małej kuchni. Wdychała ciepło i zapachy wydobywające się z garnka z makaronem. Uczucie beznadziei osłabło, pustkę po nim wypełniła paplanina Anny, raz cicha, raz głośna. Annika odpowiadała monosylabami.

Siedziały naprzeciwko siebie, mieszały tagliatelle z masłem, serem i sosem sojowym. Ser topił się, tworząc między wstążkami makaronu miękkie macki. Annika kręciła w nich widelcem i wyglądała przez okno. Dachy, kominy i tarasy odcinały się czarnymi konturami od ciemnoniebieskiego zimowego nieba. Nagle poczuła, jak bardzo jest głodna. Jadła, aż zabrakło jej tchu, i wypila dużą szklankę coli.

- Czy we Frihammen nie było dziś rano jakiegoś morderstwa? - spytała Annę, przelękając ostatni kęs i wlewając wodę do czajnika.

- Dwa, wczoraj rano - powiedziała Annika i wstawiła talerz do zmywarki.

- Fajnie - powiedziała Annę. - Od kiedy znowu jesteś reporterką?

Nalała wody do ekspresu Bodum.

- Nie wyciągaj pochopnych wniosków. Sprawa jest poważniejsza, niż się wszystkim zdaje - powiedziała Annika, idąc do salonu z sufitem z drewnianych belek.

Annę poszła za nią z tacą, dwoma kubkami, ekspresem i torebką piankowych cukierków samochodzików.

- Ale możesz znowu pisać? To znaczy tak naprawdę?

Usiadły na kanapie. Annika przełknęła ślinę.

- Nie, absolutnie nie. Po prostu nie miałam siły siedzieć w domu. Podwójne morderstwo to zawsze podwójne morderstwo.

Annę skrzywiła się i podmuchała w gorącą kawę. Napiła się, siorbiąc.

- Że też ci się chce - powiedziała. - Nie ma to jak relacje między kobietami, moda i problemy z jedzeniem.

Annika się uśmiechnęła.

- Jak leci?

- Szef programu uważa, że „Kvinnosoffan” to gigantyczny sukces. Ja nie podzielam jego entuzjazmu. Cała redakcja zapracowuje się na śmierć, wszyscy nienawidzą prowadzącego, a producent romansuje z szefem projektu.

- Jaką macie oglądalność? Milion?

Annę spojrzała na Annikę smutnym wzrokiem.

- Kochana moja - powiedziała. - Mówimy tu o wszechświecie satelitarnym. Udziale widzów. Trafieniu w widza. Tylko stare kanały publiczne rozprawiają o oglądalności.

- To dlaczego ciągle o tym piszemy? - powiedziała Annika, otwierając opakowanie samochodzików.

- A skąd ja mam to wiedzieć? - powiedziała Annę. - Wy też pewnie nie wiecie. A z „Kvinnosoffan” nic nie będzie, jeżeli redakcja nie zatrudni kilku prawdziwych dziennikarzy.

- Aż tak źle? Czy nie miał do was przyjść ktoś nowy? - powiedziała Annika i napchała usta cukierkami.

Annę głośno westchnęła.

- Michelle Carlsson. Nic nie potrafi, nic nie wie, za to jest straszliwie napalona na kamerę.

Annika się roześmiała.

- Czy to nie branża telewizyjna w pigułce?

- O, tak - powiedziała Annę. - Ale nie bądź taka zarozumiała. Niech redaktorzy popołudniówek nie przygadują, skoro u nich też niezbyt dobrze się dzieje.

Annę włączyła telewizor. Trafiła w sam środek zapowiedzi wiadomości ogólnokrajowych.

- *Voila*, oto jest - powiedziała.

- Cicho - powiedziała Annika. - Posłuchajmy, czy powiedzą coś o morderstwie we Frihamnen.

Wiadomości zaczęły się od najświeższych informacji o następstwach huraganu w południowej Szwecji. Redakcja z Malmö była w terenie, filmowała poprzewracane wiaty przystanków autobusowych, zerwane dachy obór i zniszczone drogowskazy. Człowiek w czapce z napisem „Związek Rolników” drapie się strapiiony w szyję, patrząc na zrównaną z ziemią szklarnię. Mówi coś w dialekcie skańskim. Powinni to przetłumaczyć na szwedzki. Następnie wypowiadał się przedstawiciel dostawcy energii elektrycznej, zapewniając, że dokłada się wszelkich starań, żeby do wieczora wszyscy odbiorcy mieli prąd. W Skanii, Blekinge i Smalandii tyle i tyle gospodarstw nadal nie ma prądu.

Annika westchnęła cicho. Jakie to okropnie nudne.

Potem przedstawiono szacunki dotyczące strat materialnych, mnóstwo milionów koron. Jedna kobieta w Danii zginęła, gdy przewracające się drzewo spadło na jej samochód.

- Mają w Danii lasy? - zastanawiała się głośno Annę.
Annika spojrzała na koleżankę z Norrbotten udręczonego wzrokiem.

- Nie byłeś nigdy nigdzie poza rodzinnymi stronami? - powiedziała.

Potem obowiązkowe komentarze do zdjęć z Czeczenii i Kosowa. Oddziały rosyjskie to, to i tamto, a UCK gadu-ga-du. Kamery omiały zbombardowane budynki i brudnych uciekinierów siedzących na przyczepie ciężarówki.

- Mają w nosie twoje morderstwa - powiedziała Annę.

- One nie są moje - odparła Annika. - To morderstwa Sjólandera.

Po krótkiej wypowiedzi premiera na jakiś temat nadano relację na żywo o morderstwie we Frihamnen. Prezenter omówił kilka zdjęć pokazujących przestrzeń między silosami. Podawali prawie te same informacje, które ukazały się w „Kvallspressen” dwanaście godzin wcześniej.

- Niesamowite, że reporterzy telewizyjni nigdy nie potrafią się sami niczego dowiedzieć - powiedziała Annika.
- Mieli cały dzień, a nie udało im się nic zdobyć.

- Nie jest to dla nich priorytetem - powiedziała Annę.

- Ludzie z telewizji tkwią w latach pięćdziesiątych - powiedziała Annika. - Wystarczy im, że obrazki się ruszają i że coś się mówi. W nosie mają dziennikarstwo - albo się na nim nie znają. Reporterzy telewizyjni są beznadziejni.

- Amen - powiedziała Annę. - Oto przemówiła boska chluba dziennikarstwa. Nie, do diabła, zżarłaś wszystkie sa mochodziki? Mogłaś mi kilka zostawić.

- *Sorry* - powiedziała Annika zawstydzona. - Muszę spadać.

Zostawiła Annę w mieszkaniu pod szczytami dachów Starówki i poszła Stora Nygatan w kierunku Norrmalm. Powietrze nie było już tak przeszywająco zimne, było świeże i rześkie. Coś się w niej przebudziło, miała ochotę śpiewać. Stała i nuciała pod nosem. Czekala na zielonego ludzika na skrzyżowaniu przy Riddarhuset i budynku Sądu Najwyższego. Nagle z lewej strony pojawił się mały starszy pan z rowerem.

- Jadę z Huddinge - powiedział, a Annika aż podskoczyła.

Był całkiem wyczerpany. Cały się trząsał, kapało mu z nosa.

- Oj, to daleko - powiedziała Annika. - Nie zmęczyły się panu nogi?

- Nic a nic - wysapał dziadunio, a z oczu pociekły mu łzy. - Mógłbym przejechać jeszcze drugie tyle.

Zapaliło się zielone. Kiedy Annika ruszyła na drugą stronę, dziadek ruszył z nią. Dreptał za nią, wisząc na rowerze. Annika zatrzymała się.

- Dokąd pan jedzie? - spytała.

- Na pociąg - szepnął. - Pociąg do domu.

Pomogła mu przejść przez Tegelbacken i odprowadziła do dworca. Nie miał przy sobie grosza, więc zapłaciła za jego bilet.

- Czy jest ktoś, kto się panem zajmie, kiedy pan wróci do domu? - zapytała.

Mężczyzna pokręcił głową, smarki przy jego nosie zatańczyły.

- Dopiero mnie wypisali - powiedział. Zostawiła go na ławce koło dworca, z głową zwisającą na pierś, z rowerem opartym o nogę.

Zdjęcie było duże, wystawało na drugą połowę rozkładówki. Dominowała złocista, lśniąca żółć, kształty odcinały się ostro, wyraźnie. Policjanci w ciężkich skórzanych kurtkach, czarne profile, fluorescencyjna biel karetek, przytłoczeni powagą mężczyźni w szaroniebieskieci ubraniach i z narzędziami w rękach, stopy rupieci, schody, fotel ginekologiczny.

No i paczki, nieżywe, skulone czarne paczki. Zabici mężczyźni w workach. Za życia zajmowali tyle miejsca. Teraz, leżąc na ziemi, wyglądali jak łatwe do usunięcia resztki.

Zakaszła, zadrżała. Gorączka podskoczyła w ciągu dnia. Antybiotyki zdawały się nie działać. Rana na czole rwała.

Muszę odpocząć, pomyślała. Muszę trochę pospać.

Opuściła gazetę, oparła się o poduszki. Od razu poczuła, że opada, co zwiastowało sen. Spadała w tył. Szybki oddech, niepewne szukanie oparcia. I chłopiec, jego strach i krzyk, jej bezgraniczna niemoc.

Z trudem otworzyła oczy. Za ścianą śmiali się uczestnicy konferencji. Przyjechała do hotelu w tej samej chwili co pełen ludzi autobus i udało jej się wejść jako jednej z uczestniczek. To ją na chwilę uratowało, ale teraz już nie wystarczyło. Jeśli jej stare lekarstwo w nocy nie zadziała, będzie zmuszona szukać pomocy. Ta myśl ją przeraziła, przecież tak łatwo będzie ją odnaleźć. Wypiła trochę wody. Ramię miała sztywne i ciężkie. Spróbowała znów skupić się na artykule.

Porachunki światka przestępczego. Mafia jugosłowiańska. Żadnych podejrzanych, ale wiele poszlak. Przewróciła stronę. Zdjęcie taksówkarza.

Podskoczyła, wystrzyła wzrok, z trudem podniosła się na poduszkach.

Taksówkarz, ten sam, który nie chciał jej wpuścić do swojego pięknego samochodu. Poznała go. Rozmawiał z nim jakiś reporter. Opowiadał, że wioził w nocy z portu kobietę, przemoczoną do suchej nitki. Policja chciała się z nią skontaktować, żeby ją przesłuchać, po prostu dowiedzieć się, co się stało.

Przesłuchać, żeby się dowiedzieć, co się stało.

Opadła z powrotem na poduszki, przymknęła oczy. Oddychała szybko.

A co, jeśli jest ścigana? Jeśli tak, to z pewnością nie może iść do lekarza.

Westchnęła głośno. Oddychała ciężko, urywanie. Policja jej szuka.

Nie panikować, myślała. Nie wpaść w histerię. Może wcale mnie nie szukają.

Zmusiła się do spokoju, siłą spowolniła puls i oddech.

Jak ma się dowiedzieć, czyjej szukają? Nie może zadzwonić, znaleźliby ją w ciągu kwadransa. Mogłaby zadzwonić i trochę powęszyc, udawać, że ma do przekazania jakieś informacje i skłonić ich, żeby się wygadali.

Znów głośno westchnęła. Podniosła gazetę, żeby przeczytać artykuł do końca. Nie było w nim wiele więcej, nie wyglądało na to, że jest poszukiwana.

Spojrzała na nazwisko pod artykułem. Dziennikarz. Dziennikarze czasami przerabiają historie, spekulują, zmyślają, ale mogą wiedzieć więcej, niż piszą.

Zakaszła mocno. Dalej tak nie może być. Potrzebuje pomocy. Znow wzięła do ręki gazetę i przeczytała nazwisko. Sjölander. Wychyliła się po telefon.

Annika właśnie zdejmowała kurtkę, gdy zawołał ją Sjölander, machając słuchawką.

- Jakaś laska potrzebuje pomocy, możesz?

Annika przymknęła oczy. Jej działka. Trzeba współpracować, uczestniczyć.

Głos kobiety brzmiał, jakby była chora i słaba. Mówiła z silnym obcym akcentem.

- Potrzebuję pomocy - wydyszała.

Annika usiadła. Nagle znowu jakby zupełnie wypalona, spragniona kawy.

- On mnie śledzi - powiedziała kobieta. - Ściga mnie.

Annika odcięła się od świata, zamykając oczy. Pochyliła się naprzód i skuliła nad biurkiem.

- Jestem uciekinierką z Bośni - powiedziała kobieta. - On próbuje mnie zabić.

Dobry Boże, czy musi odpowiadać za całe cholerne piekło tego świata?

Kobieta wymamrotała coś. Zdawało się, że traci przytomność.

- Proszę posłuchać - powiedziała Annika i otworzyła oczy. - Co się dzieje?

Kobieta zaczęła płakać.

- Jestem chora - powiedziała. - Nie mam odwagi jechać do szpitala. Tak się boję, że on mnie znajdzie. Czy może mi pani jakoś pomóc?

Annika westchnęła cicho. Wodziła wzrokiem po redakcji, szukając kogoś, do kogo mogłaby ją przełączyć. Nie było nikogo.

- Dzwoniła pani na policję? - spytała.

- On mnie zabije, jak mnie znajdzie - wyszeptała kobieta. - Wiele razy próbował mnie zastrzelić. Nie mam już siły uciekać.

Drżący oddech odbijał się echem w słuchawce. Annika poczuła, jak ogarnia ją bezsilność.

- Nie mogę pani pomóc - powiedziała. - Jestem dziennikarką, piszę artykuły. Dzwoniła pani do opieki społecznej? Albo do jakiejś fundacji dla kobiet?

- Frihamnen - wyszeptała kobieta. - Zabici we Friham-nen. Mogę o nich opowiedzieć.

Annika zachłysnęła się i wyprostowała plecy.

- Że jak? Co?

- Jeśli mi pani powie, co wiecie, opowiem, co ja wiem - powiedziała kobieta.

Annika oblizwała usta i poszukała wzrokiem Sjólandera. Nigdzie go nie było.

- Musi pani tu przyjechać - wyjąkała kobieta. - Proszę nikomu nie mówić, dokąd pani jedzie. Niech pani nie bierze taksówki. I nie opowiada nikomu, kim jestem.

Kiedy odkładała słuchawkę, stanął przed nią Jansson.

- Morderstwo we Frihamnen - powiedziała.

- Dlaczego Sjólander tego nie wziął? - spytał Jansson.

- To była jakaś kobieta - odpowiedziała Annika.

- Aha - powiedział Jansson i odebrał swój telefon.

- Jadę tam - powiedziała. - Trochę to potrwa.

Jansson pokiwał jej na pożegnanie.

-o

Wzięła ze sobą książkę telefoniczną. Od syna ochroniarza Torego Branda dostała klucze do nieoznakowanego samochodu redakcji. Zjechała do garażu i po chwili wahania znalazła samochód. Oparła książkę o kierownicę i znalazła hotel, z którego dzwoniła kobieta. Dość daleko, kolejna dzielnica na przedmieściu, w której nigdy wcześniej nie była.

Ruch był niewielki, droga śliska. Jechała ostrożnie, nie miała ochoty zginąć tej nocy.

To się okaże, pomyślała. Wszystko będzie dobrze.

Spojrzała przez przednią szybę w górę, w niebo.

Ktoś mnie widzi, pomyślała. Czuję to.

Thomas wyłączył informacyjną paplaninę, natrafił na gorączkową debatę, przełączał dalej i znalazł się w operze mydlanej z południa Ameryki - w samym centrum wydarzeń. W końcu wylądował na MTV, *give it to me baby, aha, aha*. Przyłapał się na tym, że gapi się na biusty dziewczyn, na ich na złoto opalone brzuchy i podskakujące loki.

- Kochanie!

Eleonor zamknęła za sobą drzwi i strzepywała z butów śnieżną breję.

- Jestem w bawialni - odpowiedział. Szybko zmienił kanał, znowu wiadomości.

- Boże, co za dzień - powiedziała jego żona, kiedy zeszła na dół. Wyciągnęła jedwabną bluzkę ze spódnicy, rozpięła perłowe guziki przy nadgarstkach i padła obok niego na kanapę.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował w ucho.

- Za dużo pracujesz - powiedział.

Odpięła spinki i rozrzuciła włosy.

- Szkolenie z zarządzania - powiedziała. - Wiesz, że miało być dziś wieczorem. Wiele razy ci mówiłam.

Wypuścił ją z objęć i sięgnął po pilota.

- Oczywiście - powiedział.

- Przyszła jakaś poczta?

Wstała i poszła znowu na górę, do holu. Nie odpowiedział. Słyszał, jak jej nylonowe stopy skrzypią na lakierowanych stopniach schodów, jip, jip, jip. Szelest otwieranych kopert, szuflada na rachunki to się otwiera, to zamyka, drzwi kuchennej szafki, do której wrzucają makulaturę.

- Ktoś dzwonił? - zawołała.

Chrząknął.

-Nie.

- Zupełnie nikt?

Westchnął cicho.

- Tak, moja mama.

- Czego chciała?

- Porozmawiać o świętach. Powiedziałem, że porozmawiam z tobą i później do niej zadzwonię.

Zeszła na dół, jip, jip, jip, z kanapką z chrupkiego chleba z chudym serem w ręce.

- Byliśmy u nich rok temu - powiedziała. - W tym roku kolej na moich.

Wziął ze stołu gazetę z programem, przerzucał recenzje filmowe.

- A co by było, gdybyśmy po prostu zostali w tym roku w domu? - powiedział. - Przecież możemy zjeść świąteczny obiad tutaj. Mogą przyjść twoi i moi rodzice.

Z wściekłością gryzła kanapkę z bogatego w błonnik chleba.

- A jak myślisz, kto go przygotowuje?

- Przecież są firmy cateringowe - powiedział. Stała przy sofie i spojrzała na niego. W kącikach ust miała okruszki chleba.

- Catering? - powiedziała. - Twoja mama zawsze robi galantynę z głowizny, moja sama przyrządza kielbasę czosnkową, a ty mówisz o cateringu?

Wstał, nagle zirytowany.

- To olej to - powiedział i przeszedł obok, nie patrząc na nią.

- A z tobą co się dzieje? - powiedziała wyzywająco do jego pleców. - Nic już ci nie pasuje? Co ci się nie podoba w naszym życiu?

Zatrzymał się w połowie schodów i spojrzał na nią. Taka piękna. Taka zmęczona. Taka daleka.

- Oczywiście, możemy pojechać do twoich rodziców - powiedział.

Odwróciła się, usiadła na brzegu sofy i zmieniła kanał. Oczy zaszyły mu mgłą. Kamienie w piersi ciążyły jeszcze bardziej.

- Czy mogę tu trochę wywietrzyć? - spytała Annika i podeszła do okna.

- Nie! - wysyczała kobieta i opadła z powrotem na łóżko.

Annika zatrzymała się w połowie ruchu. Czuła się głupio i niezręcznie, zaciągnęła z powrotem firankę. Pokój tonął w mroku, cuchnął gorączką i śluzem. W kącie stało biurko z krzesłem i lampą. Zapaliła ją, przyciągnęła krzesło do łóżka i zdjęła kurtkę. Kobieta naprawdę wyglądała na chorą. Ktoś powinien się nią zaopiekować.

- Co się stało? - zapytała Annika.

Kobieta nagle zaczęła się śmiać. Zwinęła się jak embrion i śmiała histerycznie, a w końcu się rozplakała. Annika czekała. Czuła się nieswojo. Siedziała niepewnie, z rękami na kolanach.

Kolejna świeżo wypisana, pomyślała. W końcu kobieta ucichła. Zebrała się w sobie z jękiem i spojrzała na Annikę. Jej twarz połyskiwała od potu i łez.

- Pochodzę z Bijeliny - powiedziała cicho. - Wie pani, gdzie to jest?

Annika pokręciła głową.

- Wojna w Bośni zaczęła się właśnie tam - powiedziała kobieta.

Annika w milczeniu czekała na ciąg dalszy. Nie nastąpił. Kobieta zamknęła oczy. Oddychała ciężko, zdawała się odpływać w sen.

Annika chrząknęła ostrożnie i niepewnie spojrzała na chorą kobietę.

- Kim pani jest? - spytała.

Kobieta się ocknęła.

- Aida - powiedziała. - Nazywam się Aida Begović.

- Dlaczego pani tutaj leży?

- Szukają mnie.

Oddychała szybko i płytko, jakby była na granicy utraty przytomności. Annika czuła się coraz mniej pewnie.

- Nie ma pani nikogo, kto by się mógł panią zająć? Brak odpowiedzi. Ludzie, czy mam zadzwonić po pogotowie?

Annika podeszła do łóżka i pochyliła się nad nią.

- Jak się pani czuje? Mam po kogoś zadzwonić? Gdzie pani mieszka? Skąd pani przyjechała?

Nie odpowiedziała.

- Fredriksberg w Vaxholmie. Nie mogę tam już nigdy je chać. On mnie od razu znajdzie.

Annika podeszła do swojej torby, wyjęła notes i długopis i zapisała: Fredriksberg, Vaxholm, szukają jej.

- Kto panią znajdzie?

- Ten człowiek.

- Jaki człowiek? Pani mąż? Kobieta

nie odpowiedziała, dyszała.

- Co chciała mi pani opowiedzieć o Frihamnen?

- Byłam tam.

Annika wpatrywała się w nią.

- Co pani ma na myśli? Widziała pani, jak zostali za mordowani?

Nagle przypomniała sobie artykuł w gazecie i taksówkacza, którego znalazł Sjölander.

- To pani! - powiedziała.

Aida Begović z Bijeliny z trudem podniosła się na łóżku, poprawiła poduszki i wsparła się na nich.

- Ja też miałam zginąć, ale udało mi się uciec.

Jej twarz płonęła, włosy miała posklejane potem. Na jej czole widniała duża rana, jeden z policzków był siny. Spojrzała na Annikę oczyma jak otchłań, czarnymi, bez dna. Annika usiadła, miała zupełnie sucho w ustach.

- Co się stało?

- Biegłam i upadłam, próbowałam się schować. Na długim nabrzeżu leżały masy złomu. Potem biegłam, a on strzelał

za mną. Wskoczyłam do wody. Było strasznie zimno, dlatego się rozchorowałam.

- Kto strzelał?

Kobieta zamknęła oczy, wahała się.

- To może być dla pani niebezpieczne. Lepiej, żeby pani nie wiedziała - powiedziała. - Zabijał już wcześniej.

- Skąd pani wie? - zapytała Annika.

Aida roześmiała się. W jej śmiechu słychać było zmęczenie, przyłożyła palce do czoła.

- Powiedzmy, że dobrze go znam.

Stara, zawsze ta sama historia, pomyślała Annika.

- Kim byli ci, co zginęli? Aida z

Bijeliny otworzyła oczy.

- Nikim ważnym - powiedziała. Annice nie udało się opanować irytacji.

- Jak to nikim ważnym? - spytała. - Dwaj młodzi mężczyźni postrzeleni w głowę są nieważni?

Ich spojrzenia się skrzyżowały.

- Wie pani, ilu ludzi zginęło w Bośni w czasie wojny?

- To nie ma nic do rzeczy - powiedziała Annika. - Rozmawiamy o Frihamnen, o Sztokholmie.

- Uważa pani, że to jakaś różnica?

Wpatrywały się w siebie w milczeniu. Błyszczące od gorączki oczy kobiety widziały zbyt wiele. Annika pierwsza odwróciła wzrok.

- Może nie - powiedziała. - Dlaczego zostali zamordowani?

- A co pani wie? - spytała Aida z Bijeliny.

- Niewiele więcej ponad to, co było napisane w gazecie. Że to prawdopodobnie Serbowie, mieli serbskie ubrania.

Żadnych dokumentów, żadnych odcisków palców. Interpol skontaktował się już z Belgradem. Policja pani szuka.

- Jestem poszukiwana?

Pytanie było krótkie, wypowiedziała je dobitnie. Annika przyglądała się jej uważnie.

- Nie wiem - powiedziała. - Tak sędzę. Dlaczego sama się pani z nimi nie skontaktuje, żeby spytać?

Kobieta spojrzała na nią przez mgłę gorączki.

- Nie rozumie pani - powiedziała. - Nie wie pani, w jakiej jestem sytuacji. Nie mogę rozmawiać z policją. Nie teraz. Co pani wie o mordercy?

- Świątek przestępczy. Według policji.

- Motyw?

- Jakies gangsterskie porachunki, dokładnie tak, jak było w gazecie. Co właściwie pani o tym wszystkim wie?

Aida Begović z Bijeliny przymknęła oczy i odpoczywała chwilę.

- Nie wolno pani nikomu powiedzieć, że pani ze mną rozmawiała.

- W porządku - powiedziała Annika. - Jest pani pod ochroną jako źródło informacji. Nikt nie może dociekać, kim pani jest. Byłoby to wykroczenie.

- Nie rozumie pani. To mogłoby być dla pani niebezpieczne. Nie wolno pani pisać o tym, co powiedziałam, bo wtedy się domyśla, że pani wie.

Annika patrzyła na nią. Wahala się, nie odpowiedziała. Nie chciała niczego obiecywać. Kobieta znów uniosła się na poduszkach.

- Była pani tam? Widziała pani ciężarówki na nabrzeżu?

Annika przytaknęła.

- Brakuje jednej - powiedziała Aida z Bijeliny. - Całej ciężarówki pełnej papierosów. Były nie tylko w podłodze, ale w całej ciężarówce. Pięćdziesiąt milionów papierosów, pięćdziesiąt milionów koron.

Annika jęknęła.

- Będzie więcej zabitych. Facet, który jest właścicielem towaru, nie pozwoli złodziejom uciec.

- Czy to on panią ściga?

Kobieta przytaknęła.

- Dlaczego?

Zamknęła oczy.

- Wiem wszystko - powiedziała.

Siedziały chwilę w milczeniu, aż usłyszały pukanie do drzwi. Twarz Aidy z Bijeliny zrobiła się zupełnie biała. Znów pukanie. Miękki głos, ciemny i męski, niemal szept.

- Aida?

- To on - wyszeptała kobieta. - Zastrzeli nas obie.

Zdawało się, że w każdej chwili może zemdleć. Annice natychmiast mocno zakręciło się w głowie.

Wstała i pokój zawirował jej przed oczami. Ruszyła chwiejnym krokiem.

- Aida?

- Zaraz zginiemy - powiedziała kobieta z rezygnacją.

Annika zobaczyła, jak kobieta pochyła głowę i zaczyna się modlić.

Nie, pomyślała, nie tutaj, nie teraz.

- Chodź - powiedziała. Wyciągnęła ją z łóżka i zaprowadziła do łazienki. Wrzuciła tam jej rzeczy, zdjęła sweter i przyciskając go do piersi, otworzyła drzwi.

- Tak? - zapytała zdziwiona.

Mężczyzna stojący za drzwiami był ogromny i piękny, ubrany na czarno. Rękę trzymał pod połą kurtki.

- Gdzie Aida? - zapytał z lekkim obcym akcentem.

- Kto? - zapytała skonfundowana Annika. Zaszło jej w ustach, puls dudnił w głowie.

- Aida Begović. Wiem, że tu jest.

Annika przełknęła ślinę, mrużąc oczy, spojrzała na lampę pod sufitem i podciągnęła sweter pod brodę.

- Pewnie podano panu zły numer pokoju - powiedziała i westchnęła. - To mój pokój. Proszę wybaczyć, ale nie czuję się dobrze. Już się... już się położyłam.

Mężczyzna zrobił krok do przodu, położył prawą rękę na drzwiach, próbował je popchnąć. Annika odruchowo wysunęła stopę, blokując je. Nagle otworzyły się drzwi pokoju obok. Około dziesięciu lekko podchmielonych uczestników konferencji pracowników działu komputerowego firmy telekomunikacyjnej Telia wysypało się na hotelowy korytarz.

Wielki facet w czerni się zawahał. Annika z wysiłkiem nabrała w płuca powietrza i krzyknęła:

-Idźstąd! Spadaj!

Ze wszystkich sił próbowała zamknąć drzwi.

Kilku uczestników konferencji się zatrzymało, rozejrzeli się wokoło.

- Spadaj! - krzyczała Annika. - Pomóżcie mi! On próbuje się wdrzeć do mojego pokoju!

Dwaj pracownicy Telii wyprężyli się i zwrócili do Anniki:

- Co się dzieje?

- Przepraszam, kochanie - powiedział mężczyzna i puścił drzwi. - Porozmawiamy później.

Odwrócił się na pięcie i szybkim krokiem ruszył do wyjścia. Annika zamknęła drzwi. Było jej niedobrze ze strachu.

Dobry Boże, dobry Boże, daj mi przeżyć.

Nogi trzęsły się jej tak bardzo, że musiała usiąść na podłodze. Ręce drżały, chciało jej się wymiotować. Otworzyły się drzwi łazienki.

- Poszedł?

Annika cicho przytaknęła. Aida z Bijeliny rozszlochała się.

- Uratowałaś mi życie. Czy kiedykolwiek będę mogła...

- Musimy uciekać - powiedziała Annika. - Obie, szybko jak cholera.

Wstała, zgasła stojącą na stole lampkę i w ciemności zaczęła zbierać swoje rzeczy.

- Poczekaj - powiedziała Aida. - Musimy poczekać, aż odjedzie.

- Będzie stał na czatach i nas śledził - powiedziała Annika. - Do diabła, do diabła!

Walczyła ze łzami. Kobieta poczłapała do łóżka i padła na nie.

- Nie - powiedziała. - Myśli, że został oszukany. Zapłacił dużo pieniędzy za informację i teraz pójdzie sprawdzić, czy go oszukano.

Annika wzięła trzy głębokie wdechy. Spokój, już, uspokój się.

- Skąd mógł wiedzieć, że tu jesteś? - spytała. - Powiedział komuś?

- Wczoraj też mnie znalazł, wie, że nie mogłam uciec zbyt daleko. Wszędzie ma ludzi, którzy mnie szukają. Wiesz, czy odjeżdża?

Annika otarła łzy z zewnętrznych kącików oczu i wyjrzała zza firanki. Zobaczyła go. Stał na parkingu z dwoma innymi. Wsiedli do samochodu stojącego obok jej samochodu i odjechali.

- Pojechali - powiedziała Annika i opuściła firankę. -
Chodź, spadamy.

Zapaliła lampę stojącą na stole, założyła kurtkę, schowała do torby długopis, podniosła z podłogi notes. Miała spoczone plecy i zimne dłonie.

- Nie - powiedziała Aida z Bijeliny. - Zostanę. On tu nie wróci.

Annika wyprostowała się. Czowała, jak twarz jej płonie.

- Skąd wiesz? Przecież on jest śmiertelnie niebezpieczny! Zawiozę cię na lotnisko albo na dworzec.

Kobieta przymknęła oczy.

- Widziałś go - powiedziała. - Wiesz, że szuka Aidy z Bijeliny. Nie może mnie zabić tutaj, nie dziś. Nie zrobi nic, co by go naraziło na więzienie. Zabije mnie jutro albo pojutrze.

Annika znów opadła na krzesło. Położyła notes na kolanach, ten sam, który miała ze sobą w innym hotelu, na innym przedmieściu.

- Nie masz się gdzie ukryć? - zapytała.

Aida pokręciła głową.

- Nie masz nikogo, kto mógłby się tobą zająć?

- Nie mam odwagi jechać do szpitala.

Annika przełknęła ślinę. Zawahała się.

- Może jest sposób - powiedziała. - Może jest ktoś, kto ci pomoże.

Aida nie odpowiedziała.

Annika kartkowała notes. Szukała czegoś, ale nie znalazła.

- Jest fundacja, która pomaga ludziom takim jak ty - powiedziała, grzebiąc w torbie. Na dnie znalazła wizytówkę.
- Zadzwoń pod ten numer jeszcze dziś.

Nabazgrała na kartce zastrzeżony numer Raju i położyła go na nocnym stoliku.

- Co to za fundacja? - zapytała kobieta.

Annika usiadła koło niej i zaczesła jej włosy do tyłu. Próbowała się opanować, mówić spokojnie.

- Nie wiem dokładnie, jak to się odbywa, ale możliwe, że ci ludzie mogą ci pomóc. Kasują ludzi, jakby znikali.

Oczy Aidy zdradzały, że nie wie, czyjej wierzyć.

-Jak to znikali?

Annika spróbowała się uśmiechnąć.

- Nie wiem dokładnie. Zadzwoń do nich. Zapytaj o Rebeckę i pozdrów ją ode mnie.

Wstała.

- Poczekaj - powiedziała Aida. - Chcę ci podziękować.

Z trudem przyciągnęła dużą torbę leżącą na łóżku, prostokątną, z rączką i paskiem na ramię, i dużym metalowym zamkiem zamykanym na kluczyk.

- Chcę, żebyś to wzięła - powiedziała i wyciągnęła do Anniki rękę z grubym, połyskującym złotym łańcuszkiem z dwoma nierówno rozmieszczonymi brelokami.

Annika cofnęła się. Spocila się w kurtce. Chciała uciekać.

- Nie mogę przyjmować takich prezentów - powiedziała. Aida uśmiechnęła się, pierwszy raz, ze smutkiem.

- Nigdy więcej się nie spotkamy - powiedziała. - Będzie mi przykro, jeżeli nie przyjmiesz podarunku.

Annika z wahaniem wzięła naszyjnik. Był ciężki i masywny.

- Dziękuję - wymamrotała i wrzuciła go do torby. - Powodzenia.

Odwróciła się i uciekła od chorej kobiety, zostawiając ją siedzącą na łóżku z wielką torbą w objęciach.

Parking był pusty. Szybko szła po asfalcie. Jej kroki rozbrzmiewały cichym stukaniem, niepewne, zbyt ostrożne. Szybki rzut oka przez ramię. Nikt nie widział, jak wsiada do redakcyjnego samochodu. Wyjechała na autostradę, spojrzęła w lusterko wsteczne, zjechała w pierwszy zjazd, zaparkowała za stacją benzynową, odczekała, rozejrzała się. Okrężną drogą wolno wracała do Sztokholmu.

Nikt jej nie śledził.

Zaparkowała w garażu redakcji i długo siedziała z głową opartą o kierownicę. Próbowwała odzyskać normalny oddech.

Dawno tak cholernie się nie bała.

Od ponad dwóch lat.

Duży mężczyzna w czerni bez trudu wyłamał drzwi pokoju w hotelu na przedmieściu Sztokholmu. Czuł po zapachu, że dobrze trafił. Cuchnęło odchodami i strachem. Ciemność rozpraszała latarnia oświetlająca parking. Malowała na suficie białe trójkąci. Zamknął za sobą drzwi. Zatrzasnęły się z delikatnym kliknięciem. Rzucił okiem na łóżko i zapalił światło.

Pusto.

Pomięta pościel, rolka papieru toaletowego na nocnym stoliku. Wszystkie meble stały na swoim miejscu, jak zwykle w hotelu.

Zalała go nagła fala złości, zrobiło mu się słabo. Padł na łóżko i położył rękę na kupce zasmarkanego papieru. Na podłodze tuż przy jego stopie leżał mały kartonik. Podniósł go i przeczytał napis.

Puste pudełko po antybiotyku, napisy po serbsko-chor-wacku.

To musiała być ona, musiała tu być.

Podniósł się i trzy razy kopnął w zagłówek łóżka.

Dziwka. Znajdę cię.

Przeszukał cały pokój, centymetr po centymetrze, szuflada po szufladzie. Zajrzał do koszy na śmieci, do szaf, odsunął biurko i wyciągnął spod łóżka szufladę na pościel.

Nic.

W końcu wyjął nóż i zaczął systematycznie ciąć pościel. Puchową kołdrę, poduszki, materac, poduszkę krzesła, zasłonę prysznicową. Niemal eksplodował z wściekłości.

Usiadł na brzegu wanny i przyłożył zimny nóż do czoła.

Była tutaj, źródło było w porządku. Dokąd, do diabła, pojechała? Niedługo zaczną o nim gadać, że nie potrafi złapać tej cipy. Powinien był się tu wcisnąć, kiedy tu był, ale miał pecha. Zakichani goście na korytarzu i ta szwedzka dziwka.

Usiadł.

Ta Szwedka. Kim ona, do cholery, jest? Nigdy wcześniej jej nie widział. Mówiła bez akcentu i musiała znać Aide. Skąd? I co tu robiła? Jak mocno była w to zamieszana?

Nagle w wewnętrznej kieszonce jego kurtki zadzwoniła komórka. Rozerwał zapięcie i wyjął telefon. Przy okazji po-pieścił broń.

- Molim?

Dobre wieści, nareszcie dobre wieści.

Opuścił pokój i wyszedł z hotelu, przez nikogo niezauważony.

Annika weszła do pokoju szefa redakcji bez pukania i nie zważając na zaduch, usiadła na jego starej kanapie.

- Wiem coś, co chcę z tobą jak najszybciej obgadać - powiedziała. - Masz czas?

Wyglądał na zmęczonego, niemal chorego.

- Zdaje się, że nie mam za bardzo wyboru - powiedział Anders Schyman z irytacją.

Wzięła głęboki wdech i powoli wypuściła powietrze.

- Przepraszam - powiedziała. - Jestem trochę nakręcona. Przydarzyło mi się właśnie coś cholernie nieprzyjemnego.

Niedbałym ruchem zdjęła kurtkę.

- Wczoraj spotkałam się z kobietą, miała na imię Rebecka. Jest szefową jakiegoś nowego przedsięwzięcia, fundacji o nazwie Raj. Pomagają ludziom, którym grozi śmierć, zacząć nowe życie. Przede wszystkim kobietom i dzieciom. Brzmiało to cholernie interesująco.

- Jak pomagają?

- Wykasowują ich całkowicie z wszelkich rejestrów. Nie chciała powiedzieć, jak to dokładnie działa. Najpierw mam dostać zgodę na napisanie o tym.

Schyman obserwował ją. Była zdenerwowana.

- Nie możemy dawać takich gwarancji, dopóki nie wiemy, o co chodzi. Przecież dobrze o tym wiesz - powiedział.

- Taką działalność trzeba by niesłuchanie dokładnie zbadać, zanim się ją wyciągnie na światło dzienne. Ta cała Rebecka może być kimkolwiek, oszustką, szantażystką, morderczynią, nie wiesz, kim jest.

Annika patrzyła na niego przez chwilę.

- Uważasz, że powinnam się dowiedzieć? Chodzi mi o to, czy uważasz, że ja... - Zamilkła, przełknęła ślinę. Zrozumiał, o co jej chodzi.

- Możesz jeszcze raz się z nią spotkać i powiedzieć jej, że jesteśmy zainteresowani. Uważam jednak, że ta historia nie powinna ci zabierać czasu i energii. Musisz normalnie pracować nocami.

Wstała z kanapy i usiadła na jednym z krzeseł dla gości stojących przy jego biurku.

- Musisz się pozbyć tej cholernej kanapy - powiedziała.

- Dlaczego nie każesz komuś jej wynieść?

Położyła notes na biurku. Zawahał się na chwilę. Postanowił być szczery.

- Wiem, czego chcesz. Żebym ci dał spokój z tą nocną robotą i pozwolił ci znów być reporterką. - Oparł się o krzesło i zakończył wywód: - W tej chwili to niemożliwe.

- Dlaczego nie? - powiedziała szybko. - Siedzę tu całe noce od roku i trzystu sześćdziesięciu trzech dni. Zatrudniona na stałe zaraz po wyroku. Uważam, że zrobiłam swoje. Chcę pisać. Naprawdę.

Ogarnęło go przeraźliwe zmęczenie. Chcę. Zrobię. Będę. Dlaczego mi nie wolno? Rozpieszczeni gówniarze. Jest ich ponad dwustu. Zawsze chcą postawić na swoim. Ich artykuły, obowiązki i wynagrodzenie zawsze są najważniejsze na świecie. Nie może jej teraz przenieść, nie w przededniu reorganizacji.

- Posłuchaj, co ci powiem - powiedział. - To nie jest dobry moment. Zaufaj mi.

Obserwowała go uważnie przez kilka sekund, po czym kiwnęła głową.

- Kapuję - powiedziała. Wstała i wyszła, ściskając w objęciach kurtkę i torbę w bezładnym kłębie.

Anders westchnął i zamknął za nią drzwi.

Świeżo wyfroterowana podłoga lśniła. Monitory komputerów sprawiały, że ciemność drżała. Lodowato białe twarze skupiały całą uwagę na wirtualnej rzeczywistości. Klawiatury śpiewały klik-klak, klik-klak, myszy biegały po ekranach, gryzły, przenosiły, zmieniały, kasowały. Jansson rozmawiał przez telefon, palił papierosa i nerwowo uderzał w klawisze. Miał gdzieś palarnię. Annika upuściła swoje rzeczy na podłogę przy biurku szefa nocnej zmiany i poszła do łazienki. Oplukała ręce ciepłą wodą. Była przemarznięta do szpiku kości.

Przymknęła oczy i zobaczyła przed sobą mężczyznę: pięknego, czarnego, z ręką pod kurtką. Mordercę. Nie pamiętała, co powiedziała ani co on powiedział. Pamiętała tylko swoje niezręczne zmieszanie i paraliżujący strach.

Dlaczego właśnie ja? Myślała. Dlaczego zawsze ja?

Wytarła ręce i patrzyła na swoje żalosne odbicie w lustrze.

Babcia, pomyślała. Pojadę jutro do babci i będę spać, odpoczywać, żyć.

Lekka ulga, puls wrócił do ramion i całego ciała. Ucisk w klatce piersiowej nieco zelżał.

Raj, pomyślała. Może mimo wszystko powinnam rozgryźć tę fundację. Może nie zostanę w Lyckebo na wszystkie wolne dni, może trochę popiszę.

Uśmiechnęła się do siebie. Może sprawa fundacji będzie punktem zwrotnym. Może to sprawdzi, może będzie pracować naprawę. Schyman miał...

Nagle zeszywniała z zimna. Poczula, że żelazna obręcz znów się zaciska.

Schyman! A jeśli miał rację? Jeśli Rebecka to blef, fikcja, oszustwo? Zakryła usta ręką i jęknęła. Ludzie! Aida z Bijeli-ny, przecież wysłała ją do Raju!

Zrobiło jej się jeszcze zimniej, chłód oblał całe ciało.

O Boże, jak mogłam zrobić coś tak głupiego? Polecić jej coś, o czym nic nie wiem?

Weszła do kabiny i usiadła na muszli. Było jej słabo, kręciło jej się w głowie. Czyjej głupota nie ma granic?

Nabrała powietrza, próbowała się pozbierać.

Co ja zrobiłam? Jaki wybór ma Aida? Gdyby mnie tam nie było, już by nie żyła.

Wstała, podeszła do umywalki i napiła się wody, prosto z kranu. W lustrze widziała swoją rozognioną twarz.

Z drugiej strony - skąd ta pewność? Może Aida też jest kłamczucha albo wariatką. Może jechała na rowerze z Hud-dinge do Sztokholmu, aż zemdlą, bez pieniędzy na powrót do domu. Może ten piękny w czarnych ciuchach jest jej bratem, który ma ją zabrać z powrotem do domu.

Zamknęła oczy, oparła tył głowy o kafelki i odetchnęła głęboko kilka razy.

Nikt nigdy się nie dowie. Nikt nigdy się nie dowie, co zrobiła. Aida miała rację. Nigdy więcej się nie spotkają.

Jeśli Raj istnieje, zniknie na zawsze.

Jeśli nie, umrze.

Jest sposób, żeby sprawdzić, czy Aida mówi prawdę.

Annika podeszła do swojego biurka i wybrała numer Q.

- Dzisiaj naprawdę nie mam czasu - powiedział.

- Znaleźliście ciężarówkę? - spytała szybko.

Nastąpiło długie, pełne osłupienia milczenie.

- Wiem, że jej szukacie - powiedziała.

- Skąd, do cholery, wiesz o ciężarówce? - zapytał. - Do piero się dowiedzieliśmy, że zniknęła. Nie zdążyliśmy nawet wysłać za nią listu.

Odetchnęła. Aida nie kłamała.

- Mam swoje źródła - powiedziała Annika.

- Niech mnie licho, robi się z ciebie czarownica - powiedział Q. - Jesteś jasnowidzem?

Nie mogła się powstrzymać od głośnego śmiechu, trochę zbyt głośnego.

- Mówię poważnie - powiedział Q. - To nie zabawa.

Uważaj, z kim o tym rozmawiasz.

Śmiech uwiązał jej w gardle.

- Co masz na myśli?

- Wszyscy, którzy wiedzą, że ciężarówka zniknęła, mają przegwizdane. W tym twoje źródło.

Przymknęła oczy, przełknęła ślinę.

- Wiem.

- Co wiesz?

- A co wy wiecie?

Westchnął cicho.

- Do końca tej historii jeszcze daleko - powiedział.

- Będzie więcej morderstw - powiedziała Annika cicho.

- Próbujemy im zapobiec, ale jesteśmy w lesie - powiedział Q.

- Co mogę napisać?

[REDACTED]

- Ciężarówkę, a raczej przyczepę, możemy wypuścić. Napisz, że zaginęła, z ładunkiem papierosów o nieznannej wartości.

- Pięćdziesiąt milionów - powiedziała Annika.

Dyszał do słuchawki.

- Wiesz więcej niż ja, ale wierzę ci.

- Kim byli ci mężczyźni? - zapytała.

- Nadal nie wiemy.

- Moje źródło mówi, że to nikt ważny. Jak sądzisz, co miała na myśli?

Chwila ciszy.

- A więc twoje źródło to kobieta? Wiesz, że jej poszukujemy. Mogła być trzecią ofiarą. Znaleźliśmy krew na jednej z ramp załadunkowych niedaleko miejsca zbrodni.

Cisza.

- Bengtzon, do diabła, uważaj.

Odłożył słuchawkę.

Siedziała kilka sekund, wsłuchując się w martwy szum w słuchawce. Czuła dziwny niesmak.

- Co to miało być? - spytał Jansson.

- Taka mała kontrola - powiedziała i poszła do działu kryminalnego.

Sjólander siedział i rozmawiał przez telefon. Flirtował z kimś. Zirytowany podniósł wzrok. Usiadła na brzegu jego biurka, tak jak on siadał u niej.

- Morderstwo we Frihamnen. Będzie felieton. Zniknęła przyczepa pełna przemycanych papierosów. Policja już czeka na następne morderstwo.

Szef działu kryminalnego z uznaniem pokiwał głową.

- Niezłe - powiedział. - Sama to napiszesz?

- Najchętniej nie - powiedziała. - Ale dane się zgadzają, mam je z dwóch źródeł. Jednym z nich jest policja.
 - Prześlij mailem to, co masz - powiedział.
 - Co powiesz na to, żeby szerzej opisać mafię papierosową?
- Zdażył już odebrać kolejny telefon, ale podniósł kciuk.

Wtorek, 30 października

ANNIKA LEŻAŁA ZUPEŁNIE WYBUDZONA i patrzyła w sufit, popękany i szary. Światło za białą firanką zdradzało, że pora na lunch i że pogoda jest kiepska. To dziwne, ale czuła się wyspana, nic jej nie bolało.

Przekręciła się na bok i utkwiała wzrok w kartce leżącej na nocnym stoliku. Kartce z numerem Rebecki. Decyzja przyszła znikąd, po prostu usiadła na łóżku i wybrała numer. Pod wpływem impulsu, z ciekawości.

Sygnaly rozbrzmiewały jeden po drugim. Zupełnie zwykłe sygnaly, niezamaskowane, niewymazane. Czekala w napięciu.

-Raj!

Głos należał do starszej kobiety.

- Hm... nazywam się Annika Bengtson. Chciałabym rozmawiać z Rebecką.

- Chwileczkę...

Szum, zwyczajny szum ciszy, obcasy stukające o podłogę, coraz bliżej telefonu, gdzieś w oddali odgłos splukiwania wody w toalecie. Annika słuchała w napięciu. Jak dotąd fundacja Raj wyglądała na zupełnie zwyczajną fundację.

- Annika? Jak miło panią słyszeć!

Jasny, chłodny głos. Nieco przeciągała słowa. Annika poczuła podniecenie. Prawie już zapomniała, jak łaskocze.

- Chciałabym się z panią jeszcze raz spotkać - powiedziała. - Kiedy ma pani czas?

- W tym tygodniu będzie trudno, czekamy na wielu nowych klientów. W przyszłym tygodniu też jesteśmy bardzo zajęci.

Serce Anniki zwolniło, cholera.

- To po co pani do nas dzwoniła, skoro nie ma pani czasu rozmawiać? - spytała Annika z urazą.

Cisza, szum na linii.

- Chętnie się z panią spotkam, kiedy będę miała czas - powiedziała Rebecka na wdechu, chłodno, obojętnie.

- Czyli kiedy?

- Mam spotkanie w Sztokholmie o czternastej. Mogłybyśmy się zobaczyć chwilę przedtem. To jedyne okienko, jakie mam.

Annika spojrzała na budzik.

- Teraz? Dzisiaj?

- Jeśli pani pasuje.

Położyła się ze słuchawką przy uchu.

- Jasne - powiedziała.

Kiedy się pożegnały, leżała jeszcze chwilę w łóżku, przepełniona spokojem. Przez krótką chwilę migocące światło znów unosiło się w pokoju. Potem odrzuciła na bok kołdrę, wciągnęła spodnie od dresu i bluzę z kapturem i ścisnąc w dłoni mydło i szampon, pobiegła pod prysznic do budynku po drugiej stronie podwórza. Woda była ciepła,

pieściła jej ciało. Umyła włosy i wytarła się powoli. Światło powróciło.

Wbiegła po schodach, nastawiła ekspres i zjadła jogurt. Umyła zęby nad zlewem. Starła z podłogi wodę, którą rozlała.

Od rozbitego okna w salonie ciągnęło zimne powietrze. Zmiotła szkło i tynk, poszukała papierowej torby z ICA, zatkała nią dziurę i zakleiła taśmą.

Niedługo, pomyślała,, niedługo się dowiem, jak działa Raj.

Niedługo będę u babci w Lyckebo.

Rebecka była ubrana tak samo jak podczas poprzedniego spotkania: w jasny, neutralny len, może z domieszką bawełny. Włosy miała zaczesane gładko do tyłu, jasne, lekko zaznaczyła kontur wokół ust.

Evita Peron, która pomaga biednym i słabym, pomyślała Annika. *Dont ery for me Argentina.*

- Trochę mi się spieszy - powiedziała. - Załatwmy to szybciotko.

Ma słabość do hotelowych barów, stwierdziła Annika, kiedy Rebecka kiwnęła na kelnera i zamówiła dla nich obu wodę mineralną.

- Doszliśmy do kwestii wymazywania - powiedziała Annika. Odchyliła się do tyłu. Włosy miała nadal wilgotne, pachnące szamponem Weila. - Sprawiacie, że ludzie znika ją. Jak to się odbywa?

Rebecka westchnęła i wzięła serwetkę.

- Musi mi pani wybaczyć - powiedziała i wytarła ręce - ale mamy teraz sporo pracy. Właśnie dostaliśmy nowy przy padek, dość skomplikowany.

Annika zajrzała do notesu i wypróbowała długopis. Aida z Bijeliny?, pomyślała.

Kelner w czystym fartuchu przyniósł wodę. Rebecka od-
czekała, aż odejdzie, tak jak poprzednio.

- Tak, trzeba pamiętać, że chodzi o osoby, które bardzo się boją - powiedziała. - Niektóre strach wręcz paraliżu je. Nie są w stanie wychodzić po zakupy, iść na pocztę, nie funkcjonują jak normalni ludzie. - Pokiwała głową nad losem swoich podopiecznych. - To straszne. Musimy im pomagać we wszystkim, w praktycznych sprawach, takich jak opieka nad dziećmi, znalezienie nowego mieszkania, pracy, szkoły. No i oczywiście zapewniamy pomoc psychiatryczną i opiekę socjalną. Wielu z nich to ludzie bardzo sponiewierani przez los.

Annika pokiwała głową i notowała. No tak, przecież rozumie. Znów pomyślała o Aidzie.

- Więc co robicie? - zapytała.

Rebecka starła plamę ze szklanki i powoli sączyła wodę.

- Klient może do nas dzwonić przez całą dobę. To sprawa podstawowa. Dzięki temu możemy pomóc, kiedy jest najtrudniej.

Do rzeczy, pomyślała Annika.

- Gdzie ci ludzie mieszkają? Macie duży dom?

- Raj ma kilka nieruchomości w całej Szwecji. Jesteśmy ich właścicielami albo dzierżawimy je na podstawie fikcyjnych umów, których nie da się wyśledzić. Tam nasi klienci mogą jakiś czas mieszkać. Lekarze udzielający im w tym czasie pomocy medycznej nie znają ich danych. Nie prowadzimy żadnych kartotek. Zamiast karty pacjenta klient dostaje kartę z numerem referencyjnym. Za pośrednictwem

Raju szpital lub przychodnia ustalają potem, które województwo zapłaci za opiekę. Klient szuka najczęściej pomocy nie w tym województwie, w którym jest zameldowany i które powinno ponosić jej koszty.

Annika notowała. Brzmiało to całkiem sensownie.

- Jak długo możecie mieć u siebie... klienta?

- Tak długo jak trzeba - powiedziała Rebecka zdyszonym, lekkim, lecz bardzo zdecydowanym głosem. - Nie ustalamy granicy.

- Ale zwykle?

Rebecka wytarła kąciki ust.

- Jeśli wszystko idzie dobrze, jesteśmy gotowi w ciągu trzech miesięcy.

- Macie wtedy załatwione nowe mieszkanie, pomoc medyczną, coś jeszcze?

Rebecka się uśmiechnęła.

- Oczywiście. Wiele innych rzeczy musi funkcjonować, kiedy się zaczyna nowe życie. Na przykład kwestia pensji i za siłku na dziecko. Nasz kontakt z bankami wygląda tak samo. Współpracujemy z kilkoma. Klient nie musi mieć konta w miejscu zamieszkania. Przy okazji każdej wypłaty i płacenia rachunków bank kontaktuje się z Rajem. To my dokonujemy transakcji, używamy numeru referencyjnego. Tak samo jest z kontaktami z przedszkolem, szkołą, poradnią dla dzieci, kasą chorych, urzędem skarbowym, no, ze wszystkim. Wiele osób potrzebuje pomocy prawnika, i to również załatwiamy.

Annika zanotowała.

- Czyli załatwiacie im nową pracę, nowe mieszkanie, nowe przedszkole i szkołę, lekarza, adwokata. Wszystko to robi Raj?

Rebecka przytaknęła.

- Nasz klient znika za ścianą. Ktoś, kto szuka osoby wymazanej z rejestrów, natyka się na nas - i na tym koniec.

- Z czego żyją ci ludzie, kiedy usuwacie ich z baz? Przecież nie mogą wtedy pracować?

- Nie, oczywiście, że nie - powiedziała Rebecka. - Wielu jest na zwolnieniach lekarskich, niektórzy otrzymują pomoc socjalną. Wiele osób ma dzieci i dostaje na nie zasiłek lub zaliczkę na poczet zasiłku. W sprawach spornych, na przykład przy ustalaniu prawa do opieki nad dziećmi, w rachubę wchodzi też pomoc prawna.

Annika zastanawiała się chwilę.

- A jeśli prześladowcy się nie poddają, co wtedy? Czy możecie pomóc uzyskać nowy PESEL?

- Udało nam się wymazać sześćdziesiąt osób. Nigdy nie było potrzeby zmiany tożsamości. Nie było to konieczne.

Annika skończyła notować i odłożyła długopis. To wszystko brzmiało zupełnie nieprawdopodobnie. Podniosła wzrok i rozejrzała się po barze. Okrągłe stoliki, mosiężne ozdoby. Gruba wykładzina na podłodze, dyskretne oświetlenie.

Gdzie tu jest dziura?

Annika potrząsnęła głową.

- Skąd pewność, że wszyscy, którzy do was przychodzą, mówią prawdę? Może to kryminaliści, którzy chcą uciec przed policją i wymiarem sprawiedliwości?

Rebecka uciszyła ją, kiedy obok przemykał kelner.

- Czy mogę dostać nową szklankę? Ta jest brudna. Dziękuję. Rozumiem, że pani o to pyta. Ale żadna osoba prywatna nie może tak po prostu przyjść do Raju i poprosić o wykasowanie. Pracujemy tylko na zlecenie urzędów.

Klienci zgłaszają się do nas za pośrednictwem policji, opieki społecznej, prokuratury, ministerstwa spraw zagranicznych, ambasad, organizacji pomagających uchodźcom i szkół.

Annika podrapała się po głowie. W porządku.

- Ale skoro jesteście tacy tajemniczy, skąd bierzecie tych ludzi?

Rebecka dostała nową szklanę. Dzwoniły w niej kostki lodu.

- Do tej pory nasi klienci mieli rekomendacje. Pochozili z całego kraju. Jak już mówiłam, powodem, dla którego się z panią skontaktowałam, jest to, że czujemy się gotowi rozszerzyć działalność. - Słowa Rebecki zawisły w powietrzu. Annika przetrzymała je kilka sekund.

- Ile dokładnie bierzecie za swoje usługi? - zapytała.

Rebecka się uśmiechnęła.

- Nic. Płacą nam urzędy, za czas, kiedy wszystko zała twiamy. Opłacają też koszty związane z zacieraniem śladów. Nie mamy z tego żadnych zysków. Bierzemy pieniądze tylko na własne wydatki. Nie jesteśmy instytucją nastawioną na zysk, ale przecież musimy dostać zapłatę za swoją pracę.

Tak, to już mówiła.

- O jakiej kwocie rozmawiamy? W koronach?

Porcelanowa kobieta schyliła się i wyjęła coś z torebki.

-Tutaj ma pani kilka broszur o naszej działalności.

Nie są doskonałe ani pięknie napisane, ale przedstawiciele władz, z którymi mieliśmy do czynienia, znali już nas w taki czy inny sposób i byli świadomi naszych kompetencji.

Annika wzięła papiery. Na samej górze widniał numer skrytki pocztowej w Jarfalli. Niżej wymieniano usługi, o których przed chwilą mówiła Rebecka. Na samym dole

napisano: „W sprawie kosztów skontaktuj się z nami pod adresem i numerem telefonu podanym wyżej”.

- Ile bierzecie? - zapytała Annika ponownie.

Rebecka szukała czegoś w torebce.

- Trzy tysiące pięćset koron za dobę od osoby. To bardzo niska cena. O, może też pani spojrzeć na to - powiedziała i podsunęła Annice kolejne papiery.

Napisano w nich mniej więcej to samo, może trochę bardziej szczegółowo.

- Więc jak? - spytała Rebecka. - Myśli pani, że warto o nas napisać?

Annika włożyła papiery do torby.

- Nie mogę teraz odpowiedzieć. Najpierw muszę porozmawiać z szefami i zobaczyć, czy to temat, którym gazeta zechce się zająć. Potem sprawdzę to, co pani powiedziała, u kilku pracowników urzędów, z którymi współpracujecie. Może już teraz podałyby mi pani parę nazwisk?

Rebecka zastanowiła się, zwinęła serwetkę.

- W sumie tak - powiedziała. - Mogłabym to zrobić. Ale musi pani zrozumieć, że chodzi o bardzo delikatne sprawy. Wszystko jest objęte tajemnicą. Nikt nic o nas nie powie, jeśli się na to nie zgodzę. Dlatego przekażę pani taką listę później.

- Jasne - powiedziała Annika. - A potem będę chciała porozmawiać z kilkoma z waszych klientów, z kimś, kto został wykasowany.

Uśmiech, ten chłodny uśmiech.

- Z tym będzie trudniej. Nigdy się pani z nimi nie skontaktuje.

- Może ich pani poprosi, żeby do mnie zadzwonili?

Mała kobieta pokiwała głową.

- Oczywiście, to możliwe. Ale oni nie wiedzą, jak to wszystko robimy. Nic im nie zdradzamy, żeby sami nie mogli się zdradzić.

- Nie mam zamiaru ich pytać o wasze metody. Chcę porozmawiać z zastraszoną kobietą, która powie: Raj uratował mi życie.

Po raz pierwszy Rebecka pokazała w uśmiechu zęby. Małe i białe jak perełki.

- To z pewnością mogę załatwić - powiedziała. - Takich osób jest wiele. Coś jeszcze?

Annika się zawahała.

- Tylko jedno - powiedziała. - Co właściwie panią kieruje?

Rebecka szybko skrzyżowała ręce i nogi. Klasyczna pozycja obronna.

- Nie mogę o tym mówić.

- Dlaczego nie? - spytała Annika spokojnie. - Pani organizacja jest naprawdę niezwykła. Z jakiegoś powodu ją pani rozkręciła.

Siedziały chwilę w milczeniu. Rebecka kołysała rytmicznie stopą, tam i z powrotem.

- Nie chcę, żeby pani o tym pisała - powiedziała w końcu. - To prywatna sprawa, między panią a mną.

Annika kiwnęła głową.

Rebecka pochyliła się do przodu i otworzyła szeroko oczy.

- Jak już mówiłam - powiedziała szeptem - sama byłam zastraszana. To było straszne, straszne! Nie mogłam normalnie funkcjonować, nie mogłam spać, jeść.

Zerknęła przez ramię, zawiesiła wzrok na ludziach siedzących przy sąsiednich stolikach i pochyliła się do przodu jeszcze bardziej.

- Postanowiłam, że przeżyję. Od tego się zaczęło. Potem, już pracując, odkryłam, że mnóstwo ludzi jest w podobnej sytuacji. Postanowiłam coś z siebie dać, wziąć na siebie odpowiedzialność, jakiej urzędy nie były w stanie wziąć.

- Kto panią zastraszał? - spytała Annika.

Rebecka przełknęła ślinę, jej dolna warga zdrząła.

- Mafія jugosłowiańska - powiedziała. - Słyszała pani o niej?

Annika zamrugała oczami, zupełnie sparaliżowana.

- Miała pani z nią do czynienia?

- Nie! - powiedziała ostro Rebecka. - Wszystko to było jednym wielkim nieporozumieniem. To było okropne. Okropne!

Nagle wstała.

- Przepraszam - powiedziała i pobiegła do toalety. Na stole leżała kupka zmiętych papierowych serwetek.

Annika długo za nią patrzyła. Co to, do cholery, miało być? Kolejny złodziej papierosów?

Westchnęła, wypła wodę, przeczytała notatki. Zapisła dużo, ale w całej tej historii i tak były luki. Na razie ich nie widziała. I co ma do tego jugosłowiańska mafia?

Porcelanowej kobiety wciąż nie było. Annika zaczęła się niecierpliwieć. Spojrzała na zegarek, jej pociąg do Flen miał za chwilę odjeżdżać. Zapłaciła rachunek i włożyła kurtkę. Wtedy pojawiła się Rebecka. Oczy miała przejrzyste i wyglądała na nieporuszoną.

- Przepraszam - powiedziała i uśmiechnęła się: - Wspomnienia potrafią bardzo boleć.

Annika patrzyła na nią. Lepiej wyrzucić z siebie to pytanie.

- Ma pani coś wspólnego z zaginionymi papierosami? - spytała lekko zdenerwowana.

Rebecka uśmiechnęła się i zrobiła cielejące oczy.

- Zgubiła pani papierosy? Ja nie palę.

Annika westchnęła.

- Nie będę mogła nic napisać, jeśli nie dostanę listy pracowników urzędów - powiedziała. - Muszę ją mieć jak najszybciej.

- Oczywiście - powiedziała Rebecka. - Niedługo się odezwę. Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, wyjdę przed panią, żeby nas razem nie widziano. Może pani poczekać kilka minut?

Mission Impossible, pomyślała Annika. *The object has left the building*.

- Jasne - powiedziała.

Zanim minęli most Arsta, stukot kół pociągu uspokoił ją. Osiedle Tanto przemknęło obok, po lewej stronie. Wielkie domy z oknami panoramicznymi wychodzącymi na jezioro migwały w kącikach jej oczu. Wjechali w las. Sztokholm wydawał się taki mały. Umykające świerki wypełniły jej pole widzenia ciemną, zimową zielenią. Kołysały się w takt stukotu kół: to tak, to tak...

Wymazywanie ludzi, myślała. Czy to naprawdę jest możliwe? Organizacja, która figuruje we wszystkich dokumentach, ma kontakt z urzędami, podpisuje umowy, czy to na pewno legalne?

Wyjęła notes i długopis i zaczęła notować.

Jeśli gminy naprawdę płacą za usługi Raju, to pewnie muszą być legalne, pomyślała.

No i kwestia pieniędzy. Ile kosztuje wymazanie człowieka? Przewertowała notatki.

Trzy tysiące pięćset koron dziennie od osoby. Może to sensowna kwota, nie potrafiła tego ocenić.

Spróbowała zestawić koszty: pięć osób na pełnym etacie, zarabiających, powiedzmy, piętnaście tysięcy koron miesięcznie, do tego opłaty socjalne. To daje około stu tysięcy koron miesięcznie. Do tego nieruchomości. Powiedzmy, że mają dziesięć domów, za które płacą odsetki albo czynsz po dziesięć tysięcy koron. Kolejne sto tysięcy. Co jeszcze? Opiekę medyczną opłaca samorząd. Gmina wypłaca zasiłek socjalny, kasa chorych zasiłek chorobowy. Centralny urząd pomocy prawnej pokrywa rachunki za adwokata.

Koszt powinien się zamknąć w dwustu tysiącach koron miesięcznie.

A co z przychodami?

Trzy i pół tysiąca koron dziennie daje w miesiącu sto pięć tysięcy koron od osoby.

Jeśli co miesiąc pomagają jednej kobiecie z dzieckiem, mają dziesięć tysięcy zysku.

Patrzyła na swoje obliczenia ze zdziwieniem.

Czy to naprawdę może tak być?

Podliczyła jeszcze raz.

Sześćdziesiąt przypadków po trzy tysiące pięćset koron dziennie w ciągu trzech miesięcy daje prawie dziewiętnaście milionów.

Przez trzy lata musieli wydać ponad siedem milionów koron, co oznacza prawie dwanaście milionów zysku.

Coś tu jest nie tak, pomyślała. Opieram się na szacunkach i przypuszczeniach. Może mają znacznie wyższe koszty, coś, o czym nie wiem. Może zatrudniają lekarzy, psychologów i prawników, i mnóstwo osób, które dyżurują całą dobę, przez cały rok. To oczywiście kosztuje.

Spakowała swoje rzeczy do torby, rozsiadła się w fotelu i dała się kołysać, aż odzyskała spokój. To tak, to tak...

Odgłosy są zawsze takie same, pomyślał Anders Schyman. Szuranie krzesłami, rozmowy z radia, ściszonego kanału CNN, szelest papieru, kakofonia ludzkich głosów, to głośnych, to znowu cichych, krótkie, wypowiedane z naciskiem zdania. Śmiechy, zawsze te śmiechy, głośne i gwałtowne.

Zapachy: zawsze kawa, lekki zapach spoconych stóp, aftershave. Dym z papierosów w wydychanym powietrzu, testosteron.

Kierownictwo zbierało się w każdy wtorek i piątek po południu, aby omówić najbliższe plany i strategię na przyszłość. Sami mężczyźni, wszyscy po czterdziestce. Wszyscy mieli służbowe samochody i dokładnie takie same granatowe wełniane marynarki. Wiedział, że nazywają ich wełnianą drużyną.

Spotykali się zawsze w wytwornym narożnym pokoju Torstenssona. Okna wychodziły na ambasadę rosyjską. Do kawy jedli zawsze francuskie ciastka i biszkopty. Jansson zawsze przychodził ostatni, absolutnie zawsze. Zawsze rozlewał kawę na dywan, nigdy nie przeproszał i nigdy po sobie nie sprzątał. Schyman westchnął.

-Więc gdybyśmy... - powiedział Torstensson, wodząc po zebranych wzrokiem. Nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Jansson wtoczył się do pokoju, rozespany, z włosami stojącymi dęba, z papierosem w kąciku ust.

- Nie palimy tutaj - powiedział naczelny.

Jansson wylał kawę na dywan, zaciągnął się dymem i usiadł na samym końcu, przy dłuższej krawędzi stołu. Sjölander, szef działu kryminalnego, siedział obok niego i rozmawiał przez komórkę. Ingvar Johansson wertował plik depech, Foto-Pelle stał i szczyrzył zęby w odpowiedzi na coś, co powiedział szef działu wiadomości.

- Okej - powiedział Schyman. - Siadajcie, żebyśmy kiedyś mogli stąd wyjść.

Szum ucichł. Ktoś wyłączył radio, Sjölander zakończył rozmowę, Jansson wziął biszkopta. Schyman stał.

- Wygląda na to, że bardzo dobrze zrobiliśmy, wkładając tyle pracy w sprawę huraganu - mówił, kiedy inni rozsiadali się na miejscach. Podniósł sobotni numer. Trzymał go w jednej ręce, drugą wertował gazety konkurencji. - Byliśmy najlepsi, od początku do końca. Zasłużyliśmy na to. Byliśmy przewidujący i zorganizowaliśmy się zupełnie inaczej. Wszystkie działy i zespoły pracowały razem, co dało nam siłę. Nikt inny nie mógł nam dorównać.

Odłożył gazety. Nikt nic nie powiedział. Sprawa była bardzo delikatna. Wszyscy ci mężczyźni byli królami swoich włości. Żaden nie oddałby władzy i wpływów komuś innemu. Dlatego w ekstremalnych sytuacjach mogło się zdarzyć, że przetrzymywali wiadomości, żeby być pierwsi w swoich wydaniach albo w swoich działach. Jeśli współpracowali, ich władza przenosiła się wyżej, na szczebel pomocników szefa redakcji, który chciał stworzyć naczelny.

Schyman poszperał w gazetach i usiadł.

- Zajęcie się sprawą niepełnosprawnego chłopca też chyba okaże się dla nas korzystne. Gmina najprawdopodobniej jeszcze raz przemyśli swoją decyzję i zapewni mu pomoc, do jakiej ma prawo.

Zapadła gęsta cisza. Tylko CNN i wentylacja szumiały jak zwykle. Anders Schyman wiedział, że nie lubią analizować starych gazet, starych dziejów. Dzisiaj jest dzisiaj, trzeba patrzeć do przodu, piąć się w górę. To ich dewiza. Nie zgadzał się z tym. Uważał, że trzeba się uczyć na błędach z przeszłości, żeby uniknąć ich w przyszłości. Taka oczywista prawda, ale do nich nie docierała.

- Jak idą przygotowania do kongresu socjaldemokratów? - zapytał Schyman i spojrzął w kierunku szefa działu społecznego.

- No, kurczę, idziemy pełną parą - powiedziała wełniana marynarka i wychyliła się do przodu, machając jakimiś papierami. - Carl Wennergren dostał ciekawy cynk na temat jednej minister. Z tego co wiemy, za prywatne zakupy płaciła służbową kartą, za pieluchy i czekoladę.

Mężczyźni zarechotali. No tak, cholera, tych ludzi pieniądze się nie trzymają. Pieluchy! I czekolada! Schyman patrzył na nich niewzruszony.

- Aha - powiedział. - I o co chodzi?

Przestali się śmiać. Wełniana marynarka uśmiechnęła się, nie rozumiejąc pytania.

- Prywatne - powiedział. - Za prywatne zakupy płaciła służbową kartą.

Wszyscy przytaknęli. Co za historia!

- Okej - powiedział Schyman. - Zajmiemy się tym. Skąd ten cynk?

W pokoju rozległ się szmer lekkiej irytacji. O takich rzeczach się przecież nie mówi. Schyman westchnął.

- No przecież, do diabła, rozumiecie chyba, że ktoś się na nią wziął i chce ją pogrążyć. Sprawdźcie kto. Może właśnie o to chodzi. Walka o władzę w szeregach partii. Co jeszcze są w stanie zrobić, żeby sobie wzajemnie zaszkodzić przed kongresem? Coś jeszcze? Parlament?

Omawiali plany, rozdzielili zadania. Polityka, rozrywka, ze świata, wiadomości. Dziennikarze z działu komentarzy redakcyjnych robili notatki, ustalali punkty widzenia, narysowali kierunki.

- To i Owo?

Szef działu „Praca i pieniądze” z ogromnym entuzjazmem zaproponował, żeby postawić na temat funduszy: które zwyczajują, których należy unikać, które inwestując, biorą pod uwagę względy etyczne, a które są bezpieczne na dłuższą metę. Nagłówki typu „Bądź po stronie wygranych” zawsze dobrze wpływają na sprzedaż. Wszyscy przytaknęli, to bez wątplenia dobry temat. Wszyscy członkowie zespołu byli posiadaczami znacznych pakietów opcji.

- Dział kryminalny?

Sjólander chrząknął i wyprostował się. Niemal drzemał na krześle.

- No, cholera - powiedział. - Mamy podwójne morderstwo we Frihamnen, a według policji to dopiero początek. Jak wynika z dzisiejszego numeru, jesteśmy na razie jedyną gazetą, która wie o zaginionym ładunku papierosów. Pięć dziesiąt melonów. Będą się mordować na prawo i lewo o tę ciężarówkę.

Wszyscy z podziwem pokiwali głowami. Niezłe.

- No i mamy prywatyzację sektora publicznego - powiedział naczelnym. Jego głos brzmiał nieco jaśniej niż inne.

- Czy któryś z reporterów już nad tym pracuje?

Schyman zignorował go.

- Annika Bengtzon ma coś na warsztacie. Nie wiem, co z tego będzie. Wpadła na trop jakiejś podejrzananej fundacji, która robi coś, czego pomoc społeczna nie jest w stanie robić. Ukrywają kobiety i dzieci, którym grozi śmierć.

Welniana ławica z niesmakiem poruszyła się na krzesłach. Co to ma być, do cholery, jaka fundacja, wygląda to cholernie podejrzanie.

- Annika Bengtzon potrafi znaleźć dobry temat, ale jest bardzo zajęta tą sprawą z kobietami i dziećmi - powiedział Sjólander.

Wszyscy przytaknęli. Tak, cholerne marudzenie, temat niewystarczająco poważny, zero wiarygodności, raczej nu-dziarstwo i tragedia.

- Ale trzeba oczywiście pamiętać o jej przeszłości - powiedział Sjólander i wykrzywił twarz w uśmiechu. Inni mu zawtórowali. Tak, tak.

Schyman patrzył na nich w milczeniu.

- Czy byłoby lepiej, gdyby ukrywali zastraszanych mężczyn? - zapytał.

Zaczęli szurać krzesłami i spoglądać na zegarki. Do licha, czas usiąść i wziąć się do roboty. Czy to wszystko na dzisiaj?

Wszyscy wstali z miejsc. Ktoś włączył radio, szumiało i brzęczało.

Anders Schyman poszedł z powrotem do swojego pokoju z tym samym co zwykle uczuciem lekkiej frustracji.

Zawsze tak się czuł po spotkaniach, na których omawiano plany na przyszłość. Ten sposób kategoryzowania rzeczywistości, jaki stosowało redakcyjne kierownictwo gazety, ich jednoznacznie kazirodcze spojrzenie na sprawę, bezrefleksyjny brak samokrytyki.

Kiedy usiadł i otworzył biuletyn agencji prasowej, pochłaniała go całkowicie rzucająca na wszystko cień myśl: Jak, do cholery, to wszystko ma się udać?

Annika wysiadła z autobusu koło Konsumu. Chodnik był śliski jak szklanka. Uniosła ramiona. W nosie miała cudze spojrzenia. Ludzie w krzykliwych kombinezonach narciarskich migali jej w kącikach oczu. Odwróciła się do nich plecami. Chcą się gapić, niech się gapią. Ruszyła w swoją stronę. Droga była posypana żwirem. Annika weszła na jezdnię i poszła w kierunku fabryki. Tereny przemysłowe zderzały się z masywną szarością nieba, pachniało błotem. Jak zwykle unikała patrzenia na nieczynny piec hutniczy. Spojrzała w lewo. Pieściła wzrokiem piękne stare domy robotników, zbudowane z mocnych drewnianych belek w tradycyjnym ciemnoczerwonym kolorze. Po prawej znajdowało się jej dawne mieszkanie. Skreśliła w tę stronę. Do tej pory stało puste.

Teraz ktoś tam mieszkał.

Przystanęła zdziwiona na środku ulicy.

Firanki i kwiaty w oknie, mała lampka.

Ktoś gotował w jej kuchni, spał w jej sypialni. Ktoś dekorował, podlewał, troszczył się. Puste niegdyś okna znów tętniły życiem.

Zdziwiła się, że aż tak jej ulżyło. Czowała to niemal fizycznie. Jakby kamień spadł jej z serca. Myśl, która zawsze jej

towarzyszyła, myśl, żeby zniknąć, uleciała. Pierwszy raz, od-
kąd stała się ta straszna rzecz, poczuła falę czułości wobec
mieszkańców przyfabrycznego osiedla.

Kiedyś było mi tu dobrze, pomyślała. Zdarzały się dobre
dni. Gdzieś tam w tym wszystkim była miłość.

Zostawiła osiedle za sobą i weszła na Granhedsvagen.
Przyspieszyła, wciągnęła torbę na ramię. Spojrzała w niebo.
Cichy świst na szczytach świerków. Nadciągała ciemność.

Ciekawe, czy na innych planetach też są drzewa, po-
myślała.

Droga była oblodzona i nierówna. Annika lawirowała,
żeby znaleźć solidny grunt. Minęło ją kilka samochodów na
światłach przeciwmgielnych. Nikt znajomy.

Zapadła cisza. Skrzypienie butów, jej regularny oddech,
przytłumiony odgłos samolotu podchodzącego do lądowa-
nia na Arlandzie. Jej ciało stało się lekkie jak w tańcu, oczy
przejrzyste.

Las mocno ucierpiał w czasie huraganu. Na porębie za
Tallsjön padły prawie wszystkie sosny. Na ziemi leżały też
słupy elektryczne i telefoniczne. Drzewa połamały się na
różnych wysokościach i w różnych kierunkach. Leżały z
wyrwanymi korzeniami, złamane na wysokości człowieka,
popękane, porozrywane na czubkach. Droga była zawalo-
na zdmuchniętymi przez wiatr gałęziami. Annika z trudem
przeszła przez resztki powalonej brzozy.

Zostaliśmy pozostawieni na pastwę losu, pomyślała. Tak
niewiele właściwie od nas zależy.

Podjazd do Lyckebo nie był odśnieżony. Wcześniej przeje-
chał tam jeden samochód. Ślady rozplynęły się na podwójną

szerokość i zamarzyły, tworząc wypełnione lodem rynny. Szło jej się ciężko, torba objęła się o biodro.

Szlaban odgradzający Harpsund był podniesiony. Otaczały ją świerki. Ciemność gęstniała. Tutaj huragan nie wyrządził tak wielkich szkód. Państwo stać na zajmowanie się swoimi lasami.

Minęła mały basen. Woda spływająca z beczki zamarzyła, tworząc rzeźbę z lodu. Spod spodu słychać było perlisty szmer. Ślady zwierząt: losi, saren, zajęcy, dzików, krzyżowały się w różnych kierunkach. Młode, kilkudniowe, biegły po wielkich.

Nagle przed jej oczami otworzyła się polana z trzema czerwonymi budynkami: chatką, drewnianą i oborą. Wszystko spowijała cisza. Drewniany kojec po lewej, łąka opadająca w kierunku pomostu. Annika przystanęła, zdjęła rękawiczki i czapkę. Pozwoliła, by wiatr od jeziora przecesał jej włosy, przymknęła oczy i oddychała. Widok polany tkwił na jej siatkówce jak biało-czarny negatyw, spokojny, bezbarwny, bezdźwięczny. Stopniowo pod powieki wkładał się trudny do opisanego niepokój. Coś było nie tak.

Otworzyła szeroko oczy. Światło ją oślepiło. Powietrze było przejrzyste jak kryształ. Po dwóch sekundach wiedziała.

Z komina nie leciał dym.

Upuściła torbę na ziemię i pobiegła. W jej mózgu rozbrzmiewał odgłos pulsującej krwi. Otworzyła drzwi. Zimno i ciemność, zapach stęchlizny, wisząca w powietrzu groźba.

- Babciu!

Spod stołu wystawały nogi w brązowych pończochach. Obok leżał but.

- Babciu!

no

Podniosła stół. Opadający blat przyciął jej serdeczny palec lewej ręki.

- O Boże, o Boże...

Staruszka leżała na boku, twarzą do podłogi. Z ust pociekła jej krew. Annika rzuciła się na nią, wzięła za rękę, zimną jak lód, pogładziła po włosach. Łzy popłynęły jak rzeka, zalała ją fala adrenaliny.

- Babciu, Boże, słyszysz mnie? Halo, babciu...

Annika szukała pulsu na jej przedramieniu. Nie znalazła. Zaczęła szukać na szyi, też nic. Drżącymi i wilgotnymi rękoma odwróciła staruszkę na plecy. Pochyliła się i nasłuchiwała. Tak, oddycha.

- Babciu?

Westchnienie, ciche mamrotanie.

- Babciu?

Głowa opadła na bok, krew zaschła na policzku. Broda zwisała luźno na szyję. Kolejne westchnienie, kwilenie.

- Boli - powiedziała. - Pomóż mi.

- Babciu, to ja. Boże, babciu, upadłaś, pomogę ci. Okej, pomyślała Annika i pogładziła staruszkę po włosach. Oddech, Krwawienie, Szok. Trzeba ją ogrzać.

Poderwała się szybko i pobiegła do sypialni. Gustawiańskie łóżko było starannie zasłane. Jednym ruchem zerwała z niego wszystko, wraz z prześcieradłem i materacem, i pognęła z powrotem do kuchni. Rozłożyła materac na podłodze, uniosła tułów babci i wepchnęła pod niego materac. Potem biodra i nogi. Potem położyła na niej prześcieradło i koce. Podniosła nogi i owinęła je. Założyła jej na głowę swoją czapkę. Drżącymi rękami dotykała szorstkich siwych włosów.

Karetka, pomyślała.

- Poczekaj tu, babciu - powiedziała. - Wezwę pomoc.

Zaraz wrócę.

Babcia zakwiliła.

Annika wybiegła z domu. Biegła przez las, koło stawu, minęła barierkę i drogę, ominęła zwisający przewód elektryczny, przeskoczyła kępy trawy na trzęsawisku i pobiegła pod górkę do Lillsjörtorp.

Dobry Boże, spraw, żeby stary Gustav był w domu.

Był. Stał i rąbał drzewo. Nie usłyszał Anniki, był przygłuchy. Nie zwracając sobie głowy powitaniem, wbiegła do domu.

Zbiornik na spermę, Ingela, bo tak miała na imię gospodyni Gustawa i skok w bok Svena, stała i zmywała naczynia. Patrzyła skonsternowana na Annikę.

- Co, do wszystkich...

Annika dopadła do telefonu i wykręciła numer alarmowy.

- Mogłabyś przynajmniej zamknąć drzwi - powiedziała Ingela z irytacją. Wytrzeła ręce w ścierkę i wyszła do przedpokoju.

- SOS 112, co się stało? - powiedział kobiecy głos w słuchawce.

Annika rozplakała się głośno.

- Babcia! - ryczała.

- Może od początku? Co się stało?

Annika przymknęła oczy i przetarła ręką czoło.

- Coś się stało mojej babci - powiedziała. - Myślałam, że nie żyje. Leży w chatce koło Granhed. Musicie przyjechać i ją zabrać.

- Co sobie zrobiłaś w rękę? - spytała Ingela z przerażeniem.

- Którego Granhed? - spytał głos w słuchawce.

Annika, zacinając się, wyjaśniła, jak dojechać: w Valli zjechać na Halleforsnas, dalej Stóttastensvagen, przejechać Granhed, pierwsza w prawo za Hosjón.

- Coś stało się Sofii? - zapytała Ingela z szeroko otwartymi oczami.

Annika puściła słuchawkę i wybiegła. Biegła z powrotem tą samą drogą. Zrobiło się już ciemno, upadła kilka razy. Mała chatka zaczęła się zlewać z czarnym lasem.

Babcia nie poruszyła się, leżała zupełnie nieruchomo, oddychała spokojnie. Annika usiadła, położyła jej głowę na swoich kolanach i płakała.

- Nie umieraj, słyszysz? Nie umieraj mi!

Powoli się uspokajała. Karetka przyjedzie nie wcześniej niż za pół godziny. Grzbietem dłoni wytarła nos i łzy. Zobaczyła krew. Uderzyła się, kiedy podnosiła stół. Krew zastęła pod paznokciami i ściekała wzdłuż przedramienia. Dopiero teraz zaczęło boleć. Syknęła i poczuła, że cały pokój się kołysze. Ale z niej dzieciak! Owinęła ranę ścierką do naczyń i zawiązała na supeł.

Dobrze by było ogrzać trochę kuchnię.

Podeszła do pieca, żeby rozpalić ogień, położyła rękę na żelaznej płycie. Była letnia, ale nie zimna. W piecu z pewnością nie paliło się od wczesnego rana. Zwinęła w kulkę kilka strzępów gazety, podłożyła kawałek drewna i odrobioną brzozy kory. Ręka jej drżała, kiedy pocierała zapalnik o draskę, ból pulsował w palcu. Drugą zapalnik zapaliła lampę naftową. Postawiła ją w oknie wychodzącym na jezioro.

Przyniosła poduszkę i podłożyła ją babci pod głowę. Patrzyła w zadumie na starą twarz. Sofia Katarina. Takie imiona nosiła najmłodsza dziewczynka z gromadki przyrodniego rodzeństwa z książek o Kulla-Gulla. Annika pamiętała, jak bardzo podobało jej się to imię. Jako dziecko udawała, że książki Marthy Sandwall-Bergström tak naprawdę opowiadają o jej babci. Sofia Katarina, Sossatina.

Gdzie się podziewa ta cholerna karetka?

Rozejrzała się po kuchni. Nie było śladu gotowania kawy, robienia kanapek, owsianki czy obiadu. Musiała upaść wcześniej rano, jak tylko wstała, rozpałała w piecu i posłała łóżko. To w sumie osiem godzin, myślała Annika. Osiem godzin. Czy to za długo? Wyjdzie z tego?

Ogień pięknie się rozpałał. Annika dołożyła do pieca parę kawałków drewna. Ciepło rozeszło się niezauważenie po kuchni, ziąb poddał się bez walki. Ten dom przywykł do ciepła i światła, miłości i harmonii. Ale wszystko się zmieniło.

Babcia poruszyła głową i jęknęła. Bezsilność Anniki ustąpiła miejsca palącej złości.

Przeklęta, cholerna karetka. Gdzie oni są, do licha?

Liściasty las był gęsty, źle utrzymany, miejscami nieprzebyty jak dżungla. Droga gliniasta i zupełnie rozjeżdżona. Ratko zaklął, gdy tylne lewe koło pośliznęło się w mazi. Stał, wrzucił jedynekę i ostrożnie wcisnął gaz. Duży dieslow-ski silnik wydał niski pomruk. Ssanie puściło i samochód ruszył. Powinien już być na miejscu.

Kolejne drzewo na drodze. Na chwilę obezwładniła go niekontrolowana wściekłość.

Z całej siły uderzył w kierownicę. Do diabła, niech to szlag, dość już tych przeszkód. Energicznym ruchem wrzucił tryb parkingowy i wysiadł, żeby odciągnąć na bok brzozę. Zepchnął pień do rowu, wskoczył na niego i nagle zauważył, że jest na miejscu. Przyczepa stała niedaleko. Do urwiska miał zaledwie kilkadziesiąt metrów. Żółta kabina prześwitywała przez nagie, sterczące gałęzie. Gdyby drzewo nie przewróciło się właśnie tu, najprawdopodobniej nie znalazłby drogi. Przeznaczenie? Odsunął tę myśl.

Stał chwilę i oddychał. Oddech otaczał go jak dym.

Nie ma czegoś takiego jak szczęście. Każdy sam pracuje na swój sukces, był o tym mocno przekonany. To nie łut szczęścia pomógł im znaleźć ciężarówkę i partaczy, którzy ją ukradli. Udało im się dzięki dobrze przez lata pielęgnowanej sieci kontaktów.

Nikomu nie udało się uciec, zawsze ich znajdował. Idiotyci myśleli, że mogą go wystrychnąć na dudka.

Kiedy odnaleźli ciężarówkę, był w euforii. Potem otworzyli przyczepę i euforia ustąpiła obehwładniającej wściekłości. Fajek nie było. Ktoś je schował. Chłopcy zaklinali się, że nie wiedzą kto.

Zacisnął zęby, aż poczuł ból w szczękach.

Nie mówili z jednego powodu: nie mieli bladego pojęcia, gdzie jest towar.

Zdjął rękawiczki i zapalił papierosa. Palił powoli, aż do filtra. Zgasił go na podeszwie buta i schował peta do kieszeni. W dzisiejszych czasach można zdjąć z filtra ślinę i odczytać DNA. Musi też pamiętać, żeby wyrzucić buty. Wystarczy mu zmartwień, nie potrzebuje oddechu szwedzkiej policji na plecach.

Stał chwilę, założył z powrotem rękawiczki. Trzeba się z tym pogodzić, do celu jeszcze daleko. Wiele razy w życiu miał powód, żeby się wściekać, ale tym razem było inaczej. Nie wiedział, czy jest myśliwym, czy zwierzyną. Czuł, że zagrożenie czyha na niego ze wszystkich stron. Zwierzchnicy powiedzieli, że mu ufają, że wiedzą, że doprowadzi wszystko do porządku, ale zdawał sobie sprawę, że ich cierpliwość ma granice. Poprzedniej nocy sprawy nie posunęły się do przodu, ale robota nie poszła zupełnie na marne. Pokazał, że potrafi wykazać inicjatywę i działać. Mimo to nie czuł się pewnie. Kobieta zniknęła i nie miał pojęcia, gdzie się podziała. Nadal nie rozumiał, jaką rolę gra w całej tej historii.

Wsiadł do samochodu i rzucił okiem w lusterko wsteczne. Nic. Tylko kilka pakunków zasłaniających nieco widok. Przejechał około trzydziestu metrów i skręcił w prawo między drzewa. Samochód podskakiwał i bujał się. Wreszcie dojechał. Wrzucił tryb parkingowy, wyłączył silnik, zostawił kluczyk w stacyjce. Wziął zbiorniki z paliwem i zabrał się do pracy. Starannie polał przyczepę i kabinę benzyną. Chlapała i rozpryskiwała się. Jego włosy i ubrania wchłaniały lśniąca różową ciecz. Odstawił kanistry. Musiał się spieszyć, szybko się ściemniało. W ciemności ogień lepiej widać.

Zostały jeszcze pakunki. Wrzucił sobie pierwszy na ramię. Cieszył się, że jego ubranie cuchnie benzyną. Ależ ten drań śmierdzi! Kiedy już miał wcisnąć ciało do kabiny ciężarówki, upuścił je na ziemię. Stracił panowanie nad sobą. Kopał je butami z metalowymi okuciami. Taneczne ruchy nóg, krok po kroku, raz za razem, dopóki nie poczuł, że jest wykończony. Musiał chwilę odpocząć. Zapach benzyny przyprawiał go o zawrót głowy. Następnie zdecydowanym

ruchem wrzucił pakunek na siedzenie pasażera i poszedł po drugi. Nagle w oddali usłyszał odgłos silnika. Zamarł, trzymając ciało. Ogarnął go strach. Upuścił pakunek na ziemię i rzucił się w krzaki. Leżał plackiem w wilgotnym mchu. W kilka sekund przemókł doszczętnie.

Odgłos wolno zamierał, aż umilkł zupełnie. Usmarkany stanął na czworakach, dyszał, wycesał z włosów kilka gałązek. Cholerne szczęście, że nikt go nie widział.

Wstał, zawstydzony swoim strachem. Zobaczył ciało leżące w przykurczu i znów wpadł we wściekłość. Wyciągnął pakunek i zaczął go kopać i bić. Potem z zaciśniętymi zębami zaniósł go do kabiny ciężarówki i położył na podłodze po stronie kierowcy. Ruszał się szybko i zdecydowanie. Przyniósł dwa ostatnie zbiorniki, po jednym w każdej ręce. Polał ciała benzyną i pozwolił, żeby się w niej skapały. Ostatnie krople miały posłużyć za lont. Polewał cienkim strumyczkiem ziemię między drzewami. Odetchnął i nagle poczuł, jaki jest wyczerpany. Odpoczywał minutę, a potem zdjął ubranie łącznie z kalesonami i wyjął torbę z zapasowym. Ubrał się szybko. Dygotał z zimna w ostrym, zimnym powietrzu. Kilka razy zabił ręce dla rozgrzewki.

Lepiej, dużo lepiej. Zostały tylko fajerwerki.

Przyglądał się chwilę: przyczepa, ciała, las. Był całkiem zadowolony.

Zapalił zapalniczkę Bic, przyłożył ją do ziemi, odwrócił się i ruszył biegiem.

Izba przyjęć wyglądała jak garaż. Karetka się zatrzymała i otoczył ją rój personelu medycznego w powiewających fartuchach, z długopisami zatkniętymi w kieszenie.

Rozmawiali ze sobą spokojnie, wykonywali energiczne ruchy. Wszystkie kobiety miały świeżo umyte włosy, wszyscy mężczyźni byli gładko ogoleni. Babcia została odwieziona przez stado pracowników szpitala przyodzianych w trzepoczące poliestrowe fartuchy.

Annika wysiadła z samochodu. Widziała, jak cała gromadka oddała się w kierunku izby przyjęć. Kobieta siedząca za szybą wskazała jej poczekalnię. Siedziało w niej mnóstwo półprzytomnych dzieci, niespokojnych rodziców, staruszków z zapadniętymi oczyma, hałaśliwa rodzina imigrantów. Annika pogrzebała w torbie i znalazła wizytówkę. Podeszła do automatu, przeprosiła, gdy przeciskała się obok hałaśliwej rodziny, położyła lewą rękę na słuchawce i przycisnęła czoło do aparatu. Oddychała głęboko. Musi.

Matka odebrała po czwartym sygnale, w jej głosie słychać było irytację.

- Babcia - powiedziała Annika. - Jest z nią naprawdę źle. Znalazłam ją w chatce, ledwo żywą.

- Że co proszę? - powiedziała matka do słuchawki, a potem do kogoś innego: - Nie, nie te szklanki, weź te czerwone...

- Babcia jest bardzo chora! - krzyknęła Annika. - Nie słyszysz, co mówię?

- Chora? - Matka była zdziwiona, nie wystraszona. Nie była w szoku. Była zdziwiona.

- W karetce jeszcze żyła, ale potem ją zabrali i nie wiem, co się teraz dzieje... - Zaczęła bezgłośnie płakać. - Mamo, możesz tu przyjechać?

Matka się nie odzywała. Annika słyszała cichy szum na linii.

- Ale my właśnie mieliśmy jeść obiad. Gdzie jesteś?

- W Kullbergiska.

Hałaśliwa rodzina wreszcie została wezwana. Kliknięcie widełek odbiło się w ciszy głośnym echem.

Podszedł do niej lekarz dyżurny w rozpiętym fartuchu.

- Pani jest krewną pani Sofii Katariny? Czy zechce pani pójść ze mną?

Białe plecy mężczyzny znów zniknęły za szklanymi drzwiami. Annika przełknęła ślinę i poszła za nim. O Boże, ona nie żyje. Teraz mi powie, że ona nie żyje. Powie, że znalazłam ją za późno. Dlaczego nie opiekujecie się swoimi starszankami?

Pokój był mały, przygnębiający, bez okien. Lekarz przedstawił się, wymamrotał coś i szybko podał jej rękę, po czym pstryknął długopisem i pochylił się nad papierami. Annika przełknęła ślinę.

- Czy ona nie żyje?

Lekarz odłożył długopis i przetarł oczy.

- Zrobimy badanie neurologiczne, żeby się dowiedzieć, co się stało. W tej chwili robimy różne inne: cukier, morfologię, ciśnienie.

- I? - spytała Annika.

- Jej stan wydaje się stabilny - powiedział, napotykać jej wzrok. - Nie pogorszy się jej. Jest bardziej przytomna, wykluczyliśmy wysoki poziom cukru. Ale odruchy po jednej stronie ma osłabione. Pewnie pani zauważyła, że jeden kącik ust ma opadnięty.

To było stwierdzenie, nie pytanie.

- A krew? - spytała Annika. - Dlaczego z ust leciała jej krew?

Lekarz wstał.

- Ugryzła się, upadając. Co pani ma na ręce?
- Ścierkę do naczyń. Skaleczyłam się w palec. Czy wszystko będzie dobrze?

Annika również wstała. Lekarz przypiął długopis do brzegu kieszeni na piersi.

- Kiedy będziemy gotowi, zrobimy tomografię komputerową. Trochę potrwa, zanim będziemy w stanie określić rozmiar uszkodzeń.

- Zdjęcia mózgu? Ale co jest nie tak? Czy ona umrze?
-Annika poczuła, że dłonie ma mokre od potu.

- Za wcześnie, żeby...

- Czy ona umrze?

Mówiła zbyt głośno, nie prosiła. Lekarz odsunął się.

- Coś się stało w lewej półkuli, wystąpiły zaburzenia na czyniowe. Mógł to być zator w naczyniach mózgowych, *in sultus ischemicus*, albo wylew, *insultus haemorrhagicus*. Nie możemy jeszcze ocenić, który z tych dwóch.

- A jaka jest różnica?

Lekarz położył rękę na klawce.

- Objawy wylewu pojawiają się nagle i w większości przypadków pacjent traci przytomność. Często ma w historii choroby nadciśnienie. Opatrzmy pani tę rękę i damy za strzyk przeciwtępcowy.

Wyszedł z pokoju. Kiedy jego fartuch otarł się o plastikową futrynę, rozległ się świst wyładowania elektrostatycznego. Annika usiadła jak sparaliżowana, z półotwartymi ustami. Nie mogła złapać tchu.

To się nie dzieje naprawdę, nie mnie spotkało, nie teraz.

Siedziała, aż weszła pielęgniarka. Założyła jej na palcu trzy szwy, dała zastrzyk w pośladek i owinęła rękę kondomem

z gazy. Zachodził aż na przedramię. Potem Annika wyszła do poczekalni, podpierając się jedną ręką o malowaną ścianę. Słyszała dalekie odgłosy szpitala, czuła, że tuż pod jej skórą czai się panika.

Matka weszła do poczekalni w rozpiętym futrze z norek, niemodnym, za ciasnym w ramionach. Głośno rozmawiała z kobietą siedzącą w recepcji. Potem opadła na krzesło, nie rozbierając się.

- Powiedzieli coś?

Annika westchnęła ciężko. Walczyła ze łzami. Wyciągnęła ramiona i objęła mamę.

- Coś z mózgiem. Och, mamó, a co, jeśli ona umrze?

Mamrotała do jej ramienia, smarkała w futro.

- Gdzie ona teraz jest?

-Robią jej rentgen.

Matka wyplątała się z objęć, poklepała Annikę po policzku, zakaszła i przetarła rękawiczką czoło.

- Zdejmij futro, bo się zgrzejesz - powiedziała Annika.

- Wiem, co myślisz - powiedziała matka. - Uważasz, że to moja wina.

Annika spojrzała na matkę. Widziała, jak marszczy czoło w oczekiwaniu na krytykę. Złość uderzyła jak piorun.

- O, nie - powiedziała. - Nie zwałaj na mnie winy za swoje wyrzuty sumienia.

Matka powachlowała się ręką.

- Wcale ich nie mam, ale ty uważasz, że powinnam.

Annika nie mogła usiedzieć na miejscu. Wstała i poszła do okienka.

- Kiedy dowiemy się czegoś o babci?

- Proszę usiąść i czekać - odpowiedziała kobieta.

Matka zsunęła futro z ramion.

- Nie wiesz, gdzie tu można zapalić? - spytała, dotykając torebki.

- Skoro już poruszyłaś ten temat - powiedziała Annika - uważam, że to trochę dziwne, że to ja ją znalazłam. Ja, która mieszkam sto dwadzieścia kilometrów stąd. Ty masz tylko trzy.

Usiadła trzy krzesła dalej, plecami do kaloryfera.

-1 tak ci córka powie coś takiego prosto w twarz - powiedziała matka.

Annika odwróciła się i zamknęła oczy. Czuła, jak ciepło przenika przez sweter. Przechyliła głowę do tyłu, jakiś metalowy kant uwierał ją w kark. Łzy parzyły.

- Nie teraz, mamó - szepnęła.

- Annika Bengtzon?

Lekarka z końskim ogonem miała w ręku teczkę z papierami. Annika wyprostowała się na krześle, szybko starła łzy spod oczu i wbiła wzrok w podłogę. Lekarka usiadła przed nią i pochyliła się do przodu.

- Tomografia pokazała dokładnie to, co podejrzewaliśmy - powiedziała. - Wylew w lewej półkuli, w samym środku systemu nerwowego. Wskazują na to wyraźnie objawy prawostronne i to, że oko wygląda na nienaruszone.

- Apopleksja? - powiedziała matka. Zaparło jej dech.

- Tak. Udar.

- Mój Boże - powiedziała matowym głosem. - Wyzdrowieje?

- Część objawów zazwyczaj się cofa. Ale w tym wieku, przy tak nagłym przebiegu musimy się niestety liczyć z dość dużymi powikłaniami.

- Czy będzie rośliną? - spytała Annika.

Lekarka spojrzała na nią przyjaźnie.

- Nie wiemy, czy wylew wpłynął w jakiś sposób na jej intelekt. Nie musiało tak być. Wiele zależy od rehabilitacji. Jest bardzo ważna w takich przypadkach.

Annika przełknęła ślinę, zagryzła wargę.

- Czy będzie mogła wrócić do domu?

- Musimy poczekać, jeszcze nie możemy tego ocenić. Najczęściej stan pacjenta znacznie się poprawia, kiedy jest w domu. Pod stałą opieką oczywiście. Alternatywą jest zakład albo szpital dla przewlekle chorych.

- Zakład? - powiedziała Annika. - Chyba nie Lóvasen?

Lekarka się uśmiechnęła.

- Nie ma nic złego w Lóvasen. Nie powinna pani wierzyć we wszystko, co pani czyta w gazetach.

- To ja napisałam te artykuły - powiedziała Annika.

- Ja nie mam nic przeciwko Lóvasen - powiedziała matka.

Lekarka wstała.

- Leży teraz na izbie przyjęć. Kiedy się rozgrzeje, może cie do niej wejść. Trochę to potrwa.

Annika i jej matka pokiwały równocześnie głowami.

Thomas zgniótł opakowanie po hamburgerze i wyrzucił je do kosza. Musi pamiętać, żeby go opróżnić przed wyjściem. W przeciwnym razie w jego pokoju cały tydzień będzie śmierdziało fast foodem.

Z westchnieniem przechylił się na biurowym krześle do tyłu i wyjrzał przez okno. Ciemność odbijała obraz jego pokoju. Ukazywała innego urzędnika opieki społecznej w innym świetle, podobnym, ale w lustrzanym odbiciu.

W ratuszu panował spokój, prawie wszyscy urzędnicy poszli do domu. Za chwilę członkowie komisji społecznej mieli się zacząć zbierać w sali konferencyjnej obok, ale na razie było cicho. Był dziwnie zadowolony i spokojny, czuł się wolny. Gdy Eleonor wspomniała o kolacji, wymówił się pracą. Nie było to kłamstwo, ale też nie całkiem prawda. O tej porze roku pracy miał dużo, zajmował się trudnymi przypadkami, ale nie było ich więcej i nie były trudniejsze niż zwykle. Nigdy mu to nie przeszkadzało wracać do domu na kolację. Kolacje były dla nich święte. Zakaśka, danie główne. Eleonor nie jadała deserów. Jeśli było już ciemno, zawsze zapalali świece. Na stole leżały wymaglowane serwetki. On to doceniał, ona kochała. Często opowiadała o tym wspólnym znajomym. Jakie to romantyczne. Jakie fantastyczne. Jaka doskonała para, *a match made in heaven*.

Nie, pomyślał, nie w niebie. W Perugii.

Nie potrafił powiedzieć, kiedy w ich życie wkradła się nuda. Dorosłe poczucie rzeczywistości gdzieś przepadło, przyszło coś innego, coś prawdziwszego. Nie byli dorośli, bawili się w dorosłych. Żeglowali, urządzali kolacje, prowadzili życie towarzyskie. Vaxholm był ich światem. Bardzo się interesowali rozwojem miasta i cieszyli jego sukcesami. Oboje się tu urodzili i dorastali, nigdy nie mieszkali gdzie indziej. Znajomi nie mogliby powiedzieć o nich nic innego niż to, że są odpowiedzialni, pod każdym względem.

Kiedy jednak chodziło o ich związek, odpowiedzialności bardzo brakowało. Cały czas zachowywali się wciąż jak dwoje nastolatków, którzy właśnie wyprowadzili się z domu. Bawili się w romantyzm i nadal byli zależni od rodziców.

Thomas westchnął. Znowu to samo.

Rodzicielstwo.

Eleonor nie chciała mieć dzieci. Kochała takie życie, wspólną rzeczywistość, kolacje, podróże, swoją karierę, swoje akcje, sąsiadów, życie towarzyskie, łódź.

Nie muszę dowodzić swojej kobiecości, rodząc dzieci, powiedziała, kiedy ostatnio się o to pokłócili. To moje życie. Zrobię z nim, co chcę. Chcę się bawić, chcę się spotykać z ludźmi, awansować, stawiać na nas i na dom.

- Możemy zaczynać.

W drzwiach stanął szef zarządu. Thomas, zmieszany, zamrugał oczami.

- Oczywiście, już idę.

Szybko zebrał papiery, lekko zażenowany. Wiedział, że jest roztargniony, i zastanawiał się, jak bardzo to widać.

Jedenastu członków komisji zajęło miejsca przy stole. Thomas usiadł naprzeciwko sekretarza, z boku, obok przewodniczącego. Szefowie siedzieli obok siebie po jednej stronie, było też kilku urzędników. Plan liczył około dwudziestu punktów. Większość z nich go nie dotyczyła. Budżet miał być omawiany na osobnym dwudniowym spotkaniu w hotelu. Dziś Thomas miał zabrać głos w sprawie kilku punktów, a potem być pod ręką, w razie gdyby pojawiły się jakieś pytania.

Kiedy przewodniczący otwierał zebranie, rzucił okiem na plan. Ta sama śpiewka co zawsze: opieka nad dziećmi, sprawy personalne, opieka nad niepełnosprawnymi, pomoc środowiskowa. Połowa z tego to odgrzewane kotlety, podawane na stół setki razy. Na pewno dziś nie zapadną w tych kwestiach żadne decyzje. Punkt, na temat którego miał się wypowiedzieć Thomas, dotyczący wzrastających kosztów

transportu osób niepełnosprawnych, był na liście ósmy. Z lekkim westchnieniem przesunął wzrok w dół listy i napił się lodowatej wody. W punkcie siedemnastym coś nowego: Umowa z fundacją Raj.

Co to znowu za rewolucja? Czy oni naprawdę uważają, że mogą wziąć na siebie nowe umowy teraz, w tej trudnej i napiętej sytuacji? Westchnął tak cicho, jak tylko mógł, i spojrzął na członków komisji. Partyjni demagodzy, socjaldemokrata i przedstawiciel Partii Moderatów, siedzieli każdy przy przeciwnych rogach stołu, gotowi wytoczyć swoje argumenty i zastrzeżenia. „Wolność jednostki”, powie moderat. Socjaldemokrata skonstruje go „solidarnością”. Za chwilę zaczną prosić o konkrety, żądać kontynuacji. Będzie ich odsyłał do liczb i tabel, które żadnego nie zadowolą.

Perugia, pomyślał, jest daleko. Rozciąga się na szczycie góry w Umbrii, królowa całej okolicy.

Uśmiechnął się do swoich myśli.

Dziwne, że myślę o mieście jako o kobiecie.

- Thomas?

Przewodniczący spoglądał na niego przyjaźnie. Thomas chrząknął i znalazł właściwy papier.

- Musimy coś zrobić z transportem niepełnosprawnych - powiedział. - Wygląda na to, że koszty okażą się trzy razy wyższe, niż mamy w budżecie na ten rok. Nie wiem, jak możemy zatrzymać wzrost kosztów. Prawo nie daje nam odpowiedzi na pytanie, jak sobie z tym radzić. Potrzeby, gdyby popuścić pasa, są nieograniczone.

Przygotował liczby i table, przedstawił konsekwencje i alternatywy. Przewodniczący wyjął list okólny z nowymi

wytycznymi od zarządu gminy. Najwyraźniej nie tylko oni mieli takie problemy. Zarząd gminy zwrócił uwagę na problem. Ich dyrektywy brzmiały tak samo pompatycznie jak zwykle. Za chwilę zaczęła się dyskusja o tym, jak dokształcać referentów z pomocy społecznej, wysyłając ich na kursy albo zatrudniając konsultantów.

Fundacja Raj, pomyślał. Ładna nazwa.

Spotkanie się przedłużało. Utknęli na kolejnym temacie, remoncie placu zabaw. Poczuli, że denerwuje się coraz bardziej. Kiedy przyszła pora na punkt siedemnasty, pochylił się do przodu. Temat przedstawiała urzędniczka, sekretarz. Długo pracowała w gminie.

- Chodzi o podjęcie ostatecznej decyzji w sprawie korzystania z usług nowej organizacji - powiedziała. - Mamy pilny przypadek, którym zajmowała się już komisja do spraw nadzwyczajnych, ale chcielibyśmy omówić z wami tę umowę, zanim powiemy tak.

- Co to za fundacja? - spytał podejrzliwie socjaldemokrata.

Thomas od razu wiedział, jak cała sprawa się skończy. Jeśli socjaldemokrata jest przeciw, moderat automatycznie będzie za.

Urzędniczka zawahała się. Nie mogła wchodzić w szczegóły, ponieważ protokół ze spotkania był oficjalnym dokumentem.

- Ogólnie mogę powiedzieć, że jej działalność polega na chronieniu osób, którym grozi śmierć - powiedziała. - Przyjrzelśmy się wraz z jej szefem ich życiu i uważamy, że w tym szczególnym przypadku musimy z tej usługi skorzystać...

Wszyscy dokładnie przeczytali umowę, choć nie było w niej niczego, co by odbiegało od normy. Gmina Vaxholm zobowiązywała się płacić za chronione mieszkanie trzy tysiące pięćset koron dziennie do momentu, aż znajdzie się zadowalające rozwiązanie.

- Co to właściwie ma być? - mówił dalej socjaldemokrata. - Mamy już przecież umowy z kilkoma domami opieki. Czy naprawdę potrzebny nam kolejny?

Urzędniczka wyglądała na zakłopotaną.

- To coś zupełnie nowego, coś wyjątkowego - powiedziała. - Raj zajmuje się wyłącznie ochroną i udzielaniem pomocy ludziom, którym grozi śmierć, głównie kobietom i dzieciom. Wykasowują ich ze wszystkich oficjalnych rejestrów, prześła dowcy nie są w stanie ich znaleźć. Wszystkie ślady urywają się na niemej ścianie, na tym stowarzyszeniu.

Wszyscy obecni wpatrywali się w urzędniczkę.

- Czy to na pewno zgodne z prawem? - zastanawiała się głośno nowo wybrana członkini komisji, młoda kobieta, przedstawicielka Partii Zielonych. Jak zwykle została zlekceważona.

- Dlaczego sami nie możemy tego załatwić w ramach opieki społecznej? - spytał moderat.

Głos zabrał szef resortu opieki indywidualnej i rodzinnej. Najwidoczniej był zaznajomiony ze sprawą.

- To nie żadne dziwactwa - powiedział. - Można powiedzieć, że chodzi o takie podejście do problemu, taką sprawność, jaką tylko zewnętrzna organizacja potrafi się wykazać. Są elastyczni, czego nam jako władzy brakuje. Wierzę w nich.

- To bardzo kosztowne - powiedział socjaldemokrata.

- Opieka kosztuje, kiedy wreszcie to zrozumiecie? - spytał moderat, i zaczęło się.

Thomas odchylił się do tyłu i studiował umowę. Była naprawdę bardzo okrojona. Żadnej informacji o tym, jakich usług dotyczy, nic o tym, gdzie usługa zostanie wykonana, nie było nawet numeru identyfikacyjnego. Był tylko odsyłacz do skrytki pocztowej w Jarfalli.

Jak zwykle żałował, że nie ma kompetencji, żeby się wypowiedzieć, żeby wygłosić konkretne, ważne uwagi na temat tej propozycji.

Muszą oczywiście zbadać, jak oceniana jest ta działalność, zapytać prawników gminy, czy działania fundacji są zgodne z prawem. Ale jak mają sobie teraz pozwolić na dodatkowe wydatki? I dlaczego, do diabła, nie spytali go, czy w ogóle mogą podjąć taką decyzję? Przecież tylko on ma przed sobą budżet. Po cholere tam siedzi? Jak jakaś pieprzona ozdoba?

- Czy musimy podjąć decyzję w tej sprawie już dziś? - spytał przewodniczący.

Urzędniczka i szef zarządu pokiwali głowami.

Przewodniczący westchnął.

Wtedy coś w nim pękło. Po raz pierwszy w ciągu siedmiu lat pracy w gminie podniósł głos na zebraniu komisji.

- Przecież to chore! - powiedział oburzony. - Naprawdę sądzicie, że da się tylko wydawać i wydawać, i nie myśleć o konsekwencjach? Czym oni się zajmują? W dodatku fundacja! Jezu! I co to za cholerna umowa! Nie mogą nawet podać numeru identyfikacyjnego. To śmierdzi, jeśli raczycie mnie spytać o zdanie, a powinniście, jak cholera!

Wszyscy gapili się na niego, jakby był duchem. Dopiero teraz zauważył, że wstał, że pochyla się nad stołem, że w prawej ręce trzyma umowę i macha nią jak chorągiewką.

Twarz mu płonęła, był spocony. Rzucił umowę na stół, zaczesał do tyłu włosy, poprawił węzeł krawata.

- Przepraszam - powiedział. - Przepraszam, ja...

Usiadł zmieszany i zaczął wertować leżące przed nim papiery. Członkowie komisji z zakłopotaniem patrzyli w stół. Chciał umrzeć, zapaść się pod ziemię i zniknąć.

Przewodniczący głośno nabrał powietrza.

- Dobrze. Jeśli chcemy podjąć decyzję...

Umowa została przyjęta siedmioma głosami przeciwko czterem.

- Mam niesamowitą rzecz na tapecie!

Sjólander i Ingvar Johansson zirytowani spojrzeli na reportera. Przeszkodził im. Zobaczyli, że to Carl Wennergren, i niezadowolone szybko zastąpiły życzliwe uśmiechy.

- Dawaj, do cholery - powiedział Sjólander.

Reporter usadowił się na biurku szefa działu kryminalnego.

- Morderstwa we Frihamnen. Dostałem superinteresujący cynk.

Sjólander i szef działu wiadomości spuścili nogi na podłogę i wyprostowali plecy.

- No? - spytał Ingvar Johansson.

- Właśnie gadałem z jednym policjantem - powiedział cicho Wennergren. - Sądzą, że stoi za tym Ratko.

Mężczyźni spoglądali wyczekująco na młodszego kolegę.

- Dlaczego? - spytał Sjólander.

- Wiecie - powiedział Wennergren - mafia, Jugole, zaginione papierosy, to pachnie Ratkiem na odległość.

- Z kim gadałeś?

- Z komisarzem policji.

- Zadzwoń do niego czy on zadzwonił do ciebie?

Reporter ze zdziwieniem uniósł brwi.

- On dzwonił, bo co?

Sjólander i Johansson szybko wymienili spojrzenia.

- Okej - powiedział szef działu kryminalnego. - Czego chciał?

- Powiedzieć, że to Ratko za wszystkim stoi. Szukają go jak szaleni. Chcą, żebyśmy opublikowali jego zdjęcie i nazwisko.

- Jest poszukiwany?

Reporter zmarszczył czoło.

- Tego nie powiedział, tylko że go szukają.

- W porządku - powiedział Johansson i zapisał coś w notesie. - Robimy tak: Sjólander zrobi informację o Ratku, ty w nocy pojeździsz po jugosłowiańskich klubach i pozbierasz komentarze. To może iść na pierwszą stronę i reklamę wydania.

- *Right on!* - powiedział Carl i w podskokach pobiegł do stanowiska fotografów.

Obaj patrzyli za oddalającym się reporterem.

- Wiedziałeś o tym? - spytał Johansson.

Sjólander westchnął i położył z powrotem nogi na biurku.

- Policja nie ma nic, czego mogłaby się trzymać. Ci zabi ci byli nowi, dopiero co przyjechali z Serbii. Nie ma świadków morderstwa, nikogo, kto by mógł zakablować. Nie wiem dlaczego, ale gliny chcą wykurzyć Ratka z kryjówki.

- Czy on ma z tym coś wspólnego?

Szef działu kryminalnego zaśmiał się.

- Jasne, że ma. Steruje całym jugosłowiańskim przemysłem papierosów w Skandynawii. Może nie jest winien mordów, ale z pewnością maczał w tym palce.

Siedzieli chwilę zatopieni w myślach, po czym wyciągnęli wspólny wniosek.

- Jak nic prowokacja policji - powiedział Ingvar Johansson.

- Jak amen w pacierzu - przyznał Sjólander.

- Dlaczego tak myślisz? - spytał szef działu wiadomości.

Szef działu kryminalnego wzruszył ramionami.

- Nic nie mają, chcą trochę zamieszać. Albo próbują podkopać pozycję Ratka, albo chcą ją ugruntować. Dla nas to wszystko jedno. Jeśli komisarz dzwoni z informacją, że szukają Ratka, to musi to być czysta podpucha.

Pokiwali głowami.

- Poinformujesz Janssona? - spytał Sjólander.

Johansson wstał i podszedł do biurka szefa nocnej zmiany.

Słaba żarówka rzucała na róg pokoju żółtawe światło. Aparat EKG dzwonił rytmicznie, jednostajnie. Babcia leżała pod kropłówką, oplataną kablami. Jej ciało pod cienkim kocem wydawało się skurczone i wysuszone. Takie spokojne i małe. Annika podeszła do niej i pogładziła ją po włosach. Uderzyła ją myśl, że tak staro wygląda. Dziwne. Nigdy nie myślała o babci jak o staruszce.

- Jak ona wygląda - powiedziała matka. - Spójrz na jej usta.

Prawy kącik zwiślał. Ściekała z niego ślina, prosto na szyję. Annika wzięła papierowy ręcznik i otarła go.

- Śpi - powiedziała lekarka. - Możecie chwilę zostać.

I wyszła. Drzwi zamknęły się za nią z lekkim świstem.

Siedziały po przeciwnych stronach łóżka. Matka wciąż miała na ramionach futro. Pokój wypełniały odgłosy szpitala, szmer wentylacji, elektroniczny śpiew aparatury, stukot drewnianych chodaków na korytarzu. Mimo to cisza była przytłaczająca.

- Kto by pomyślał? - powiedziała matka. - I to właśnie dzisiaj...

Zaczęła pochlipywać.

- Oczywiście, że nie mogłaś wiedzieć - powiedziała An-nika. - Nikt cię nie oskarża.

- Była wczoraj w sklepie i robiła zakupy. Siedziałam w kasie. Była taka żywa i radosna.

Siedziały w milczeniu, matka płakała.

- Musimy znaleźć miejsce, gdzie będzie mogła mieszkać - powiedziała Annika. - Lóvasen nie wchodzi w rachubę.

- No, to ja nie mogę! - powiedziała matka zdecydowanie i spojrzała w górę.

- Podawanie niewłaściwych leków, niedbalstwo... Napisałam całą serię artykułów o złym funkcjonowaniu Lóvasen. Babcia nie może tam mieszkać.

- Ale to było tak dawno... Teraz na pewno jest dużo lepiej. Matka przetarła twarz papierowym ręcznikiem. Annika wstała.

- Może rozwiążemy to jakoś prywatnie - powiedziała.

- U mnie nie może mieszkać!

Matka wyprostowała plecy i przestała się wycierać. Annika patrzyła na nią: siedziała, kaszląc astmatycznie od papierosów, rozgrzana od futra i uderzeń gorąca, z przierzadzającą się czupryną i szybko rosnącą nadwagą, zdystansowana

i zakochana w sobie. Zanim się zastanowiła, podeszła do niej i chwyciła ją za ramiona.

-Nie bądź taka cholernie niedojrzała - wysyczała.
-Miałam na myśli załatwienie prywatnej opieki. Nie chodzi o ciebie, nie rozumiesz tego? Ten jeden jedyny raz nie jesteś najważniejsza.

Matka patrzyła na nią z otwartymi ustami. Na jej szyi pokazały się czerwone plamy.

- Ty mała... - zaczęła. Odepchnęła Annikę i wstała.

Młoda kobieta patrzyła na starszą, czekając na wybuch.

- No, mów - powiedziała przez zaciśnięte zęby. - Wy rzuć z siebie, co o tym myślisz.

Matka ściągnęła futro na piersiach i szybko podeszła do Anniki.

- Gdybyś ty wiedziała, ile strasznych rzeczy musiałam dla ciebie znieść - wyszeptwała. - Jak sądzisz, jak wyglądało moje życie przez te wszystkie lata? Z tymi spojrzeniami za plecami? Ze wszystkimi plotkami? Nie dziwne, że twoja siostra się wyprowadziła, a zawsze była w ciebie wpatrzona jak w obrazek. To niesamowite, że Leif wytrzymał. Kilka razy prawie mnie zostawił. Ucieszyłabyś się. Zawsze mi zazdrościłaś miłości, nigdy nie zaakceptowałaś Leifa...

Annika zbladła. Matka przeszła obok niej, ruszyła do wyjścia. Wycelowała w nią palec w geście oskarżenia.

- Że nie wspomnę o babci! - mówiła dalej podniesionym głosem. - Taka szanowana osoba. Gospodyni w Harpsund. Na stare lata dostała łatkę babci morderczyni...

Annika nie mogła złapać tchu.

- Idź do diabła - wykrztusiła w końcu, ciężko dysząc.

Matka zbliżyła się do niej znów, w jej ustach pokazała się piana.

- Na tobie, takiej wspaniałej dziennikarce, nie powinno robić wrażenia kilka słów prawdy.

Nagle Annika znów była w fabryce, przy wsypie koksu, obok pieca. Widziała w powietrzu ciało kota, widziała żelazną rurę. Objęła głowę rękoma i zgięła się w pół.

- Idź - szepnęła. - Idź stąd, mamó. Szybko!

Matka wzięła skórzane etui na papierosy i zieloną plastikową zapalniczkę.

- Siedź tu, jasne - powiedziała. - I pomyśl o tym, co na robiłaś.

Zrobiło się cicho, ciemność gęstniała. Annika łapczywie łapała powietrze. Szok gniótł ją w gardle jak kamień, nie pozwalał oddychać.

Ona mnie nienawidzi, pomyślała. Moja mama mnie nienawidzi. Zniszczyłam jej życie.

Poczuła falę współczucia dla samej siebie. Wcisnęła ją w podłogę.

Co zrobiłam tym, których kocham? Boże, co ja zrobiłam?

Lewa ręka babci poruszyła się niezdarnie na żółtym szpitalnym kocu.

- Barbro? - wymamrotała.

Annika podniosła wzrok. Babciu, och, babciu. Podbiegła do niej jak na skrzydłach, złapała jej zimną, nieruchomą prawą rękę, stłumiła lęk, spróbowała się uśmiechnąć.

- Cześć, babciu. To ja, Annika.

- Barbro? - wybełkotała babcia pytająco i spojrzała na nią mętным wzrokiem.

Łzy napłynęły Annice do oczu, zaćmiły wzrok.

- Nie, to ja, Annika. Córka Barbro.

Staruszka odwróciła wzrok i rozejrzała się po pokoju. Jej lewa ręka szukała czegoś po omacku.

- Jestem w Lyckebo?

Annika wybuchnęła płaczem. Oddychała przez otwarte usta i pozwalała łzom płynąć.

- Nie, babciu, zachorowałam. Jesteś w szpitalu.

Staruszka znów spojrzała w stronę Anniki.

- Kim jesteś?

- Annika - wyszeptała. - To ja.

Nagle w półprzytomnych oczach babci coś się zatliło.

- Oczywiście - powiedziała babcia. - Moja ukochana dziewczynka.

Annika płakała z czołem opartym na brzuchu staruszki, trzymała jej rękę w swojej. W końcu wstała, żeby wyjść i wytrzeć nos.

- Było z tobą bardzo źle, babciu - powiedziała, obchodząc wkoło łóżko. - Zadbamy o to, żebyś wkrótce znowu była zupełnie zdrowa.

Ale babcia zasnęła.

Środa, 31 października

AIDA ZAPARŁA SIĘ. Wzgórze zdawało się nie mieć końca. Ulica się kołysała. Aida zachwiała się do przodu, pot spływał jej za uszami, po szyi. Czy nigdy nie dotrze na miejsce?

Usiadła na jezdni, z nogami w rowie i głową na kolanach. Nie zwracała uwagi na zimno i wilgoć, chciała tylko odrobinę odpocząć. Potem pójdzie dalej.

Zza zakrętu wyjechał samochód. Zwolnił, gdy ją mijał. Czują na plecach czyjś wzrok. Nie może tu zostać, w takiej zadbanej dzielnicy willowej. Na pewno zaraz ktoś zadzwoni na policję.

Wstała, przez sekundę widziała ciemność.

Muszę znaleźć ten dom. Natychmiast.

Ruszyła do przodu i przy następnym podjeździe zobaczyła numer. Śmieszne, prawie się poddała, dwadzieścia metrów przed celem poszukiwań. Spróbowała się roześmiać. Ale potknęła się o kamień i o mało nie upadła. Chciało jej się płakać.

- Pomocy - wymamrotała.

Doczołgała się do drzwi, podciągnęła na poręczy i zadzwoniła. Solidne drzwi, dwa zamki. Dzwonek zaterkotał gdzieś w środku. Nic. Zadzwoniła raz jeszcze. I jeszcze raz. I jeszcze. Zajrzała przez brązowe szybki przy drzwiach. Ciemność, pustka, żadnych mebli.

Opadła na schody i oparła głowę o mur. Nie ma już siły. Niech on przyjedzie. To już nie ma znaczenia. Zadzwoni po policję. Gorzej już być nie może.

- Aida?

Ledwie miała siłę spojrzeć w górę.

- Boże najśłodszy, co z tobą?

Zaczęła tracić przytomność, chwyciła się kurczowo ściany.

- Mój Boże, przecież ona jest chora. Anders! Chodź, pomóż mi!

Ktoś ją złapał, pociągnął. Głos zdenerwowanej kobiety, spokojniejszego mężczyzny. Zrobiło się ciepło, ciemno, była w środku, w domu.

- Połóż ją na kanapie.

Wszystko się zakołysało, przeniesiono ją, wylądowała na czymś. Patrzyła w oparciu kanapy, brązowe, szorstkie. Przykryto ją kocem, ale wciąż marzła.

- Jest z nią naprawdę źle - powiedziała kobieta. - Ma bardzo wysoką gorączkę. Musimy ją zabrać do lekarza.

- Nie możemy tu sprowadzić lekarza, przecież wiesz - powiedział mężczyzna.

Chciała coś powiedzieć, zaprotestować, nie, żadnego lekarza, żadnego szpitala.

Kobieta i mężczyzna przeszli do innego pokoju, słyszała ich szepty. Chyba zasnęła, bo po sekundzie stali nad nią z kubkiem gorącej herbaty.

- To ty jesteś Aida, jak rozumiem - powiedziała kobieta.
- Ja jestem Mia, Maria Eriksson. A to mój mąż Anders. Kiedy się tak rozchorowałaś?

Spróbowała odpowiedzieć.

- Żadnych lekarzy - wyszeptwała.

Mia pokiwała głową.

- Okej - powiedziała. - Żadnych lekarzy. Rozumiemy. Ale potrzebujesz pomocy medycznej, i mamy na to sposób.

Pokręciła głową.

- Szukają mnie.

Mia Eriksson pogładziła ją po czole.

- Wiemy. Wiemy, jak ci pomóc tak, żeby nikt się niczego nie dowiedział.

Zamknęła oczy, odetchnęła.

- Czy jestem w Raju? - spytała.

Odpowiedź przyszła z daleka. Znowu odpływała w sen.

- Tak - powiedziała kobieta. - Zajmiemy się tobą.

*

Sen i jawa przeplatały się przez całą noc. Babcia była na przemian zagubiona, wystraszona i wpadała w melancholijny nastrój.

To, co miała do przekazania rehabilitantka po pierwszym krótkim badaniu brzmiało przygnębiająco:

- Prawa strona wykazuje bardzo słabe funkcje - powiedziała. - Trzeba będzie w to włożyć bardzo dużo pracy.

- Jak można wyćwiczyć i przywrócić zdolność poruszania się? - spytała Annika.

Kobieta uśmiechnęła się lekko.

- Problem nie tkwi w nogach, tylko w głowie. Nie ma sposobu, żeby zmusić do funkcjonowania martwe nerwy. Trzeba się skupić na tym, co zostało. Trzeba pobudzić komórki nerwowe, które ocalały, a które wcześniej nie były aktywne. Potrzeba do tego rehabilitacji, w różnych formach.

- Ale kiedy będzie z nią zupełnie dobrze?

- Może potrwać nawet pół roku, zanim będzie widać jakiś efekt. Teraz najważniejsze, żeby jak najszybciej zacząć rehabilitację i konsekwentnie ćwiczyć.

Annika przełknęła ślinę.

- A co ja mogę zrobić?

Rehabilitantka wzięła ją za rękę i uśmiechnęła się.

- Dokładnie to, co pani robi. Troszczyć się o nią. Rozmawiać z nią, skłaniać, żeby coś robiła, śpiewać z nią stare piosenki. Zauważy pani, że chętnie będzie mówiła o tym, co było. Proszę jej na to pozwolić.

- Ale kiedy znowu będzie taka jak zawsze?

- Nigdy nie odzyska pani takiej babci, jaką pani miała do tej pory.

Annika zamrugnęła oczami. Poczowała, że otwiera się pod nią przepaść, że ogarnia ją panika.

- Jak mam sobie z tym poradzić? Zawsze była dla mnie wsparciem. - Jej głos brzmiał piskliwie, mówiła z desperacją.

- Teraz pani będzie wsparciem dla niej.

Poklepała ją po ręce. Annika nie zauważyła, kiedy odeszła.

- Babciu - szepnęła, głaszcząc ją po ręce.

Ale staruszka spała. Odgłosy dnia wślizgiwały się przez szczelinę pod drzwiami i rozchodziły po małym szarym pokoiku. Annika spała czujnie i często się budziła, ale i tak czuła się nakręcona, niespokojna, pobudzona.

Musi znaleźć miejsce, gdzie babcię dobrze wyrehabilitują. Na pewno nie Lóvasen, to mogła obiecać. Wstała i zdenerwowana chodziła po pokoju, tam i z powrotem. Bolały ją nogi, w palcu pulsowało.

Musi być jakaś alternatywa. Prywatne domy opieki, domy spokojnej starości, domowa pomoc medyczna.

Nie zauważyła, kiedy drzwi się uchyliły. Poczowała tylko lekki podmuch powietrza na nogach.

Znów ta sama lekarka. Za nią stała matka, w futrze z norek

- Porozmawiajmy o przyszłości pani Sofii - powiedziała lekarka.

Annika zebrała swoje rzeczy i poszła za nimi.

- Ja nie mam możliwości, żeby się nią zająć - powiedziała matka, kiedy usiadły na krzesłach dla gości w pokoju lekarzy. - Pracuję. *

-Mogłaby pani dostać zasiłek opiekuńczy, gdyby się pani zajęła matką - próbowała ją przekonać lekarka. Matka nie mogła usiedzieć na miejscu.

- Nie chcę porzucać pracy. Nie chcę zmieniać swojego życia.

W Annice nagle coś pękło. Brak snu, miłość, okoliczności - wszystko to wymieszało się w jej głowie. Wstała i wykrzyczała:

- Przecież jesteś, do cholery, tylko na zastępstwie w kasie w Konsumie! Jak to nie możesz się zająć babcią?

- Proszę usiąść - powiedziała zdecydowanym tonem lekarka.

- Do diabła! - krzyczała Annika. Stała, głos jej się łamał, nogi drżały. - W dupie macie babcię, wszyscy! Chcielibyście ją wsadzić do tej przechowalni w Lóvasen i wyrzucić klucz. Wiem, jak tam jest! Pisałam o tym! Byle jaka opieka, brak ludzi, podawanie nie tych leków co trzeba!

Lekarka wstała, okrążyła stół i podeszła do Anniki.

- Albo pani usiądzie - powiedziała spokojnie - albo pani stąd wyjdzie.

Annika przeciągnęła ręką po czole. Nogi się pod nią ugięły i opadła na krzesło. Matka skubała palcami brzeg futra. Szukała zrozumienia w oczach lekarki. Takie rzeczy musiała znosić.

- Lóvasen byłoby dobrym wyjściem...

- Do diabła!

- ...gdyby były wolne miejsca. Ale nie ma. Kolejka jest bardzo długa. Niedługo leczenie pani babci zostanie zakończone, ale będzie potrzebowała całonocnej opieki i kompleksowej intensywnej rehabilitacji. Dlatego musimy bardzo szybko znaleźć rozwiązanie. Dlatego się z tym do was zwracam. Macie inne propozycje?

Matka oblizwała niepewnie wargi.

- No - powiedziała - w takim razie nie wiem. Uważam, że społeczeństwo powinno stanąć na wysokości zadania i wziąć odpowiedzialność, kiedy coś takiego się stanie. Przecież po to płacimy podatki...

Annika wpatrywała się w swoje dłonie, jej twarz płonęła.

- Czy jest jeszcze jakieś inne miejsce? Gdzie indziej? - spytała.

- Ewentualnie w Bettnie - powiedziała lekarka.

- Ale, do cholery, to przecież kawał drogi od Hallefors-nas. Prawie dwieście kilometrów od Sztokholmu - powiedziała Annika i podniosła wzrok. - Jak mamy ją tam odwiedzać?

- Nie mówię, że to idealne wyjście...

- A Sztokholm? - spytała Annika. - Czy nie znalazłoby się miejsce w Sztokholmie? Mogłabym ją odwiedzać codziennie.

Znów wstała. Lekarka wskazała jej krzesło.

- To byłaby ostateczność. Najpierw musimy poszukać czegoś w naszej gminie.

Matka się nie odezwała. Nerwowo przebierała palcami wśród haczyków przyszytych wzdłuż brzegu futra. Annika siedziała skurczona na krześle i wpatrywała się w podłogę. Lekarka przez chwilę obserwowała je w milczeniu. Matkę i córkę, młodą kobietę w szoku, starszą zakłopotaną i zmarzwioną. Zwróciła się do Anniki:

- To straszne, co pani przeżyła. Z pewnością odczuje pani następstwa tej traumy. Może pani marznąć, płakać i mieć kiepski nastrój.

Spojrzały na siebie.

- Super - powiedziała. - Co mam z tym zrobić?

Lekarka westchnęła cicho.

- Niech się pani napije wódki - powiedziała i wstała.

Annika wbiła w nią wzrok.

- Mówi pani poważnie?

Lekarka uśmiechnęła się łagodnie i wyciągnęła rękę.

- To sprawdzona kuracja w takich okolicznościach.

Z pewnością wkrótce znowu się spotkamy. Jeśli panie chcą, mogą panie jeszcze chwilę tu posiedzieć. Ja idę na obchód.

Zostawiła je w małym pokoiku, drzwi się zatrzasnęły.

Zapadła ciężka cisza. Matka chrząknęła.

- Rozmawiałaś z rehabilitantką? - spytała ostrożnie.

- Oczywiście, że tak - powiedziała Annika. - Byłam tu całą noc.

Matka wstała i podeszła do Anniki. Pogłaskała ją po włosach.

- Nie będziemy się kłócić - szepnęła. - Musimy się trzy mać razem, teraz, kiedy moja mama jest chora.

Annika westchnęła. Zawahała się, ale objęła tęgą talię matki, przykładając ucho do jej brzucha. W środku lekko bulgotało.

-Nie, oczywiście, że nie będziemy - odpowiedziała szeptem.

- Jedź do domu i odpocznij - powiedziała matka i poszukała kluczy w kieszeni futra. - Zostanę z mamą.

Annika zwolniła uścisk.

- Dzięki - powiedziała. - Ale wolę pojechać do domu, do Sztokholmu, i tam się przespać. Mogę wrócić w każdej chwili, X2000 jedzie tylko pięćdziesiąt osiem minut.

Zebrała swoje rzeczy i uścisnęła matkę.

- Zobaczysz, wszystko będzie dobrze - powiedziała Barbro.

Annika wyszła na szpitalny korytarz, zimny i nieskończenie długi.

Rzeczywiście, już w pociągu dopadły ją dreszcze. Kupiła gazety. Położyła je przed sobą, ale nie miała siły ich przeglądać.

Wódka, pomyślała. No, witamy w klubie.

Nie miała zamiaru pić. Jej ojciec pił za całą rodzinę, za całą resztę ich życia. Chłwał do końca swoich dni. Umarł pijany w sztok w rowie przy drodze do Granhed.

Skuliła się na siedzeniu. Otuliła się kurtką, nie pomogło. Chłodem wiało z jej wnętrza, z serca.

Wszyscy, których kocham, umierają, pomyślała w przyływie żalu nad sobą. Tato, Sven, może wkrótce babcia.

Nie, pomyślała. Babcia nie. Babcia będzie prawie zdrowa. Znajdziemy miejsce, gdzie postawią ją na nogi.

Przebierała palcami wśród gazet, ale nie miała siły czytać. Oparła głowę o oparcie i przymknęła oczy, próbując się odprężyć. Nie potrafiła. Jej ciałem szarpało, drżała.

Oparła się znów i westchnęła. Wyciągnęła rękę po gazetę i wyszukała od razu strony sześć - siedem, naj gęściej naszpikowane wiadomościami. Mężczyzna na dużym zdjęciu, zamazanym, rozciągniętym do granic możliwości, wpatrywał się w nią. Minęła sekunda i wiedziała, skąd go zna. *Gdzie jest Aida? Aida Begović? Wiem, że tu jest.*

Artykuł był tak samo duży i czarny jak mężczyzna, który dwa dni wcześniej stał w drzwiach pokoju hotelowego.

Szef mafii papierosowej, przeczytała. A pod zdjęciem: Nazywają go Ratko, przyjechał do Szwecji w latach

siedemdziesiątych, skazany za napad na bank i porwanie. Dziś oskarżony o zbrodnie wojenne w byłej Jugosławii. Szwedzka policja podejrzewa, że jest głównym organizatorem przemytu papierosów do Szwecji.

Zwinęła gazetę. Zęby jej dzwoniły, palec z trzema szwami pulsował bólem. Wróciły nudności.

Anders Schyman rzucił gazetę na stół. Wylądowała przed Ingvarem Johanssonem.

- Wyjaśnij mi to.

Zamazany mężczyzna patrzył na nich obu ze zdęcia niewidzącym wzrokiem. Szef działu wiadomości oderwał wzrok od ekranu monitora.

- O co ci chodzi?

- Do mnie. Natychmiast.

Sjólander już stał w jego gabinecie, drepcąc w kupce kurzu. Została po wyniesieniu kanapy. Schyman usiadł na swoim krześle. Zaskrzypiało pod jego ciężarem. Johansson zamknął za sobą drzwi.

- Kto podjął decyzję, żeby opublikować nazwisko i zdjęcie Ratka? - rzucił szef redakcji w przestrzeń.

Mężczyźni wymienili spojrzenia.

- Ja idę do domu, jak tylko oddam materiał, nie mogę spekulować, co... - zaczął Johansson.

Schyman natychmiast mu przerwał:

- Gówno prawda - powiedział. - Poznaje, co może być wiadomością dnia, od razu, jak ją zobaczę. Poza tym rozmawiałem już z Janssonem i z Torstenssonem. Naczelnego w ogóle nie poinformowano o tym, co zostanie opublikowane.

Jansson był szczerze zdziwiony i powiedział, że cały pakiet dostarczyła dzienna zmiana. Siadajcie.

Sjolander i Johansson usiedli zgodnie na krzesłach dla gości. Żaden się nie odezwał ani słowem.

- To nie do przyjęcia - powiedział Schyman sucho, kiedy cisza stała się nie do zniesienia. - Decyzję o publikacji nazwisk nieskazyanych przestępców podejmuje wydawca. Niemożliwe, do jasnej cholery, żebyście o tym nie wiedzieli.

Sjolander wpatrywał się w podłogę. Johansson kręcił się niespokojnie.

- Już kiedyś publikowaliśmy jego nazwisko. To nic nowego, że jest gangsterem.

Anders Schyman westchnął głęboko.

- Nie piszemy tylko o tym, że jest gangsterem. Łączymy go z podwójnym morderstwem we Frihamnen. Pośrednio wskazujemy na niego jako sprawcę. Rozmawiałem już z prawnikami. Jeśli Ratko nas poda do sądu, to po nas. Że nie wspomnę o tym, co powie Urząd Monitorowania Etyki Mediów.

-Nie poda nas - powiedział Johansson z przekonaniem.
- Uzna to za reklamę swojej działalności. Poza tym szukamy go, bo potrzebujemy komentarzy. Carl Wenner-gren jeździł dziś w nocy po jugosłowiańskich knajpach i gadał z ludźmi...

Anders Schyman uderzył dłonią w blat stołu. Obaj mężczyźni siedzący po drugiej stronie podskoczyli.

- Przecież ja to rozumiem! - ryczał. - Nie o tym mówię. Chodzi mi o szerzącą się w tej redakcji samowolę w kwestii publikacji! To nie wy podejmujecie takie decyzje! Od tego jest wydawca! Czy to tak strasznie trudno zrozumieć?

Sjólander zaczerwienił się, Ingvar Johansson zbladł.

Schyman to zauważył. Wiedział, że nareszcie zwrócili na niego uwagę. Stłumił złość, zniżył głos i zaczął mówić normalnym tonem:

- Zakładam, że wiecie więcej niż to, co poszło do druku - powiedział. - Co wiecie? - Mówiąc to, wywołał dyskusję, która powinna była się odbyć dwadzieścia cztery godziny wcześniej.

- Policja znalazła łuski i pocisk - powiedział Sjólander. - Cholernie nietypowe, kaliber 30.06, amerykański typ Federal firmy Trophy Bond. Łuski są niklowane, czyli gładkie, wyglądają jak grzybki prawdziwki. Inne, prawie wszystkie, są mosiężne.

Schyman notował. Sjólander odprężył się nieco.

- Pocisk był wwiercony w asfalt między silosami - mówił dalej. - Nie da się stwierdzić, gdzie stał zabójca, ponieważ pocisk trafił ofiarę w głowę w kilku miejscach, wiele razy zmieniając kierunek. Łuski znaleziono za pustym magazynem.

- A broń? - spytał Schyman.

Sjólander westchnął.

- Możliwe, że gliny wiedzą, ale nic mi nie powiedzieli - powiedział. - Wyciągnęli za to kilka innych wniosków. Na przykład, że zabójca był niezmiernie wybredny, jeśli chodzi o wybór sprzętu. To cholernie zabójcze zabawki. Z czegoś takiego strzela się do dzikiej zwierzyny.

- Może to wcale nie takie dziwne - powiedział Schyman. - Jak się naprawdę chce kogoś zabić, to lepiej to zrobić porządnie.

Sjólander ożywił się. Pochylił się nad biurkiem.

- To właśnie jest bardzo dziwne - powiedział. - Dlaczego strzelał im w głowy? Gdyby strzelał obojętne gdzie, w pierś albo w plecy, zabiłby w kilka sekund. Z tym mordercą to jakaś cholernie podejrzana sprawa. Kręci go coś innego niż szybkie i skuteczne zabijanie. Chodzi o jakieś brawurowe, gigantyczne ego, nienawiść, zemstę. Po co stawiać na mi-strzowski strzał, jeśli można celować gdziekolwiek?

- Dlaczego nie ma tego dziś w gazecie? - spytał Schyman.

Sjólander znów odchylił się do tyłu.

- To by zaszkodziło śledztwu - odparł.

- A jaki skutek dla śledztwa ma wskazanie Ratka jako podwójnego zabójcy? - spytał szef redakcji.

Znowu zapadła cisza.

- Musimy o tym pogadać - powiedział Schyman. - To cholernie ważne dla przyszłości gazety. Od kogo macie cynk o Ratku?

Ingvar Johansson chrząknął.

-Mamy źródło w wydziale kryminalnym. Ten ktoś uznał, że powinniśmy wydrukować jego zdjęcie. Gliniarze są przekonani, że on w jakiś sposób ma z tym coś wspólnego. Chcieli mu zrobić trochę zadymy koło tyłka.

- A wy chętnie na to poszłicie? - powiedział Anders Schyman ze ściśniętym gardłem. - Naraziliście wiarygodność gazety, wzięliście na siebie odpowiedzialność za publikację, pomijając redaktora naczelnego, żeby oddać przysługę policji? Wyjdźcie stąd, już.

Odwrócił się tyłem do siedzących na krzesłach dla gości mężczyzn i otworzył biuletyn agencji prasowej TT. Kątem

oka widział, jak szybko i cicho wtapiają się w tłum pracowników.

Odetchnął. Nie był zupełnie pewien, jak ta dyskusja właściwie przebiegła. Jednego był cholernie pewien: nadszedł czas, żeby wreszcie coś z tym zrobić.

To, co zrobił na spotkaniu komisji, leżało mu na sercu jak kamień przez całą noc. Wygładził przód marynarki. Chwilę się wahał i wreszcie podszedł do drzwi szefowej komisji społecznej i zapukał. Była u siebie.

- Powiem prosto z mostu - powiedział. - Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego tak się zachowałem, ale mimo wszystko chciałbym spróbować.

- Usiądź - powiedziała.

Opadł na krzesło i wziął kilka szybkich oddechów.

- Nie czuję się dobrze - powiedział. - Jestem rozchwiany. Miałem ostatnio ciężki okres.

Szefowa komisji w milczeniu spoglądała na młodego mężczyznę. Nie doczekała się niczego więcej, więc w końcu zapytała stłumionym głosem:

- Czy chodzi o Eleonor?

Należała do dalszego kręgu ich znajomych. Kilka razy była u nich na obiedzie.

- Nie, nie, skąd - powiedział Thomas pospiesznie. - Chodzi o mnie. Ja... wszystko kwestionuję. Czy to już wszystko? Nie będzie już inaczej, zabawniej?

Szefowa uśmiechnęła się smętnie.

- Kryzys wieku średniego - stwierdziła. - Ale czy to trochę nie za wcześnie? Ile masz lat?

- Trzydzieści trzy.

Westchnęła.

- Twojego wybuchu na wczorajszym spotkaniu nie da się obronić, ale myślę, że możemy to puścić w niepamięć. Mam nadzieję, że to się nie powtórzy.

Pokręcił głową, wstał i wyszedł. Za drzwiami przystanął, zastanowił się chwilę i poszedł do urzędniczki, która prezentowała sprawę fundacji Raj.

- Jestem trochę zajęta - powiedziała ostro. Była obrażona. Spróbował ją rozbroić uśmiechem.

- Tak, rozumiem - powiedział. - Chciałem tylko prze prosić za wczoraj. Mój wybuch można uznać za wykrocze nie służbowe.

Urzędniczka zachnęła się i coś zanotowała.

- Przeprosiny przyjęte - powiedziała sztywno.

Uśmiechnął się szerzej.

- To dobrze. Jest jeszcze tylko kilka spraw, które mnie zastanawiają w tej kwestii. Na przykład numer identyfika cyjny tej fundacji.

- Nie mam go.

Patrzył na nią tak długo, aż zaczęły jej płonąć policzki. Prawdopodobnie nic o Raju nie wiedziała.

- Mogę go zdobyć - powiedziała.

- Tak byłoby najlepiej - odpowiedział.

Znów cisza.

- O co właściwie tu chodzi? - spytał w końcu.

Podniosła na niego wzrok, patrzyła na niego ostro.

- Nie mogę powiedzieć, przecież wiesz.

Westchnął.

- No co ty. Przecież mamy te same cele. Myślisz, że roz gadam?

Kobieta wahała się chwilę. Wreszcie odsunęła na bok notatki.

- Sprawa jest pilna - powiedziała. - Młodą kobietę, uciekinierkę z Bośni, ściga mężczyzna. Straszy, że ją zabije. Do staliśmy tę sprawę dopiero wczoraj i bardzo nam się spieszy. To naprawdę sprawa życia i śmierci.

Thomas spojrzał wprost na nią.

- Skąd wiecie, że to prawda?

Urzędniczka przełknęła ślinę. Jej oczy zrobiły się lekko szkliste.

- Gdybyś ją widział, taka młoda i piękna, i... okaleczona. Miała rany dosłownie na całym ciele. Kilka postrzałowych, ślady po nożu, wielką ranę na głowie, połowa twarzy sina. Odstrzelone dwa palce u nogi. W sobotę ten człowiek znów próbował ją zabić. Przeżyła, bo wskoczyła do wody i na domiar złego nabawiła się zapalenia płuc. Policja nie może jej ochronić.

- No a fundacja Raj może?

Kobieta ożywiła się nagle, przetarła dyskretnie kąciki oczu. Była tylko człowiekiem.

- To naprawdę fantastyczna sprawa. Wymyślili, jak kasować ludzi tak, żeby miejsce ich pobytu nie figurowało w oficjalnych rejestrach. Wszelkie kontakty ze światem ze wewnętrznym odbywają się za pośrednictwem Raju. Przez całą dobę ktoś pełni dyżur. Zapewniają ludziom pomoc medyczną, psychologiczną, prawną, mieszkanie, pomagają załatwić szkołę i przedszkole, znaleźć pracę. Uwierz mi, skorzystanie z usług tej fundacji to dobry interes dla gminy.

Thomas był zaniepokojony.

- A sam Raj gdzie ma siedzibę? W Jarfalli?

Kobieta pochyliła się w przód.

- To najlepsze w tym wszystkim - powiedziała. - Nikt nie wie, gdzie Raj ma siedzibę. Wszyscy, którzy tam pracują, są wykasowani. Telefony są podłączone przez numery wojskowe w innych krajach. Zabezpieczenia są naprawdę szczelne. Ani ja, ani mój kolega pracujący w terenie nie zetknęliśmy się nigdy z niczym podobnym. To coś niebywałego.

Thomas wbił wzrok w podłogę.

- Cała ta otoczka tajemnicy oznacza również, że nikt nie jest w stanie tego skontrolować, prawda?

- Czasami trzeba ludziom zaufać - powiedziała urzędniczka.

W mieszkaniu było zimno. Papierowa torba, którą An-nika przykleiła w miejscu wybitej szyby, nie trzymała ciepła. Zmęczenie ogarnęło ją, gdy tylko weszła do przedpokoju i upuściła torbę na podłogę. Zrzuciła wierzchnie ubrania na kupkę, wczółgała się do nieposłanego łóżka i zasnęła, nie rozbierając się.

Nagle stanęli przed nią mężczyźni z audycji radiowej Studia 6. Przyglądali jej się złośliwie. Zawsze wtedy czuła skurecz w żołądku.

- Ja nie chciałam! - zawołała.

Mężczyźni podeszli bliżej.

- Jak możecie twierdzić, że to moja wina?! - krzyczała.

Usiłowali ją zastrzelić. Odgłos strzału dudnił jej w głowie.

- To nie ja to zrobiłam, ja ją tylko znalazłam! Leżała na podłodze, kiedy przyszłam! Na pomoc!

Obudziła się drżąca i zdyszana. Minęła zaledwie' godzina. Odetchnęła głęboko kilka razy. Wdech, wydech, wdech,



wydech, i rozplakała się. Płakała niepohamowanie. Całe jej ciało kurczyło się od łkań. Leżała tak długo, aż przestała się trząść.

Och, babciu, dobry Boże, jak to teraz będzie? Kto się tobą zajmie?

Usiadła na łóżku. Próbowwała wziąć się w garść. Ktoś musi się tym zająć. Przyszła jej kolej, teraz ona musi pomóc.

Przyciągnęła książkę telefoniczną, zadzwoniła do urzędu gminy i zapytała, czy jest jakieś wolne miejsce w którymkolwiek domu opieki w Sztokholmie. Podpowiedziano jej, żeby się skontaktowała z komisją w swojej dzielnicy, z osobą podejmującą decyzje w sprawie udzielania pomocy. Materiały informacyjne może znaleźć w internecie albo w biurze spraw obywatelskich, Hatverkargatan 87. Zanotowała adres na marginesie starej gazety, podziękowała i westchnęła. Poszła do kuchni, spróbowała zjeść odrobinę jogurtu, włączyła telega-zetę i sprawdziła, czy coś się wydarzyło. Nie, nic nowego. Poczula, że cuchnie potem. Wcisnęła ubrania do kosza na brudy, napełniła zlew zimną wodą i umyła się pod pachami.

Dlaczego przyjechałam do domu? Dlaczego nie zostałam u babci?

Usiadła na kanapie w salonie, podparła głowę rękoma i postanowiła być wobec siebie szczerą.

Nie miała siły zostać w szpitalu. Chciała wrócić do czegoś, co na nowo odkrywała, czegoś, co miała kiedyś i co utraciła. To coś było tutaj, w Sztokholmie, w pracy, w redakcji „Kvallspressen”, w mieszkaniu. To coś miało być kuszące i żywe, a nie obojętne i martwe.

Wyprostowała się nagle i poszła wyjąć z torby notes. Nie namyślając się wiele, wybrała numer Raju. Tym razem odebrała sama Rebecka Bjoórkstig.

- Zastanawiałam się nad kilkoma sprawami - powiedziała Annika.

- Czy pani artykuł będzie wkrótce gotowy? - Rebecka była wyraźnie zdenerwowana.

Annika podciągnęła nogi, lewą rękę podłożyła pod głowę.

- Brakuje mi kilku szczegółów - powiedziała. - Mam nadzieję, że uda nam się to skończyć jak najszybciej. Moja babcia jest chora.

W głosie Rebecki słychać było współczucie:

- Och, to przykre. Oczywiście, pomogę pani na tyle, na ile będę mogła. O co chodzi?

Annika przełknęła ślinę i wyprostowała plecy. Kartkowała notes.

- Pracownicy Raju. Ilu ich jest?

- Jest nas pięcioro pracujących na pełny etat.

- Lekarze, prawnicy, pracownicy socjalni, psychologzy?

Rebecka była rozbawiona.

- Nie, skąd. Za to płacą samorządy lokalne, gminy i Centralny Urząd Pomocy Prawnej.

Annika odgarnęła do tyłu włosy.

- Osoby dyżurujące przez całą dobę. Kto to jest?

- Nasi pracownicy oczywiście. Są wysoko wykwalifikowani.

- Ile zarabiają miesięcznie?

Teraz Rebecka poczuła się lekko urażona.

- Zarabiają czternaście tysięcy koron miesięcznie. Nie robią tego, żeby się wzbogacić, ale dla dobra sprawy.

Annika kartkowała notes, rzucała okiem na notatki.

- Nieruchomości. Ile ich macie?

Rebecka się zawahała.

- Dlaczego pani o to pyta?
- Żeby mieć jakieś pojęcie o waszej działalności - powiedziała Annika.
- Właściwie nie posiadamy żadnych budynków, wynajmujemy je w razie potrzeby - odparła Rebecka po chwili milczenia.
- Pieniądze - powiedziała Annika. - Wypracowujecie jakiś zysk. Jak duży?
- Długa chwila ciszy. Annika już myślała, że Rebecka odłożyła słuchawkę.
- Niewielki zysk, jaki udało nam się wypracować, wrócił do fundacji. Został wykorzystany na finansowanie działalności. Nie za bardzo podobają mi się pani insynuacje - powiedziała Rebecka.
- Ostatnie pytanie - powiedziała Annika. - Czy wysłała mi pani listę urzędników, z którymi mogłabym porozmawiać?
- To jest linia zastrzeżona - powiedziała Rebecka cicho.
- Mogę powiedzieć, jak to jest. Wszystkie pieniądze, które zostały, poszły na pomoc dla naprawdę ciężkich przypadków. Od jakiegoś czasu mamy też możliwość wspierania osób, które w ogóle nie mogą dalej mieszkać w Szwecji. Mamy kontakty, dzięki którym możemy załatwić im państwowe posady i mieszkania w innych krajach. Możemy też się kontaktować z tamtejszymi lekarzami i psychologami. Pracę i kursy językowe organizujemy sami.
- Annika spuściła nogi na podłogę. Zanotowała. Tego było już za wiele.
- Ale jak to się odbywa?
- Rebecka była bardzo z siebie zadowolona.

- Procedury są bardzo dobre. Wypróbowaliśmy je na dwóch przypadkach. Udało się wspaniale.

Annika była coraz bardziej zdumiona.

- Dwie osoby zaczęły zupełnie nowe życie w innym kraju? Nie zmieniając tożsamości? Tylko dzięki pomocy Raju?

- Dwie rodziny, tak. Właśnie tak. Ale ani my, ani żadna inna organizacja nie może nikomu zmienić PESEL-u. To może zrobić tylko instytucja rządowa. Ale, jak już mówiłam, to nie było potrzebne. Jeśli chodzi o listę, to już ją dla pani przygotowałam. Proszę tylko powiedzieć, dokąd ją przefak-sować. Dostanie ją pani w ciągu kwadransa.

Annika podała numer faksu działu kryminalnego.

- Zadzwoń, żeby potwierdzić, że dostałam - powiedziała.

- Dobrze. Do usłyszenia wkrótce.

Rozłączyły się. Znowu cisza, ale już nie taka straszna. Ściany wydawały się jaśniejsze. Zadanie, odpowiedzialność, wyzwanie, jest potrzebna.

Biegacz przyspieszył, jego stopy dudniły o podłoże. Puls bił szybciej. Wciąż oddychał powoli, ale głębiej, bardziej zdecydowanie. Dobrze! Był w świetnej formie. Sunął do przodu, chociaż teren był dość trudny. Las był niezadba-ny, mnóstwo powalonych drzew psuło widok. Rzucił okiem na mapkę, w skali 1:15 000, w pięciu kolorach. Opracowano ją na podstawie zdjęć lotniczych i dość szeroko zakrojonej akcji badania terenu, w której sam brał udział. Wyprodukowało ją szwedzkie stowarzyszenie biegających na orientację. Zwykle biegał gdzie indziej, ale to miejsce ze względu na trudne warunki dobrze się nadawało do ćwiczeń.

Ćwiczył sprawdzanie kierunku w czasie biegu, z kompasem w prawej ręce i mapą w lewej. Nie zwalniał, chociaż postanowił zidentyfikować wszystkie przedstawione na mapie symbole, stopy kamieni, wzniesienia, zakręty ścieżek. Dlatego nie zauważył korzenia. Potknął się, poleciał na łeb, na szyję, głową do przodu wpadł wprost w małe drzewka liściaste. Uderzył czołem o ziemię i przez kilka sekund widział gwiazdy. Kiedy oprzytomniał, poczuł ból w stopie. Żelazne gwoździe! Jeszcze tylko jedne zawody w tym sezonie i coś takiego! Cholerny pech!

Stęknął i usiadł, ucisnął nogę w kostce. Może nie jest aż tak źle. Spróbował pokręcić stopą. Nie, nie była złamana, może zwichnięta. Podniósł się ostrożnie i stanął na niej. Aj! Musiał iść bardzo uważnie, postarać się dotrzeć do samochodu jak najostrożniej. Obejrzał mapę, szukając najlepszej drogi.

Kilka minut wcześniej mijał gliniastą leśną dróżkę biegnącą wzdłuż jednej z największych połączy powalonych drzew. Na mapie zobaczył, że prowadzi do dużej drogi. Tam mógłby złapać okazję, żeby dostać się do swojego samochodu. Westchnął ciężko, włożył mapę i kompas pod kurtkę i pokuśtykał.

Kulejąc, przeszedł gliniastą dróżką kilkaset metrów. Nagle dostrzegł między drzewami osmalone brzoźki. Zatrzymał się zdziwiony. Pożar lasu przy takiej wilgotności? A do tego ten zapach, gryzący, metaliczny.

Sprawdził, czy kompas i mapa wiszą pod kurtką na swoim miejscu, i zszedł ze ścieżki. Szedł ostrożnie, wzdłuż śladów kół. Prowadziły go między drzewa, w dół, w kierunku płytkiego wąwozu. Na skraju lasu stanął jak wryty.

Jego oczom ukazał się powykęcany metalowy szkielec, wypalone resztki czegoś, co swego czasu musiało być ciężarówką z dużą naczepą. Skąd, na wszystkie świętości, się to tutaj wzięło? I jakim cudem spaliło się tak doszczętnie?

Ostrożnie pokuśtykał w stronę wraku. Od sadzy ścielającej się po ziemi jego buty zabarwiły się na czarno. Im bliżej podchodził, tym robiło się cieplej. Samochód musiał spłonąć całkiem niedawno.

Przy kabinie kierowcy ziemia była pokryta drobno potłuczonym szkłem. Trzaskało pod podszewami. Resztki drzwi zwisały na jednym zawiasie. Podeszedł i zajrzał do kabiny.

Na podłodze coś leżało. Coś innego siedziało na siedzeniu pasażera, coś bezkształtnego, zwęglonego, rozcapierzonego. Schylił się i dotknął tego, co leżało najbliżej. Coś odpadło. Zdjął rękawiczkę i odgarnął sadzę. Kiedy zobaczył wyszczerzone zęby, zrozumiał, czemu się przygląda.

Faks działu kryminalnego stał na biurku researcherki Evy-Britt Qvist. Eva-Britt wspomagała dział kryminalny, sprawdzając, wyszukując w archiwach, dziennikach i rejestrach sądowych. Szukała, czego potrzebowali. Nie było jej przy biurku, więc Annika szybko przejrzała stosik wiadomości, które nadeszły w ciągu dnia. Komunikat wydziału prasowego sztokholmskiej policji, wiadomość od prokuratora generalnego, wyrok w sprawie przestępstwa narkotykowego.

- Co robisz z moimi papierami?

Tęga kobieta nadciągnęła od strony kafeterii jak lokomotywa. Między jej brwiami widniała zmarszczka wściekłości. Annika cofnęła się.

-Czekam na faks - powiedziała. - Chciałam tylko sprawdzić, czy przyszedł.

- Dlaczego podajesz mój numer? To faks działu kryminalnego.

Eva-Britt Qvist wyrwała jej z rąk papiery i zebrała to, co zostało na stole. Annika patrzyła na nią ze zdumieniem. Wcześniej prawie ze sobą nie rozmawiały. Eva-Britt pracowała w dzień, a Annika w nocy.

- Przepraszam - powiedziała zdziwiona. - Zawsze podaję ten numer, gdy pracuję w nocy. Nie wiedziałam, że nie wolno.

Eva-Britt wbiła w nią wzrok.

- I nigdy nie wypełniasz papierów.

Trafiła w czuły punkt. Annika się wściekła.

- Właśnie że wypełniam! - krzyknęła. - Ostatnio zrobiłam to na poprzedniej zmianie. O co ci chodzi? To chyba nie jest twój własny, prywatny faks? Czy przyszła do mnie lista urzędników z fundacji Raj?

- Co się dzieje, dziewczyny?

Anders Schyman stał za nimi.

- Dziewczyny? - powiedziała Annika i odwróciła się. - Wydaje ci się, że jesteśmy tu zupełnie same?

Szef redakcji roześmiał się.

- Wiedziałem, że to cię rozrusza. Jak leci?

- Rebecka ma mi przysłać faks, żebym mogła skończyć artykuły o fundacji Raj, ale Evie-Britt nie podoba się, że podaję ludziom numer jej faksu.

Annika zauważyła, że Eva-Britt jest wzburzona. Było jej wstyd, że nie umiała się opanować.

- Nie przyszedł - powiedziała researcherka.

Schyman zwrócił się do niej:

- Proszę więc, żebyś zwróciła szczególną uwagę na tę listę - powiedział spokojnie i powoli. - To będzie punkt wyjścia do bardzo poważnego przedsięwzięcia.

- Ale to jest dział kryminalny - powiedziała Eva-Britt.

- A to jest sprawa kryminalna - odparł Schyman. -Przestań myśleć w kategoriach osobnych działów. Annika, pozwól ze mną. Chcę usłyszeć, co nowego w tej sprawie.

Annika poszła do jego pokoju. Nie widziała nic poza jego szerokimi plecami.

W pokoju nie było kanapy.

- Posłuchałem twojej rady - powiedział Schyman. - Od tej pory wszyscy moi goście będą siedzieli na podłodze. Proszę bardzo! - Wskazał pełen kurzu ką.

Annika usiadła na krześle dla gości.

- Chyba zaczynam to rozumieć - powiedziała i potarła ręką czoło. - Rebecka Björkstig obiecała przesłać dane i wyjaśniła mi, na co idą pieniądze.

Schyman podniósł wzrok.

- Pieniądze? To oni biorą pieniądze?

Annika przewróciła kartki w dużym notesie, który wyjęła z torby.

- Zysk poszedł na rozbudowę siatki kontaktów dla ludzi, którzy nie mogą dalej mieszkać w Szwecji - wyrecytowała. - Raj ma kontakty, dzięki którym może załatwić państwowe posesje i mieszkania w innych krajach. Do tej pory udało się to w dwóch przypadkach, z dwiema rodzinami. Nikt nie musiał zmieniać tożsamości. Ani Raj, ani żadna inna organizacja nie może nikomu zmienić PESEL-u, może to zrobić tylko instytucja rządowa. Ale klienci Raju nigdy tego nie potrzebowali.

Spojrzała na szefa i spróbowała się uśmiechnąć.

- Niezłe, co?

Anders Schyman patrzył na nią spokojnie.

- Coś tu się nie zgadza - powiedział.

Wbiła wzrok w stół, nie odpowiedziała.

- Załatwianie państwowych posad w innych krajach?
- powiedział. - To brzmi jak czysta bujda. Czy ona ma na to jakieś dowody?

Annika poszukała w notatkach, nie patrząc na niego.

- Dwa przypadki - powiedziała. - Dwie całe rodziny.

- Rozmawiałaś z nimi?

Przełknęła ślinę i założyła nogę na nogę. Czowała, że przybiera pozycję obronną.

- Rebecka wie, co mówi.

Naczelny postukał długopisem w blat stołu. Zastanawiał się.

- Naprawdę? To nie rząd decyduje o numerach PESEL. Zmiany dokonuje Główny Urząd Skarbowy na zlecenie Komendy Głównej Policji.

Wszelkie odgłosy ucichły. Annika poczuła, że blednie.

- Naprawdę?

Pokiwał głową. Annika wyprostowała plecy. Z wściekłością przerzucała kartki.

- Ale ona powiedziała, że rząd, jestem tego pewna.

- Wierzę ci - powiedział Schyman. - Ale tej kobiecie z Raju nie.

Skuliła się na krześle, złożyła notes.

- I tak wykonałam kawał dobrej, nikomu niepotrzebnej roboty.

Anders Schyman wstał.

- Przeciwnie - powiedział. - Ta robota się właśnie za czyną. Jeśli to prawda, jeśli ta organizacja naprawdę istnieje, to jest to naprawdę duża rzecz. Bez względu na to, czy ta kobieta kłamie, czy nie. Opowiedz mi, co ci powiedziała.

Annika podsumowała, jak działa Raj, jak odbywa się wymazywanie. Opowiedziała o tym, że Rebecce groziła mafia jugosłowiańska i o własnych przemyśleniach na temat tego, na co idą pieniądze.

Schyman chodził po pokoju, kiwając głową. W końcu usiadł.

- Sporo już zrobiłaś - powiedział. - Ale musimy mieć tę listę. Jeśli to blef, musimy poprosić jakiegoś urzędnika, żeby nam pomógł zdobyć wszystkie dane na temat tego, co robią.

- Możemy też spróbować znaleźć kobiety, które miały z nimi do czynienia. Albo kogoś, kto tam pracował.

- Jeśli w ogóle są takie kobiety - powiedział Schyman. -I pracownicy.

Lista nie przyszła. Z faksem wszystko było w porządku. Od rozmowy z Rebecką minęły ponad dwie godziny.

Annika usiadła przy biurku Berit Hamrin i wybrała numer. Zastrzeżony, tajny. Sygnały rozbrzmiewały głucho. Zadzwoiła jeszcze raz. Nikt nie odebrał. Żadnej automatycznej sekretarki. Żadnego przekierowania.

- Czy możesz mi dać znać, jeśli lista przyjdzie? - zawołała do Evy-Britt.

Rozmawiała przez telefon i udawała, że nie słyszy.

Annika podeszła do komputera i połączyła się z Dafa/Spar, Państwowym Rejestrem Osób i Adresów, obejmującym wszystkie osoby posiadające szwedzki PESEL. Wcisnęła

F8, wyszukiwanie po nazwisku, wpisała Björkstig, Rebecka. Komputer miał i myślał, w końcu wypłuł odpowiedź.

Jeden wynik...

...informacja zastrzeżona.

Nic więcej. Nawet przecinka.

Annika wpatrywała się w ekran. Co, do diabła?

Wpisała siebie: Bengtson, Annika, Sztokholm. Kondom z gazy na palcu przeszkadzał jej, komputer zgrzytał i myślał. O, to ona. PESEL, adres, ostatnia zmiana w spisie ludności dwa lata temu. Wybrała F7, w poszukiwaniu zmian, i znalazła swój stary adres przy Tattarbacken w Halleforsnas. Technicznie wszystko było w porządku.

Jeszcze raz wklepała Björkstig, Rebecka, kobieta. Ten sam rezultat.

...informacja zastrzeżona.

Naprawdę udało jej się wykasować swoje dane.

Annika długo wpatrywała się w ekran. Jednym z jej nocnych zadań było wyszukiwanie zdjęć różnych ludzi, najczęściej paszportowych. Żeby to zrobić, potrzebowała PESEL-u, a żeby go uzyskać, wyszukiwała nazwisko w systemie Dafa. W ciągu tych kilku lat pracy w redakcji udało jej się znaleźć prawie tysiąc osób. I nigdy nie zobaczyła na ekranie czegoś takiego. Wcisnęła drukuj, zawahała się. Wklepała Begović, Aida, i otrzymała osiem wyników. Jedna mieszka na Fredriksbergsvagen w Vaxholmie, to musi być jej Aida. Zrobiła jeszcze jeden wydruk i poszła do biurka Berit.

- Przyszła lista?

Eva-Britt pokręciła głową. Annika znów zadzwoniła do Raju. Nikt nie odebrał. Rzuciła słuchawką, mocno. Cholera jasna.

Co ma teraz zrobić? Bolał ją palec. Jechać z powrotem do szpitala? Szukać domu opieki w Sztokholmie? Pojechać do domu i posprzątać?

Zaczęła szukać w swoich papierach. Znalazła folder Głównego Urzędu Skarbowego na temat fundacji. Dostała go z archiwum.

Od 1 stycznia 1996 roku obowiązuje prawo dotyczące fundacji, czytała. Reguluje sposób, w jaki tworzy się fundacje, jak się nimi zarządza, jak się prowadzi księgowość, jak ma wyglądać nadzór, rejestracja i tym podobne.

Przebiegła wzrokiem tekst. Najwyraźniej istnieje kilka rodzajów fundacji, płacą różnej wysokości podatki. Te, które są organizacjami pożytku publicznego, płacą mniej.

Nie wystarczy elegancki statut, żeby uniknąć płacenia podatku. Tak było napisane. Trzeba jeszcze zgodnie z tym statutem działać.

Odłożyła folder. Co to ma być? To jakieś głupoty. Po co się tym zajmuje? Przecież to nic nie wnosi.

Ależ tak, pomyślała nagle, to znaczy, że Raj musi mieć jakiś statut. Muszą mieć księgową i biegłego rewidenta. Muszą płacić podatki. Nie mogą być tak cholernie totalnie wykasowani.

Zebrała papiery, które dostała od Rebecki, i spojrzała na numer skrytki pocztowej w górnym rogu. Zadzwoiła na pocztę do Jarfalli i zapytała, kto wynajmuje tę skrytkę.

- Nie mogę powiedzieć - odpowiedziała zdenerwowana urzędniczka.

- Ale przecież do każdej skrytki macie jakiś adres, czy nie? - powiedziała Annika. - Chcę wiedzieć, kto korzysta z numeru 259.

- To jest objęte tajemnicą - powiedziała kasjerka. - Po dajemy tę informację tylko przedstawicielom władz.

Annika zastanawiała się gorączkowo kilka sekund.

- A może jestem przedstawicielem władz - powiedziała. - Tego przecież pani nie wie. Ja się nie przedstawiłam, a pani nie spytała.

Na chwilę zapadła cisza.

- Muszę to sprawdzić w Disie - powiedziała urzędniczka.

- W czym? - zapytała Annika.

- System Disa. Możemy się do niego podłączyć i sprawdzić, jakie mamy uprawnienia. Chwileczkę...

Trwało to całe wieki, wiele długich minut. Kiedy wreszcie wróciła do telefonu, jej głos brzmiał jeszcze bardziej oziębło:

- Odkąd poczta stała się spółką, wszystkie umowy między nami a naszymi klientami są tajne. Jeśli policja podejrzewa kogoś o przestępstwo, za które grożą więcej niż dwa lata pozbawienia wolności, możemy przekazać dane. W innych przypadkach nie wolno nam tego zrobić.

Annika podziękowała i rzuciła słuchawkę na widełki. Przechadzała się niespokojnie po redakcji. Ludzie rozmawiali, wołali do siebie, śmiali się, telefony dzwoniły, ekrany monitorów migotały.

Przedstawiciel władz. Musi się dostać do jakiegoś przedstawiciela władz. Do kogoś, kto by coś o tym wiedział. Ponieważ nie знаła żadnego, musiała liczyć na szczęśliwy traf. Wróciła do biurka, otworzyła książkę telefoniczną i zadzwoniła do rady miasta Sztokholm.

- O jaką dzielnicę chodzi?

Podać swoją własną, Kungsholmen, i została ustawiona w kolejce. Po dwunastu minutach słuchania *przytłaczającej* ciszy rozłączyła się.

A Jarfalla?

Wydział opieki nad pojedynczymi osobami i rodzinami udzielał konsultacji telefonicznych w godzinach 8.30 - 9.30 oraz w czwartki 17.00 - 17.30.

Annika westchnęła. Nie było sensu dzwonić na chybił trafił. Gdyby nawet, wbrew wszelkim oczekiwaniom, udało jej się trafić na kogoś, kto coś wie, nie udałoby im się porozmawiać. Wszystkie tego rodzaju sprawy są objęte tajemnicą. Musi znaleźć jakieś dojsście.

Poszła po kubek kawy. Podmuchała w niego, wracając do biurka. Minęła grupę kobiet. Siedziały i śmiały się przy wejściu do działu „To i Owo”. Spojrzała w podłogę, nie witając się. Miała wrażenie, że ucichły, gdy je mijała, że rozmowa się urwała, że to o niej rozmawiały.

Urojenia, pomyślała, ale nie przekonało jej to.

Postawiła plastikowy kubek na biurku Berit, rozlewając trochę kawy. Próbowwała się skupić na pracy. Nie ma sensu zwracać się z tym do pomocy społecznej, pomyślała. Wpadną w panikę, zanim zdążę zadać jakiegokolwiek pytanie, i nigdy na żadne nie odpowiedzą, nawet gdyby chodziło o sprawę publiczną.

Gdzie szukać dostępnych danych?

Faktury! Jasna sprawa!

Na rachunkach Raju musi się znajdować mnóstwo informacji: numer identyfikacyjny i adres, numer konta bankowego. Pracownik działu ekonomicznego urzędu gminy

mógłby wówczas uzyskać informacje na temat podatków, statutu czy rewidentów.

Przerzucała zielone strony spisu firm w poszukiwaniu informacji o gminach. Którą wybrać?

Odłożyła spis i wzięła do ręki wydruki z Dafy. Nie wynikało z nich, w jakiej gminie mieszka Rebecka, ale Aida była zarejestrowana w Vaxholmie.

Vaxholm.

Annika nigdy tam nie była. Wiedziała tylko, że Vaxholm leży na północ od Sztokholmu, nad samym morzem.

To niepewny strzał, pomyślała. Nie wiadomo, czy Aida skontaktowała się z Rajem. Nie ma pewności, czy jej gmina brałaby w tym udział. Może minęło zbyt mało czasu.

Z drugiej strony jakaś szansa jest. Wybrała numer, czekała całą wieczność. Myśli jej uciekały. Powinna zadzwonić i dowiedzieć się, co z babcią. Kiedy ktoś wreszcie się odezwał, nie pamiętała, dokąd dzwoni. Zapytała o kogoś, kto odpowiada za finanse w dziale socjalnym. Było zajęte. Czekala ją jeszcze jedna rozmowa. Może lepiej zadzwonić później?

Rozłączyła się, założyła kurtkę, schowała do torby notes i ruszyła w stronę wartowni, po samochód służbowy.

- Przyszła lista?

Eva-Britt nie odpowiedziała.

Popołudniami na E18 w kierunku Roslagen zawsze były problemy. W Bergshamrze stała w korku prawie kwadrans. Potem jakoś poszło.

Wspaniale było prowadzić. Jechała za szybko, wyprzedzała. Samochód miał zryw. Do centrum Vaxholmu dotarła

szybciej, niż się spodziewała. Małe, furkoczące flagi wzdłuż kamiennej drogi, przy niej wąskie domy z wieżyczkami. Bank, kwiaciarnia. Konsum. Annika uzmysłowiła sobie, że nie ma mapy.

Siedziba zarządu gminy. Ratusz, przy rynku. To nie może być aż tak cholernie skomplikowane.

Pojechała aż do nabrzeża, skręciła w prawo na małe rondo i znalazła się przy przystani promowej. Długa kolejka samochodów czekała na brudnożółty prom do Rindó.

Skręciła w lewo, pod górę. Ostra Ekuddsgatan. Spoglądała na szpaler domów z ogrodami z dostępem do morza. Należały do właścicieli hurtowni.

Sama śmietanka, pomyślała. *The hot shitpeople*.

Samochód sunął wolno stromym wzgórzem wśród domków z wyasfaltowanymi podjazdami, z bramami i okolonych sztachetami.

- Nuda - powiedziała głośno i odkryła, że znów jest tam, skąd wyruszyła. Jechała wesołą ulicą z flagami i tym razem skręciła w lewo. W końcu znalazła się przy posterunku policji, na niewielkim placu. Na wprost stał duży pomarańczowy budynek zwieńczony rosyjską cebulastą kopułką. Podwójne drzwi pomalowano tak, żeby udawały marmur, podobnie jak otaczające je filary. Na małej skrzynce na listy napisano: Miasto Vaxholm, Ratusz.

Pogoda nie poprawiła się nic a nic. Szaruga wwiercała się w mózg Thomasa, chciało mu się płakać. Ciasna uliczka pod jego oknami wyglądała jak wypełniony gliną rów. Stosy papierów wyglądały, jakby go chciały udusić. Zastrany telefon dzwonił cały czas. Gapił się na brzęczący aparat.

Mam to w nosie, nie odbieram, pomyślał. To kolejne przedszkole, któremu wydaje się, że przysługują mu jeszcze pieniądze z tegorocznego budżetu.

Gwałtownym ruchem złapał słuchawkę.

- Tu recepcja. Jest tutaj reporterka, która chce rozmawiać z kimś, kto zajmuje się finansami wydziału socjalnego i umowami, więc pomyślałam, że może ty...

O Boże, czy to się nigdy nie skończy?

- Nie jestem politykiem. Wyślij ją do rady gminy. Recepcjonistka gdzieś poszła. Kiedy odezwała się znowu, jej głos brzmiał bardziej zdecydowanie:

- Ona nie chce rozmawiać z żadnym politykiem, chce tylko trochę... o co chciała pani spytać?

Thomas oparł czoło na dłoń i jęknął. Dajcie mi siły!

Ktoś mamrotał w tle, teraz nieco głośniej.

- Czy nie mogłabym porozmawiać z nim sama? - usłyszała czyjś głos, a potem pytające „halo”.

- O co chodzi? - spytał krótko. Był zmęczony.

- Nazywam się Annika Bengtzon, jestem dziennikarką. Czy mogłabym wejść na górę i zadać panu kilka krótkich pytań? Chciałabym wiedzieć, jak gmina zawiera umowy i kupuje usługi.

Dlaczego akurat moja, pomyślał.

- Nie mam czasu - powiedział.

- Dlaczego? - spytała szybko. - Cierpi pan na wypalenie?

Nagle wybuchnął śmiechem. Co za idiotyczne pytanie.

- Nie jest pani umówiona - odparł. - A ja mam w tej chwili mnóstwo rzeczy do zrobienia.

-To potrwa tylko kwadrans - powiedziała Annika. -Nie musi się pan ruszać z miejsca, ani o centymetr. Przyjdę do pańskiego pokoju.

Westchnął cicho.

- Szczerze mówiąc...

- Jestem w recepcji. Pójdzie bardzo szybko. Proszę.

Ostatnia próba.

Thomas przetarł oczy. Czuł piasek pod powiekami. Dłużej trwałoby spławianie jej.

- No to proszę wejść.

Była szczupła, miała potargane włosy, maniakalnie zacisnięte usta i trochę zbyt głębokie cienie pod oczami, aby uchodzić za piękną.

- Bardzo, bardzo przepraszam, że tak tu wparadowałam - powiedziała i wcisnęła torbę pod krzesło dla gości. Kurtka i szalik zawisły byle jak na oparciu, jeden rękaw opadł na podłogę. Wyciągnęła rękę i uśmiechnęła się. Thomas chwycił ją i przełknął ślinę. Zauważył, że jego prawa dłoń jest wilgotna. Nie przywykł do spotkań z mediami.

- Proszę powiedzieć, jeśli posunę się zbyt daleko - powiedziała Annika. - Rozumiem, że sprawy socjalne należą do delikatnych.

Usiadła na krześle. Patrzyła mu prosto w oczy, skoncentrowana, z długopisem w gotowości. Chrząknął.

- Co sobie pani zrobiła w rękę?

Nie spuszczała z niego wzroku.

- Przytrzasnęłam. Czy słyszał pan kiedykolwiek o fundacji Raj?

Aż podskoczył.

- Do diabła, co pani o niej wie?

Zauważyła, jak bardzo jest zaskoczony. Widział, że jest zadowolona.

- Wiem co nieco - powiedziała. - Ale to mi nie wystarczy. Zastanawiam się, czy nie wie pan więcej ode mnie.

- Wszystko, co dotyczy spraw socjalnych jest poufne - odparł krótko.

- Wcale nie - zaprotestowała. Wyglądała na rozbawioną.
- Jest mnóstwo rzeczy, które nie są tajne. Nie wiem, jak to wszystko działa, i o to chciałabym pana zapytać.

Czuł się zupełnie sparaliżowany. Co, do cholery, ma z nią zrobić? Nie może wspomnieć o kobiecie z Bośni, miał w ogóle o niej nie wiedzieć. Nie chciał, żeby prasa pisała, że gmina Vaxholm zleca drogie usługi jakimś dziwnym fundacjom.

- Nie mogę pani pomóc - powiedział i wstał.

- Ona kłamie - powiedziała Annika. - Szefowa fundacji Raj to oszustka. Wiedzieliście o tym.

Opanował się. Podniosła na niego wzrok. Ciemne oczy, lekko pochylona do przodu, skrzyżowane nogi. Duży biust. Usiadł, wpatrywał się w biurko.

- Nie wiem, o czym pani mówi. Przykro mi, ale nie mogę pani pomóc. Wybacz pani, ale mam bardzo dużo pracy...

Przerzucała kartki dużego, nieporęcznego notesu. Nie miała zamiaru wstawać.

- Czy ma pan coś przeciwko temu, żebym panu zadała kilka ogólnych pytań dotyczących korzystania z tego typu usług?

- Jak mówiłem, właściwie nie mam...

- Jaki wpływ na pracę gminy miało zlecenie firmom zewnętrznym spraw związanych z działalnością publiczną?

Spojrzała mu głęboko w oczy, skupiła się na nim, czekała na odpowiedź. Przełknęła ślinę, chrząknęła.

- Po decentralizacji, która nastąpiła w związku ze zmianą prawodawstwa socjalnego w 1982 roku, sprawy finansowe mocno się pokomplikowały. Każde przedszkole, dom opieki, wszystkie tego rodzaju placówki miały mieć własny budżet. Teraz, po prywatyzacji, w mniejszym stopniu musimy wdawać się w detale. Każda pozycja figuruje jako pojedynczy koszt w budżecie.

Słuchała go z beznamiętnym wyrazem twarzy, nie ruszyła długopisem.

- A co to oznacza po naszymu?

Poczuł, jak krew napływa mu do twarzy. Był zły, przywołano go do porządku. Postanowił tego nie okazywać.

- W jakimś stopniu teraz jest łatwiej - powiedział. - Gmina wypłaca pieniądze jednorazowo, a placówki robią potem z nimi, co chcą.

Annika notowała. Thomas zamilkł.

- Czym pan się zajmuje? Kim pan jest?

- Jestem wyższym urzędnikiem działu socjalnego. Odpowiadam za jego finanse, sporządzam plany działalności, przygotowuję i nadzoruję budżet. Kieruję wewnętrznymi projektami, odpowiadam za pozyskiwanie pieniędzy na naszą działalność, reaguję na potrzeby i życzenia pracowników różnych gałęzi działalności socjalnej, sporządzam raporty kwartalne i bilanse dokonań... Można powiedzieć, że pracuję równocześnie w trzech latach: w roku minionym, bieżącym i następnym...

- Niesamowite - powiedziała Annika. - Zawsze pan tak mówi?

Thomas stracił wątek. Był zdziwiony.

- Potrzebowałem cholernie dużo czasu, żeby się tego nauczyć - powiedział.

Roześmiała się. Równe, białe zęby.

- Jak to przyjął zarząd? - spytała. - Czy nowe czasy im się podobają?

Poruszyła się, piersi zakołysały się pod swetrem. Thomas wbił wzrok w biurko.

- I tak, i nie - powiedział. - Szefowie wydziałów stracili władzę. To im się nie podoba. Nie mogą już ingerować i decydować o każdym detalu, jak wtedy, kiedy wszystkie przed szkoła i domy starców należały do gminy. Z drugiej strony unikają odpowiedzialności.

Zdziwiła go własna szczerłość. Annika notowała, nie podnosząc wzroku. Piękne, silne dłonie.

- Ludzie mają prawo do poglądów - kontynuował. - Nawet urzędnicy mają swoje poglądy na zmiany, wyznają różne ideologie.

- Może pan opowiedzieć dokładnie, czym się pan zajmuje i jakie znaczenie ma pańska praca? - spytała.

Kiwnął głową i opowiedział. Niektóre rzeczy musiał powtórzyć kilka razy, szukając nowych słów i określeń. Dziennikarka zdawała się nie mieć wielkiej wiedzy, ale chwyciła wszystko w lot. Objął ją rolę pełni w grupie kierującej wydziałem socjalnym, do której należał wraz z szefem zarządu i szefami poszczególnych jednostek. Mówił o opiece nad dziećmi, szkolnictwie, opiece nad osobami starszymi, opiece indywidualnej i rodzinnej... Omówił procedurę podejmowania przez zarząd decyzji: podejmuje je komisja socjalna, zawsze bierze w tym udział szef zarządu, prawie zawsze dyrektor finansowy oraz urzędnicy, którzy

prezentują sprawy. Czasami w skład komisji wchodzi też szefowie jednostek.

- To kto decyduje? - spytała.

Obserwował ją kątem oka. Szczupłe uda, obcisłe spodnie.

-Zależy od rodzaju sprawy - odpowiedział. - Wiele decyzji podejmują sami urzędnicy. Inne komisja. Niektóre docierają aż do Sądu Skarbowo-Administracyjnego i na szczebel rządowy, zanim cokolwiek zostanie ostatecznie postanowione.

Zastanawiała się chwilę, popukała się długopisem w czoło.

- A jeśli dostajecie propozycję współpracy od zupełnie nowej organizacji - powiedziała, przyglądając mu się uprzejmie. - Na przykład od fundacji, która pomaga ludziom w potrzebie. Kto podejmuje decyzję, żeby skorzystać z jej usług?

Nagle zrozumiał, do czego Annika zmierza, dlaczego tak wypytuje. Z jakiegoś powodu nie był niezadowolony.

- Wstępną decyzję o skorzystaniu z tego rodzaju usług najprawdopodobniej podejmą komisja - powiedział powoli. - Ale potem decyzje podejmują sami urzędnicy.

- Czy otrzymujecie dużo takich ofert? Od fundacji i różnych prywatnych przedsiębiorców?

- Nie tak wiele - powiedział. - Zazwyczaj gmina sama zbiera oferty, kiedy ogłaszany jest przetarg na jakąś usługę.

Annika przekartkowała notes.

- Gdyby gmina Vaxholm postanowiła skorzystać z usług takiej fundacji, wiedziałby pan o tym?

Thomas westchnął głęboko.

- Tak - powiedział.

- A postanowiła?

Znów westchnął.

- Tak - powiedział. - Komisja socjalna postanowiła na wczorajszym posiedzeniu skorzystać z usług fundacji Raj. Protokół prawdopodobnie jeszcze nie został sporządzony, ale będzie w nim zgoda na zawarcie umowy, w punkcie siemnym. Protokół jest oficjalnym dokumentem. Dlatego pani o tym mówię - dodał.

Twarz Anniki zmieniła kolor.

- Co pan wie o kobiecie, o którą chodzi? O Aidzie Begović z Bijeliny?

Znów drgnął, nagle wkurzony.

- Czego pani właściwie chce? - ryknął. - Przychodzi pani tu i wypytuje o bzdury, a potem insynuuje...

- Proszę się uspokoić - powiedziała Annika ostro. - Myślę, że możemy sobie wzajemnie pomóc.

Stracił panowanie nad sobą. Stwierdził, że znowu stoi. Był wzburzony, krew parzyła mu twarz, uniósł zaciśniętą prawą pięść. Co się z nim, do diabła, dzieje? Opanuj się, człowieku!

Usiadł z impetem, włosy opadły mu na twarz. Odgarnął je do tyłu obydwoma rękami.

- Przepraszam - powiedział. - Mój Boże, przepraszam, nie chciałem tak wybuchnąć...

Zaczęła się znowu uśmiechać, szeroko.

- Super - powiedziała. - Nie tylko ja jestem taka agresywna.

Wpatrywał się w nią. Patrzył na jej włosy, które nie mogły spokojnie uleżeć na głowie, na przesywające go na wskroś oczy.

Spuścił wzrok.

- Czego właściwie pani chce?

Spoważniała, postanowiła postawić sprawę jasno.

- Utknęłam - powiedziała. - Sprawdzam tę organizację i nie idzie mi to zbyt dobrze. Z danych uzyskanych od samej Rebecki Björkstig wynika, że Raj przyniósł w ostatnich trzech latach ponad osiemnaście milionów przychodu, i o ile dobrze rozumię, wydatki powinny kształtować się na poziomie siedmiu milionów. Nie wiem, jakiego typu fundacją jest Raj, więc nie mogę ocenić, jakie płaci podatki, ale wydaje się to trochę podejrzane.

- Wie pani, czy działają tak, jak twierdzą? - spytał.

Pokręciła głową. Wydawała się szczerze zmartwiona.

- Niestety. Spotkałam się i z Rebecką, i z Aida, ale nie wiem, czy jej pomagają.

- Rebecka to szefowa?

Annika przytaknęła.

- Tak twierdzi, i wierzę jej. Nie poznał jej pan? Robi bardzo dobre wrażenie, ale przyłapaliśmy ją na kłamstwie albo, inaczej mówiąc, na nieścisłości. Nie wie tyle, ile chciała by, żeby inni myśleli, że wie, a kiedy się kwestionuje to, co mówi, robi uniki. Co pan właściwie o tym wie?

Zawahał się, ale tylko na sekundę.

- Tyle co nic. Nikt, zdaje się, nic nie wie. Decyzja zapadła na posiedzeniu komisji wczoraj, mimo że w ofercie było wiele luk. Nie mam nawet numeru identyfikacyjnego.

- Ale może go pan zdobyć?

Przytaknął.

- Czy ich działalność jest zgodna z prawem?

- Zapytaliśmy o to naszych prawników dziś rano.

Annika podniosła na niego wzrok. Wpatrywała się w niego uporczywie.

- Co pan wie o fundacjach, tak ogólnie? Jak pan myśli, dlaczego Rebecka Björkstig wybrała tę formę działalności?

Pochylił się do przodu.

- Fundacja nie ma właściciela ani członków. Dotyczy jej mniej przepisów w porównaniu do spółek akcyjnych i handlowych.

Annika notowała.

- Proszę mówić dalej!

- O ile wiem, fundacje są czasami ostatnim ogniwem dla ludzi, którzy chcą ukryć pieniądze po ogłoszeniu bankructwa. Można pod przykrywką fundacji dokonywać różnego typu oszustw. Wykorzystuje się brak wglądu w ich działalność.

Annika podniosła wzrok.

- Dlaczego nikt nie ma w nią wglądu?

- Osoba, która występuje o zarejestrowanie fundacji, nie musi podawać PESEL-u. Bywało, że tacy ludzie okazywali się osobami fikcyjnymi, zmyślonymi.

Pokiwała głową, podrapała się z namysłem.

- Z jednej strony - powiedziała - to wszystko sprawia, że sprawa wygląda jeszcze bardziej podejrzanie. Rebecka mogła założyć fundację po to, żeby wyciągać od ludzi pieniądze. Z drugiej strony jednak, jeśli fundacja rzeczywiście funkcjonuje tak, jak ona mówi, to fundacja jest najlepszym rozwiązaniem.

Chwilę siedzieli w milczeniu. Thomas zauważył, że ucichły wszelkie odgłosy. Spojrzał na zegarek.

- O Boże - wybuchnął. - Już ta godzina?

Uśmiechnęła się.

- *Time flies when you're having fun.*

Wstał pośpiesznie.

- Muszę iść - powiedział.

Annika zebrała swoje rzeczy i włożyła je do wielkiej torby. Założyła kurtkę i szal i chwyciła Thomasa za rękę.

- Dziękuję, że znalazł pan dla mnie czas.

Szczere spojrzenie, wyprostowane plecy. Niewysoka, no i ten biust. Zauważył, że znów ma wilgotne ręce.

- Będę się dalej tym zajmować - powiedziała. Potrząsnęła jego dłonią i przytrzymała ją. - Zastanawiam się tylko nad jednym - dodała, wciąż trzymając go za rękę. - Jeśli coś ustalę, chciałby pan się dowiedzieć?

Przełknął ślinę, miał sucho w gardle. Skinął głową.

Uśmiechnęła się.

- Dobrze. A jak pan się czegoś dowie, da mi pan znać?

Puścił jej rękę.

- Zobaczymy...

- Do widzenia.

Sekundę potem już jej nie było. Patrzył na zamknięte drzwi i słyszał, jak jej kroki cichną na korytarzu. Podeszedł do krzesła, na którym siedziała i usiadł na nim. Wciąż trzymało jej ciepło. Ciepło jej łona.

Szybko wstał, wyjął jakiś segregator i otworzył na stronie z budżetem wydziału socjalnego. Cyfry tańczyły mu przed oczami. Zirytowany zatrzasnął segregator i podeszedł do okna. Wyszukane, wręcz malownicze szyldy sklepów uśmiechały się do niego z dołu szydlerczo. Bland Kobbar-&Skar, VaxholmsTe&Kryddhandel.

Powinien iść do domu. Eleonor czeka z obiadem.

Strumień samochodów płynący w kierunku Sztokholmu był znacznie rzadszy niż ten, który opuszczał miasto. Annika wyrzała przez szybę. Nuda szwedzkiego przedmieścia otaczała ją ze wszystkich stron. Kiedy tylko opuściła centrum Vaxholmu, zniknęły malownicze domy, ustępując miejsca lokatorskim koszarom. To mógłby być Flen, pomyślała. Tablica po lewej stronie wskazywała Fredriksberg, to tam mieszkała kiedyś Aida. Annika zwolniła. Zastanawiała się chwilę, czy nie podjechać i nie poszukać adresu Aidy, ale zrezygnowała.

W radiu ostrzegano przed marznącą mżawką i śliską nawierzchnią.

Przynajmniej żyję, pomyślała. Mogę tu jeszcze pobyc jakiś czas.

Spróbowała spojrzeć w niebo, ale zasłaniały je ciężkie chmury. Nie było widać gwiazd. Nikt z kosmosu nie mógł jej zobaczyć.

Wracała powoli, teraz inni ją wyprzedzali. Poczowała spokój. Babcia leżała jej na sercu jak ciężki kamień smutku.

Krajobraz był zupełnie pospolity. Droga 274 mogłaby równie dobrze być drogą między Halleforsnasem i Katri-neholmem. Włączyła radio, znalazła stację, która nadawała maraton z muzyką Boney M. *Brown girl in the ring, tralala-lala. Ma Baker, she taught her four sons, mamamama, Ma Baker to handle their guns. Run run Rasputin, lover of the Russian queen.*

Kiedy dojechała do Arninge i zjechała z powrotem na E18, zaczęło kropić, ale deszcz zatrzymał się w powietrzu, zawisł. Całą drogę do Marieberga, do redakcji, słuchała niemieckiego disco.

Wartownia była pusta, położyła klucze na biurku. Potem poszła do domu na Hantverkargatan, przez park Ralambhov i wzdłuż Norr Malarstrand. Było przenikliwie zimno. Latarnie uliczne i światła neonów rozpraszały ciemność, ale i tak była gęsta i ciężka. Myślała o babci. Co teraz będzie?

Poczuła narastający skurcz w dołku. Pulsował w niej lęk.

Kiedy dotarła do domu, była przemarznięta, szczykała zębami. Zadzwoił telefon. Pobiegnęła odebrać w zabłoconych butach.

Babcia! O Boże, coś się stało z babcią!

Było jej wstyd, że jest taka spokojna. Czuli się winna, że nie siedzi w szpitalu.

- Mam zamiar wstąpić do Tajlandczyka i kupić na wy nos kurczaka z woka z orzechami nerkowca - powiedziała Annę. - Chcesz?

Annika usiadła na podłodze.

- Tak, chętnie.

Annę Snapphane zjawiała się pół godziny później, z dwiema paczkami w folii aluminiowej w plastikowej torebce.

- Cholera, ale zimno - powiedziała, kiedy wytarła buty.

- To ostre powietrze to zabójstwo dla oskrzeli. Czuję, że do staję bronchitu. Jest gorzej z minuty na minutę.

Annę miała silną skłonność do hipochondrii.

- Załóż grube skarpety. Ci, którzy mają ciepłe stopy, zawsze trzymają się zdrowo, tak mówi moja babcia - powiedziała Annika i rozplakała się.

- Matko, co się stało?

Annę podeszła do Anniki i usiadła obok niej na kanapie. Czekala. Annika płakała. Czuli, jak kamień w jej sercu robi się ciepły, mięknie i powoli się rozplywa.

- Babcia - powiedziała. - Miała wylew i leży w szpitalu Kullbergska w Katrineholmie. Nigdy nie wyzdrowieje.

- Cholera - powiedziała Annę ze współczuciem. -Co z nią będzie?

Annika wysmarkała się w serwetkę, przetarła twarz i odetchnęła.

- Nie wiadomo. Żadne miejsce nie jest odpowiednie i nikt nie ma czasu się nią zająć, a ona potrzebuje mnóstwo wsparcia i rehabilitacji. Pewnie skończy się na tym, że będę musiała rzucić pracę i wziąć ją do siebie.

Annę przechyliła na bok głowę.

- Na trzecie piętro, bez windy, bez toalety i ciepłej wody?

Annika sformułowała to, co leżało jej na wątrobie przez cały dzień:

- Będę musiała się przeprowadzić gdzieś do Katrineholmu. To nie koniec świata. Pomyśl, co ja właściwie takiego robię? Siedzę i przerabiam teksty innych reporterów w głównej gazecie z kiepskim wizerunkiem. Czy to jest ważniejsze niż zajęcie się jedyną osobą, którą się kocha?

Annę nie odpowiedziała. Pozwoliła Annice wypłakać się do końca. Poszła do kuchni po szklanki i sztucce. Annika włączyła telewizor. Oglądały „Rapport” i jadły kurczaka z woka, prosto z opakowań. Giędy znowu poszły w górę. Znow zamieszki w Mitrovicy. Partia socjaldemokratyczna przed kongresem.

- Mówisz poważnie o rzuceniu pracy? - spytała Annę. Rozparła się na kanapie, zbyt najedzona, żeby się ruszyć.

Annika potarła ręką czoło i westchnęła głęboko.

- W ostateczności. Nie chcę tego robić, ale co zrobię, jak nic innego nie wymyślę?

- Tytuł mistrza męczeństwa nikomu nie przynosi wielkiego pożytku - powiedziała Annę. - Odpowiadasz też za siebie. Nie wolno nigdy uzależniać swojego życia od kogoś innego. Chcesz wina?

- Lekarka powiedziała, że mam pić alkohol. Najchętniej białego.

- A co myślałaś? Od czerwonego robią mi się na twarzy czyraki. Cholera, ale tu u ciebie zimno. Masz otwarte okno?

Annę wstała i poszła do kuchni.

- Wiatr wybił szybę! - zawołała za nią Annika.

Annę wróciła z winem. Siedziały pod kocami i piły char-donnay z kartonika.

- A poza tym? - spytała.

Annika westchnęła, przymknęła oczy i oparła tył głowy o kanapę.

- Pokłóciłam się z mamą. Ona mnie nie lubi. Zawsze to wiedziałam, ale bardzo smutno było to usłyszeć.

Ból przeszył jej ciało. Brak miłości bolał bardzo osobliwie.

Annę patrzyła na nią bez przekonania.

- Nie znam nikogo, kto by się dogadywał z własną matką.

Annika pokręciła głową. Stwierdziła, że potrafi się uśmiechać, i spojrzała w dół, na swój kieliszek.

- Naprawdę uważam, że mnie nie lubi. Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że ja też jej nie lubię. Powinno się lubić swoją matkę?

Annę zamyśliła się.

- Właściwie nie. Zależy, jak matka się zachowuje. Jeśli na to zasługuje, to można ją kochać, jak się chce. Nie ma żadnego przymusu. Natomiast - powiedziała Annę, kiwając

palcem - natomiast zawsze trzeba kochać swoje dzieci. Chodzi o odpowiedzialność. Nie można przed nią uciec.

- Ona uważa, że ja w ogóle nie zasługuję na miłość - powiedziała Annika.

Annę wzruszyła ramionami.

- Myli się. To dowodzi, że jest wariatką. Teraz chcę usłyszeć o czymś fajnym. Nie wydarzyło się czasem coś zabawnego?

Ciężar zelżał. Annika odetchnęła i uśmiechnęła się.

- Mam na warsztacie niezłą rzecz. Cholernie podejrzana fundacja, która wymazuje ludzi z rejestrów. Takich, którym grozi śmierć.

Annę upiła trochę wina i uniosła brwi. Annika mówiła dalej:

- Spotkałam się dzisiaj z facetem z urzędu gminy. Robią interesy z tą fundacją. Jeśli wszystko dobrze poszło, mogę mieć tam wejście.

- Przystojniak? - Annę wypiła resztę wina i nałała sobie jeszcze.

- Prawdziwy gamoń - powiedziała Annika. - Puścił straszną, oficjalną, biurową gadkę. Próbowałam go jakoś skłonić, żeby się odprężył, gadałam trochę tak dookoła, wiesz, ale nie podziałało. Pewnie nigdy nie rozmawiał z dziennikarzem. Był cholernie zestresowany...

- E, tam - powiedziała Annę i zakręciła kieliszkiem. - Na pewno siedział i napalał się na twoje cycki.

Annika wbiła wzrok w przyjaciółkę.

- Ty nienormalna jesteś - powiedziała. - Urzędnik z wydziału socjalnego?

- Przecież chyba i on ma penisa? A co on robił we Frihamnen?

Annika jęknęła, odstawiła kieliszek i wstała.

- Nie nadążasz. Frihamnen było przedwczoraj. A on się dzi w Vaxholmie. Chcesz wody?

Przyniosła dzbanek i dwie szklanki. Długowłosa przystojniak Per skończył opowiadać o pogodzie, po czym zaczął się nowy program. Paczka kobiet w średnim wieku z ambicjami kulturalnymi wszczęła dyskusję na jakiś zupełnie bezsensowny temat. Annika wyłączyła telewizor.

- A jak tam w „KvinnosofFan”?

Teraz Annę westchnęła.

- Michelle Carlsson, ta nowa laska, cały czas chce być na ekranie. Robi komentarze do wszystkich swoich kawałków i nie pozwala ich wycinać. Zaproponowała, żebyśmy zrobili panel na kanapie, w którym kobiety będą rozmawiały o różnych sprawach, typu seks i tym podobne, no i ona miałaby tam występować.

- Tak powiedziała?

Annę znów westchnęła.

- Nie, ale przecież to wiadomo. Przecież po to to proponowała.

- Dobrze, że ktoś chce się pokazywać na ekranie - powiedziała Annika. - Ja bym się broniła rękami i nogami, wołałabym umrzeć.

- W większości przypadków jest odwrotnie - odparła Annę. - Wielu po trupach idzie po swoje miejsce na wizji.

Tocząca się w telewizji debata dotyczyła sztuki, sprawy prawie zawsze aktualnej.

- Pozwólcie, że zadam pytanie - powiedziała prowadząca. - Co oznacza dla was sztuka?

Pierwsza uczestniczka zatoczyła prawą ręką koło.

- Ciągłe trwającą rozmowę - powiedziała, wciąż machając ręką.

- Dobra sztuka to sztuka ważna, zawierająca w sobie nowe tworzenie, substancję i zdolność docierania do ludzi - powiedziała druga uczestniczka i wyciągnęła w bok lewą rękę.

- Poważni artyści odzwierciedlają współczesność. Osobiście uważam, że to dobrze prowadzić taką dyskusję, a ta debata dowodzi, że sztuka jest ważna - powiedziała trzecia z podniesionymi brwiami.

- Ale czy to oznacza, że sztuka jest ważna tylko dlatego, że się o niej debatuje? - spytała prowadząca.

- Są granice - rozwinęła temat trzecia uczestniczka. -I trzeba je określać dla każdego przypadku osobno. Jeżeli znamy twórców, zazwyczaj wiemy, na ile są poważni, ale nie można się zasklepić w swoich osądach. Sztuka konceptualna, w której liczy się przede wszystkim sama idea wystawy, jest...

Thomas wstał z kanapy.

- Idę po piwo. Chcesz?

Eleonor nie odpowiedziała. Zmarszczka irytacji na czole oznaczała, że ma jej nie przeszkadzać. Wchodził po schodach, słysząc kulturalne głosy:

- ...współczesna sztuka zawsze była trudna. Być może od biorcy sztuki Giotto di Bondone również zrzędzili, trzymając w zaciśniętych zimnych palcach woreczki z datkami, gdy ten uwspółcześniał malarstwo religijne swoich czasów...

Podszedł do lodówki. Nie ma zimnego piwa. Westchnął. Poszedł do spiżarni i otworzył letnie. Rozejrzał się za wieczornymi gazetami, ale nie znalazł.

- Nie oglądasz? - zawołała Eleonor.

Siedział kilka sekund na kuchennym krześle. Wypił duży łyk, gaz wdarł mu się do nosa. Westchnął i zszedł na dół.

- Feminizm znacząco wpłynął na debatę o literaturze i sposób spisywania historii literatury - powiedziała prowa-
dząca. - Czy miał wpływ również na samą literaturę? Jeśli tak, to jaki?

Thomas usiadł na kanapie. Kobieta, która zabrała głos, wyglądała jak gruszka. Była wydawcą czasopisma literackiego i z jej ust wydobywał się taki słowotok, że Thomas pękał ze śmiechu.

- ...sprzyjało kobiecemu piarstwu - mówiła - zwracając na nie szczególną uwagę. Pamiętam cytaty z duńskiego pisarza...

- Nie ma to jak traktować się poważnie - wybuchnął Thomas.

- Cicho, przecież słucham.

Wstał szybko z kanapy i znów poszedł do kuchni.

- Thomas, co się dzieje? - zawołała za nim Eleonor.

Westchnął cicho. Grzebał w aktówce w poszukiwaniu gazet.

-Nic.

O, są. Wyjął je. Były pogniecione, a wkrótce staną się nieaktualne i nieinteresujące.

- Nie obejrzysz debaty? W sobotę będzie o niej dyskusja na spotkaniu stowarzyszenia kulturalnego.

Nie odpowiedział. Zaczął od „Kvallspressen”. Tam pi .1
cowała. Nie znalazł jej, prawdopodobnie nie pisała reporta-
ży z małymi portretami przy podpisie.

- Thomas!

-Co?

- Nie musisz na mnie krzycheć. Mamy jakieś puste kase
ty? Chciałabym to nagrać!

Opuścił gazetę i zacisnął powieki.

- Thomas!

- Nie wiem! Mój Boże! Daj mi poczytać w spokoju!

Demonstracyjnie rozpostarł gazetę. Spoglądał na niego
wielki mężczyzna w ciemnym ubraniu. Szef mafii papiero-
sowej. Słyszał, jak Eleonor manipuluje przy magnetowidzie
w salonie, i wiedział, co się zaraz stanie. Zacznie krzycheć,
walić w urządzenie i żądać, żeby je naprawił.

- Thomas!

Rzucił gazetę i trzema krokami zbiegł po schodach.

- No - mruknął - jestem. Powiedz, co mam zrobić, że
bym mógł wreszcie iść na górę i przeczytać w spokoju tę
cholerną gazetę!

Patrzyła na niego, jakby zobaczyła ducha.

- Co z tobą? Jesteś zupełnie czerwony na twarzy. Potrze-
buję pomocy przy wideo. Czy to tak dużo?

- Możesz się nauczyć wciskać przyciski sama.

- Opanuj się - powiedziała niepewnie. - Nie chcę prze-
gapić debaty.

- Kilka cholernych bab z pretensjami z klasy średniej,
które onanizują się po kolei w telewizji. Czy jest coś do stra-
cenia?

Wpatrywała się w niego z na wpół otwartymi ustami.

- Ty nie jesteś zupełnie normalny - powiedziała. - Cała Szwecja utonąłaby w otchłani kulturalnej ciemnoty, gdyby nie te kobiety! One reprezentują i kształtują dla nas kulturę, obraz naszego dzisiejszego społeczeństwa!

Spojrzał na nią, taką ukształtowaną, taką reprezentowaną. Odwrócił się na pięcie, wziął płaszcz i wyszedł.

Aida otworzyła oczy i poczuła, że gorączka spadła. Myśli miała czyste i klarowne, nic już jej nie bolało. Chciało jej się pić.

Kobieta, którą poznała rano, siedziała obok na taborecie.

- Chcesz się napić?

Aida skinęła głową. Kobieta podała jej szklanekę soku jabłkowego. Ręka jej drżała, kiedy ją brała. Wciąż była słaba.

- Jak się czujesz?

Przełknęła ślinę, kiwnęła głową i rozejrzała się dookoła. Szpitalna sala, lekko nieprzyjemne uczucie w prawym ramieniu, kropiówka. Była naga.

- Dużo lepiej, dziękuję.

Kobieta podniosła się z taboretu i pochyliła nad nią.

- Jestem Mia - powiedziała. - Pomogę ci. Wyjdziemy stąd jeszcze dziś w nocy, więc spróbuj odpocząć tyle, ile możesz. Chcesz coś zjeść? Jesteś głodna?

Aida pokręciła głową.

- Co to jest? - spytała i pomachała prawą ręką.

- Dożyłny antybiotyk - powiedziała Mia. - Masz silne obustronne zapalenie płuc. Musisz brać antybiotyk jeszcze przez dziesięć dni.

Aida zamknęła oczy i potarła lewą ręką czoło.'

- Gdzie jestem? - szepnęła.

- W szpitalu, daleko od Sztokholmu - powiedziała Mi. i
- Przywieźliśmy cię tu z mężem.
- Jestem tu bezpieczna?
- Całkowicie. Tutejsi lekarze to nasi starzy przyjaciele.
Nie jesteś nigdzie zarejestrowana. Twoją historię choroby
zabierzemy ze sobą, kiedy będziemy wyjeżdżać. Ten, który
cię ściga nigdy cię tu nie znajdzie.
Aida podniosła wzrok.
- A więc wiesz?
- Rebecka opowiedziała nam wszystko - odparła Mia i
pochyliła się nad nią. - Aida, nie ufaj Rebecce.

Część
druga
LISTOPAD

Żaden człowiek nie jest niewinny

Nawet ja nie mogę się odciąć od konsekwencji swoich czynów.

Natomiast poczucie winy i odpowiedzialność nie zawsze idą w parze. Nie ma żadnej boskiej sprawiedliwości, kiedy rozdzielana jest wina. Ten, kto powinien czuć się winny najbardziej, często może się uchylić, pozwolić, żeby nadludzki ciężar nieśli ci, którzy mają największe pokłady empatii. Nie zgadzam się na to.

Wiem, co zrobiłam, i nie mam zamiaru grać roli, którą próbuje mi się narzucić. Przeciwnie. Mam zamiar nadal korzystać ze swoich narzędzi, aż osiągnę cel. Przemoc stała się częścią mnie, niszczy mnie, ale pogodziłam się z tym.

Moja wina leży głębiej, wypełniła tę część mojej duszy, którą nadal dysponuję. Nie mogę niczego naprawić, nie mogę się pogodzić z własnym błędem.

Nigdy nie dostanę rozgrzeszenia. Moja zdrada jest tak straszna jak śmierć.

Próbowałam nauczyć się z tym żyć. To niemożliwe, w samej myśli o tym tkwi paradoks.

Żyję, na tym polega moja wina.

Jest tylko jeden sposób, żeby ją odpokutować.

Czwartek, 1 listopada

PADAŁ ŚNIEG. Płatki przyklejały się Annice do kurtki, pokrywały białą jej pierś i włosy. Na ziemi szybko zamieniały się w mokrą mieszanę soli i wody. Annika weszła w kałużę i stwierdziła, że jej buty przeciekają.

Biuro spraw obywatelskich samorządu dzielnicowego znajdowało się przy jej ulicy, przy Frihemsplan, w Tegeltra-ven. Okna wystawowe ukazywały jej odbicie. Wyglądała jak bałwan. Za szybą widniała tablica informująca, że w parku Ralambhov powstanie nowy hotel, przy wjeździe na obwodnicę Essinge. Uwagi na temat budowy mile widziane.

Zadzwoiła i weszła do biura. Wszędzie wisiały jakieś ogłoszenia. Zebrała wszystkie broszury na temat opieki nad starszymi osobami i miejsc, gdzie mogą mieszkać, jakie udało jej się znaleźć. Kiedy wychodziła, zauważyła, że obok mieści się zakład pogrzebowy.

Powietrze między płatkami śniegu było czyste i klarowne. Odgłosy były stłumione, jakby owinięte watą. Przystanąła i wsłuchiwała się, oddychała, odczuwała. Wypała się, myślała jasno i spokojnie.

Na pewno jest jakieś wyjście. Wszystko da się poukładać.

Wchodziła wolno po schodach, ze wzrokiem utkwionym w stopy. Dlatego nie zobaczyła kobiety czekającej pod jej drzwiami.

- Annika Bengtzon?

Annika wzdrygnęła się. Zrobiła krok w bok i prawie spała tyłem w dół.

- Kim pani jest?

Kobieta podeszła do niej i wyciągnęła rękę.

- Nazywam się Maria Eriksson. Nie chciałam pani wystraszyć.

Annika spojrzała wprost na nią, czekała.

- Czego pani chce? Skąd pani zna mój adres?

Kobieta uśmiechnęła się trochę smutno.

- Jest pani w książce telefonicznej, łącznie z adresem. Chciałabym z panią o czymś porozmawiać.

- O czym? - Annika zaczęła się denerwować.

- Może lepiej nie na klatce.

Annika przełknęła ślinę. Nie chce, nie teraz. Chce usiąść na kanapie, pod swoim kocem, pić herbatę i przeglądać broszury o mieszkaniach dla staruszków, znaleźć jakieś rozwiązanie, odzyskać spokój. Cokolwiek ta kobieta ma jej do powiedzenia, to nie jej sprawa. Na pewno. Czują to.

- Nie mam czasu - powiedziała Annika. - Moja babcia jest chora, muszę znaleźć kogoś, kto będzie ją rehabilitował po wylewie.

- To bardzo ważne - powiedziała kobieta z powagą.

Nie zrobiła żadnego ruchu, nie odsunęła się od drzwi.

Irytacja zamieniła się w złość, aby zaraz przerodzić się w strach. Stojąca przed nią kobieta nie miała zamiaru się poddać. Budziła respekt.

Aida, pomyślała Annika i cofnęła się.

- Kto panią przysłał?

- Nikt - powiedziała Maria Eriksson. - Przyszłam z własnej inicjatywy. Chodzi o fundację Raj.

Annika wpatrywała się w nią, a ona odwzajemniała jej spojrzenie. Podejrzliwość jest taka męcząca.

- Nie wiem, o czym pani mówi - powiedziała.

W tym momencie w oczach kobiety pojawił się błysk desperacji.

- Nie ufaj Rebecce! - powiedziała.

Teraz ją zaciekała. Nie chciała już robić uników. To w końcu jej problem, problem, który sama wybrała.

- Proszę wejść - powiedziała. Podeszła do drzwi i otworzyła je. Powiesiła swoje mokre ubranie na kaloryferze w sypialni, zamknęła drzwi i zdjęła spodnie i skarpetki. Poszukała w szafie suchych, czystych ubrań, wytarła ręcznikiem włosy i poszła do kuchni zagotować wodę.

- Chce pani kawy czy herbaty?

- Proszę mi mówić Mia. Nie, dziękuję.

Usiadła na kanapie w salonie. Annika przygotowała duży dzbanek herbaty z cytryną i wniosła tacę do salonu. Maria była spięta.

- Poznałaś Rebeckę Björkstig, prawda? - spytała.

Annika skinęła głową i naląła herbaty do swojego kubka.

- Na pewno nie chcesz?

Nie słyszała.

- Rebecka chodzi i opowiada wszystkim, że napiszesz w „Kvallspressen” wielki artykuł o tym, jaka wspomniała jest jej organizacja. To prawda?

Annika zamieszała herbatę. Czula w żołądku męczący niepokój. Mieszał się z ciekawością.

- Nie wolno mi zdradzać, o czym gazeta będzie pisać, a o czym nie.

Nagle obca kobieta siedząca na kanapie zaczęła płakać. Annika niepewnie odstawiała kubek na spodek.

- Proszę, nie pisz niczego, dopóki się nie dowiesz, jak to wszystko wygląda - poprosiła Maria. - Poczekaj z pisaniem, aż zbierzesz wszystkie informacje.

- Oczywiście, że tak zrobię - powiedziała Annika. - Ale bardzo trudno jest sprawdzić, co robią. Wszystko jest tak tajne, że o każdy szczegół muszę pytać Rebeckę.

- Ona nie ma na imię Rebecka. Annika upuściła łyżeczkę. Oniemiała.

- Do niedawna nazywała się zupełnie inaczej, o ile wiem - mówiła dalej Maria. Wyjęła chusteczkę i wytarła oczy. - Nie wiem dokładnie jak. Agneta coś tam, zdaje się.

- Skąd wiesz? - spytała Annika.

Maria wytarła nos.

- Rebecka mówi o mnie „wykasowana” - powiedziała. Annika wpatrywała się w młodą kobietę siedzącą na kanapie, prawdziwą i namacalną. Wykasowana!

- Więc to działa? - spytała.

Maria włożyła chusteczkę do torebki.

- Nie - powiedziała. - Uważam, że wcale nie działa.

W tym właśnie problem.

- Ale ty jesteś wykasowana z rejestrów?

Maria zaśmiała się.

- Moje dane od wielu lat są zablokowane - powiedziała. - Całe wieki nie figuruję w żadnym rejestrze, ale to nie ma nic wspólnego z Rebecką i Rajem. Sama się postarałam o ochronę dla siebie i swojej rodziny. Problem w tym, że to nie wystarcza. Dlatego zwróciłam się do Raju.

- Czyli nie uczestniczysz w tym wszystkim formalnie?

- Moja sprawa nie jest jeszcze załatwiona, opieka społeczna w mojej gminie nie zgodziła się podpisać umowy - odpowiedziała Maria. - Dlatego właściwie stoję z boku, przez to jednak mam lepsze rozeznanie, niż gdybym była w to naprawdę uwikłana.

Annika sięgnęła po kubek, podmuchała i spróbowała uporządkować swoje wrażenia: strach, sceptycyzm, napięcie, osłupienie. Maria jest taka prawdziwa, blondynka, poważna, przeszywa wzrokiem na wskroś. Ale czy mówi prawdę?

Była skonsternowana.

- Od kiedy jesteś w kontakcie z Rajem?
- Od pięciu tygodni.
- I nic nie udało się załatwić?

Maria westchnęła.

- To zależy od opieki społecznej. Zastanawiają się, czy mogą opłacić naszą przeprowadzkę za granicę.

-Przez Raj? Maria przytaknęła.

- Rebecka żąda za pomoc sześciu milionów. Nasz przyrządek jest właściwie dość zwyczajny. Sąd skarbowo-administracyjny uznał, że nie możemy normalnie żyć w Szwecji. Możesz przeczytać wyrok.

Annika złapała się za czoło.

- Muszę to zanotować. Zgadzasz się?
- Oczywiście.

Wyszła do przedpokoju. Torba była mokra. Wysypała jej zawartość na podłogę. Pudełko cukierków Tenor, podpaski, zużyty bilet kolejowy, notes i długopis, gruby złoty łańcuszek.

Złoty łańcuszek. Podniosła go. Prezent od Aidy. Zapomniała o nim.

Szybko wrzuciła wszystko do torby, oprócz notesu i długopisu.

- Co ci grozi? - spytała, siadając z powrotem na kanapie.

Maria uśmiechnęła się lekko.

- Może się jednak napiję herbaty, pysznie wygląda. Dziękuję. Historia jakich wiele. Zakochałam się nie w tym facecie co trzeba. Spodziewałam się, że spytasz, więc wzięłam ze sobą dokumenty.

Wyjęła teczkę z plikiem papierów.

- To kopie. Jeśli chcesz, możesz je zatrzymać, ale byłabym wdzięczna, gdybyś je przechowywała w bezpiecznym miejscu.

- Opowiedz - powiedziała Annika, biorąc teczkę do ręki.

- Próba uduszenia - powiedziała Maria Eriksson i wysypała cukier do herbaty. - Grożenie nożem. Maltretowanie. Gwałt. Próba wprowadzenia naszej córki. Zniszczenie domu, wszystko, co możesz sobie wyobrazić. Podpalenie. Mogę tak wymieniać bez końca, ale nikogo to nie obchodzi.

Ostrożnie popijała herbatę. Annika poczuła, jak budzi się w niej dawna furia.

-Wiem, jak to może wyglądać. Dlaczego policja nic z tym nie zrobiła?

Maria znowu się uśmiechnęła.

- Moi rodzice nadal mieszkają w moim rodzinnym mieście - powiedziała. - Jeśli pisnę słowo, zabije ich.

- Skąd wiesz, że nie blefuje?

- Próbował przejechać mojego ojca.

- Przejrzę twoje papiery później - powiedziała Annika i położyła je na podłodze.

Nie wiedziała, co jeszcze mogłaby powiedzieć. Przesztudiuje je dokładnie, ale pewnie potwierdzą to, co Maria powiedziała. Wierzyła jej. Było w niej coś prawdziwego. Być może strach.

Siedziały chwilę w milczeniu, porcelana pobrzękiwała.

- Czy Raj w ogóle coś robi? - zapytała Annika.

Maria skinęła głową.

- Rebecka bierze pieniądze, ale to wszystko. Żadne wy mazywanie się nie odbywa, o ile dobrze rozumiem. Jedyne, co się dzieje, to to, że Rebecka czasami wnioskuje o zamknięcie dostępu do danych klienta w rejestrze ludności.

- Na czym to polega? - spytała Annika.

Maria usiadła wygodniej.

- Zastraszane osoby można chronić na kilka sposobów - powiedziała. - Najłatwiej zablokować dostęp do danych PESEL, adres i powiązania rodzinne zostają zabezpieczone we wszystkich urzędowych rejestrach. We wszystkich rejestrach jest napisane tylko: dane osobowe chronione.

Annika pokiwała głową. Przypomniała sobie ostatnią rozmowę z Rebecka.

- To niesamowite, prawda?

- W Szwecji jest mniej niż dziesięć tysięcy takich osób - powiedziała Maria. - Decyzję o zablokowaniu dostępu podejmuje szef urzędu skarbowego w miejscu zameldowania, w gestii którego to urzędu znajduje się również ewidencja ludności. Żeby skorzystać z takiej możliwości, trzeba przedstawić historię zastraszania.

- Twoje dane są zablokowane?

- Nie, miejsce zameldowania mojej rodziny jest utajnione od wielu lat. To szersza i bardziej skomplikowana forma ochrony. W takich przypadkach tylko jedna osoba zna miejsce zameldowania. To szef urzędu skarbowego w miejscu, gdzie jest się w sposób utajniony zameldowanym. Żeby zostać objętym taką formą ochrony, trzeba spełnić więcej

wymagań niż przy blokowaniu danych. Zastraszenie powinno wyglądać mniej więcej tak samo jak w przypadkach, w których stosuje się zakaz odwiedzin.

- Ile osób w Szwecji jest zameldowanych w sposób utajniony?

- Mniej niż sto - powiedziała Maria.

Ona naprawdę jest wykasowana!

- Są inne sposoby?

- Można oczywiście zmienić nazwisko i PESEL. Załatwia się to w Komendzie Głównej Policji, która wnioskuje do Głównego Urzędu Skarbowego o nadanie nowego numeru.

Ona przynajmniej wie, o co chodzi, pomyślała Annika.

- A ty, zmieniłaś tożsamość?

Maria zawahała się, potem pokiwała głową.

- Miałam już wiele nazwisk i otrzymałam nowy PESEL.

Kiedyś byłam zodiakalną Panną, i nagle stałam się Baranem!

Roześmiały się obie.

- Co jeszcze robi Rebecka?

Maria spoważniała.

- A co powiedziała?

Annika wypiła łyk herbaty. Musiała podjąć decyzję: albo wierzy tej kobiecie, albo wyrzuca ją za drzwi. Wybrała to pierwsze.

- Sześćdziesiąt przypadków w ciągu trzech lat - powiedziała. - Dwa przeniesienia całych rodzin za granicę, pięć osób pracujących na pełen etat za czternaście tysięcy miesięcznie, wszelkie kontakty ze światem zewnętrznym odbywają się za pośrednictwem numeru referencyjnego Raju, osoby kontaktowe przez całą dobę, przekierowanie telefonów, nieruchomości w całej Szwecji, możliwość załatwiania

państwowych posiad w innych krajach, pełna obsługa medyczna, pomoc prawnika, pełna opieka. Maria westchnęła i pokiwała głową.

- To mniej więcej to, co zawsze opowiada. Jestem zdziwiona, że mówi o organizowaniu życia zagranicą. Na ten temat nie udziela żadnych informacji.

Broniła się najdłużej, jak mogła.

- Okej - powiedziała Maria. - Te pięć osób to ona sama, jej brat, siostra i rodzice. Na pewno pobierają pensję, ale nie pracują. W fundacji Raj w ogóle nic się nie robi. Jej mama czasami odbiera telefony, to wszystko.

Zapadła cisza.

- A nieruchomości?

Maria roześmiała się.

-Mają rozpadający się dom w Jarfalli, tam właśnie mieszkamy. Tam zainstalowany jest telefon. Dzwoni, gdy Rebecka dostaje nowy przypadek. Gdzieś tam siedzi jakiś zrozpaczony biedak i dzwoni, dzwoni i dzwoni, ale nikt nie podnosi słuchawki...

Annika pokręciła głową.

- Czyli to kłamstwo, każde słowo to kłamstwo?

Maria pomruwała zażawionymi oczami.

- Nie wiem - powiedziała. - Nie wiem, co się dzieje z innymi.

- Z innymi?

Kobieta pochyliła się do przodu i wyszeptwała:

- Innymi, którzy trafiają do Raju. Nie wiem, co się z nimi dzieje. Przychodzą, mijają nas i znikają!

- Nie mieszkają w tym domu?

Maria znów się zaśmiała.

- Nie, tam jesteśmy tylko my. Wynajmujemy od niej pokój, płacimy na lewo. Myśli, że zarobi na nas masę kasy, po nieważ nasz przypadek jest taki oczywisty. Dlatego możemy tam mieszkać. Ale ja wiem, jak to działa. Jeśli nasza opieka społeczna wypłaci jej pieniądze, weźmie je i zniknie. My nie dostaniemy ani grosza.

Oparła głowę na rękach.

- A ja jej tak wierzyłam! Trafiłam z deszczu pod rynnę!

Annika pomyślała nagle o facecie z urzędu gminy w Vaxholmie, Thomasie.

- Musisz zadzwonić do swojej gminy - powiedziała.

Maria wyjęła nową chusteczkę.

- Wiem. Musimy znaleźć inne mieszkanie. Mój mąż ma na oku jakąś chatkę. Jak tylko dostaniemy cynk, uciekniemy z Raju i skontaktuję się ze swoją gminą. Dopóki mieszkamy w domu fundacji, nie mogę im nic powiedzieć.

- Jak sądzisz, ile to potrwa?

- Parę dni, najdalej do weekendu.

Annika zastanawiała się chwilę.

- Słyszałaś coś o zastraszaniu Rebecki?

Maria westchnęła.

- Rebecka twierdzi, że ścigają mafia. Nie mam pojęcia dla czego. Uważam, że trochę zmyśla. Co ona mogła im zrobić?

Annika wzruszyła ramionami.

- Wiesz, co dzieje się z pieniędzmi?

Maria potrząsnęła głową.

- Nie mam wstępu do biura. Rebecka przechowuje swoje papiery w jednym z pokoi na parterze. Drzwi są zawsze zamknięte. Ale odbiera wysoką pensję. Widziałam jej pasek w śmietniku pod koniec tamtego tygodnia.

Annika wyprostowała się. Pasek. To oznacza numer konta, PESEL, mnóstwo informacji.

- Masz go przy sobie?

- Tak, chyba mam.

Pogrzebała w torebce i znalazła pomięty, poplamiony kawał papier.

- Trochę brudny - powiedziała przepraszająco, kiedy Annika wzięła go do ręki.

Było na nim wszystko. Numer konta, PESEL, adres, wysokość podatku, wszystko oprócz numeru ewidencyjnego fundacji Raj. Nieźle zarabiała, pięćdziesiąt pięć tysięcy koron miesięcznie.

- Konto w Föreningsparbanken - powiedziała Maria. - Adres ten sam co Raju, skrzynka w Jarfalli.

- Jaka to ulica? - spytała Annika.

Maria wymieniła nazwę.

Na spotkaniu o jedenastej jak zwykle mówiono za mało o tym, co było i za dużo o tym, co się wydarzy w przyszłości. Wizje szefów działów co do przyszłości gazety były najczęściej pustymi słowami, grubo ciosanymi punktami widzenia. Uważali, że ludzie powinni o sobie mówić, przyznawać się do skandali lub im zaprzeczać, mówić o smutku, bólu, złości, złym traktowaniu i niesprawiedliwości, która ich dotyka. Katastrofy przedstawiano jako straszniejsze, niż były w rzeczywistości, opisy ubarwiały informacje o prywatnym życiu gwiazd. Komentarze na temat konsekwencji nowych politycznych propozycji były pełne uproszczeń - chodziło o to, żeby społeczeństwo mogło być przedstawiane jako wielu zwycięzcy albo wielu przegrani.

Anders Schyman westchnął: tak teraz jest w tej branży. Nie tylko szefowie działów „Kvallspressen” okazywali zbyt dużo entuzjazmu. Z podobnym fenomenem spotkał się w telewizji publicznej, gdzie pracował tak długo, chociaż tam wszystko wyglądało nieco inaczej. Ten, kto planował, musiał zawsze zakładać najlepszy z możliwych rezultat. Dla „Kvallspressen” mogła to być gwiazda, która skreśliła nogę w programie „Fort Boyard”, dla programu społecznego w telewizji przedstawiciel władzy, który się jąka i robi z siebie pośmiewisko. Ingvar Johansson właśnie podsumowywał, jak wyobraża sobie uczczenie kampanii na rzecz niepełnosprawnego chłopca, któremu udało się wygrać z gminą. Tort i kwiaty, żadnego szampana, wielkie zdjęcie z chłopcem w środku i obejmującą go rodziną. Tytuł „Kiedy «Kvallspressen» wkracza do akcji” już umieszczono na czołówce.

- Wiemy na pewno, że rodzina się na to zgadza? - spytał Schyman.

- Nie - powiedział Ingvar Johansson. - Ale reporter to załatwi. Carl Wennergren, więc możemy być spokojni.

Wszyscy z uznaniem pokiwali głowami.

- Sprawa morderstw we Frihamnen zatacza coraz szersze kręgi - powiedział Sjölander. - Jakiś starszy gość, biegający na orientację w kategorii oldboyów, znalazł wczoraj zaginioną ciężarówkę z ładunkiem papierosów. Była całkowicie spalona, stała w jakimś wąwozie gdzieś między Óster-gótlądem, Södermanlandem i Narke.

- Może komuś bardzo się chciało palić? - powiedział Foto-Pelle z szerokim śmiechem.

-W kabinie kierowcy były dwa trupy- powiedział Sjölander bez uśmiechu. - Biegli sądowi jeszcze z nimi nie

skończyli, ale policja jest mocno poruszona. Wygląda na to, że byli torturowani, zanim zginęli. Mieli powyłamywane wszystkie stawy. Komisarz, z którym rozmawiałem, nigdy wcześniej nie widział nic tak strasznego.

Zapadła cisza. Słysząc było tylko szum klimatyzacji.

- Co policja może nam powiedzieć? - spytał Schyman.

Sjólander przerzucił notatki.

- Ciężarówkę znaleziono na trudno dostępnym obszarze leśnym na północ od Havla, w gminie Finspang. Obok uskoku, przy którym znaleziono ciężarówkę, jest taka byle jaka ścieżka. Poczyniono ciekawe odkrycia. Znaleziono na przykład sporo śladów kół, poza tymi zostawionymi przez ciężarówkę, bardzo szczególnych. To typ opon zimowych, które nie muszą mieć kolców. Szerokie, amerykańskie, używane w nielicznych markach samochodów. W samochodach osobowych będących jednocześnie ciężkimi pojazdami terenowymi, typu rangę rover, albo w największych modelach toyoty land cruiser. Policjanci przetransportowali już wrak, co prawdopodobnie nie było takie proste, i proszą, abyśmy zachęcili ludzi, żeby się z nimi skontaktowali, jeśli coś widzieli.

- W jaki sposób ciężarówka mogła znaleźć się w tym uskoku? - spytał Ingvar Johansson.

Sjólander westchnął.

- Po prostu tam wjechała. Oczywiście trafili na dzień, kiedy ziemia była zamrznięta. Właściciel terenu nie jest zbyt szczęśliwy, zmiażdżyli mu kilkaset małych drzewek wzdłuż drogi.

- Kto za tym stoi? - spytał Schyman.

- Mafia jugosłowiańska - powiedział Sjólander. - Jasne jak słońce. I to jeszcze nie koniec. Chłopcy z ciężarówki na

pewno się nie wygadali. Gdyby to zrobili, mieliby przynajmniej parę niepołamanych stawów. Właściciele papierosów będą nadal zabijać, dopóki nie znajdą ładunku. Wszyscy, którzy coś o nim wiedzą, mają naprawdę przegwizdane.

- Co jeszcze wiemy o mafii jugosłowiańskiej? - spytał Schyman. - Chodzi mi o coś takiego, o czym nie możemy pisać.

- Uważają, że stoi za tym serbski rząd - powiedział Sjólander. - Ale nikomu nigdy nie udało się tego udowodnić. Fakt, że tego typu akcje poprzedzają przygotowania wymagające wielkich środków, sugeruje, że państwo musi to jakoś sankcjonować. Dlatego nie ma żadnych wtyczek, nikogo, kto miałby na to jakiś pogląd, całościowy obraz. Wszyscy, którzy coś wiedzą, siedzą albo w rządzie, albo przy rządzie w Belgradzie, szefowie policji, najwyżsi rangą wojskowi.

- Czy drażnienie tego tematu jest niebezpieczne? - zapytał Schyman.

Sjólander zawahał się.

- Niekoniecznie - powiedział. - Pisanie o samych morderstwach nie jest chyba niebezpieczne. Na to są przygotowani. Trzeba pamiętać, że to biznes, dla tej organizacji to po prostu kolejny dzień pracy. Nie wolno ich jedynie oszukiwać. Nie wolno kraść ich przeschmuglowanego towaru i lepiej nie wiedzieć, kto to zrobił.

Przeszli do innych tematów, ale Schyman nie był całkiem obecny. Rzadko rozmawiali tak jak teraz. Ulżyło mu, był zadowolony. Niepokoiło go to, co się wydarzyło poprzedniego dnia, ale teraz miał pewność.

Wygrał.

*

Na przełomie października i listopada zawsze dużo się działo. Zarząd gminy opracowywał budżet w październiku, natomiast rada gminy w listopadzie. Ale zawsze przeciągali to do pierwszych dni grudnia. Wszystkie należące do gminy przedszkola dzwoniły i pytały, czy to prawda, że mają jeszcze trzy tysiące na koncie, a on siedział i sprawdzał ostatni kwartał.

Mimo to nie mógł się skupić. Był szczerze zmartwiony swoimi wybuchami. Dziennikarka spytała go wczoraj, czy jest wypalony. Cały czas o tym myślał. Nie widział jednak żadnych powodów, żeby miało tak być. Robił to samo co przez ostatnich siedem lat, mieszkał w tym samym domu z tą samą żoną i chodził do tej samej pracy.

To musiało być coś innego. Nie chciał się do tego przyznać przed samym sobą, ponieważ mogłoby to mieć poważne konsekwencje.

Prawda była taka, że chciał od życia czegoś więcej. Tak było, przyznał się. Chciał iść dalej, o swojej pracy wiedział już wszystko. Chciał się przenieść do miasta, chciał chodzić do kina i teatru bez konieczności męczącego planowania wielkiej wyprawy, chodzić pieszo do domu wzdłuż wysokich domów i indyjskich restauracji, mijając ludzi, których nie znał.

Wczoraj wieczorem godzinami spacerował po Vaxholmie, ulicą w górę, ulicą w dół. Znał każdy szary kamień, z imienia i nazwiska. Chwilę posiedział w brudnawej restauracji. Pił piwo. Wyszedł, kiedy wpadła grupa rozkrzyczanych maturzystów. Było już po północy, kiedy wrócił do domu. Miał nadzieję, że Eleonor nie będzie jeszcze spała i że będą mogli porozmawiać. Spała. Na nocnym stoliku leżał ostatni numer „Moderna Tider”.

Znów zadzwonił telefon. Przez chwilę chciał wyrwać kabel i rzucić telefonem o ścianę.

- Tak?! - ryknął.

- Thomas Samuelsson? Tu Annika Bengtson, dziennikarka z „Kvallspressen”, spotkaliśmy się wczoraj. Dowiedziałam się wielu rzeczy o fundacji Raj. Zdobył pan ich numer ewidencyjny?

- Miałem co innego do roboty - odparł.

- To dobrze, że wykonuje pan swoje obowiązki - powiedziała Annika. - Może udało się panu w takim razie dowiedzieć, że Rebecka Björkstig nazywała się kiedyś zupełnie inaczej, że Raj ma kwaterę główną w walącej się chałupie w Jarfalli, że fundacja nie ma żadnych pracowników i nie prowadzi żadnej działalności, tylko bierze pieniądze?

Szukał słów.

- To prawda?

Annika westchnęła.

- Na to wygląda. Nie jestem jeszcze pewna na sto procent, ale udało mi się zdobyć jej PESEL i chcę ją sprawdzić u kornika w Sollentunie. Za kwadrans mam pociąg. Jeśli jest pan zainteresowany tym, co wiem, niech pan przyjedzie.

Spojrzał na zegarek, musiałby odwołać trzy spotkania.

- Nie wiem, czy zdążę.

- Pański wybór - powiedziała. - Jeśli pan się zdecyduje, proszę przywieźć ze sobą numer ewidencyjny Raju.

Odłożyła słuchawkę. Złożył leżący przed nim segregator i poszedł do urzędniczki zajmującej się sprawą kobiety z Bośni, Aidy Begović. Ktoś u niej był, młody mężczyzna z ogoloną głową. Siedział i skubał pryszcze. Thomas mimo to wszedł.

- Potrzebny mi numer Raju - przerwał im.

Kobieta siedząca za biurkiem próbowała się opanować.

- Jestem zajęta - powiedziała, akcentując każde słowo.

-Bądź uprzejmy wyjść.

- Nie - powiedział Thomas. - Potrzebuję tego numeru.

Natychmiast.

Urzędniczka poczerwieniała.

- Teraz to już przekracza...

- Natychmiast! - ryknął Thomas.

Wystraszona wstała z krzesła. Wyjęła segregator, otworzyła na właściwej stronie i podała Thomasowi.

- Na samej górze, z prawej - powiedziała krótko.

- Daj znać, jak tylko dostaniesz od nich rachunek - powiedział Thomas. - Przepraszam, że się naprzykrzałem.

Wziął segregator i wyszedł. Zapisał numer na kartce, wsunął ją do portfela, założył płaszcz i wyszedł. Samochód zostawił pod domem, więc musiał po niego iść.

- Dzisiaj już mnie nie będzie - powiedział do recepcjonistki, kiedy wychodził.

Idąc pod górę Ostra Ekuddsgatan, uświadomił sobie, że nie wie, gdzie w Sollentunie mieści się biuro komornika. Musi wejść do domu i sprawdzić w książce telefonicznej. Tingsvagen 7, a gdzie to jest, do cholery? Wyrwał stronę dwudziestą, z mapą Sollentuny, i pobiegł do samochodu.

Ruch gęstniał. Gdy wjechał na E18, droga 262 przy Edsberg była zablokowana. Jakiś wypadek. Uderzył z wściekłością w kierownicę. W końcu przez Sollentunavagen dotarł do centrum. Biuro komornika mieściło się tuż za kompleksem targowym, w wysokim żółtawym budynku, w którym urzędowała również policja i inne instytucje powołane do

przestrzegania prawa. Zaparkował na zastrzeżonym miejscu i wjechał windą na siódme piętro.

Dziennikarka już tam była. Siedziała przy stole w pokoju dla gości, miała przed sobą stos wydruków komputerowych. Jej pofalowane włosy wyglądały, jakby je wysuszyła bez rozczesywania. Gwałtownym gestem wskazała mu krzesło obok siebie.

- Zaraz pan zobaczy - powiedziała. - Jeśli PESEL się zgadza, to znaczy, że nasza przyjaciółka nie zapłaciła przez ostatnich pięć lat żadnego rachunku. Wcześniej prawdopodobnie też nie, ale tych długów już nie widać w danych. Są na mikrofilmach.

Patrzył na kupki wydruków.

- Co to jest?

- Akta Rebecki Björkstig wyszukane w rejestrze komornika - powiedziała. - Sto siedem sztuk. Chce pan kawy?

Pokiwał głową i zdjął płaszcz i szalik.

- Z mlekiem, dziękuję.

Usiadł i zaczął przeglądać wydruki. Nie podano na nich nazwiska. Napisano tylko „dane osobowe zablokowane”. Za to informacje o długach nie były chronione. Wynotowano je w tasiemcowych kolumnach, ogólne i szczegółowe. Dotyczyły różnych urzędów, firm i osób prywatnych. Nieuregulowane niedopłaty podatkowe. Mandaty za złe parkowanie. Mandaty za nieprzepisową jazdę. Niezapłacone rachunki z IKEA, wynajęty samochód, podróż, pożyczka z banku, zadłużenie na kartach Konsum, Visa, Ellos, Eurocard...

Jezu! Przerzucał dalej.

...niespłacone kredyty studenckie, niezapłacony abonament telewizyjny, pożyczka od osoby prywatnej o nazwisku Andersson, dług za telewizor wypożyczony z Thorn...

- Nie było mleka - powiedziała Annika i postawiła brązowy plastikowy kubek na wydruku, który właśnie czytał. Zdjęła z palca biały bandaż i zastąpiła go plastrem.

- Boże mój - powiedział. - Kiedy się pani tego wszystkiego dowiedziała?

Usiadła obok i westchnęła.

- Rano. Dostałam z pewnego źródła PESEL, który najprawdopodobniej należy do Rebecki. Nie dam sobie ręki uciąć, że tak jest, bo jej dane w rejestrze ludności są zablokowane, ale na razie zakładam, że to prawda. Ma tylko trzydzieści lat, ale ciężko pracowała, żeby się tak zadłużyć. A to i tak dopiero początek. Recepcjonistka sprawdza ewentualne wnioski o zmianę nazwiska i ogłoszenie bankructwa. Ma pan numer ewidencyjny?

Wyjął portfel i podał jej kartkę.

- Zaraz wracam - powiedziała.

Upił łyk kawy. Była dość słaba, dało się wypić bez mleka. Próbował uporządkować myśli.

Co to właściwie oznacza?

To, że nie dbała o płacenie rachunków, nie ma właściwie nic do rzeczy. Oczywiście i tak może być dobra w wymazywaniu ludzi. Ale ilość tego wszystkiego, konsekwentne niepłacenie rachunków skłaniało do zastanowienia, co jeszcze może się wydarzyć.

Dopił kawę i wyrzucił kubek do kosza. Przeglądał dalej papiery.

...zadłużenie w American Express, pożyczka w Finax zaciągnięta przez telefon, niezapłacone mandaty za szybką jazdę, długi w Folksam, niezapłacone rachunki za prąd, telefon, podatek drogowy...

Większość długów była anulowana. To znaczy, że zostały uregulowane przez ściągnięcie należności z wynagrodzenia lub innych dochodów albo po ogłoszeniu bankructwa.

Gdzie ta Annika Bengtson?

Wyszedł z pokoju. Skręcił za róg i wpadł prosto na nią. Poczł dotyk jej piersi.

- Cholera - powiedziała. Potknęła się i upuściła na podłogę stos papierów.

Chwycił ją i postawił na nogi. Zarumienił się.

- Przepraszam - powiedział. - Nie chciałem.

Schyliła się i pozbierała papiery.

- Zaraz pan zobaczy - powiedziała. - Ta babka zbankrutowała w każdy możliwy sposób, w tym dwa razy osobiście w ciągu czterech lat. Przeprowadziła też bankructwo spółki akcyjnej, spółki handlowej, spółki komandytowej. Fundacja Raj ma ogromne długi. Samochody, telewizory, dwie nieruchomości na kredyt, z którego nie spłacono nigdy ani óre...

Weszła przed nim do pokoju.

- Pytanie, co to oznacza - powiedziała i usiadła. - To nie musi oznaczać, że Rebecka Björkstig jest oszustką, ale nie wygląda to dobrze.

Patrzył na nią. Dokładnie te same myśli krążyły mu po głowie przed kilkoma minutami. Usiadł obok niej i wziął do ręki wyciąg z urzędowego rejestru spółek. Spojrzał na terminy spłacania długów i ogłoszenia bankructwa, rejestracji nowych firm i ich rozwiązywania.

- Wydaje mi się, że jest w tym jakaś metoda - powiedział. - Proszę spojrzeć. Zakłada nową firmę, kupuje mnóstwo gadżetów, bierze spore pożyczki i ogłasza bankructwo. I tak w kółko. Znowu ogłasza osobiste bankructwo. Ale bez końca tak się nie da. Nikt jej nie pożyczycy ani óre. Więc zakłada fundację, której nie da się powiązać z jej nazwiskiem. Założyciele są zupełnie inni, może są fikcyjni.

Annika śledziła jego przeskakujący z jednej pozycji na drugą palec.

- No i mogła znowu zacząć robić zakupy - powiedziała i pokazała mu długi Raju. - Proszę spojrzeć: zaczęła brać pożyczki cztery miesiące temu.

- Prawdopodobnie fundacja już nie istnieje - zasugerował Thomas.

- Tak rozwiały się trzy lata i sześćdziesiąt przypadków - powiedziała Annika.

Siedzieli obok siebie w milczeniu, czytali, wertowali. W końcu Annika wstała i zebrała wydruki.

- Muszę jeszcze raz porozmawiać z inspektorem, zanim pójdzie do domu - powiedziała. - Ma pan czas, żeby pójść ze mną?

Spojrzał na zegarek. Właśnie zaczynało się trzecie spotkanie.

- Tak, nie ma problemu.

Szli długim korytarzem. Niebieska wykładzina rozłożona na podłodze pochłaniała dźwięki i kurz. Annika podeszła do ostatnich drzwi.

- Dzień dobry - powiedziała i weszła. - To znowu ja. To jest Thomas Samuelsson, urzędnik wydziału socjalnego z Vaxholmu.

Inspektor był obłożony segregatorami.

- Znalazła pani to, czego szukała? - spytał.

Annika westchnęła.

- Nawet więcej. Może pan natrafił na nazwisko Rebecka Björkstig?

Pokręcił głową.

- Myślałem o tym - powiedział. - Ale nic mi nie świta.

- A to? - spytała Annika i podsunęła mu wydruk z listą długów fundacji Raj.

Mężczyzna założył okulary i przebiegł wzrokiem kartkę.

- Tak - powiedział i wskazał palcem na dół dokumentu. - Poznaję. W ubiegłym tygodniu rozmawiałem z firmą, która jest właścicielem tych samochodów. Byli zrozpaczeni. Nie mogą się skontaktować z osobą, która je wzięła w leasing, nie dostali ani grosza zaliczki.

- Jak mogą wypuszczać samochody bez zaliczki? - zapytał Thomas.

Inspektor spojrzał na niego znad okularów.

- Powiedzieli, że kobieta wyglądała na godną zaufania. Wie pani, gdzie jest osoba stojąca za fundacją Raj? - To pytanie skierował do Anniki.

- Nie - odpowiedziała zgodnie z prawdą. - Znam adres jednej z ich nieruchomości, ale ona tam nie mieszka. Te dane powinien mieć bank, który dał jej kredyt na domy.

Położyła na stole wydruki.

- Jakie wnioski można z tego wyciągnąć?

Inspektor westchnął.

- Ludziom żyje się gorzej - powiedział. - Mamy więcej pracy przy coraz mniejszej obsadzie. Ale ta pani nie jest żadną nową biedaczką, panią Svensson, która spóźniła się ze

splata rat. Jest notoryczną, patologiczną uciekinierką przed długami.

- Zna pan ten typ? - spytała Annika.

Mężczyzna znów westchnął. Podziękowali mu i wyszli na korytarz.

- Na dzisiaj to olewam - powiedziała Annika w drodze do recepcji. Ziewnęła i przeciągnęła się. - Muszę pojechać do domu i zadzwonić do babci.

Thomas spojrział na nią. Miękkie loki, jasne czoło.

- Już teraz?

Uśmiechnęła się.

- *Timeflies* - powiedziała. - Zrobimy dla pana kopie?

Podeszła do recepcji. Thomas stał w miejscu, z pustą głową i twardą męskością.

- Podwieźć panią gdzieś? - zawołał za nią.

Spojrzała na niego przez ramię.

- Jeśli to nie kłopot.

Poszedł do łazienki, przemył ręce i twarz. Próbował się rozluźnić.

Czekała na niego przy wyjściu, trzymała jego kopie w plastikowej teczce.

- No proszę! - powiedział. - Ależ pani jest szybka!

- To nie ja - odparła. - To moja nowa koleżanka.

Nie zrozumiał.

-Kto?

- Recepcjonistka! Gdzie ma pan samochód?

Dość nowa toyota corolla, zielona, ładnie wywoskowana, z alarmem i centralnym zamkiem, blip, blip. Zaparkował na jakimś miejscu i znalazł tryskającą wściekłością notkę

pod wycieraczką. Zerwał ją, zgniótł i celnie rzucił do od-
dalonego o trzy metry kosza. Włosy opadły mu na twarz.
Zaczesał je do tyłu, nie zdając sobie nawet z tego sprawy.
Ciemnoszary płaszcz, drogi garnitur, krawat.

Annika obserwowała go kątem oka. Szeroki w ramio-
nach, szybkie, zwinne ruchy. Do tej pory tego nie dostrzega-
ła. Widziała go tylko siedzącego za biurkiem, nie wiedziała,
że jest taki wyrazisty.

Były sportowiec, pomyślała. Sporo kasy. Przyzwyczajajo-
ny do skupiania na sobie uwagi.

Rzucił aktówkę na tylne siedzenie.

- Otwarte - powiedział.

Usiadła na miejscu pasażera i rzuciła okiem do tyłu.
Mimo obrączki na palcu żadnych dziecięcych fotelików.
Zwinęła torbę koło stóp. Odpalił silnik, zaszumiał wenty-
lator.

- Gdzie pani mieszka?

- W samym centrum. Hantverkargatan.

Kiedy wycofywał, położył rękę za jej zagłówkiem.
Anni-ce zaschło trochę w ustach.

- Obwodnica Klarastrand jest zupełnie nieprzejezd-
na o tej porze - powiedziała. - Czasem trzeba jechać przez
Hornsberg...

Siedzieli obok siebie w milczeniu. Annika odkryła nowe
uczucie, inny rodzaj ciszy. Miał szczupłe, silne ręce, często
zmieniał biegi, jechał dość szybko. Włosy nie chciały leżeć
w tyle głowy, ciągle spadały mu na czoło, jasne i lśniące.

- Od dawna pani mieszka na Kungsholmen? - spytał,
łypnął na nią okiem. Było w jego spojrzeniu coś szczególne
go. Widziała to, czuła.

- Od dwóch lat - powiedziała, patrząc w przód. Nagle poczuła płomień na policzkach. - Trzy pokoje z kuchnią na samej górze, w oficynie.

- Drogie było? - spytał.

Zaczęła się śmiać. W jego świecie kupuje się mieszkania.

- Wynajęte, w domu przeznaczonym do rozbiórki - powiedziała. - Bez centralnego ogrzewania, ciepłej wody, windy i toalety.

Rzucił na nią okiem.

- Serio?

Roześmiała się, rozgrzana w środku.

- Ale telewizję pani ma?

- Jasne - powiedziała. - Ale nie kablową.

- Oglądała pani wczoraj wieczorem debatę?

Przyjrzała mu się uważnie. Dlaczego nagle mówi takim czujnym tonem?

- Przez chwilę - powiedziała z wahaniem. - Szczerze mówiąc, wyłączyłam. Wiem, że to, co te kobiety robią dla naszej kultury, jest ważne, ale uważam, że są strasznie pompatyczne. Wszystko, co nie jest megakulturalne i elitarne, to dla nich gówno. Męczy mnie takie przekonanie, że są lepsze niż wszyscy inni.

Pokiwał głową z entuzjazmem.

- Widział pan tę z czasopisma literackiego? Tę ze słowotokiem?

- Z twarzą gruszki? Przedem wszystkim ją słyszałem.

Zaśmiali się.

- Więc nie należy pani do żadnego stowarzyszenia kulturalnego? - spytał. Kiedy na nią spojrział, włosy znów opadły mu na oczy.

- Chodzę na mecze drużyny hokejowej Djurgarden - powiedziała. - Jeśli można to nazwać kulturą.

Przestał patrzeć na drogę i wlepił wzrok w Annikę.

-Lubi pani hokej? Spojrzała na swoje ręce.

- Przez wiele lat co tydzień oglądałam mecze bandy. Fajnie było, ale za zimno, żeby tak stać na dworze. Hokej jest lepszy, bo się nie marznie. Bilety można dostać bez problemu w czasie rozgrywek ligowych, tylko podczas ostatnich rozgrywek Globen jest wypełniony po brzegi.

- Widziała pani finały wiosną? - spytał.

- Stałam wśród kibiców z podniesioną lewą pięścią i skandowałam w kierunku samochodu: Hardy Nilsson, chłopak z żelaza! Hardy Nilsson, chłopak z żelaza!

Roześmiał się. Śmiech zamarł na jego ustach i powoli zmienił się w smutek. Spojrzała na niego ze zdziwieniem. Czyżby tęsknił?

- Kibicuje pan Djurgarden?

Wyprzedził autobus jadący na lotnisko.

- Grałem w hokeja do osiemnastego roku życia, w Óster-skar - powiedział. - Skończyłem z tym, bo nie dogadywałem się z trenerem. Poza tym chciałem się skupić na studiach.

Jego profil odcinał się ostro od bocznej szyby. Annika przelknęła ślinę, odwróciła głowę i spojrzała w przeciwną stronę. Czowała, jak płoną jej policzki, czuła łaskotanie między nogami. Z prawej strony, w górze, mignął szpital Karolińska. Ogarnął ją lęk. Zaraz będą na miejscu, on zaraz zniknie, może już nigdy się nie spotkają.

- Jak długo mieszka pan w Vaxholmie? - spytała, trochę za bardzo zdyszana.

Westchnął ciężko, z jakiegoś powodu ucieszyło ją to.

- Od zawsze - powiedział.

Patrzyła na niego z boku. Czyż tuż przy ustach nie pojawiła się jakaś surowa rysa?

- Ma pan dość? - spytała.

Rzucił jej długie spojrzenie.

- Dlaczego?

Patrzyła prosto przed siebie.

- Wioska zdaje się nie tętnić rock'n'rollem, tak na pierwszy rzut oka - powiedziała. - Przypomina mi miejsce, z którego pochodzę, Halleforsnas.

- Kiepsko tam z rockiem?

Postanowiła spróbować.

- Jest pan żonaty?

- Od dwunastu lat.

Znowu wpatrywała się w jego profil.

- To musiało być jak porwanie dziecka - powiedziała.

Roześmiał się.

- Zrozumiałem aluzję. Tutaj pani wysiada?

Przełknęła ślinę. Cholera.

- Tak, tu będzie dobrze.

Zahamował gwałtownie i rzucił okiem we wsteczne lustro. Annika zrozumiała, że patrzy na jadący za nimi autobus. Wysiadła, wzięła torbę, schyliła się.

- Dziękuję za podrzucenie.

Ale on już jej nie widział, myślami był gdzie indziej.

- Nie ma sprawy.

Kiedy pielęgniarka niosła telefon do pokoju babci, w słuchawce klikało i trzeszczało.

- Halo? - powiedziała Annika.
Szum.
- Babcia?
- Nie, Barbro. Nie
mama. Barbro.
- Jak ona się czuje?
- Niezbyt dobrze. Śpi.
Cisza. Odległość. Silna potrzeba zbudowania mostu.
- Pozbierałam informacje o domach opieki w Sztokholmie - powiedziała Annika. - Jest ich kilka na Kungsholmen...
- To nie wchodzi w grę - powiedziała matka zdecydowanie, szorstko. Nie chciała budować żadnych mostów.
- Trzeba to załatwić w gminie. Rozmawiałam dzisiaj z jedną... z jedną osobą. Tak mi powiedziała.
Uczucia napływały falami. Krzywda. Złość. Rezygnacja.
- Rozmawiałas z kimś, kto się zajmuje przydzielaniem miejsc? Mamo! Mówiłam przecież, że chcę przy tym być!
- Przecież jesteś cały czas w Sztokholmie. A tym trzeba się zająć teraz.
- Przyjadę jutro. Załatwię tylko jedną rzecz przed południem, a potem przyjadę.
- Nie, nie musisz. Birgitta była tu dzisiaj. Jakoś sobie z tym poradzimy, zobaczysz.
Annika przymknęła oczy, przyłożyła rękę do czoła. Walczyła z poczuciem, że ją odtrącono, że to niesprawiedliwe. Stłumiła złość, nie odezwała się.
- Do zobaczenia jutro.

Piątek, 2 listopada

THOMAS JEDNYM RUCHEM zdarł folię z garnituru. Ukłuł się ostrym haczykiem wieszaka i zaklął. Cholerna pralnia. Eleonor w tej samej chwili westchnęła nad parą podartych rajstop.

- Siedemdziesiąt dziewięć koron - powiedziała i wyrzuciła je do kosza stojącego przy łóżku.

- Nie ma tańszych? - spytał Thomas, ssąc palec, żeby nie zakrwawić ubrań.

- Nie, takie formujące są drogie - powiedziała Eleonor, rozrywając nowe opakowanie. - Wiesz, że Nisse i Ulrika przychodzą do nas dziś wieczorem?

Odwrócił się i poszedł do łazienki po plaster. Spoglądał przez kilka sekund na swoje odbicie w lustrze: zaczesane do tyłu włosy, koszula, krawat, spinki do mankietów. Przycisnął mały plaster do czubka palca i wrócił do sypialni. Eleonor wciskała się w nowe rajstopy. Nie chciały się rozciągnąć na biodrach. Thomas przełknął ślinę.

- Czy musimy mieć dzisiaj gości? - powiedział. - Wolałbym, żebyśmy trochę porozmawiali. Mamy sobie wiele do wyjaśnienia.

- Nie teraz, Thomas - powiedziała i naciągnęła rajstopy. Jej brzuch i biodra wyglądały jak ściśnięte w imadle.

Podszedł do niej. Objął ją od tyłu, przytrzymując piersi odziane w biustonosz z wkładkami. Podmuchał jej w szyję.

- Możemy być sami - zamruczał. - Tylko we dwoje. Na pijemy się wina, obejrzymy film, porozmawiamy.

Odepchnęła jego rękę. Podeszła do szafy, włożyła białą bluzkę, zdjęła wieszak z czarną spódnicą.

- Zaplanowaliśmy to spotkanie tydzień temu. Musimy z Nissem omówić kilka spraw dotyczących nowego projektu. Wiesz, że nie możemy o tym rozmawiać w banku.

Spojrzał na nią. Tak dobrze ją znał, wiedział, że powie nie.

- Eleonor - powiedział. - Ja naprawdę nie chcę. Jestem zmęczony i dość znużony wszystkim i czuję, że powinniśmy porozmawiać.

Nadal nie zwracała na niego uwagi. Podeszła, nie patrząc mu w oczy.

- Możesz mi to zapiąć? Dziękuję.

Wziął w palce zamek naszyjnika, zapiął go. Opuścił w pieszczocie ręce na jej ramiona, przytrzymał ją.

- Mówię poważnie - powiedział. - Jeśli dziś znowu masz zamiar jeść kolację z kolegami z pracy, to ja nie wracam do domu. Pojadę do Sztokholmu, żeby coś zjeść.

Wyplątała się z jego uścisku i szybkim krokiem podeszła do szafy. Wyjęła czarne czółenka i wrzuciła je do torebki. Kiedy znów na niego spojrzała, włosy miał w nieładzie, na kościach policzkowych płonęły czerwone plamy.

- Zachowuj się - powiedziała. - Nie będziesz tu przychodził i wychodził, kiedy ci się spodoba, nie rozumiesz? Jest nas dwoje i oboje ponosimy odpowiedzialność.

- Właśnie - powiedział gorączkowo Thomas. - Jest nas dwoje, więc jakim cudem tobie przypada władza, a mnie odpowiedzialność?

Eleonor założyła żakiet i wyszła do przedpokoju.

- To było ohydnie niesprawiedliwe - powiedziała.

Thomas stał w sypialni, ich sypialni, sypialni jej rodziców.

Do licha, tej bitwy nie miał zamiaru przegrać.

- Przestań być taka cholernie wyniosła! - krzyknął i rzucił się za nią. Dogonił ją w holu i chwycił za ramię.

- Puść mnie! - krzyknęła i wyrwała rękę z jego uścisku.

- Czy ty jesteś nienormalny?

Oddychał szybko, włosy opadały mu na oczy.

- Chcę, żebyśmy się przeprowadzili - powiedział. - Nie chcę już mieszkać w tym domu.

Spojrzała na niego, raczej wystraszona niż zła.

- Nie wiesz, czego chcesz - powiedziała, próbując się od niego uwolnić.

- Nie - powiedział żarliwie. - Dobrze wiem, czego chcę! Chcę, żebyśmy kupili mieszkanie w Sztokholmie albo willę w Appelviken, albo w Stocksundzie. Podobałoby ci się!

Podszedł do niej, objął ją. Wdychał perfumy przez jej włosy.

- Chciałbym znaleźć inną pracę, może w samorządzie albo w urzędzie gminy, w jakiejś firmie konsultingowej, w jakimś wydziale spraw socjalnych. Rozumiem, że chcesz tu zostać, ale ja się duszę. Eleonor, umieram tu...

Odsunęła go od siebie, zraniona, bliska płaczu.

- Patrzysz na mnie z góry, bo mi się tu podoba. Uważasz, że jestem nieambitna i leniwa.

Odgarnął włosy obiema rękami.

- Nie - powiedział. - Przeciwnie, zazdroścę ci! Chciałbym być taki spokojny jak ty, chciałbym być zadowolony z tego, co mamy!

Wytarła kąciki oczu, mówiła zduszonym głosem.

- Jesteś tak niesamowicie dziecinny i rozpuszczony, że musisz odrzucać to, co razem osiągnęliśmy, wszystko, na co pracowaliśmy całe lata.

Odwróciła się i podeszła do drzwi. Zawołał do jej pleców odzianych w czarny kostium od Armaniego:

- Nie! Niczego nie chcę odrzucać, chcę iść dalej! Może my mieszkać w Sztokholmie, znajdę nową pracę. Ty możesz dojeżdżać, może z czasem też zmienisz pracę...

Wciągnęła płaszcz. Widział, że drżą jej ręce, kiedy zapina guziki.

- Moje życie jest tutaj. Kocham to miasto. Znajdź inną pracę i sam dojeżdżaj, jeśli koniecznie musisz robić coś innego.

Zaskoczyła go. Ta myśl nigdy nie przyszła mu do głowy. Oczywiście, że może poszukać innej pracy, gdzie indziej. Nie musi się przeprowadzać. Może dojeżdżać, może kupić mieszkanie w Sztokholmie.

Drzwi zatrzasnęły się za nią z lekkim kliknięciem dobrze naoliwionego zamka. Samotność otuliła go jak kołdra z kuru, ciężka i przytłaczająca.

Boże mój, co ja robię?

Sygnal telefonu wwiercał się gwałtownie w jej mózg. Czuła piasek pod powiekami. Podniosła słuchawkę, nie podnosząc głowy.

Stało się coś strasznego!

W słuchawce ktoś krzyczał.

Annika usiadła gwałtownie na łóżku, serce skoczyło jej do gardła.

Babcia? Coś się stało babci?

- Tu Mia, Maria Eriksson. Zaginęła kobieta. Powiedziała, że opowie wszystko w gminie, i Rebecka się wściekła!

Annika potarła ręką czoło i opadła z powrotem na poduszki. Panika zwolniła uścisk. Nic się nie stało, wszystko będzie dobrze.

- Co się stało?

- Wczoraj była tu straszna awantura. Chciałam zadzwonić i opowiedzieć ci, to ważne, żebyś wiedziała.

Annika poczuła, jak w jej głowie pulsuje irytacja.

- A co ja mam z tym wspólnego?

- Ta kobieta powiedziała, że cię zna, że to ty poleciałś jej Raj. Nazywa się Aida Begović, pochodzi z Bijeliny w Bośni.

Annika zamknęła oczy. Poczowała, jak jej twarz zalewa fala ciepła. To się nie dzieje naprawdę, to się nie dzieje naprawdę.

- Co się stało z Aida? - wydusiła. Twarz jej płonęła.

- Powiedziała, że opowie w gminie, jakich oszustw dopuszcza się Rebecka, i wtedy Rebecka wykrzyczała, że ma bardzo uważać, bo ona dobrze wie, kto ją ściga. To było wczoraj wieczorem, a teraz Aidy nie ma!

Maria zaczęła płakać do słuchawki. Annika pokręciła głową. Próbowwała uporządkować myśli.

- Poczekaj - powiedziała. - Uspokój się. Może to nic takiego, może wyszła po prostu na zakupy.

- Nie znasz Rebecki. - Maria Eriksson dyszała. - Powiedziała to kiedyś po cichu: ten, kto ją zdradzi, zginie.

Annice zrobiło się zimno.

- Ale - powiedziała - to tylko takie gadanie. Rebecka gada mnóstwo głupot, ale nie jest żadną morderczynią.

Uważaj, żebyś nie wpadła w paranoję.

- Ona ma broń - wykrztusiła Mia. - Widziałam. Pistolet.

Ogarnęła ją złość, usiadła z powrotem na łóżku.

- Przecież ona cię tylko straszy, nie rozumiesz tego?
Chce się po prostu upewnić, że nikt nie wygada, co robi.

Maria nie była przekonana.

- Wyjeżdżamy stąd, jeszcze dzisiaj. Moja noga więcej tu nie postanie.

- Dokąd jedziecie?

Maria zawahała się.

- Wyjeżdżamy. Znaleźliśmy chatkę w lesie.

Annika zrozumiała. Poprzedniego wieczoru przejrzała jej papiery i wiedziała, dlaczego nigdy nie zdradza, gdzie jest. Chwilę milczały, każda na swoim końcu linii.

- Będę nadal sprawdzać Raj - powiedziała Annika.

- Nigdy nie ufaj Rebecce - ostrzegła Mia.

Annika westchnęła.

- Powodzenia.

- Napisz tylko to, co naprawdę możesz poprzeć dowodami - powiedziała Mia.

Kiedy odłożyła słuchawkę, usłyszała, jak jest cicho. Firanki powiewały, cienie tańczyły. Raj nie chciał jej wypuścić.

Na podłogę w przedpokoju spadły z hukiem listy. Wstała, zebrała koperty, usiadła na sedesie i otworzyła je. Rachunek za gaz. Katalog klubu książki. Zaproszenie na spotkanie klasy licealnej.

- Prędzej umrę - wymruczała i wszystko z wyjątkiem rachunku wrzuciła do pojemnika na podpaski.

Musi jechać do redakcji.

Eva-Britt Qvist siedziała przy swoim biurku, sortowała papiery.

- Przyszła do mnie ta lista?

Eva-Britt spojrzała na nią.

- Twoje źródła nie wydają się szczególnie godne zaufania - powiedziała.

Annika przełknęła złośliwość, która cisnęła jej się na usta, i uśmiechnęła się.

- Możesz ją włożyć do mojej przegródki, jak przyjdzie?

Odwróciła się, nie czekając na odpowiedź. Siedź tam i wysiaduj ten swój cholerny stary faks, stara kwoko. Usiadła przy komputerze i zalogowała się w systemie Dafa/Spar.

- Wiesz, że każde wyszukiwanie kosztuje - usłyszała Evę-Britt.

Wstała i podeszła z powrotem do jej biurka. Oparła ręce na stosach papierów i pochyliła się w jej stronę.

- Myślisz, że jestem tu po to, żeby się z tobą użerać? - spytała. - A może myślisz, że tak jak ty próbuję po prostu robić, co do mnie należy?

Eva-Britt odchyliła się w tył. Pomruwała z miną skrzywdzonej niewinności. Nie rozumiała.

- Jestem odpowiedzialna za Dafa, tylko ci przypominam.

- Nie odpowiadasz za budżet. To chyba sprawa Sjólan-dera?

Na okrągłej twarzy Ewy-Britt pojawiły się dwie czerwone plamki.

- Jestem trochę zajęta - powiedziała. - Muszę zadzwonić.

Annika wróciła do komputera. Mocno zaciskała pięści, żeby przestały się trząść. Dlaczego ona zawsze musi mieć ostatnie słowo? Dlaczego nie może być delikatniejsza?

Usiadła plecami do niej, wyjęła notatki, przymknęła oczy i próbowała się skupić. Od czego zacząć?

Wklepała F8, wyszukiwanie po nazwisku. Wpisała dane Rebecki. Dane osobowe chronione.

Westchnęła ciężko. Po co mi to?

Postanowiła spróbować inaczej. Wcisnęła F2, wyszukiwanie po PESEL-u. Wpisała numer Rebecki. Komputer miał i myślał.

To samo, dane osobowe chronione.

Wcisnęła F7, historia zmian. Wklepała jeszcze raz PESEL. Mielenie, myślenie.

Nordin, Ingrid Agneta.

Gapła się w ekran. Co, u licha...

Sprawdziła PESEL, wyszukała jeszcze raz.

To samo.

Ingrid Agneta Nordin, zameldowana na Kungsvagen w Sollentunie. Zmiany dokonano pół roku temu. Wróciła do wyszukiwania według nazwiska i wprowadziła nowe dane. Mielenie, myślenie. No, do diabła!

Wpatrywała się w ekran.

Zadziało. Wyświetliły się dane. A nawet jeden odsyłacz, trzy lata wstecz.

Wylogowała się szybko, podniosła słuchawkę i wybrała numer inspektora, z którym rozmawiała poprzedniego dnia.

- Chciałabym spytać - powiedziała - czy mówi coś panu nazwisko Ingrid Agneta Nordin.

Mężczyzna zastanawiał się. Annika wstrzymała oddech.

- Taak - odparł. - Tutaj, z Sollentuny, czy to może być ta? Przez kilka lat miałem pełne ręce roboty przez kobietę o tym nazwisku.

Gwałtowny wydech, *yes!*

- Zmieniła nazwisko i teraz nazywa się Rebecka Björkstig, ale jest jeszcze jeden odsyłacz do jej przeszłości w systemie Dafa. Nie mogę się do niego dostać. Może pan sprawdzić, czy wy nic nie macie?

Inspektor zaszeleścił papierami.

- Jak pani sądzi, co to może być?

- Może tylko stary adres - powiedziała Annika. - A może kolejna tożsamość.

Mężczyzna zapisał PESEL Rebecki.

- Kiedy to mogło być?

- Trzy i pół roku temu.

Odłożył słuchawkę na biurko, nie było go pięć minut.

- No tak - powiedział i chrząknął. - Wcześniej nazywała się inaczej. Eva Ingrid Charlotta Andersson, zameldowana w Marście.

Annika przymknęła oczy. Co za celny strzał.

Podziękowała szybko i rozłączyła się.

Anders Schyman zamknął za sobą drzwi i rozejrzał się po swojej zakurzonej dziupli. Usiadł za biurkiem, spojrzał na redakcję przez szklaną ścianę. Annika Bengtzon przeszła w podskokach obok jego akwarium, pełna energii, i pomknęła w kierunku automatu z kawą. Postanowił ją zawołać, gdy będzie wracała, żeby sprawdzić, czy udało jej się coś ustalić.

Dzisiejsze zebranie kierownictwa bardzo rozjaśniło sytuację. Torstensson opowiedział o ofercie Unii Europejskiej. Partia chciała, żeby w Brukseli zajmował się sprawami jawności w życiu społecznym. Starał się nie okazywać, jaki jest dumny, gdy o tym mówił. Schyman wiedział dlaczego. Torstenssona właściwie nic nie łączyło z „Kvallspressen”. Został

mianowany dzięki swoim zasługom politycznym. Schyman wątpił, czy w ogóle czytał ich gazetę regularnie, zanim został naczelnym.

Torstensson uważał, że trafiło mu się atrakcyjne stanowisko, ale to mu nie wystarczało. Nigdy nie zrozumiał, czym zajmuje się gazeta. Potrafił uczestniczyć w debacie telewizyjnej i za każdym razem, gdy otwierał usta, dowodzić, że nic nie wie. Wygłaszał tylko poprawne politycznie frazesy.

Schyman zastanawiał się, dlaczego propozycja działalności politycznej pojawiła się właśnie teraz. O ile dobrze rozumiał, żadna partia nie potrzebowała w Brukseli kolejnego lobbyisty od spraw społecznych. Sądził, że komisja ma już dość alarmujących wskaźników w bilansach księgowych i szuka sposobu, żeby uniknąć debaty w mediach po publicznej egzekucji naczelnego. Prawdopodobnie naciskano na liderów partii, co przyniosło rezultat w postaci odległej geograficznie posadki.

Pytanie, co będzie dalej. Jeśli Torstensson rzeczywiście otrzymał zadanie, jeśli je przyjmie, jeśli zdoła przeprowadzić reorganizację, zanim odejdzie, to kto zostanie jego następcą? Schyman poczuł w żołądku, że zaczyna się denerwować. Szybko to stłumił.

Annika szła posuwistym krokiem za szklaną ścianą, z kubkiem kawy w ręku. Schyman wstał, odciągnął na bok drzwi i zawołał ją do swojego bunkra.

- Jak ci idzie z Rajem?

Annika usiadła na krześle dla gości.

- Powinieneś kogoś poprosić, żeby ci tu odkurzył. Idzie dobrze. Udało mi się zdobyć mnóstwo informacji o naszej koleżance Evicie Peron.

Szef redakcji zamrugnął, Annika zamachała rękami.

- Rebecka Björkstig - powiedziała. - Albo Ingrid Agneta Nordin, albo Eva Ingrid Charlotta Andersson. Tak również się nazywała. Ma sto siedem osobistych długów u komornika i kilkadziesiąt na Raj. Zbankrutowała w każdy sposób, jaki możesz sobie wyobrazić, przynajmniej raz. Mam źródło, które twierdzi, że Raj nie robi nic innego poza braniem pieniędzy, ale na to jeszcze nie mam dowodów.

Schyman notował, nie był zdziwiony.

- Jeśli to prawda, to jest ona wzorem przestępcy finansowego.

Annika skinęła głową z entuzjazmem.

- Tak jest. Dzwoniłam na policję do gmin, w których, jakkolwiek się nazywa, była kiedyś zameldowana. Trafiłam na policjanta z wydziału kryminalnego, który jej szuka od pół roku. Evita jest podejrzana o dokonanie przestępstw przy bankructwach.

Schyman spojrzał na nią w zamyśleniu. Była świetna, potrafiła się dowiedzieć niesamowitych rzeczy. Lubiała to, to było widać.

- Co z tym zrobimy? Kiedy możesz zacząć pisać?

Annika kartkowała notes.

- Mam w głowie szkielet, brakuje mięsa. Rozmawiałam z kobietą, która miała z tym wszystkim do czynienia, i wiem o jeszcze jednej. Znalazłam gościa z urzędu gminy w Vaxholmie, który opowiada mi to i owo. Zamierzam pojechać do tego domu w Jarfalli i sprawdzić, co tam się dzieje. Muszę się więcej dowiedzieć o tym, co Raj robi, czy raczej czego nie robi. Muszę też porozmawiać jeszcze raz z Rebecką, poprosić o wyjaśnienia, dowiedzieć się, dlaczego kłamała.

Pokiwał głową. To miało sens.

- Musimy się liczyć z reakcją łańcuchową - powiedziała.
- Jak zaczniemy publikować te informacje, może się wykluczyć więcej potworów. Mogą się pojawić kolejni ludzie, będą dzwonić i opowiadać więcej.

- Tego nie jesteśmy w stanie przewidzieć.

- Nie - przyznała. - Ale musimy być gotowi na przyjęcie tych informacji, jeśli się pojawią.

- Są jeszcze te gminy, które wypłaciły jej pieniądze - powiedział. - Mogą być zainteresowane zgłoszeniem tego na policję.

- Przesłuchania, oskarżenie, proces, więzienie - powiedziała Annika.

Uśmiechnął się do niej lekko.

- Dobrze, że masz wszystko tak dobrze poukładane.

- Mam zamiar wydrukować swoje notatki - powiedziała. - Potem biorę wolne i jadę do babci. Miała wylew.

Annika wstała i zarzuciła torbę na ramię.

- Musisz tu odkurzyć, bo dostaniesz astmy.

Breja pokrywająca chodnik zamarzła, trudno było po niej iść. Świeciło słońce. Zimne, białe listopadowe światło sprawiało, że kontury migotały.

Annika wystawiła twarz ku ukośnym promieniom. Wydrukowanie wszystkich danych zabrało więcej czasu, niż myślała, słońce było już nisko.

Westchnęła. Nie powiedziała Andersowi wszystkiego. Nie powiedziała, że sama wysłała kogoś do Raju, że ta kobieta zniknęła, że Rebecka straszy, że ją zabije.

Jeśli to prawda.

Odpędziła od siebie nieprzyjemne uczucie i wskoczyła do autobusu linii 62. Pojechała do Tegelbacken i ruszyła w kierunku dworca. Pociąg do Katrineholmu odchodził za trzydzieści pięć minut. Kupiła kanapkę i usiadła plecami do tłumu. Dworcowy zgłęb słuł się za nią jak mgła, myślami była daleko.

Rebecka Agneta Charlotta, niebezpieczna i nieuchwytna.

Thomas Samuelsson, bogaty i przystojny.

Powinna mu opowiedzieć, do czego doszła. Inne tożsamości, podejrzenia o dokonanie przestępstw. Zjadła kanapkę, zebrała swoje rzeczy i podeszła do automatów telefonicznych.

Urzędnik z wydziału socjalnego poszedł już do domu. Chce pani zostawić wiadomość?

Poszedł do domu, do żony.

Nie, dziękuję, żadnych wiadomości.

Babcie musiano przenieść do innego pokoju. Aparatura była bardziej zakamufLOWANA. Poza tym wszystko wyglądało tak samo. Kiedy przyszła, babcia nie spała.

- Przepraszam, że nie przyjechałam wcześniej - powiedziała i zdjęła kurtkę. Rzuciła ją w kąt za drzwiami i podeszła do staruszki.

Babcia podniosła na nią nieco zagubiony wzrok.

- Barbro?

- Nie, Annika, córka Barbro.

Staruszka próbowała się uśmiechnąć.

- Moje słońce - powiedziała. Głos jej się łamał, była zdyszana, mówiła szeptem, niewyraźnie, miała mętny wzrok.

Annika poczuła ucisk w piersi. Łzy przesłoniły jej wzrok.

- Czy uzgodniłyście z mamą, gdzie będziesz mieszkać? - spytała.

Babcia toczyła wzrokiem po pokoju, niewidzącymi oczami. Wspominała obrazy z przeszłości.

- Mieszkać? Mieszkaliśmy w Hastskonie - powiedziała. - Mieliśmy jeden pokój, z piecem na samym środku ściany...

Annika chwyciła bezwładną rękę babci w swoje zdrowe dłonie. Powoli głaskała stare palce, robiło jej się coraz bardziej smutno.

- Rozmawialiście z kimś, kto mógłby ocenić, czego potrzebujesz? Znaleźli dla ciebie jakiś dom?

- Mieliśmy jeden jedyny pokój - wydyszała staruszka.

- Matka gotowała dla piętnastu mężczyzn, przygotowywała wszystko na piecu przy ścianie. Prała, dziesięć óre za chusteczkę do nosa, pięćdziesiąt óre za kombinezon...

Annika oblizwała wargi. Nie wiedziała, co robić, co odpowiedzieć. Spokojnie głaskała babcię po ramieniu. Nagle babcia zamilkła, jej klatka piersiowa to unosiła się, to opadała, szybko, lekko, oczy szukały czegoś w pamięci.

- Obudził nas alarm pożarowy, mnie i matkę - wyszeptala. - Na dworze było jeszcze ciemno, syrena wyła i wyła, paliła się cała odlewnia. Wybiegłyśmy, było ciepło, miałam na sobie tylko nocną koszulę. Paliło się wysoko, płomienie sięgały nieba, paliło się i paliło...

Annika wiedziała, o czym mówi babcia; o wielkim pożarze w fabryce, w nocy z 20 na 21 sierpnia 1934 roku. Miała wtedy piętnaście lat.

- Pomagałyśmy z matką, wносиłyśmy papiery z biura, ważne dla fabryki. Ojciec stał w szeregu i podawał wodę z rzeczki, przyjechała straż z Flen, potem zaczęło padać...

- Wiem - powiedziała cicho Annika. - Razem z innymi uratowałyście Halleforsnas.

Babcia pokiwała głową.

- Kiedy zrobiło się jasno, przyjechała pompa z Eskilstuny. Arvid też tam był i gasił. Dostał pracę w fabryce zaraz po szkole. Dwadzieścia jeden óre na godzinę, dziesięć koron i dziesięć óre tygodniowo. Pierwsze, co sobie kupił, to rower.

Próbowała się uśmiechnąć. Jedna strona jej ust nie chciała się unieść.

- Podwiózł mnie rowerem, całą drogę przez Fjellskaftę aż do dużego kościoła we Flodzie. Tam się pobierzemy, powie dział, ale tak się nie stało, bo wzięliśmy ślub w Mellósie...

Annika spuściła głowę. Poglądziła zimną dłoń, pozwoliła sobie na łzy. Nigdy nie знаła swojego dziadka. Umarł jesienią, zanim się urodziła, miał zupełnie zniszczone płuca. Całemu jej dorastaniu towarzyszył jak okopcony duch, zawsze brudny po pracy, zawsze z nowymi opowieściami i żartami. Rosła wśród opowieści dziadka Arvida, żyły po jego śmierci, tworzyły jego obraz, którego nigdy nie miała okazji skonfrontować z rzeczywistością. Widziała wyraz zagubienia na twarzy babci, widziała, jak patrzy na Arvida, młodego chłopaka na rowerze.

- Tęsknisz za Arvidem? - szepnęła.

Babcia jakby oprzytomniała, ich spojrzenia się spotkały.

- Tęsknię za tym młodym mężczyzną - powiedziała. - Tym silnym i młodym, nie za tym marudnym i przepitym.

Annika zdziwiła się. Nigdy nie słyszała, że dziadek pił.

- Swoje własne pieniądze mógł przepijać, ale moich ni gdy nie dostał. Moja pensja utrzymywała mnie i moją córkę i dawała chłopu jeść...

Nagle babcia się rozplakała. Łzy płynęły z jej oczu wprost do uszu. Annika wytarła je papierową chusteczką.

- Żal mi było Barbro - powiedziała szeptem babcia. - Za często była sama jako dziecko. Nie mogłam jej ciągle zabierać do pracy, byli tam ministrowie i prezydenci, i parlamentarzyści. Nie mogłam pozwolić, żeby im się plątała pod nogami dziewczynka. To nie było dobre, to przez to jest smutna, i nigdy nie przystanie. - Położyła zdrową rękę na dłoni Anniki i spojrzała jej w oczy. - Nie bądź zbyt surowa dla Barbro - szepnęła. - Jesteś od niej dużo silniejsza.

Annika zamrużyła oczami. Powstrzymała łzy i spróbowała się uśmiechnąć.

- Ależ nie, będziemy żyły w zgodzie, a ty będziesz zupełnie zdrowa.

Babcia na minutę przymknęła oczy, odpoczywała. Potem znów otworzyła.

- Annika - wyszeptała. - Ciebie kochałam najbardziej. Pewnie to niedobrze kochać kogoś bardziej niż innych.

- To dlatego jestem dziś taka silna - powiedziała Annika cicho.

Odpowiedziała jej cisza. Babcia znów zasnęła.

Przygięte pod ciężarem śniegu gałęzie świerków tworzyły tunel. Biegł przez zimową noc. Samochód wiozący Marię Eriksson, jej męża i dzieci toczył się wolno po pokrytych lodem drogach. Północny wiatr uderzał w przednią szybę, rzucał dookoła kaskadami wirującego śniegu.

- Musimy zatankować - powiedział Anders.

Kobieta siedząca na przednim siedzeniu nie odpowiadała. Patrzyła w las, niekończący się, nieprzebyte. Wiedziała, co ich czeka. Kolejna wyziębiona, dziurawa drewniana chata z kopącym piecem i szczurami pod podłogą. Kolejna

kuchnia bez bieżącej wody, z niekompletną, poobtłukiwaną zastawą i przypalonymi garnkami. Ubikacja na dworze. Myślała, że ma to już za sobą, że Raj rozwiąże ich problemy.

- Wiem, o czym myślisz - powiedział mężczyzna i położył rękę na jej ręce. - Niedługo będzie po wszystkim.

Wjechali do jakiejś miejscowości. Zamknięty sklep z tytoniem i losami Svenska Spel, pizzeria, automatyczny dystrybutor paliwa.

- Masz pieniądze? - spytała.

Skinął głową i wysiadł. Wahala się przez chwilę, ale postanowiła rozprostować nogi. Jechali całą wieczność, dzieci dawno zasnęły na tylnym siedzeniu. Wyszła na lodowate zimno. To naprawdę Norrlandia. Przeszła się po małej stacji. Chciała się wysuszyć w cieniu za budynkiem, ale zrezygnowała. Włożyła ręce do kieszeni. Poczła zimny metal i zeszywniała.

Wyjęła dwa duże klucze, jeden klucz patentowy i plastikowy breloczek z Myszka Miki. Rebeckę trafi szlag. Okej, trudno. Już nigdy jej nie zobaczą. Podeszła do kosza na śmieci stojącego koło dystrybutora, żeby je wyrzucić.

- Mia, idziesz? - zapytał mężczyzna. - Dzieci się obudziły. Powstrzymała się. Po co wyrzucać? Myślała kilka sekund. *Będę nadal sprawdzać Raj.* Odwróciła się do męża.

- Mamy gdzieś kopertę?

Właśnie zamykał drzwi, zatrzymał się w pół ruchu.

- Tutaj? Po co?

- Papiery z przeglądu technicznego pewnie są w skrytce? Daj mi kopertę i gumę do żucia, weź od dzieciaków.

Mężczyzna westchnął i podał jej to, o co prosiła. Szybko wrzuciła do rozdartej koperty pęk kluczy, włożyła do ust

gumę i żuła ją nerwowo przez pół minuty. Potem zakleiła nią kopertę i wyłowiła z kieszeni długopis.

- Podaj mi portfel - powiedziała.

Nakleiła w prawym górnym rogu cztery znaczki, napisała nazwisko i adres, Hantverkargatan 32, trzecie piętro, i na samym dole, po lewej stronie, napisała: „Klucze do Raju, pozdrowienia, Mia”.

- Jesteś gotowa? - zapytał.

- Tylko to wyśle - powiedziała i ruszyła w kierunku złotej skrzynki.

Sobota, 3 listopada

ZANIM JĄ ZOBACZYŁ, usłyszał tłum demonstrantów, szum głosów. Skandowały coś rytmicznie. Samochody przystawały, robiło się zamieszanie. Zapanował chaos. Jego zmysły wyostriły się, niedługo nadejdzie czas. Rozejrzał się dookoła, przebiegł wzrokiem fasady domów. Szkło i blacha, cegła i tynk. Zatrzymał się na wzorze z trójkątów. Ona przyjdzie. Prędzej czy później się pojawi. Chodzi o to, żeby być pierwszym, mieć przewagę. Marzył. Cholerny kraj, tak zimno.

W końcu zobaczył pochód. Sześć kobiet z transparentem i portretem uwięzionego przywódcy. Za nimi morze ludzi, przeważnie mężczyzn, ale także kobiety i dzieci, tysiące ludzi. Zebrali się, żeby zaprotestować. Dreptał w miejscu, marzył w swojej cienkiej kurtce. Kilku młodzieńców stojących tuż obok niego podpaliło turecką flagę. Spaliła się szybko i młodzi stracili zainteresowanie akcją.

Pochód wkroczył na Sergels Torg, zappełnił wzór z trój kątów. Teraz słyszał, co skandują. Turcja terrorysta, Turcja terrorysta. Flagi, transparenty i portrety powiewały na wietrze. Ustawiono zaimprovizowaną mównicę. Jakiś Szwed, prawdopodobnie polityk, zaczął przemawiać:

- Partia Pracy Kurdystanu prowadzi akcję zbrojną - za wołał. - Jej skutkiem jest naruszanie demokracji i akcje terrorystyczne, których nie da się w żaden sposób obronić. Ale to się dzieje w sytuacji wojny. Napastnikiem jest strona tu recka...

Teraz.

Ruszył szybko, starając się nie rzucać w oczy w tłumie. Włożył rękę pod kurtkę i popieścił broń. Beretta 92, dziewięć milimetrów, piętnaście naboji w magazynku i jeden w lufie. Tłumik.

Trzymał się blisko muru, pod wiaduktem, lekko przygarbiony.

- E, koleś, masz speeda?

Odepchnął stojącego przed nim narkomana. Zastanawiał się chwilę, czy wyjąć lornetkę, ale się rozmyślił. Lepiej będzie widział bez niej.

Nagle ją zobaczył. Dwadzieścia metrów dalej, stała plecami do niego. Tłum demonstrantów unosił ją wolno, oddalał od niego. Idealnie.

Przyspieszył. Prześliznął się między dziecięcymi wózkami i transparentami. Widział, że się waha i rozgląda. Adrenalina śpiewała mu w żyłach. Dobrze znał tę melodię.

Kiedy był metr za nią, wyjął broń. Zrobił ostatni krok, wykręcił jej rękę na plecy i przyłożył lufę do jej karku, pod włosami.

- To już koniec - szepnął. - Nie żyjesz.

Wszystkie dźwięki umilkły, ludzie skandowali bezgłośnie, czas stanął w miejscu. Kobieta stała nieruchomo. Zastygła, nie oddychała.

- Wiem, że to byłeś ty - syknął. Słowa odbijały się echem w jego głowie.

Zrobił jeszcze jeden krok. Wpatrywał się w jej włosy, w błyszczące niebieskie refleksy. Żałował, że nie widzi jej twarzy. Broń idealnie wpasowała się w dołek między szyją a głową.

- Bijelina - szepnął. - Pamiętasz Bijelinę?

Nagle nacisk na lufę zelżał. Kobieta wyrwała rękę i ruszyła szybkim krokiem w ocean ludzi. Potrwało chwilę, zanim rzucił się za nią. Prawie się przewrócił o wózek. Dogonił ją, zalewała go adrenalina. Znów złapał ją za ramię. Szarpała się, teraz przygotowana, złapała za pistolet. Ludzie ich popychali, zostawali w tyle. Zmiażdżył jej palce kolbą, puściła broń. Jakaś kobieta spojrzała na nich przerażona. Spróbował się uśmiechnąć. Wreszcie udało mu się przyłożyć broń do jej szyi. Widział, że rusza ustami. Pochylił się do przodu.


- Co powiedziałaś?

- Nigdy nie wygrasz - wyszeptała. - Zniszczyłam ci życie.

Spojrzał na nią z boku, ich spojrzenia się spotkały.

Uśmiechnęła się.

Coś puściło w jego głowie i w spodniach. Nacisnął spust. Wylądowała miękko w jego ramionach, z wytrzeszczonymi oczyma. Położył ją na ziemi i schował broń pod sweter. Kącikami oczu zarejestrował zdziwione spojrzenia, znów słyszał dźwięki. Turcja terrorysta. Ruszył szybko w kierunku



metra. Gdy tylko znalazł się za drzwiami, zdarł z siebie kurtkę i rękawiczki. Wcisnął je do kosza i poszedł do drugiego wyjścia.

Samochód podjechał w chwili, gdy wynurzał się koło domu towarowego Ahlens. Usiadł na tylnym siedzeniu i zamknął drzwi. Cały się trząsał. Kierowca ruszył na żółtym świetle i skręcił w prawo w Klara Norra Kyrkogata. Nie mieli dużo czasu. Za chwilę policja ustawi blokady. Przy ulicy Olofa Palmego skręcili w lewo, potem szybko w prawo w Dalagatan. Pędzili aż do Vanadisevagen. Tam wjechali na podwórze, w dół do garażu, zaparkowali. Wokół nie było żywej duszy.

- Wszystko dobrze? - spytał kierowca.

Otworzył drzwi i wysiadł. Zapalił papierosa, zatrzasnął drzwi.

- Pozbądź się samochodu - powiedział i poszedł w kierunku wind.

Musi zmienić ubranie, zanim się udusi od smrodu.

Noc minęła spokojnie. Annika spała na pryczy obok babci, głęboko i mocno. Nie obudziła się ani razu. Rano starszka jeszcze spała, trzeba ją było budzić na śniadanie. Po posiłku znów zasnęła.

Annika wzięła prysznic i wywróciła majtki na drugą stronę. Potem siedziała i długo patrzyła na babcię, jej spokojną twarz, zmarszczki jak fale, jasny, ledwo widoczny meszek na policzkach. Usta jej zwisały, Annika od czasu do czasu wycierała spływającą z nich ślinę.

Wyszła i spacerowała niespokojnie po korytarzu. Zadzwoiła do matki, nikt nie odebrał. Do siostry - to samo.

Wypiła kawę. Wypiła ciepłą zupę z głogu z plastikowego kubka.

Trzeba się opiekować tymi, których się kocha.

W porze lunchu spróbowała nakarmić babcię, ale starszka powiedziała, że nie jest głodna.

Popołudnie wlokło się niemiłosiernie. Udało jej się znaleźć kilka gazet, ale była zbyt rozkojarzona, żeby czytać. Na czołówce „Kyallspressen” był temat Carla Wennergrena. Znalazł kwit, który dowodził, że pani minister zapłaciła za czekoladę służbową kartą.

Boże mój, pomyślała Annika, to dopiero kaczka. Ktoś zapewne uważa, że pani minister ma za dużo władzy, jest za młoda, za ładna, za mądra. Jakiś elegancki mały skandalik może odwrócić uwagę od głównego problemu poruszanego na kongresie socjaldemokratów, kwestii, kto zostanie sekretarzem partii, a tym samym następnym znaczącym nazwiskiem w partii.

Odłożyła gazetę, wyszła i usiadła w świetlicy. Włączyła telewizor. Nadawano program po turecku. Nie trzeba mieszkać w Sztokholmie, pomyślała. Można mieszkać w Istambule i pracować w hotelu Nese. Można mieszkać w Katrineholmie i opiekować się babcią.

Zatrzymała się nad tą myślą, pozwoliła jej się zagnieździć.

Dlaczego nie? Co przemawia przeciwko temu, żeby pozwolić najważniejszej osobie w życiu zająć należne jej miejsce?

Praca. Kariera, wszystko, w co wierzy i o co walczy w dziennikarstwie. Przyjaciele, chociaż oni zostaną, nawet jak się wyprowadzi. Dom, mieszkanie, chociaż tak naprawdę niewiele by straciła.

Nagle się rozplakała. Ogarnęła ją tęsknota, tęsknota El tym, co czuła, kiedy się wprowadziła. Pamiętała, jak światło wlewało się do pokoju, jak ożywiało ściany i sufity i dawało im duszę, spokój, ciszę, a jej chęć, by zrobić kolejny krok. Właściwie dostała wszystko, i dokąd ją to doprowadziło?

Do świetlicy wszedł dziadek z balkonikiem i dwie głośno rozmawiające kobiety. Annika szybko otarła łzy.

- Ogląda pani to? - spytała jedna z nich ze sceptycznym wyrazem twarzy.

Annika pokręciła głową, wstała i wyszła. Kobiety przejęły panowanie.

- O siedemnastej zaczyna się popołudniowy koncert, chcesz go obejrzeć, prawda, tato?

Korytarz tonął w półmroku, zainstalowane pod sufitem jarzeniówki były wyłączone. Przez otwarte drzwi sal sączyło się światło dnia. Odbijało się w wypastowanych do połysku podłogach. Ruszyła wolno w kierunku pokoju babci i znów poczuła ucisk w piersi. Wciąż tęskniła, pamiętała chwile, kiedy oddychała lekko i płynnie, gorące dni w hotelu Nese, ciepłe chwile spędzone ze Svenem. Stała w drzwiach pokoju babci i oparła czoło o futrynę. Tęskniła za miłością, za należeniem do kogoś. Przełknęła ślinę i poszukała drobnych w tylnej kieszeni spodni. Wyszła z oddziału i poszła do ciastnego pomieszczenia z telefonem. Wyszukała w książce numer - domowy. Ostra Ekuddsgatan. Wybrała siedem cyfr, zawahała się przed ósmą, w końcu ją wcisnęła. Sygnały: jeden, dwa, trzy.

- Samuelsson.

Kobieta. Noszą to samo nazwisko.

- Halo?

On przybrał jej nazwisko czy ona jego?

- Kto tam? Halo?

Odłożyła słuchawkę, nie odezwała się. Czuła, że robi błąd, i ciążyło jej to na żołądku jak kamień. Poszła z powrotem, zajrzała do babci. Spała. Wróciła do świetlicy. Pusto. Próbowwała odetchnąć, próbowała czytać.

Wszystko się ułoży. Wszystko będzie dobrze.

- Kto dzwonił? - spytał Thomas.

Stał odwrócony do niej plecami. Nie odpowiedziała, więc spojrzał na nią przez ramię. Patrzyła na niego badawczo, wyczekująco.

- Nikt się nie odezwał. Czekasz na telefon?

Odwrócił się, skupił się na nożu.

- Nie, skąd, a powinienem?

- To dziwne, kiedy nikt się nie odzywa.

- Pewnie pomyłka - powiedział Thomas i posiekał resz tę cebuli. - Możesz mi podać olej?

Wyciągnęła do niego rękę z butelką oleju kukurydzianego. Znosi wyższą temperaturę. Thomas wlał go na patelnię cienkim, wijącym się strumieniem.

- Powinniśmy mieć kuchenkę gazową - powiedziała Eleonor. - O wiele lepiej się nadaje do potraw z woka. Może wstawimy, jak będziemy remontować kuchnię? Co o tym sądzisz?

- Tak jest dobrze - powiedział Thomas i zamieszał nerwowo cebulę.

Eleonor stanęła obok niego i pocałowała go w policzek.

- Jesteś świetnym kucharzem - powiedziała.

Nie odpowiedział. Wrzucił na patelnię drobno pokrojone filety z kurczaka i mieszał dalej. Dolał trochę sosu rybnego.

Jak zwykle uderzył go zapach genitaliów. Dodał kleks past\ chili, marynowaną kolendrę i świeżą bazylię.

- Możesz otworzyć mleczko kokosowe?

Eleonor podała mu puszkę, już otwartą.

- No, dobrze - powiedział Thomas, kiedy zaczęło się gotować.

- Ryż jest gotowy - powiedziała Eleonor.

Odwrócił się do niej, do swojej żony, i spojrzał na jej gładką, nieumalowaną twarz. Tak wyglądała najpiękniej. Odłożył łyżkę, zrobił krok w jej stronę i objął ją. Odpowiedziała, przyciskając jego ramiona, całując go w szyję.

- Przepraszam - zamruczała.

- To ja byłem niemiły - odpowiedział w jej włosy.

- Od dłuższego czasu jesteś smutny - powiedziała cicho i pocałowała go w usta.

Poczuł, że są słone, trochę suche. Poczuł podniecenie, to tak dobrze znane uniesienie.

- Chodźmy do łóżka - powiedziała.

Poszedł za nią do sypialni, zatrzymała się w drzwiach łazienki.

- Idź - powiedziała.

Wiedział, co ma zamiar zrobić. Środek nawilżający. Powoli podszedł do łóżka, zdjął narzutę, zrzucił ubranie. Weszła do pokoju i stanęła za nim. Chwyliła go za biodra, przyciskała jego pośladki do swojego łona. Opadł obok łóżka na kolana. Obeszła go dookoła, usiadła przed nim z rozłożonymi nogami i odchyliła się do tyłu. Wpatrywał się w jej lśniące od żeluzonu, pieścił palcami ładnie przycięte włosy, znalazł lechtaczkę. Masował ją bardzo ostrożnie i powoli, aż Eleonor zakwiliła. Jego członek stał jak strzała.

Zsunął ją na niego, wszedł w nią. Zaczęła dyszeć. Przycisnął, bardzo lekko. Ciepła otchłań objęła go, wciągała, aż zaczął pojękiwać. Jej łono zaczęło żyć własnym życiem pod nim, dookoła niego, zaczęło oddychać i się obracać. Wyszła się z niej, powoli, bawił się u wejścia, masował łechtaczkę. Eleonor odrzuciła głowę i krzyknęła. Wtedy wszedł w nią z powrotem, mocno i głęboko. Poruszał się rytmicznie, aż poczuł jej skurcz. Wtedy wytrysnął, odpowiedziało mu echo jej spełnienia.

- Och, kochanie - powiedziała. - Było cudownie.

Opadł na nią, położył głowę między jej piersiami.

- Hej, kurczak już pewnie dawno gotowy - powiedziała.

- Masz papier?

Czuł, jakby coś go wgniało w łóżko, i nie mógł odpowiedzieć. Wyczołgała się spod niego. Widział, jak bierze z nocnego stolika papierową chusteczkę i wyciera się między nogami.

- Idę wyłączyć - powiedziała.

Z trudem poruszył się na łóżku, przysnął na chwilę. Obudził się po minucie, z zimnymi stopami i zadrapaniami na kolanach. Podniósł się, wciągnął szlafrok i zszedł do kuchni.

- Nakryłam na dole - powiedziała.

Poszedł się wysikać. Wytarł penisa, startł żel i spermę i zszedł do bawialni. Na stoliku pod telewizor stało wino, sałatka, nakrycia dla dwóch osób. Usiadł. Eleonor weszła za nim, z jedzeniem w garnku i podkładką. Skuliła się obok niego na sofie i pocałowała go w czoło.

- Zawsze jestem taka głodna po seksie - powiedziała.

Jedli w milczeniu, pili.

- Zachowałem się jak idiota - powiedział w końcu.

Spojrzała na swój kieliszek z mocnym australijskim chardonnay.

- Miałaś trudny okres - powiedziała. - Każdy czasami miewa.

- Nie wiem, co mnie opętało. Nic mnie już nie bawiło.

- Tak bywa, kiedy się pracuje tak dużo jak my. Musimy uważać, żeby się nie wypalić.

Zamrugął oczami. Nagle usłyszał głos dziennikarki: „Cierpi pan na wypalenie?”. Chrząknął, objął Eleonor ramieniem, do drugiej ręki wziął pilota. Odchylił się do tyłu. Zaczął się dziennik „Aktuell”. W partii socjaldemokratycznej tuż przed kongresem wybuchła jakaś awantura, mówili coś o płaceniu rządową kartą za prywatne zakupy. Pożar na Filipinach zagraża całemu miastu. Kurdyjka zamordowana w czasie demonstracji na Sergels Torg.

- Chcesz posłuchać muzyki? - zapytała Eleonor i wstała z kanapy.

Mruknął coś, próbując równocześnie usłyszeć, co się stało. Postrzelona w głowę, w samym środku tłumu, jak to możliwe?

- Bach czy Mozart?

Stłumił westchnienie.

- Wszystko jedno - odpowiedział. - Ty wybierz.

Niedziela, 4 listopada

ANNIKA NIENAWIDZIŁA NIEDZIEL. Nie miały końca. Wszyscy zajmowali się pierdołami, sprawami bez znaczenia, żeby czas jakoś minął. Całe społeczeństwo przesiąknięte

było bezsensowną idyllą: zrobić piknik, pójść do muzeum, pogłaskać dzieci, zorganizować grilla. Dzień powszedni, to, co normalnie tłumi lęk, był gdzieś daleko, zapomniany. Jedynym usprawiedliwieniem odcięcia się od wspólnoty była praca. Dzięki niej miała wymówkę: musi odpocząć, pobyć-czyć się, poleniuchować, by mieć siłę pracować całą noc.

Dzięki Bogu dziś znowu idzie do pracy na nocną zmianę.

Matka i Birgitta przyszły na oddział po lunchu. Siedziały we trzy i rozmawiały z babcią. Annika zaczęła już widzieć w tym zasadę: Arvid, fabryka, rodzice, a przede wszystkim matka, młodsza siostra, która umarła. Po ponad godzinie starszka była zmęczona, zasnęła. Poszły do kafejki. Oczywiście była zamknięta, niedziela, dzień odpoczynku. Kupiły kuleczki Delikato i kawę z automatu.

- To nie jest dla niej dobre miejsce - powiedziała Annika. - Potrzebuje porządnej rehabilitacji, im prędzej zaczniesz, tym lepiej.

- To co mamy zrobić? - spytała Birgitta. - Przecież nigdzie nie ma miejsc. Pomyślałaś o tym?

Annika ze zdziwieniem spojrzała na młodszą siostrę. Wydawała się zdystansowana i agresywna.

Bierze stronę mamy, przeleciało jej przez głowę. Ona też mnie nie lubi.

- Tak, pomyślałam - powiedziała. - Może ja się nią zajmę.

- Ty? - spytała matka z pogardą. - To by dopiero było, w tym okropnym, nienowoczesnym mieszkaniu? Nie rozumiem, jak ty tam wytrzymujesz.

Nagle zachciało jej się płakać. Nie miała już siły. Wstała, założyła kurtkę, zarzuciła torbę na ramię i spojrzała na matkę.

- Nie podejmujcie żadnych decyzji beze mnie - pimił się. Zwróciła się do siostry: - Do zobaczenia.

Odwróciła się i wyszła ze szpitala, na parking. Słońce świeciło. Światło było zamglone. Śnieg na ziemi, skrzypiące buty. Zimno. Owinęła głowę szalem i oddychała z otwartymi ustami. Łzy cisnęły jej się do oczu, ale nie wylewały się.

Dworzec. Musi jechać do domu. Wyjechać stąd.

Kiedy Annika weszła do redakcji, Sjólander siedział na biurku Janssona i pił kawę. Było już ciemno. W wyludnionej redakcji wszystko było pod kontrolą, panował absolutny spokój. Annika zaczynała pracę dopiero za dwie godziny, ale już nie miała siły być sama. Pociąg utknął przed Söder-talje z powodu problemów z sygnalizacją. Była przekonana, że takie coś zdarza się tylko na zielonej linii metra, potem od razu z dworca pojechała do redakcji.

- Więc co mamy? - powiedział Jansson i postukał w klawiaturę. Wprowadził notatki prosto do komputera.

- Całkiem sporo - odparł Sjólander i odłożył zapiski na biurko.

- Ile z tego możemy wydrukować? - spytał Jansson, nie spuszczając wzroku z monitora.

- Prawie wszystko - powiedział Sjólander.

- O czym to jest? - spytała Annika. Usiadła, wyjęła notes i długopis i włączyła komputer. - O Kurdyjce na placu?

- Yes - powiedział Jansson. - Paskudna historia. Pięć tysięcy świadków i ani jedna cholera nic nie widziała.

- Policja znalazła ubranie mordercy - powiedział Sjólander. - Brązowe rękawiczki, ciemnozielona popelino-wa kurtka. Rękawiczki kupiono w Ahlens, tuż obok. Było na

nich mnóstwo odcisków palców. Do tej pory zidentyfikowano osiemnaście, należących do różnych osób. Kurtka jest sterylnie czysta, poza śladami działania podciśnienia przy strzale i resztek prochu na rękawie.

- To co, zlokalizowali jego kosz na brudy czy jak?

- Kosz na śmieci. Ciuchy leżały wśród śmieci w koszu na dworcu.

Annika odchyliła się do tyłu. Poczowała, że odzyskuje dawną rutynę, i było jej z tym dobrze.

- I nikt nic nie widział? - zastanawiała się głośno.

- O, tak - powiedział Sjólander. - Kilkaset osób opisało mężczyznę w ciemnym ubraniu, który być może był Szwedem, ale może Turkiem, może Arabem, a może Finem. Najpierw rozmawiał z ofiarą, potem ją zastrzelił i położył na ziemi, potem pobiegł w kierunku metra. Ubranie wcisnął do kosza tuż za drzwiami. Są świadkowie, którzy widzieli go w środku, jak się rozbierał, między innymi strażnik Abab. Facet miał pod spodem jasne ubranie. Dalej zeznania się różnią. Nie wiadomo, dokąd uciekł. Według strażnika wybiegł na zewnątrz. Według grupy młodzieży pobiegł w dół, do metra. Kobieta z wózkiem stwierdziła, że z powrotem na plac. Prawie ją stratował, uciekając. Tak czy inaczej, zniknął.

- Co za cholerna bezczelność - powiedział Jansson. -Zrobić coś takiego wśród tylu ludzi.

- Prawdopodobnie mu to pomogło, tłum stał się jego schronieniem. Działał z zimną krwią.

W głosie Sjólandera słychać było zachwyt.

- Co jeszcze wiemy? Broń?

Sjólander przejrzał notatki.

- Tłumik, rzecz jasna. Mowa więc o pistolecie albo o N
wolwerze. Mam informacje na temat pocisku, możemy |c
opublikować. To była amunicja półpłaszczowa. Dziewczyna
dostała w kark. Pełnopłaszczowy pocisk przeszedłby przez
głowę na wylot i wtedy cała twarz byłaby zmasakrowana, zo
stałaby z niej istna miazga. Pocisk utknął za nosem, ale i tak
roztrzaskał cały mózg na papkę. Z przodu dziewczyna była
cała, ludzie najprawdopodobniej myśleli, że po prostu upadła.

Annika wzdygnęła się. Jakże to straszne. Ziewnęła.
Pierwsza noc zawsze szczególnie jej się dłużyła.

- Wiecie, jak się nazywała ta dziewczyna?

- Tak, podano jej nazwisko. Nie miała tu żadnych krew-
nych, była uciekinierką. Z Kosowa zdaje się. Nie miała tam
żadnych żyjących krewnych. Ale tutaj tak. Była z Bośni, z
Bije... cholera, co tu jest napisane? Bijelina? Aida miała na
imię. Aida Begović.

Redakcja skurczyła się wokół Anniki do rozmiarów dziup-
li. Jej pole widzenia uformowało się w wąski tunel. Kolory
zniknęły, wszystkie dźwięki zamknęły się w puszcze. Wstała.

- Co jest, do cholery? - powiedział Jansson. Jego głos
docierał do niej z daleka. Widziała przed sobą jego twarz.
Podłoga falowała, głosy docierały z daleka. - Annika, do li
cha, jesteś chora czy co? Usiądź, do cholery, jesteś zupełnie
biała na twarzy...

Ktoś posadził ją na krześle, wcisnął jej głowę między ko-
lana, kazał oddychać.

Wpatrywała się w spód siedzenia, w mechanizm do pod-
noszenia i opuszczania krzesła. Zacisnęła mocniej powieki,
wstrzymała oddech.

Aida, Aida z Bijeliny nie żyje. To ona ją zabiła.

Znowu to zrobiłam, pomyślała. Znowu zamordowałam.

- Annika, do licha ciężkiego, żyjesz?

Usiadła. Włosy opadły jej na twarz, cały budynek kołysał się wraz z nią.

- Niedobrze mi - powiedziała nie swoim głosem. - Muszę jechać do domu.

- Zadzwoń po taksówkę - zaproponował Jansson.

Ciemność. Nie miała siły zapalić światła. Siedziała na kanapie i wpatrywała się w firankę. Powiewała lekko, jak tańczący cień.

Aida nie żyje. Zabił ją jakiś mężczyzna. Mężczyzna w czarnym ubraniu ją odnalazł. Jak?

Rebecka, rzecz jasna. Aida straszyla ją, że wyjawii, że fundacja Raj to blef, a Rebecka się zemściła, zdradzając ją. Powiedziała jej prześladowcy, gdzie się ukrywa.

Co za cholerna świnią. Co za przeklęta morderczyni.

I to ona wpędziła Aide w tę pułapkę.

Nieumyślne spowodowanie śmierci.

Ucisk w piersi narastał. Był coraz silniejszy, zaraz, za chwilę się rozsypie.

Sięgnęła po telefon. Musi zadzwonić, musi porozmawiać. Annę była w domu.

- Co się stało? - spytała. - Jesteś chora?

- Dziewczyna, ta zastrzelona na Sergels Torg - powiedziała Annika. - Znałam ją. To moja wina, że zginęła.

- O czym ty mówisz?

Annika podciągnęła kolana pod brodę i objęła łydki ramieniem. Bujała się w tę i z powrotem na swojej szorstkiej sofie i płakała do słuchawki.

- Wysłałam ją do Raju, a oni ją zdradzili. I nie żyje.

- Poczekaj no - powiedziała Annę. - Dziewczyna została zamordowana, tak? Postrzelona w głowę? Co ty miałabyś mieć z tym wspólnego?

Annika odetchnęła, uspokoiła się.

- Raj to błąd. Szefowa to oszustka. Aida, ta dziewczyna, powiedziała, że wydała całe działo. Dlatego zginęła.

- Okej, zaczniemy od początku - powiedziała Annę. - Opowiedz mi wszystko.

Annika wzięła głęboki oddech i opowiedziała całą historię, o tym, jak Rebecka zadzwoniła do redakcji, żeby wypromować swoją działalność, o ich spotkaniu w dziwnym hotelowym barze, o genialnej organizacji fundacji, o własnych przemyśleniach, o drugim spotkaniu, o tym, jak nie zgadzało jej się to, co Rebecka mówiła o finansach, o zastraszaniu przez mafię jugosłowiańską, o fantastycznych opowieściach Rebecki o organizowaniu życia zagranicą, o tym, jak dowiedziała się o długach Rebecki i jej innych tożsamościach, bankructwach, podejrzeniach o popełnienie przestępstwa. Potem opowiedziała o Aidzie, o tym, co jej groziło, o mężczyźnie, który próbował się wdrzeć do hotelowego pokoju, o tym, jak dała Aidzie numer do Raju i poradziła szukać tam pomocy, o tym, jak na schodach swojego domu spotkała Mię, o jej historii, o rozmowie, podczas której Mia z rozpaczą opowiadała o zniknięciu Aidy, o Rebecce, która ją straszyla.

-1 uważasz, że to wszystko twoja wina? - powiedziała Annę.

Annika przełknęła ślinę.

-Przecież tak jest.

Annę westchnęła.

- Kochana - powiedziała. - Nie bierz na siebie proble mów całej ludzkości. Wiem, że chciałabyś naprawić świat, ale muszą być jakieś granice. Właśnie je przekroczyłaś. Masz głos, jakbyś była absolutnie wykończona. Twoja babcia jest chora. Nie rozumiesz, ile cię to kosztowało? Tak się strasznie troszczysz o innych, bądź przez chwilę miła dla siebie.

Annika się nie odezwała. Siedziała w ciemnym mieszkaniu i chłonęła każde słowo.

- To nie może być twoja wina, że dziewczyna dostała kulę w łeb - mówiła dalej Annę. - Wdepnęła w bagno na własne życzenie, czy nie? Próbowалаś jej pomóc, co może nie wyszło jej na dobre. Mówimy o intencjach. Jaki był twój cel, kiedy dawałaś Aidzie numer Raju? Chciałaś jej pomóc, właśnie. Opamiętaj się, Annika. Nie ma twojej winy w tym wszystkim. Najmniejszej. Rozumiesz?

Annika znów zaczęła płakać, cichym, odprężającym płaczem.

- Ale ona nie żyje. Lubiłam ją.

- Oczywiście, wiem, że ci smutno, wolno ci. Próbowалаś jej pomóc, a ona i tak zginęła. To cholernie trudna sytuacja, ale to nie twoja wina.

- Nie - szepnęła Annika. - To nie moja wina.

- Już okej? - spytała Annę. - Czy mam przyjechać? Mam cały kilogram cukierków, mogę je wziąć ze sobą.

Annika uśmiechnęła się do słuchawki.

- Nie - powiedziała. - Nie trzeba.

- Okej - powiedziała Annę. - Olej mnie. Pomyśl, jak będę wyglądała, jak wepchnę w siebie całą torebkę sama. A właśnie, być może będę prowadziła program.

- Ty? Dlaczego?

- Nie bądź tak cholernie zdziwiona. Prowadząca „Kvin nosoffan” została podkupiona przez inny kanał. Najgorszy nabytek roku, *ifyou ask me*. Teraz cholernie potrzebujemy nowego prowadzącego. Sprawa rozgrywa się między mną a tą porażką, tym pudłem, Michelle Carlsson, wiesz. Boże, boję się, kiedy o tym myślę. Muszę pojeść słodyczy.

Kiedy odłożyła słuchawkę, ciemność zdawała się mniej groźna. Firanka poruszała się abstrakcyjnie, nieregularnie.

Nie jej wina. Trudna sprawa, okropna historia, nic nie mogła na to poradzić. Za późno. Za późno dla Aidy z Bijeliny.

Rozebrała się w ciemnościach, zostawiła rzeczy na kupce na kanapie.

Spała i nic jej się nie śniło.

Poniedziałek, 5 listopada

OBUDZIŁ JĄ DZWONEK U DRZWI. Ktoś dzwonił z uporem. Wstała oszołomiona i owinęła się poszwą. Obwiązała się nią i poszła otworzyć.

- Tak nie może być - powiedział listonosz. Podniósł w górę plastikową torebkę z jakimiś śmieciami. Annika mrugała oczami, ledwo przytomna. Potarła oko.

- Co? - zapytała.

- Proszę powiedzieć swoim znajomym, żeby pakowali porządnie to, co chcą pani wysłać. Nie możemy ciągle sklejać i wiązać rozlatujących się przesyłek.

- To do mnie? - spytała z niedowierzaniem.

- Pani jest Annika Bengtson? No właśnie.

Podał jej plastikową torebkę i pakiet kopert z okienkiem, same rachunki. Cóż za cudowny poranek.

- Dziękuję - mruknęła Annika i zatrzasnęła drzwi.

Już za drzwiami upuściła poszwę na podłogę i przyjrzała się torebce. Co to, do cholery, ma być? Podniosła ją do światła, żeby widzieć wyraźniej. Podarta koperta, używana guma do żucia i pęk kluczy? Rozerwała plastikowy worek, naga poszła do salonu i wysypała wszystko na ławę. Ostrożnie dotknęła koperty. Owszem, była zaadresowana do niej. Pismo było wyraźne, ale widać było, że ktoś się spieszył. Pewnie podłoże było nierówne. Na dole w rogu coś napisał: klucze do Raju.

Od Mii.

Usiadła na kanapie. Klucze do Raju. Wzięła do ręki kopertę. Była używana, więc musiała to wysłać w wielkim pośpiechu. Spojrzała na stempel pocztowy, jakaś miejscowość w Norrlandii.

Oczywiście. Mia już ich nie potrzebuje. To muszą być klucze od domu w Jarfalli. Znała przecież adres. Mia jej powiedziała, a ona zapisała. Podeszła do torby i wysypała zawartość. Te same podpaski i pudełko cukierków Tenor, notes, długopis, złoty łańcuszek...

Zamyśliła się. Złoty łańcuszek. Usiadła na podłodze i wzięła go do rąk. Złoty łańcuszek Aidy, dwa breloki, lilijka i serce. Podziękowanie za uratowanie życia.

A i tak zginęła, pomyślała Annika. Ale to nie była moja wina. Zrobiłam, co mogłam.

Przełożyła łańcuszek przez głowę, rozłożyła na dekolcie. Metal był ciężki i zimny. Schowała resztę rzeczy do torby, wszystko oprócz notesu. Poszła z nim do salonu i wyszukała

adres Raju. Róg kartki był oderwany, już dała komuś ten adres - facetowi z gminy, Thomasowi Samuelssonowi. Thomasowi, staremu hokeiście, żonatemu ze swoją żoną, panią Samuelsson.

Przyniosła książkę telefoniczną i znalazła mapę Jarfalli. Zadzwoił telefon, podskoczyła pod sufit.

- Jak się czujesz? Jansson powiedział, że wczoraj zachorowałeś i musiałś pojechać do domu - powiedział Schyman.

Przeknęła ślinę.

- Lepiej - odpowiedziała z wahaniem.

- Co się stało? Zemdląłeś?

- Coś w tym rodzaju.

- Ostatnio wyglądałaś na zmęczoną - powiedział szef redakcji. - Może trochę za dużo pracujesz nad tą fundacją.

- Ale ja nie... - zaczęła.

- Posłuchaj mnie - przerwał jej Schyman. - Weź zwolnienie do końca tej serii dyżurów, a potem zobaczymy, jak się będziesz czuła. Nie myśl o Raju, zajmij się sobą. Twoja mama też jest chora?

- Babcia.

- Zaopiekuj się nią, zobaczymy się później. To co, zgoda?

Poczuła, jak po jej brzuchu rozchodzi się ciepło. Ludzie się o nią troszcza.

Westchnęła i rozsiadła się na sofie. Nieoczekiwane zwolnienie nie wydawało się niczym ostatecznym, nie czuła się zagrożona. Było to raczej przyjemne.

Poszła do sypialni, założyła dres. Wiedziała, co będzie robić. Najpierw prysznic.

*

Musi uważać. Nie może pozwolić, żeby ludzie, na których liczy i którym ufa, się wykańczali. Jako wypalone murie będą bezwartościowi. Annika Bengtson musi jeszcze trochę wytrzymać.

Anders Schyman wziął głęboki oddech. W pokoju pachniało środkiem czyszczącym. Wyrzucenie kanapy i zarządzanie wielkiego sprzątnia w czasie weekendu było genialnym posunięciem.

Zadowolony, z poczuciem, że kontroluje sytuację, oparł się na krześle i rozłożył gazetę. W miarę jak czytał, to poczucie stopniowo zniknęło. Na pierwszej stronie pisano o zuchwałym morderstwie na Sergels Torg. Młoda kobieta została postrzelona w głowę w czasie demonstracji. Artykuł ilustrowała jej duża, zamazana fotografia. Była młoda i piękna. Opublikowanie nazwiska i zdjęcia ofiary nie było samo w sobie kontrowersyjne, natomiast makabrycznych szczegółów na temat jej śmierci było zbyt dużo. Nikt nie musi wiedzieć, że półpłaszczowy pocisk rozerwał jej mózg i utknął tuż za nosem. Schyman westchnął. Cóż, to drobiazgi.

Na następnej stronie omawiano kryzys rządowy. Kongres socjaldemokratów zaczyna się w czwartek i będzie się ciągnął przez tydzień, walka o władzę trwa. Carl Wenner-gren drążył sprawę prywatnych finansów pani minister i jej spóźniania się z opłatami za przedszkole. Był bliski przekroczenia granicy tego, co można uznać za etyczne. Gazeta nadal nie zajęła się najważniejszą kwestią, mianowicie dlaczego dyskusja na temat pani minister zaczęła się właśnie teraz. Wszyscy wiedzieli, że komisja przygotowująca wewnętrzne wybory zamierza zaproponować jej kandydaturę na nowego

sekretarza partii, a tym samym będzie kandydatką na u i /.ul premiera. Pominięty betonom w średnim wieku noże po otwierały się w kieszeniach. Chciał, żeby gazeta się tym za iv ła, chciał mieć artykuł o tym, jak działają ludzie u władzy, i < i są gotowi zrobić, żeby tę władzę utrzymać. Inne kandydaty się nie pojawiły, choć było wiadomo, że trzech parlamentarzyistów ma opuścić władze partii. Czuł, że propozycje mogą być kontrowersyjne. To będzie interesujący kongres. Plotkowano, że Christer Lundgren, były minister handlu zagranicznego, który odszedł po skandalu w związku ze Studiem 6, ma zamiar wrócić. Schyman w to wątpił. Skandal był zbyt głośny, właściwie do końca tej sprawy nie wyjaśniono, a to, co mogło jeszcze wyjść na jaw, groziło zbyt poważnymi konsekwencjami. Natomiast minister kultury Karina Björnlund miała szansę wejść do zarządu, co samo w sobie było nie do przyjęcia, gdyby ktoś go pytał o zdanie. Z pełną powagą zaproponowała, żeby to państwo powoływało i odwoływało naczelnych redaktorów i wydawców wszystkich szwedzkich mediów. Mimo to zachowała stanowisko i Schyman wiedział dlaczego. Annika Bengtson opowiedziała mu o tym już dwa lata temu.

Reszta gazety nie zawierała niczego godnego uwagi. Kolejne rady dla inwestujących w akcje: „tak zostaniesz zwycięzcą”, westchnął. Znalazł wywiad z jakąś gwiazdą telewizji, która właśnie miała przejść do innej stacji. Powodem nie był konflikt, raczej pieniądze. Schyman westchnął. Nie udało im się w minionym tygodniu wynaleźć nic naprawdę ważnego, nic, co dawałoby szansę, że poniedziałkowy numer zapowie obfitujący w wydarzenia nowy tydzień.

No cóż, do cholery, drukarnia sprostala zadaniu, numer ukazał się na czas. Trzeba się cieszyć z małych rzeczy.

Pizza uciskała przepoń Thomasa jak cegła z sera. Było mu trochę niedobrze. Po lunchu wziął popołudniówki i poszedł do swojego pokoju. Zrezygnował z kawy.

Na środku biurka leżała faktura z fundacji Raj. Chronione mieszkanie dla klientki na listopad, grudzień i styczeń. Trzysta dwadzieścia dwa tysiące koron. Wiedział, że tych pieniędzy nie ma w budżecie. Trzeba by przełożyć remont zagrzybionego przedszkola i przekazać pieniądze cholernej, uchylającej się od płacenia rachunków oszustce.

Urzędniczka podała mu fakturę, kiedy wychodził z kolegami na lunch.

- Właśnie przysłała faksem - powiedziała zimno. Nie mogła mu wybaczyć, że wystawił ją na pośmiewisko w obecności klienta.

Podziękował, zażenowany bardziej, niżby kiedykolwiek się do tego przyznał.

Wpatrywał się w fakturę i zastanawiał się, jakie pozycje można by wykreślić z budżetu, żeby pieniędzy wystarczyło.

Do diabła, pomyślał, i odsunął od siebie tę myśl. To nie mój problem. To komisja zgodziła się na to gównno. Niech jej członkowie sami teraz sprzątają.

Westchnął, oparł się na krześle i wziął do ręki „Kvallspres-sen”. Otworzył na środku. Trafił na obszerny wywiad z prowadzącą jakiś program, która zdecydowała się odejść z telewizji. Straszne bzdury, pomyślał i przerzucił gazetę w poszukiwaniu wiadomości. Zobaczył zdjęcie sobotniej ofiary z Sergels Torg, kurdyjskiej kobiety, która została zamordowana w samym środku tłumu demonstrantów. Była taka młoda. Spuścił wzrok, przeczytał podpis pod zdjęciem.

Aida Begović z Bośni.

Jego mózg przestał pracować na kilka sekund. Odrzucił zę i wziął do ręki fakturę. Widniała na niej data: 5 listopada.

To dzisiaj. To niemożliwe, pomyślał. Wysunął najniższą szufladę i wygrzebał wszystkie notatki i wydruki dotyczące tej sprawy. Wertował papiery, dobrze pamiętał: Aida Bego-vić z Bijeliny, z Bośni.

Ze złości zaparło mu dech w piersiach. Wszystko widział na czerwono. Ta diablica... miała czelność brać pieniądze na chronienie kobiety, która została zamordowana.

Wyrzucił papiery na biurko. Gdzieś tu musi być mała karteczka z adresem. Wypadła, gdy przetrząsał papiery od komornika z Sollentuny. Mały róg kartki z wielkiego notesu Anniki Bengtson. Schował fakturę i kartkę z adresem do wewnętrznej kieszeni, założył płaszcz i wyszedł.

Annika wysiadła z pociągu w Jakobsbergu. W rękę trzymała mapę wydartą z książki telefonicznej, strona 18. Wiał zimny, przesywający, niosący wilgoć wiatr. Smagał jej skórę ostrymi podmuchami. Wszędzie stały bloki klocki z lat sześćdziesiątych. Szkoła, salon fryzjerski, kościół. Spojrzała na mapę. Musi iść w górę, na północny zachód. Znalazła tunel biegnący pod obwodnicą Viksjó. Weszła do Emils Fast Food i zjadła hamburgera.

Kiedy wyszła, poczuła, że się denerwuje. Smak przydrożnego baru wypełniał jej usta. Hamburger przewracał jej się w żołądku, poczuła, że ma zgagę. Najprawdopodobniej za chwilę stanie się winna działania na własną rękę.

Spojrzała w górę, na domy, bezbarwne i rozmazane we mgle.

Nie muszę, pomyślała, jestem na zwolnieniu. Raj może zaczekać.

Zawahała się, patrzyła na domy.

Zawsze mogę pójść i popatrzeć, pomyślała. Nie muszę wchodzić tylko dlatego, że patrzę sobie na domy z ulicy.

Z uczuciem ulgi wywołanym odwołaniem decyzji poszła w kierunku osiedla. Prawdopodobnie nazywało się 01ovslund. Nie wyglądało na zaprojektowane, nie było jednolite. Każdy dom był inny, każdy został zbudowany w innym stylu i epoce. Domy z przełomu wieków, stary dworek, domy dla ludu z lat trzydziestych, nowoczesne chaty z meksykańskiej cegły i bejcowanego na brąz drewna. Wyrosły wzdłuż szerokiej rzeki. Wiele ulic nosiło nazwy oddające ich położenie: Wysoka, Stokowa, Stroma. Inne ochrzczono nazwami pór roku i miesięcy, minęła Jesienną i Listopadową.

Ciekawe, ile ludzie wiedzą o sobie w takich miejscach, pomyślała. Domyślała się, że niewiele.

W końcu dotarła do tej, której szukała. Szła wolno pod górę. Pokryty żwirem asfalt, zaśmiecone rowy. Pęk kluczy dzwonił i parzył w kieszeni.

Dom stał prawie na samym szczycie wzgórza, po stronie północnej. Stała przy podejździe i czujnie obserwowała. Działka była pagórkowata i dziko zarośnięta, brązowe liście gniły wśród płam śniegu. Część widoku zasłaniały wielkie głazy. Dom zbudowano w latach czterdziestych, może we wczesnych pięćdziesiątych. Dwa piętra, jasny szarobury tynk, który kiedyś prawdopodobnie był biały, a teraz powoli odpadał. Żadnych firanek, żadnych lamp, nigdzie się nie świeciło. Okna wyglądały jak ubytki w rzędzie kiepskiego użębienia.

Serce jej łomotało, oddech stawał się gęsty w chłodnym powietrzu. Rozejrzała się. W żadnym z domów nie paliło się światło, nie było widać nikogo.

Szwedzkie przedmieścia wyglądają po południu jak po ataku bombowym, pomyślała, wążąc w kieszeni klucze.

Mia Eriksson wynajmowała w tym domu pokój, zapłaciła do końca miesiąca. Dała jej adres i pęk kluczy. Annika poczuła się prawie zaproszona.

Wzięła głęboki wdech. Ścieżka prowadząca do domu była oblodzona i nierówna od śladów stóp, nie odśnieżano jej. Spojrzała szybko przez ramię, nikt jej nie widział. Nikt się nie zastanawia, co tam robi. Szybko wbiegła po schodach, ze spoconą ręką w kieszeni ściskającą klucze. Nasłuchiwała pod drzwiami, ale nic nie było słychać. Nacisnęła dzwonek. Zabrzęczał i ożywił wewnątrz. Jeśli ktoś otworzy, musi coś wymyślić, zapytać o drogę albo zaproponować zakup „Situation Stockholm”. Zadzwoiła ponownie. Nic. Obejrzała drzwi: solidne, lata czterdzieste, dwa zamki. Wydobyła klucze. Zważyła je w rękę i włożyła jeden do górnego zamka. Nie pasował, poczuła pot na górnej wardze. A jeśli to pułapka? Drżącymi rękoma wybrała inny klucz, trzask. Odetchnęła, wzięła kolejny, dolny zamek, klik-klik, powiedział zamek, szcęk. Drzwi puściły ze skrzypieniem. Weszła do środka. Puls dudnił jej w uszach, zamknęła za sobą drzwi. Zobaczyła ciemny przedpokój. Pomruwała, żeby przyzwyczaić wzrok, nie miała odwagi zapalić lampy.

Stała przy drzwiach, długo. Poczekała, aż ciemność wyda się oswojona, a serce uspokoi. Pachniało trochę nieprzyjemnie, stęchlizną i wilgocią, było zimno. Wytarła buty o małą rozdeptaną wycieraczkę. Nie chciała zostawiać po sobie śladów.

Przedpokój był pusty, żadnych mebli. Sporo było drzwi prowadzących w różnych kierunkach. Otworzyła pierwsze po lewej. Schody biegnące w górę, na piętro, słabe światło dzienne wpadało przez umieszczone gdzieś wyżej okno. Zamknęła je bezszelestnie i otworzyła następne. Schowek na rupiecie pod schodami.

Wtem na drodze przed domem usłyszała samochód. Całe jej ciało zeszytniało, serce zamarło.

Zamki, pomyślała. Muszę zamknąć drzwi na zamki, w przeciwnym razie od razu zauważą, że ktoś tu jest.

Pobiegła na palcach z powrotem do drzwi. Ręce jej drżały. Zamknęła zamki Yale pokrętłami, a pozostałe kluczami. Odetchnęła, spociła się pod pachami. Nasłuchiwała przez chwilę, ale nic nie usłyszała. Skradając się, poszła z powrotem do schowka. Kiedy otworzyła drzwiczki, klucz wypadł z zamka i z brzękiem upadł na podłogę. Szczęk odbił się echem w pustym domu. *Shit, shit.* Szybko schowała klucz, nasłuchiwała. Nic. Podeszła do kolejnych drzwi, naprzeciwko. Kuchnia nie była remontowana, odkąd dom powstał. Niskie ławy, zardzewiały blat na szafce. Dwa okna, jedno wychodzące na północ, drugie na zachód. Stary stół z płytą laminowaną i cztery różne krzesła. Ekspres do kawy. Podeszła i wyciągnęła górną szufladę: jakieś sztucce, nóż do mięsa. Wysunęła następną: pusta. Następną: pusta. Przejrzała szafki. Kilka garnków, żeliwna patelnia, cedzak. W spiżarni stała paczka makaronu i dwie puszki krojonych pomidorów. Przystanęła, rozejrzała się. Kuchnia była dość porządnie wysprzątana, to prawdopodobnie zasługa Mii.

Od strony wschodniej były jeszcze jedne drzwi, przesuwane. Zatrzaśnięte. Annika podeszła i pociągnęła za

błyszczącą rączkę we wgłębieniu. Zamknięte. Pociągnęła znów, obiema rękami, bez rezultatu. Pogrzebała palcem w zamku. Tu potrzeba małego kluczyka. Żaden z tych, kto miała, nie pasował. Poszła z powrotem do przedpokoju i sprawdziła ostatnie drzwi. Weszła do jasnego pokoju z kanapą, niskim stolikiem i kominkiem w rogu. Podłoga pokryta linoleum udającym parkiet. Z lewej jeszcze jedne drzwi. Powinny prowadzić do pokoju za kuchnią. Podeszła i sprawdziła zamek. Zamknięte. Wypróbowała klucze, nie pasowały.

Biuro, pomyślała Annika. To tutaj Mia nie miała wstępu.

Właśnie wracała do kuchni, żeby poszukać klucza do zamkniętego pokoju, kiedy usłyszała szcęk klucza w górnym zamku.

Cała krew odpłynęła jej z głowy i popędziła do stóp. Nie mogła się ruszyć, stała w holu jak przygwożdżona do podłogi. Pierwszy zamek zrobił pełny obrót. Kiedy zaczął klikać drugi, nagle poczuła powietrze pod podeszwami. Pofrunęła do drzwi ukrywających schody na piętro. Otworzyła je i wśliznęła się do środka. Błyskawicznie zamknęła je za sobą. Unosząc się w powietrzu, znalazła się w górnym holu. Ta sama podłoga z linoleum udającym parkiet, czworo drzwi. Szarpnęła jedno z nich i znalazła się w sypialni. Rzuciła się pod łóżko, jak najgłębiej. O Boże, pomóż mi, wybacz wszystko, co głupiego zrobiłam...

Podłoga pod łóżkiem była okropnie zakurzona. Annika zasłoniła ręką nos i usta, żeby choć trochę przefiltrować powietrze i nie zacząć kichać. Ktoś chodził pod nią, puszczał wodę z kranu. Musiała to być kuchnia. Oddychała ciężko, szybko, głęboko.

Nie, pomyślała, tylko nie panika, nie teraz.

Oddech jej nie słuchał, zaczęła sapać. Położyła się na plecach. Szukała w kieszeniach czegoś, w co mogłaby oddychać. Znalazła rękawiczki. Przyłożyła jedną do nosa i ust. Oddychała, oddychała, oddychała, aż atak minął. Potem leżała zupełnie spokojna, wyczerpana. Wpatrywała się w spód sześćdziesięcioletniego łóżka. Brązowo-beżowa siatka z rzemieni podtrzymywała zakurzone stalowe sprężyny.

Przekręciła głowę do ściany, przykładając ucho do podłogi. Wzburzone głosy, mężczyzna i kobieta. Głos mężczyzny był agresywny, w głosie kobiety pobrzmiwała lekka histeria. Poznała go. Rebecka Agneta Charlotta Evita.

- Ja się zajmowałam tą sprawą! - powiedziała. - To była moja sprawa! Zdrajca! Wydział socjalny miał lada dzień za płacić, a ona ucieka, ta cholera!

Mówi o Mii, pomyślała Annika. Coś roztrzaskało się na dole. Annice zdawało się, że to ekspres do kawy. Mężczyzna zamruczał. Nie zrozumiała, a potem coś zaczęło jej brzęczeć w uchu. Podskoczyła i uderzyła głową o stalowe sprężyny. Cholerny świat. Brzęk ustał. Położyła się i pomacała palcami czoło. Lekko krwawiło. I znowu ten dźwięk, ktoś dzwonił do drzwi. Dzwonek był zamontowany w kuchni, tuż pod sufitem.

W ciszy, która potem zapadła, usłyszała szepty. Raczej zdziwione niż wzburzone, raczej wystraszone niż agresywne.

- ...nie, na nikogo nie czekam...

- ...może wrócić...

Z kuchni słyhać było kroki. Annika czuła, że krew kapie jej na brew. Wytężyła słuch.

Mężczyzna, to był mężczyzna. Dyskutowali o czymś, mówili podniesionymi głosami. Drzwi zatrzasnęły się, weszli do kuchni.

- Jeśli sądzicie, że mam zamiar zapłacić ten rachunek, to jesteście idiotami - powiedział jeden z mężczyzn i Annika aż się zachłysnęła.

Thomas Samuelsson.

Głos kobiety sączył się przez sufit, chłodny i pogardliwy:

- Mamy umowę i musimy jej przestrzegać.

- Ona przecież nie żyje, do cholery!

Był rozzłoszczony.

- Uciekła stąd - powiedziała Rebecka. - To był jej wybór. To was nie zwalnia z odpowiedzialności i z obowiązku zapłacenia nam.

Thomas Samuelsson zniżył głos. Annika miała kłopoty ze zrozumieniem, co mówi.

- Mam zamiar iść na policję, przekłeta oszustko - zda wało jej się, że słyszy. - Wiem wszystko o twoich długach i bankructwach. Pieniędzy od gminy Vaxholm możesz sobie szukać na księżycu.

Potem zapanował chaos. Drugi mężczyzna coś krzyknął, Thomas Samuelsson odpowiedział, kobieta się darła, słychać było uderzenia, łamanie drewna, krzyk i ryk. Dom trząsał się w posadach.

- Zamknij go - powiedziała Rebecka.

Stuk gdzieś w oddali, stłumione krzyki, rytmiczne uderzenia pięści.

- Co teraz, do diabła? - powiedział mężczyzna.

- Ucisz go! - zawołała kobieta.

Pięści: bum, bum, bum, wściekle pokrzykiwanie: wypuście mnie, przekleńci oszuści. Kroki po podłodze, lekkie uderzenie, potem cisza.

- Nie żyje?

Pytała kobieta.

Annika przestała oddychać.

- Żyje - odpowiedział mężczyzna. - Nic mu nie będzie.

Zamknęła oczy, odetchnęła.

- Po co waliłeś tak mocno? Idiota! Przecież nie może tu leżeć!

- Musimy jechać po samochód - powiedział mężczyzna.

- Ja nie mam zamiaru go wynosić!

- Przestań marudzić, do cholery, mówię przecież, że...

Drzwi się zatrzasnęły, głosy ucichły.

Annika leżała w ciszy, zakurzona i spocona. Jakieś piórko spadało, tańcząc między sprężynami. Wylądowało pod jej nosem. Czas stał w miejscu, oddychała lekko i bezgłośnie.

Wróć. Za chwilę znów tu będą, będą mieli ze sobą samochód. Wywiozą Thomasa Samuelssona, a wtedy będzie za późno.

Ostatnia myśl jak echo tłukła się jej w głowie: za późno, za późno. Za późno dla Aidy z Bijeliny, za późno dla Thomasa z Vaxholmu.

Zdmuchnęła piórko i wyczołgała się spod łóżka. Kichnęła, była zakurzona od stóp do głów. Podeszła na kolanach do okna i wyjrzała. Rebecka i mężczyzna schodzili w dół wzgórza. Minęli właśnie samochód, w którym Annika rozpoznała zieloną toyotę corollę Thomasa Samuelssona.

Usiadła na podłodze. Jej mózg nie pracował. Co robić? Nie miała pojęcia, jak długo nie będzie Rebecki i tego

mężczyzny. Może lepiej byłoby leżeć tu i czekać, pozwól im go zabrać, a potem uciec, gdy zrobi się ciemno.

Wyjrzała jeszcze raz, zapadał zmierzch. Rebecki nil było. Jeśli ma zrobić coś innego, niż tylko czekać, to musi to zrobić szybko.

Usiadła i zamknęła oczy. Wahala się.

Gdyby nie była takim tchórzem. Gdyby nie była taka słaba. Gdyby nie miała tak mało czasu.

Cholerny mięczaku, pomyślała. Nie masz pojęcia, jak mało czasu zostało. Może uda ci się go stamtąd wydostać, jeśli ruszysz się natychmiast.

Wstała, przebiegła szybko przez górny hol, zbiegła w dół po schodach. Zdyszana z nerwów rozejrzała się: żeliwna patelnia leżała na podłodze. Co oni z nim zrobili?

Usłyszała słaby jęk ze schowka pod schodami i obróciła się na pięcie. Klucz tkwił w zamku, podeszła i przekreśliła go.

Mężczyzna zwałił się wprost na nią. Złapała go i padła na kolana. Jego głowa wylądowała w jej uścisku. Wielka rana u nasady włosów krwawiła obficie, lśniące jasne włosy były brązowe od krwi. Rozluźniła mu krawat, jęczał.

Złość wycisnęła jej łzy z oczu. Cholerni mordercy! Najpierw Aida, potem Thomas. Nigdy nie będą mieli dość?

- Hej - powiedziała i uderzyła go lekko w policzek.
-Musimy uciekać.

Spróbowała postawić go na nogi, ale wypuściła go z rąk i osunął się na podłogę.

-Thomas! - powiedziała. - Thomasie Samuelssonie z Vaxholmu, gdzie masz kluczyki od samochodu?

Jęknął, przekreślił się na plecy i położył wygodnie głowę na małym wydeptanym dywaniku.

Grzebała w kieszeniach jego płaszcza z miękkiego materiału. Dłonie jej drżały. O, są! Poszła do pokoju z kanapą, żeby zobaczyć, czy nie nadchodzi Rebecka, ale nic niepokojącego nie zobaczyła.

Kiedy wracała, zauważyła, że drzwi do zamkniętego wcześniej pokoju są uchylone. Zatrzymała się, zawahała. Powinna wiać, natychmiast. Powinna sprawdzić, co jest w środku.

- Cholera, co się stało?

Głos w holu charczał i mówił od rzeczy. Poszła zobaczyć, co się dzieje.

- Uderzyli cię w głowę patelnią - powiedziała. - Może my jechać, jeszcze tylko coś sprawdzę.

Thomas Samuelsson próbował wstać, ale znów upadł.

- Posiedź tu minutę, zaraz wracam - powiedziała.

Pobiegła z powrotem do otwartego pokoju, popchnęła drzwi i rozglądała się.

Rozczarowanie.

Nie wiedziała, czego oczekiwała, ale na pewno nie tego. Biurko, telefon, faks, półka z segregatorami i kupką luźnych papierów. Nasłuchiwała, żadnych odgłosów. Podbiegła i wyjęła segregator z etykietą: Kasacje.

Pusty.

Następny, z etykietą: Śledzenie.

Pusty.

Następny, faktury dla różnych gmin. Koło dwudziestu. Gmina Ósteraker, wasz referent Helga Axelsson, nasz referent Rebecka Björkstig. Gmina Naćka, wasz referent Martin Huselius. Wszystkie na duże kwoty, co najmniej sto tysięcy koron. Popatrzyła na segregatory stojące na najwyższej

półce, wszystkie opatrzone etykietami w rodzaju: Klienci w trakcie rehabilitacji, Chronione nieruchomości, Ogólna zacja życia zagranicą.

Wszystkie puste.

Na stosie luźnych papierów znalazła dane osobowe, wyroki, wyciągi z ewidencji ludności, blankiety z kasy chorych. Dokumenty zastraszanych osób.

Odwróciła się do półki plecami i ogarnęła wzrokiem pokój. Musi jechać. Czy coś przeoczyła?

Biurko. Rzuciła się w jego stronę, szarpała szuflady. Wszystkie zamknięte.

Okej, pomyślała, zostawiam to na razie.

Thomas Samuelsson siedział oparty o ścianę, z głową na kolanach.

- Żyjesz? - spytała zdenerwowana.

- Ledwo - zamruczał.

Otworzyła trzy zamki i osunęła się przed nim na kolana.

- Thomas - powiedziała, przelękając się - oni tu wrócą, lada moment. Musimy uciekać. Możesz iść?

Pokręcił głową. Włosy opadły jak firanka w brązowe plamy.

- Oprzyj się na moim ramieniu, jakoś cię zawlokę. Dalej.

Zrobił, jak kazała. Był cięższy, niż myślała. Kolana jej się ugięły pod jego ciężarem. Doprowadził ją do drzwi, kopnęła je. Było prawie ciemno. Posadził ją na schodach. Za-kołysał się niepokojąco. Ręce miała spocone, trzęsły jej się tak, że klucze wysliznęły się na trawnik. Już miała zacząć płakać. Do jasnej cholery, a może nie zamykać? Nasłuchiwała, co się dzieje na ulicy. Żadnych samochodów. Przeskoczyła przez chwiejącego się mężczyznę, podniosła klucze,

znowu przeszła nad nim, rzuciła się z powrotem do drzwi. Nagle przypomniała sobie o schowku pod schodami. Wbiegła i zamknęła drzwi do niego. Potem zatrzasnęła wejście we i przekręciła zamki szybko jak diabli, zamek Yale, wciągnęła Thomasa na ramiona i zawlokła go do toyoty. Drzwi otworzyły się z wesołym blip-blip. Wepchnęła Thomasa na siedzenie pasażera, obiegła samochód dookoła. Kiedy wkładała kluczyk do stacyjki, musiała go trzymać obiema rękami. Dzięki Bogu, wystartował od razu. Rozruszała silnik, wrzuciła jedynkę i odjechała w stronę szczytu wzgórza.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła we wstecznym lusterku, był samochód wspinający się z dołu w ich stronę.

Ruszyła przed siebie, w panice. Znów oddychała za szybko i za ciężko. Droga się skończyła, skręciła ostro w prawo. Thomas Samuelsson osunął się na nią. Popchnęła go, posadziła prosto.

Boże, jak się stąd wydostać? Którędy do Sztokholmu?

Pojechała w dół. Gdzieś tu musi być jakaś obwodnica, większa droga, jak się nazywa? Malarvagen?

Rzuciła okiem w lusterko wsteczne. Kilka świateł innych samochodów, chyba żaden jej nie śledzi. Spojrzała w przód, światła stopu! Obwodnica? Obwodnica Viksjó! Skręciła w prawo, byle dalej od tego domu, byle dalej od Rebecki. Szybko zauważyła, że jeździ w kółko. Minęła nową, dużą drogę, Jarfallavagen, i nagle poznała. Factory Outlet w Barkar-by! Usłyszała okrzyk entuzjazmu Anne: *Today is outlet day!* Wpadały tam jesienią i wiosną i za śmieszne pieniądze kupowały skórzane kurtki, sportowe buty i próbne kolekcje podróbek markowych ciuchów. Stąd trafi do domu. Skręciła na E18 i popędziła zewnętrznym pasem w kierunku Sztokholmu.

Nagle Thomas zaczął wymiotować. Zwymiotował ni swój płaszcz i spodnie i uderzył głową w deskę rozdzielcy.)

- *Shit* - powiedziała Annika. - Potrzebujesz pomocy?

Jęknął, znów zwymiotował. Annika jechała dalej, z rozpaczą rozglądając się za zjazdem z autostrady. Nie było żadnego. Czuła się jak więzień, nie mogła nic zrobić.

Thomas siedział z czołem przyciśniętym do deski rozdzielczej, z rękami na głowie.

- Co się stało, do jasnej cholery? - spytał słabym głosem.

- Rebecka i jej kumpel - powiedziała Annika. - Pobili cię.

Rzucił jej szybkie spojrzenie.

- A ty? Co ty tu robisz?

Patrzyła przed siebie, ruch gęstniał.

- Słyszałam, jak cię zamykali w schowku pod schodami. Kiedy poszli po samochód, wyciągnęłam cię. Masz wstrząśnienie mózgu, musisz iść do lekarza. Zawiozę cię do szpitala Sankt Goran.

- Nie - zaprotestował bez przekonania. - Nic mi nie jest. Trochę mnie tylko boli głowa.

- Głupoty gadasz - powiedziała. - Mogłeś mieć wylew. Z tym nie ma żartów.

Pogubiła się wśród wjazdów na autostradę E4, ale w końcu udało jej się na nią dostać, przy Jarva Krog. Przejechała przez Hornsberg i pędziła dalej, prosto do szpitala, na ostry dyżur. Zaparkowała. Ręce jej nie drżały, gdy wyjmowała kluczyk ze stacyjki. Czuła ulgę- Udało im się uciec.

Było zupełnie ciemno, jedyna żółta latarnia zabarwiała wszystko na brązowo.

- Nie mogę tak wejść - zamruczał Thomas i wskazał na usmarowany wymiocinami płaszcz.

- Wrzucimy go do bagażnika - powiedziała Annika. Wsiadła, podeszła do Thomasa i otworzyła drzwi. - No, wstawaj. Pomogę ci.

Stanął na nogach, naprawdę mocno wymiotował.

- Rozbierzemy cię - powiedziała i zdarła z niego płaszcz.

Thomas zakołysał się lekko.

- Skąd się tam wzięłaś? - spytał i spojrzał na nią, jakby była duchem.

- Porozmawiamy o tym później. Teraz wchodzimy.

Przełożyła jego ramię przez swoje barki, objęła go mocno w pasie i zaciągnęła na izbę przyjęć. Identyczna kobieta za identyczną szybką - jak w Katrineholmie.

- Moje spodnie - jęknął. - Są zarzygane.

- Spierzemy to w łazience - powiedziała. - Dzień dobry. Thomas został uderzony w głowę, był nieprzytomny kilka minut, boli go głowa i wymiotuje. Ma zaniki pamięci i jest zagubiony.

- Macie szczęście - powiedziała kobieta. - Nikogo nie ma, możecie wejść od razu. PESEL?

- Moje spodnie - szepnął Thomas.

- Świetnie - odpowiedziała kobiecie Annika. - Musi tylko iść do toalety...

Siedziała w poczekalni, badanie poszło szybko. Nie było z nim tak źle. Nie miał klinicznych objawów uszkodzenia mózgu i szybko dochodził do siebie. Lekarz wyszedł z nim do poczekalni.

- Długo mam odpoczywać? - spytał Thomas.

Lekarz się uśmiechnął.

-Nie, skąd. Szybki powrót do normalnego życia let(zbawienny, zapobiega utrzymywaniu się takich objawów jak bóle głowy czy zmęczenie.

Poszli do samochodu, oboje wykończeni, ale i odprężeni.

- Zawiozę cię do domu - powiedział Thomas, podchodząc do samochodu od strony miejsca kierowcy.

- Nie ma mowy - powiedziała Annika. - Dziś już nie będziesz prowadził. Ja cię odwiozę.

Odpowiedział, zanim zdążył się powstrzymać.

- Nie chcę do domu.

Spojrzała na niego, nie była zdziwiona. Obserwowała go z błyskiem w oku, którego nie mógł rozszyfrować. Klóciła się z samą sobą.

- Cóż - powiedziała w końcu. - W takim razie pojedzie my do mnie. Musisz się przynajmniej trochę pozbierać, za nim usiądziesz za kierownicą.

Nie zaprotestował. Usiadł na miejscu pasażera i zapiął pas. Uświadomił sobie, że nigdy tam nie siedział. Eleonor nigdy nie prowadziła jego samochodu, miała przecież swoje bmw.

Odjechali w kierunku Fridhemsplan. Thomas w milczeniu wyglądał przez okno. Tyle błyskających świateł, tylu bezimiennych ludzi. Tyle różnych istnień, rzeczywistość może wyglądać tak nieskończenie rozmaicie.

- Bardzo cię boli głowa? - spytała Annika.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się lekko.

- Dostyc.

Dziwnym trafem koło domu Anniki było sporo wolnych miejsc.

- Dzisiaj w nocy czyszczą ulicę - powiedziała. - Po pół nocy dostaniesz mandat. Cztery stówy.

Gdy wciągała go po schodach w górę, opierał się na jej barkach. Była silna jak na taką małą istotę. Pod pachą czuł jej biust.

Mieszkanie było zupełnie białe, podłoga zniszczona, miękko pofalowana.

- Dom zbudowano w latach osiemdziesiątych osiemnas tego wieku - powiedziała, wieszając kurtkę. - Właściciel splajtował po kryzysie na rynku nieruchomości na początku lat dziewięćdziesiątych i wszystkie plany remontowe wzięły w łeb. Napijiesz się kawy?

Przetarł wilgotne spodnie. Zastanawiał się, czy śmierdzą.

- Tak, poproszę. Albo wina, jeśli masz.

Zastanowiła się, stała z wyprostowanymi plecami i sze roko otwartymi oczami.

- Chyba mam jakiś stary otwarty kartonik białego, ale może nie powinieneś pić teraz alkoholu. Jak uważasz?

Uśmiechnął się, lekko zmieszany. Przeczesał włosy, dotknął pięciu szwów u ich nasady, poprawił krawat i marynarkę.

- Chyba nie ma problemu - powiedział. - Szybki po wrót do normalnej aktywności dobrze mi zrobi, wiesz?

Annika zniknęła w kuchni. Thomas stał niepewnie w salonie, chwiał się. Rozejrzał się. Jaki dziwny pokój. Białe matowe ściany, białe przezroczyste firanki, sofa, stolik, telewizor, telefon. Nic poza tym. Wybitą szybę zastąpiono papierową torbą. Przeciąg poruszał białym materiałem. Podłoga była szara, matowa, gładka jak jedwab.

- Usiądź, jak chcesz - powiedziała, wnosząc tacę ze szklankami, kubkami, kartonem wina i szklanym dzbankiem. Poruszała się lekko i zwinnie, nakrywała szybkimi ruchami. Na piersi opadał jej gruby złoty łańcuszek.

Usiadł, sofa nie była zbyt wygodna.

- Dobrze ci się tu mieszka?

Usiadła obok niego. Nalała sobie kawy, jemu wina i wcisnęła.

- Tak sobie - odparła. - Czasami.

Wzięła do ręki kubek, zamilkła, wpatrywała się w napój.

- Kiedyś było dobrze - powiedziała cicho. - Kiedy się wprowadziłam, uważałam, że jest tu fantastycznie. Wszystko było takie jasne, lekkie, jakby się unosiło w powietrzu. Potem... sprawy się skomplikowały. To znaczy nie z mieszkaniem, ale okoliczności, moje życie...

Zamilkła, piła kawę. Thomas skosztował wina, było zaskakująco dobre.

- A ty? - spytała i podniosła na niego wzrok. - Dobrze ci się żyje?

Chciał się uśmiechnąć, ale darował sobie.

- Nieszczególnie - powiedział. - Mam cholernie dość swojego życia.

Upił spory łyk wina. Zdziwiła go własna szczerłość. Pokiwała tylko głową, nie spytała dlaczego.

- Co robiłeś w Jarfalli? - spytała.

Zamknął oczy. Chwilę się zastanawiał, głowa mu pękała.

- Faktura - powiedział. - Zabrałem ją ze sobą?

- Jaka faktura?

- Z Raju. Miałem ją w ręku, kiedy tam przyszedłem. Trzysta dwadzieścia dwa tysiące koron, chronione mieszkanie dla klienta, na trzy miesiące. Dostaliśmy ją faksem dziś przed południem, mimo że ta kobieta nie żyje. Cholerni oszuści!

- Nie widziałam żadnej faktury - powiedziała. - Ale nie sprawdzałam pod schodami. Sprawdziłeś kieszenie marynarki?

Szybko wsunął dłonie do kieszeni, nie było jej. Sprawdził wewnętrzną. Jakiś zwinięty papier, wyjął go.

- Jest! Dzięki Bogu!

Przez chwilę patrzył na cyfry. Opuścił papier i spojrzał na Annikę.

- Co się właściwie stało? Skąd się tam wzięłaś?

Wstała i poszła do kuchni.

- Chyba też się napiję wina.

Wróciła z kieliszkiem.

- No więc - powiedziała - chciałam do ciebie zadzwonić. Dowiedziałam się dużo nowego o naszej koleżance Rebecce Björkstig. Kilka razy zmieniała tożsamość i jest podejrzana o poważne oszustwa w związku z przeprowadzanymi upadłościami.

Nalała wina z kartonu, najpierw sobie, potem jemu.

- Dziś rano dostałam pocztą pęk kluczy. Spotkałam się wcześniej z kobietą, która ocierała się o Raj, mieszkała w domu w Ölovslundzie. Cała jej rodzina uciekła stamtąd w piątek. Wysłała do mnie klucze z jakiejś miejscowości w samym sercu Norrlandii. Od razu pojechałam do Jarfalli.

Patrzył na nią, prawie oniemiał.

- Więc sama sobie otworzyłaś? Nikogo tam nie było?

Pokręciła głową.

- Nie, ale przyszli zaraz potem. Schowałam się na górze. Potem przyszedłeś ty i zrobiło się cholerne piekło. Musieli ci przyłożyć w głowę patelnią. Rebecka i ten facet

poszli po samochód, a ja zaciągnęłam cię do twojej toyoty i odjechaliśmy.

Potańczał, próbując zebrać myśli.

- Więc byłeś tam, kiedy przyszedłem.

-Aha.

- Wyciągnęłaś mnie i wywiozłaś?

- Tak jest. I zamknęłam schowek i dom na klucz, więc możesz sobie wyobrazić ich miny, kiedy po ciebie wrócili!

Uśmiechnął się. Patrzył na nią kilka sekund i wybuchnął głośnym śmiechem.

- Zamknęłaś schowek na klucz? I drzwi do domu?

- Na wszystkie zamki!

Śmiali się oboje, nie mogli przestać. Thomas zaczął wyc z śmiechu, Annika prawie krzyczała.

- Cholera, a to dobre! - pokrzykiwał Thomas.

- Musieli pomyśleć, że się zdematerializowałeś.

Uspokoił się. Śmiech wymykał się z jego ust krótkimi stęknieniami.

- Że się co?

Uśmiechnęła się.

- Zdematerializowałeś się, rozplynąłeś, jesteś tylko cyfrowym zapisem. Tak będziemy podróżować w przyszłości. Dematerializować się i wysyłać przez sieć, szybko, nie szkodzi środowisku. Pomyśl, jak będziemy latać w kosmos. To bardzo praktyczne.

Patrzył na nią. O czym ona mówi?

-W samej Drodze Mlecznej powinniśmy znaleźć od dziesięciu do stu tysięcy cywilizacji na naszym poziomie, albo nawet wyższym - powiedziała. - Naukowcy doszli do wniosku, że życie powstaje znacznie łatwiej, niż wcześniej

sądzi. Może to wcale nie jest tak cholernie skomplikowane. Jeśli warunki są odpowiednie, życie może powstawać wszędzie, cały czas. Potrzebna jest tylko woda. Thomas roześmiał się, był zdziwiony.

- Co za szalona gonitwa myśli. Dlaczego o tym mówisz?

- Zastanawiam się, jacy oni są - powiedziała. - Wyobraź sobie, co będzie, jak się spotkamy! Będzie super! Wyobraź sobie te wszystkie nowe dania, których spróbujemy. Mam dość marchewki i ziemniaków. Wszystkie te nowe warzywa! Przyprawy! Tam musi być tyle nowych światów, a ja mam tak dość tego tutaj!

Umilkła, przestała się śmiać.

- Dlaczego? - spytał.

Spojrzała mu z powagą w oczy.

-A ty?

Westchnął bezgłośnie i napił się wina. Czuł, że jest bardziej pijany, niż powinien.

- Nie podoba mi się już moje życie - powiedział.

Nie miał wątpliwości, że powinien jej to powiedzieć. Wiedział, że zrozumie, że nie będzie go osądzać. Spojrzał na nią. Był zmęczony, trochę zbyt chudy, silne ręce trzymał na kolanach.

- Kocham moją żonę - powiedział. - Mam piękny dom, dużo pieniędzy, dużo znajomych. Pracuję w zawodzie, który sam wybrałem i który lubię. Ale...

Umilkł, zawahał się. Westchnął, sięgnął palcami do krawata, zdjął go przez głowę, zwinął i położył obok siebie na sofie.

- Chcemy od życia różnych rzeczy - ciągnął. - Ona chce robić karierę w banku, wejść kiedyś do kierownictwa. Za czyną jej się spieszyć, wiosną skończy czterdzieści lat.

Chwilę siedzieli w milczeniu.

- Jak się poznaliście? - spytała Annika.

Westchnął i uśmiechnął się. Zdenerwował się, bo oczy zaszyły mu łzami.

- Była siostrą jednego z kolegów z drużyny hokejowej, dużo starszą od brata. Czasami nas podwoziła i odbierała z meczów. Ładna. *Cool*. Prawo jazdy.

Roześmiał się, żeby złagodzić sentymentalny ton.

- Twoje najskrytsze marzenie? - zapytała, a on zarumienił się lekko.

- Można tak powiedzieć. Myślałem o niej czasami przed snem. Kiedyś, kiedy byłem u Jerkera, zobaczyłem, jak wychodzi z łazienki w staniku i w majtkach. Wyglądała fantastycznie. Tego wieczoru onanizowałem się jak wariat.

Roześmiali się oboje.

- Jak zostaliście parą?

Zajrzał do pustego kieliszka. Nie powinien więcej pić. Wlał sobie resztkę zawartości kartonika.

- Latem, kiedy skończyłem siedemnaście lat, chcieliśmy z chłopakami pojeździć pociągami po Europie. Wszyscy mieliśmy sobie załatwić pracę na lato i zarobić, a potem, w drugiej połowie lipca, wyjechać. Chociaż można było przewidzieć, co z tego wyjdzie...

Annika się uśmiechnęła.

- Żaden nie pracował.

- Oprócz mnie oczywiście - powiedział Thomas. - Moi rodzice mają sklep spożywczy Ica w Vaxholmie, więc nie udało mi się uniknąć pracy. Odpowiadałem za dział mięsny. Poza tym pracowałem we wszystkie ferie i święta, więc do połowy lipca miałem forsę jak lodu.

- Ale nie było z kim jechać - dopowiedziała Annika.

- A mama nie pozwoliła mi jechać samemu. Byłem zdesperowany, trzaskałem drzwiami i nie rozmawiałem ani z kumplami, ani z rodzicami. Świat był do niczego. I oto stał się cud.

Annika wzięła jego krawat, rozwinęła go.

- Chłopak Eleonor, straszny snob z wyższych sfer, został ją tuż przed ich wspólnymi letnimi wakacjami w Grecji. Eleonor podarła bilety lotnicze i rzuciła mu je w twarz. Postanowiła pozwiedzać Europę pociągami. Było to coś, do czego ten facet nigdy by się nie zniżył. Ale nie chciała jechać sama.

Annika założyła krawat, zaszalutowała.

- Zostałeś więc jej męską eskortą.

Pociągnął za krawat. Annika udawała, że się dusi, śmiała się. Chwilę siedzieli w milczeniu, Annika zdjęła pętlę.

- Co się stało?

Thomas napił się wina.

- Na początku Eleonor nie była zbyt miła. Powiedziała, że będziemy się trzymać razem do Grecji, a potem zobaczymy. W Monachium wsiedliśmy do niewłaściwego pociągu i wylądowaliśmy w Rzymie. Było czterdzieści stopni, jak do jechaliśmy. Ja kupowałem wodę, a do Eleonor podeszła banda gówniarzy i obrobili ją. Kiedy wróciłem, była wściekła na mnie, na Włochy, na wszystko. Wstydziłem się jak pies, że nie potrafiłem jej obronić. Znaleźliśmy jakiś okropny pokój przy dworcu. Zapłaciłem, a potem upiliśmy się w sztok. Zataczaliśmy się po ulicach, trzymając w dłoniach każde swoją butelkę chianti. Eleonor krzyczała i zwracała na siebie uwagę, wieszala się na mnie, wieszala się na innych. Ja też się na niej wieszalem. Nie stało się nic straszego do chwili, kiedy

doszliśmy do Piazza Navona. Eleonor postanowiła wykapać się w fontannie, jak Anita Ekberg.

- Tylko nie ta fontanna - powiedziała Annika.

Thomas skinął głową.

- Tak, i nie ten czas. Na placu było siedem tysięcy pijanych kibiców piłki nożnej, a Eleonor pomoczyła koszulkę, zrobiła się przezroczysta. Próbowali dosłownie zdebrać z niej ubranie, prawie została zgwałcona na dnie basenu.

Annika uśmiechnęła się i znów zasalutowała.

- Ale ty ją uratowałeś.

- Krzychałem jak kucharz w *Zakochanym kundlu* w wigilię Bożego Narodzenia. *Sakramento idioto*, zaraz dostaniesz w *moppo*. Wyciągnąłem ją z fontanny i zawlokłem do hotelu.

-1 byliście razem.

- Niestety - powiedział Thomas. - Eleonor rzygała całą noc. Na drugi dzień twarz miała zupełnie zieloną. Całe przedpołudnie spędziliśmy na policji, żeby zgłosić kradzież. A całe popołudnie w szwedzkiej ambasadzie. Czekał na tymczasowy paszport. Wieczorem stanęliśmy na autostradzie Al i stopem ruszyliśmy na północ, do domu. Staliśmy tam w nieskończoność, było potwornie gorąco, dusiliśmy się od dwutlenku węgla. W końcu zabrał nas mały, tęgi mężczyzna w czerwonym samochodzie. Miał takiego samego kaca jak Eleonor i nie mówił słowa w żadnym znanym nam języku. Zatrzymał się na pierwszej stacji Area Servizio, machnął na nas i pomaszerował do baru. Zamówił trzy szklanki czegoś czerwonego i gęstego, powiedział *hoa* i wciągnął to jednym haustem. Kiedy uderzył szklanką o blat baru, spojrzał na nas wyzywająco. Pomachał rękoma i powiedział: *prego*,

pręgo. Baliśmy się, że wyrzuci nas z samochodu, więc wla-
liśmy sobie do gardła tę maź i pojechaliśmy dalej. Na każ-
dej stacji Area Servizio było to samo. Trzy szklanki, *hoa*,
trzask o blat. Wkrótce razem śpiewaliśmy piosenki. Zrobiło
się bardzo ciemno. Późno wieczorem dojechaliśmy do nie-
samowicie fantastycznego miasta, wysoko, na jakimś wzgó-
rzu. Perugia, powiedział mężczyzna, i zakwaterował nas u
swojego przyjaciela piekarza. Dostaliśmy pokój ze spadzi-
stym dachem nad sklepem, wytapetowany na różowo. Tam
się kochaliśmy. To był mój pierwszy raz.

Zamilkł, wspomnienia wypełniały pokój. Annika prze-
łknęła ślinę. Czuła równocześnie bliskość i dystans, ból i tę-
sknotę.

- Rok temu, wiosną, pojechaliśmy na wycieczkę z degu
stacją win do Toskanii - powiedział. - Któregoś dnia zro-
biliśmy sobie wypad do Umbrii. To było niesamowite uczucie,
wrócić do Perugii. To miasto zawsze było dla nas czymś
szczególnym. To tam zostaliśmy parą. Od tego czasu byli-
śmy razem dzień w dzień.

Znowu zamilkł.

-1 co się stało? - spytała Annika.

- Nigdzie żeśmy się nie odnaleźli. Nasza Perugia była
małą średniowieczną wioską z kamienia, czymś w rodzaju
dekoracji namalowanej na szczycie wzgórza. A ta prawdzi-
wa była pełnym rozmachem, żywotnym i hałaśliwym uniwer-
syteckim miastem. Dla mnie to było fantastyczne. Perugia
była jak nasz związek, była czymś, co zaczęło *się jak* ma-
rzenie nastolatka i rozwinęło w żywe, owocne, intelektualne
porozumienie. Chciałem, żebyśmy tam zostali, ale Eleonor
była przerażona. Poczuli się zdradzeni i oszukani. Nie

rozpoznała rodzącego się w Perugii pełnego życia ma I/en stwa. Ona utraciła swoje marzenie. Siedzieli w milczeniu.

- Dlaczego nie mogliście się odnaleźć?

Westchnął.

- Prawdopodobnie dlatego, że nigdy wcześniej tam nie byliśmy. Mężczyzna w czerwonym samochodzie był tak pijany, że pomylił miasta, albo to my go nie zrozumieliśmy. Mogliśmy być w każdym umbryjskim miasteczku albo wsi. W Asyżu, Terni, Spoleto...

Widziała, jak walczy ze wspomnieniami, pochylony do przodu, z łokciami na kolanach. Niesforne lśniące włosy, sztywne od krwi, spadały mu na czoło. Musiała się powstrzymać, żeby ich nie odgarnąć na bok. Jaki on piękny.

- Jesteś głodny? - spytała. Spojrzał

na nią, chwilowo zmieszany.

- Tak, właściwie tak - przyznał.

- Jestem specjalistką od tagliatelle z sosem z puszki - powiedziała. - Jadasz takie coś?

Kiwnął głową. Nie jest wybredny, jasne, może być.

Poszła do kuchni, rzuciła okiem za okno. W mieszkaniu gościnnym naprzeciwko ktoś robił kupę. Wyjęła tagliatelle i puszkę włoskiego sosu pomidorowego, zagotowała wodę. Stał w drzwiach, oparł się o futrynę.

- Jeszcze trochę się chwiejesz? - spytała.

- To pewnie wino - powiedział. - Jaka świetna kuchnia, piec gazowy.

- Autentyk z 1935 roku - powiedziała.

- Gdzie jest łazienka?

- Na półpiętrze. Załóż buty, podłoga jest strasznie zaświniona.

Nakryła do stołu. Zastanawiała się, czy wyjąć serwetki. Stała chwilę, rozmyślając o tym. Serwetki? Kiedy ich ostatnio używała? Dlaczego miałyby to robić teraz? Żeby mu za imponować, udawać kogoś innego?

Kiedy Thomas wrócił, wyrzucała makaron na cedzak. Słyszała, jak zdejmuje buty i chrząka. Kiedy wszedł do kuchni, zauważyła, że nabrał kolorów.

- Ciekawy pomysł z tą łazienką - powiedział. - Mówi łaś, że jak długo tu mieszkasz?

- Dwa lata. Ponad. Chcesz serwetkę?

Usiadł przy stole.

- Tak, poproszę.

Podawała mu wielkanocną, żółtą serwetkę Duni. Rozwinął ją i położył sobie na kolanach. Najnaturalniejsza rzecz na świecie. Annika zostawiła swoją zwiniętą obok talerza.

- Dobry makaron - powiedział.

- Nie musisz - odpowiedziała.

Jedli w milczeniu, byli głodni. Spoglądali na siebie, uśmiechali się. Ich kolana stykały się pod małym kuchennym stolikiem.

- Mogę pozmywać - zaproponował.

- Nie ma ciepłej wody - powiedziała Annika. - Zrobię to później.

Zostawili brudne naczynia i przeszli do salonu. Cisza między nimi, łaskotanie w jej brzuchu. Stali po przeciwnych stronach stołu.

- A ty? - spytał. - Nie byłaś mężatką?

Opadła na kanapę.

- Byłam zaręczona.

Usiadł obok niej, iskrzyło.

-Dlaczego się skończyło? - zapytał. Zainteresowany, serdeczny.

Wzięła głęboki wdech i spróbowała się uśmiechnąć. Pytanie, takie zwyczajne, takie normalne. Dlaczego się skończyło? Szukała słów.

-Bo...

Chrząknęła. Przebierała palcami po brzegu stołu. Jak normalnie odpowiedzieć na takie normalne pytanie?

- To takie trudne? Zostawił cię?

Był taki serdeczny, współczujący. Coś w niej pękło, rozwarło się, zaczęła płakać. Złożyła się wpół, uderzyła rękoma w głowę, nie mogła się powstrzymać. Czuła, że jest zdziwiony, bezradny, nie wie, co robić. Nie potrafiła nic na to poradzić.

Zaraz wyjdzie, pomyślała, zniknie na zawsze. Może i dobrze.

- Co się stało? - spytał.

- Przepraszam - powiedziała przez łzy. - Przepraszam, nie chciałam...

Pogładził ją ostrożnie po plecach, pogłaskał lekko po włosach.

- Ale, Annika, co się stało, opowiedz!

Próbowała się uspokoić, oddychać, kapało jej z nosa na kolana.

- Nie mogę - powiedziała. - To niemożliwe.

Chwycił ją za ramiona i obrócił do siebie. Odruchowo odwróciła opuchniętą od płaczu twarz.

- Jestem taka brzydka - wybełkotała.

- Co się stało z twoim narzeczonym?

Nie chciała podnieść wzroku.

- Nie mogę ci powiedzieć. Znienawidziłbyś mnie.

- Nienawidzić cię? Dlaczego?

Podniosła na niego wzrok. Czowała, że nos ma czerwony, a rzęsy posklejane. Wyglądał na zaniepokojonego, zmartwionego, jego oczy błyszczały błękitem. Martwił się o nią. Naprawdę chciał wiedzieć. Znowu spuściła wzrok, oddychała szybko, z otwartymi ustami. Długo się wahała, w końcu się odważyła:

- Zabiłam go - wyszeptwała, patrząc w podłogę.

Zapadła ciężka, przytłaczająca cisza. Czowała, jak Thomas sztywnieje.

- Dlaczego? - spytał cicho.

- Maltretował mnie. Próbował mnie udusić. Musiałam od niego odejść, inaczej bym umarła. Kiedy powiedziałam, że to koniec, rozpruł nożem mojego kota. Mnie też chciał zabić. Uderzyłam go tak, że wpadł do pieca hutniczego...

Wpatrywała się uporczywie w podłogę. Czowała, że się od siebie oddalają.

- Zginął?

Jego głos brzmiał inaczej, był stłumiony.

Skinęła głową. Czowała, że po policzkach znów płyną jej łzy.

- Gdybyś tylko wiedział, jakie to było piekło - powiedziała. - Jeśli jest w moim życiu coś, co chciałabym zmienić, to właśnie ten dzień, ta chwila.

- Była rozprawa?

Czyżby się oddalił? Zdystansował? Znowu skinęła głową.

- Nieumyślne spowodowanie śmierci. Nadzór kuratora. Musiałam chodzić przez rok na terapię. Kurator twierdził, że

jest mi potrzebna. Było beznadziejnie. Terapeuta był si i *tu* nie dziwny. Od tej pory nie czuję się zbyt dobrze.

Umilkła i przymknęła oczy. Czekala, aż wstanie i pójdzie. I tak zrobił. Ukryła twarz w dłoniach, czekała na trzaskanie drzwi. Otworzyła się pod nią przepaść. Rozpacz, pustka i samotność, och, Boże, pomóż mi...

Poczuła na włosach jego rękę.

- Masz - podał jej wielkanocną serwetkę. - Wytrzyj nos.

Usiadł obok.

- Szczerze mówiąc - powiedział - czasami myślę, że to wcale nie jest głupie zabić.

Szybko podniosła na niego wzrok. Uśmiechał się blado.

- Jestem urzędnikiem - powiedział. - Pracuję w opiece społecznej siedem lat. Widziałem niejedno. Nie jesteś wyjątkiem.

Zamrugala oczami.

-Niektóre kobiety żyją w piekle przez resztę życia -powiedział. - Nie uważam, że powinnaś mieć wyrzuty sumienia. Przecież to była samoobrona. Szkoda, że trafiłaś na takiego idiotę. Ile miałaś lat, kiedy zostaliście parą?

- Siedemnaście - wyszeptała. - I cztery miesiące i sześć dni.

Pogładził ją po policzku.

- Biedna Annika - powiedział. - Zaslugujesz na coś lepszego.

Trwała w jego objęciach, z policzkiem przyklejonym do jego piersi. Słyszała, jak bije mu serce, czuła jego ramiona obejmujące jej głowę. Oplotła go w pasie ramionami. Trzymała go, ciepłego i ogromnego.

- Jak sobie potem radziłaś? - wyszeptał w jej włosy.

Zamknęła oczy. Słuchała jego serca, żywego, dudniącego.

- To był chaos - powiedziała do jego piersi. - Na początek był tylko chaos. Nie mogłam rozmawiać, myśleć, jeść. Właściwie nic nie czułam, wszystko było jakby... białe. Po tem wróciło wszystko naraz. Myślałam, że się rozpadnę, nic nie pomagało. Nie miałam odwagi spać, koszmary nie miały końca. W końcu trafiłam na kilka dni do szpitala. To wtedy kurator zmusił mnie do podjęcia terapii...

Gładził ją po włosach, głaskał po plecach.

- Kto się tobą opiekował?

Delikatnie, z wyczuciem.

- Babcia - powiedziała. - Przez cały pierwszy rok mieszkalam u babci, jak tylko mnie wypuścili. Dużo chodziłam po lesie, dużo rozmawiałam, bardzo dużo płakałam. Babcia zawsze była przy mnie, była zupełnie niesamowita. Wszystko jakoś opadło, ale potem nie było nic. Pustka. Było zimno. I bez sensu.

Kołysał ją lekko, oddychał w jej włosy.

- Jak się teraz czujesz?

Przełknęła ślinę.

- Babcia zachorowała. To takie straszne. Miała wylew. Zastanawiam się, czy nie wziąć bezpłatnego urlopu, żeby się nią opiekować. Chociaż tyle muszę dla niej zrobić.

- Ale jak ty się czujesz? - zapytał.

Zacisnęła mocno powieki, żeby powstrzymać łzy.

- Tak sobie - szepnęła. - Mam problemy z jedzeniem, ale będzie lepiej. Gdyby nie babcia, byłoby całkiem w porządku. Cieszę się, że cię poznałam.

Usłyszała swoje słowa. Kiedy je wypowiedziała, przestał ją głaskać.

- Naprawdę? - spytał.

Pokiwiała głową na jego piersi. Puścił ją i spojrzał na nią w jej ciemne oczy. Zrozumiał, dostrzegł smutek. Ich ipojrzenia się spotkały. Jego niebieskie oczy. Poglądziła go po policzku, pocałowała. Zawahał się, ale odpowiedział. Całował, lizał, ssał jej usta...

Zdjęła sweter. Piersi wysunęły się spod niego swobodnie, złoty łańcuszek zatańczył między nimi. Nie miała stanika. Patrzył na nie zdumiony, takie duże. Położył na jednej rękę. Taka ciepła, miękka. Zdjęła z niego marynarkę, rozpięła mu koszulę. Gładka klatka piersiowa, masywna, lekko owłosiona. Pocałowała go w ramię, ugryzła, aż jęknął. Całował jej szyję, przejechał językiem wzdłuż linii podbródka, znalazł płatki uszu, gryzł, ssał, lizał. Jej ręce sunęły wzdłuż jego pleców, paznokcie zataczały koła, lekko, szybko. Przeszli na chwilę i spojrzeli sobie w oczy. Widzieli uczucie, wspólne pragnienie, wczuli się w nie, pozwolili mu rosnąć, aż uniosło się ponad ich głowy. Zdarli z siebie ubrania. Ręce, języki, usta były wszędzie. Piersi, brzuch, łono, ramiona, stopy...

Położył się na sofie, ze stopami zwisającymi nad bocznym oparciem. Usiadła na nim, ślizgała się na nim, oplatała go. Poczwała jego przyrodzenie pod swoim, wypełniało ją, wypełniało miejsce, o którym prawie zapomniała. Czwał ciepło, ucisk, puls, chciał zacząć, ale ona powiedziała:

- Zaczekaj.

Znowu spojrzeli sobie w oczy, w obopólne podniecenie, wessali się w siebie i nagle Thomasowi zakręciło się w głowie. Absolutna, nieskończona ekstaza. Zamknęła oczy, odchyliła do tyłu głowę i krzyknęła. Zaczęła się na nim kołysać,

powoli. Chciał, żeby przyspieszyła, ale powstrzymywała go. Dyszał, jęczał, krzyczał, miał wrażenie, że się rozplywa.

Spojrzała na niego, widziała jego niezwykle podniecenie, poruszał się w niej tak wolno, że duch wyprzedzał ciało, głęboko, jak najdalej, i jeszcze, i jeszcze, i jeszcze. I nagle puściło, nadeszła fala, poczuła, jak ciepło spływa jej po udach. Jego ciało zeszywniało, wszystkie mięśnie zwinęły się w kłębek, poczuła, że ma wytrysk. Opadła na niego. Objął ją, wciąż w niej, głaskał jej włosy. Dopiero teraz zauważył, że cali są spoceni, śliscy i błyszczący. Leżała z nosem przy jego obojczyku, wdychała jego zapach, silny, trochę kwaśny.

- Wydaje mi się, że cię kocham - szepnęła i spojrzała na niego.

Pocałował ją. Znowu zaczęli się w sobie poruszać, spokojnie, ostrożnie, potem coraz szybciej, mocniej, tak mokro, tak ślisko.

Obudziło go zimno. Stopa mu ścierpła, leżała na niej Annika. Równy, głęboki oddech. Zrozumiał, że śpi.

- Annika - szepnął i pogładził ją po włosach. - Annika, muszę wstać.

Obudziła się i zadrżała. Spojrzała na niego zmieszana, uśmiechnęła się.

- Cześć - szepnęła.

- Cześć - powiedział i pocałował ją w czoło. - Muszę wstać. Leżała tak jeszcze kilka sekund.

- Jasne - powiedziała. Wstała sztywno i pomogła mu się podnieść.

Stali tak naprzeciwko siebie, nadzy, spoceni, ona o pół głowy niższa. Pocałowali się. Oplotła jego szyję ramionami,

uniosła się lekko na palcach. Poczuł jej piersi na swoich plecach, tak niesamowicie miękkie.

- Muszę jechać do domu - szepnął.

- Jasne - powiedziała jeszcze raz. - Ale jeszcze nie teraz.

Chodź, pośpimy trochę.

Wzięła go za rękę i zaprowadziła do sypialni. Łóżko, materac bez zagłówka, niepościelone.

Opadła na niego i pociągnęła go ze sobą.

Znowu się kochali.

Zwalisty, ciemny kolos. Ratko popatrzył w górę na ceglana fasadę. W szybach widział błyskające odbicia ulicznych latarni. Miał sucho w ustach.

Po co go tu wezwali w środku nocy? Działo się coś cholernie złego.

Powoli minął główne wejście, skręcił za róg i zobaczył parking dla samochodów korpusu dyplomatycznego, dla konsula, ambasadora. Samochody mknęły za jego plecami. Podszedł do drzwi i zapukał, szybko i lekko.

Otworzył mu grubas.

- Spóźniłeś się - powiedział. Odwrócił się do niego plecami i kołyszac się, poszedł z powrotem.

Ruszył za nim w górę, po schodach, do dużego pokoju, do poczekalni. Od razu poczuł się jak w Belgradzie. Wschodnioeuropejskie zielone ściany, szare plastikowe krzesła. Okienko na wprost, po lewej szklana ściana. W pokoju konsula dostrzegł światło.

- Dlaczego mnie wezwano? - spytał. Grubas wskazał na drzwi przy szklanej ścianie.

- Usiądź i czekaj - powiedział.

Przeszedł przez pokój, okrążył stół i krzesła, minął ciasny korytarz, w którym stało biurko grubasa, i wszedł do pokoju przyjąć. Wszystko było jak zawsze: krzesła pod ścianą, kanapa, półki na książki, mapa Jugosławii przed podziałem. Miał zamiar usiąść, ale postanowił stać. Wcześniej prawie zawsze bywał tu przy miłych okazjach, a przynajmniej nie było niemiło. Tym razem było inaczej. Nie mógł usiąść, bo kiedy zwierzchnik wejdzie do pokoju, znalazłby się w gorszym położeniu.

Na stole widać było ślady po butelkach. Śliwowica. Nagle zdał sobie sprawę, jak strasznie chce mu się pić. Czysta wódka, zimna, bez lodu. Przełknął ślinę, oblizał usta.

Gdzie oni są, do cholery? Co robią? Trzymali go w żelaznym uścisku, to nie było miłe uczucie.

Zrobił kilka kroków, zerknął w kierunku korytarza. Dostrzegł kilku mężczyzn. Niektórych nigdy przedtem nie widział. Wszyscy mieli na sobie podobne garnitury, brązowe, źle skrojone. Co, do diabła? Szybko, bezszelestnie wszedł z powrotem do pokoju. Pot wystąpił mu na czoło. Zrozumiał, że to ludzie z RDB w Belgradzie. Co tu robią? Przyjechali ze względu na niego?

- Możesz wejść do konsula.

Wyszedł na korytarz, minął grubasa i wszedł do pokoju obok. Nieznajomi nie zwracali na niego uwagi.

- Ratko - powiedział konsul. - Jutro o siódmej rano odlatuje samolot do Skopja, przez Wiedeń. Nasi odbiorą cię na lotnisku. Jedziesz natychmiast.

Patrzył na małego łysego mężczyznę przekładającego dokumenty na swoim biurku. Co się dzieje, do cholery?

- Dlaczego?

- Dotarły do nas niepokojące wieści z Hagi.

Strach uderzył go jak pięść. Jasna cholera, trybunał wo jenny.

- Jutro o dwunastej wyślą za tobą list gończy. Chodzi o zbrodnie wojenne.

Przełknął ślinę, poczuł, jak pali go pot. A ci wszyscy mężczyźni, co oni mają z tym wspólnego?

Konsul złożył papiery na elegancką kupkę, wstał i obszedł biurko.

- Przygotowaliśmy dla ciebie nowe dokumenty - powiedział. - Nasi goście pracowali nad tym cały wieczór. Musisz się tu podpisać, potem zrobimy zdjęcie, i gotowe.

- Ale przecież wszystkie listy gończe są tajne do chwili wysłania, więc skąd możecie wiedzieć?

Konsul stanął przed nim. Był o głowę niższy, patrzył pustym wzrokiem. Widać było, że to wszystko nie jest dla niego przyjemne.

- Po prostu wiemy - powiedział tylko. - Jak tylko dostaniesz nowy paszport, musisz opuścić kraj. Dziś w nocy. Odlatujesz z Gardermoen.

Chciał się skulić, napić wódki, szybko zrozumieć. W południe przestanie być bezpieczny. Będzie wtedy w powietrzu, między Wiedniem a Macedonią. Do Skopja jest z Belgradu kawał drogi.

- Jeśli zdążysz dojechać, nie będziesz oczywiście mógł opuszczać Serbii przez jakiś czas - powiedział konsul. - Zakładam, że nie masz tutaj żadnych niezłatwionych spraw.

Przełknął ślinę, wpatrywał się w konsula.

- Dostaniesz norweski paszport. Nazywasz się Runar Aakre. Mamy nadzieję, że się uda, że się przedostaniesz przez granicę.

Mężczyźni podeszli na jego znak. Każdy miał zadanie do wykonania, czasu było mało.

Wtorek, 6 listopada

W DOMU BYŁO CIEMNO. Majaczył złowieszczo nad wodą. Thomas z trudem przełknął ślinę. Wiedział, że nie śpi. Gdzieś tam w ciemności Eleonor siedzi i czeka. Nigdy wcześniej się nie zdarzyło, żeby nie wracał tak długo, nigdy, przez całe szesnaście lat.

Zamknął delikatnie drzwi od samochodu. Kliknięcie centralnego zamka odbijało się echem od domów. Wziął trzy głębokie wdechy i przymknął oczy. Próbował zdać sobie sprawę, co czuje.

Młoda kobieta, którą zostawił śpiącą w łóżku, była nadal w nim obecna, była jak pożerające go ciepło. Boże, nigdy wcześniej tak się nie czuł. To było prawdziwe. Była niesamowita, taka prawdziwa, taka żywa.

Annika.

Jej imię dudniło mu w głowie przez całą drogę z miasta do Vaxholmu. Decyzja przybrała kształt, kiedy szybkojechał przez ciemność. Właściwie była oczywista.

Będzie szczery. Opowie jej wszystko, dokładnie tak, jak było. Ich małżeństwo umarło. Eleonor musi to sobie uzmysłowić. Chce żyć z nią, z tą drugą, zacząć nowe życie, w innej rzeczywistości. Nie rozwiedzie się z powodu Anniki, ona tylko pomogła mu podjąć decyzję.

Z ulgą wspinał się w kierunku domu. Oznajmi jej swoją decyzję. Zamarznięty żwir trzaskał mu pod stopami.

Będzie ciężko, ale Eleonor się z tym pogodzi. Będzie mogła zatrzymać dom. Nie chciał go. Z drugiej strony powinna go właściwie spłacić, wzrost jego wartości nie był wyłącznie jej zasługą.

Stała za drzwiami w różowym szlafroku, oczy miała czerwone od płaczu, twarz białą ze złości.

- Gdzie byłeś?

Upuścił aktówkę na podłogę, zdjął i powiesił płaszcz i zapalił światło. Krzyknęła.

- Co sobie zrobiłeś? Co się stało?

Podbiegła do niego, przesunęła palcem po szwie na czole. Odsunął się, złapał ją za rękę.

- Boli - powiedział.

Objęła go, przytuliła się do niego. Zaczęła płakać. Spojrzała na niego, pogłaskała go po włosach.

- Och, tak się martwiłam. Co się stało, co zrobiłeś?

Unikał jej wzroku. Odsunął ją od siebie. Nie chciał czuć jej ciała, twardych miseczek stanika pod szlafrokiem.

- Muszę się położyć - powiedział. - Jestem wykończony.

Minął ją i poszedł w stronę sypialni. Złapała go za ramię i pociągnęła w tył.

- Ale powiedz mi! - krzyczała. Łzy leciały jej z oczu. - Co się stało? Miałeś jakiś wypadek?

Patrzył na nią, była w stanie totalnego rozkładu. Włosy miała potargane, twarz pomarszczoną od płaczu. Szukał słów, ale nie znalazł. Stał w miejscu jak sparaliżowany.

Podeszła krok bliżej, jej usta straciły barwę.

- Nie rozumiesz, jak się bałam? - szepnęła. - Gdybym cię straciła, co bym zrobiła?

Zamknęła oczy i płakała. Łzy tryskały. Patrzył na nią. Nigdy nie widział jej tak roztrzęsionej. Jego żona, kobieta, której ślubował miłość aż do śmierci.

- Gdyby coś ci się stało, umarłabym - powiedziała.

Otworzyła oczy i wpatrywała się w niego.

Sumienie uderzyło go z pełną siłą, zdawało się go dusić. Boże, co ja zrobiłem, och, Boże, czy zupełnie postradałem zmysły?

Przyciągnął ją do siebie, przytulił mocno, pogłodził ją po włosach. Płakała w jego koszulę, płakała tak jak tamta...

- Przepraszam - szepnął. - Siedziałem całą noc na po gotowiu.

Uwolniła się z jego uścisku i spojrzała na niego.

- Dlaczego nie zadzwoniłeś?

Przyciągnął ją znów do siebie, nie mógł jej spojrzeć w oczy.

- Nie dało się - powiedział. - Całą noc robili mi badania, wiesz, rentgen i takie tam...

- Ale co się stało?

Nagle poczuł zapach łona Anniki, na swoim własnym ciele. Absolutnie nie powinno go na nim być. Przełknął ślinę, pogłodził ją po plecach, po szorstkim pluszu szlafroka.

- Nastaw kawę - powiedział. - Muszę wziąć prysznic.

Potem ci opowiem. To długa historia.

Puścili się i spojrzeli sobie w oczy. Nie odrywając od niej wzroku, zmusił się do uśmiechu.

- Nic się nie stało - powiedział i pocałował ją w czoło. - Kocham cię.

Pocałowała go w brodę, odsunęła się i poszła do kuchni. On poszedł do łazienki, wcisnął wszystkie ubrania do kosza

na brudy i stanął pod prysznicem. Woda była gona. I nika była na całym jego ciele, w każdym porze, czuł jej pach wszędzie, nasilał się od pary i wypełniał całą łazienkę. Czuł pod sobą drobne, twarde ciało, duże piersi, potargane, niesforne włosy. Przymrużył powieki. Patrzył w ciemne oczy bez dna. Poczuł, jak jego penis znów się unosi. Odkreślił zimną wodę i natarł krocze szamponem Weila. Rosła w nim rozpacz, nie wiedział, co robić.

Znowu zebranie w sprawie planów. Nie robił, do cholery, nic innego, tylko całe dni siedział na zebraniach. Jak, do diabła, można wydawać gazetę, kiedy wszyscy cały czas tylko siedzą i pieprzą?

Anders Schyman starał się nie okazywać swojego kiepskiego humoru. Nie miał ochoty grać roli odpowiedzialnego, wyrozumiałego szefa o miękkim sercu.

Z drugiej strony przyzwyczał się do tego, że w redakcji jest trochę jak w przedszkolu. Przywykł też do niekończących się dyskusji. Energię odbierało mu coś innego, coś nowego.

Walka o władzę.

Nie był do tego przyzwyczajony. Wszystkie posady, wszystkie stanowiska, jakie piastował, dostał dlatego, że ludzie go na nich chcieli. Osiągał władzę bez walki, korzystał z niej, nie pozostawiając po drodze ofiar.

Potoczył wzrokiem po redakcji. Praca wre. Reporterzy dzwonią, korektorzy stukają w klawiatury, sprawdzają, oceniają, klikają myszkami, zmieniają. Zaraz pójdzie do przewiewnego narożnego pokoju naczelnego, człowieka władzy. Kiedy będzie pokonywał dzielące go od niego czterdzieści

pięć metrów, ucichną rozmowy, wyostrzą się spojrzenia, wyprostują plecy.

Co są gotowi zrobić ludzie władzy, żeby ją utrzymać?

Kątem oka dostrzegł, jak się zbierają. Odziane w wełnę plecy zmierzały w kierunku pokoju naczelnego. Przytulny korytarz, pokoje z widokiem i przestrzenią. Poszedł za nimi. Kiedy wszedł do pokoju, tamci usiedli. Czekali, umilkli.

- Zaczniemy bez wstępów - powiedział i spojrzał na Sjólandera. - Kryminał. W jakim kierunku zmierza historia z mafią jugosłowiańską? Czy kobieta z Bośni zamordowana na Sergels Torg miała z tym coś wspólnego?

Wszystkie oczy zwróciły się w stronę Sjólandera. Wyprostował się na krześle.

- Możliwe - powiedział. - Zidentyfikowano dwa ciała, które znaleziono w spalonej ciężarówce. To młodzi mężczyźni z obozu dla uchodźców w Upplands Vasby, na północ od Sztokholmu. Dziewiętnaście i dwadzieścia lat. Zniknęli jakiś czas temu, policja i kierownictwo obozu sądzili, że uciekli, żeby uniknąć deportacji. Okazało się, że nie. Jednego udało się zidentyfikować na podstawie zębów. Był w Szwecji u dentysty. Co do drugiego nie ma jeszcze stuprocentowej pewności, ale wszystko wskazuje na to, że to zaginiony kolega tamtego. Mogło ich coś łączyć z kobietą z placu. Tak sądzi policja.

- Jak to? - spytał Schyman. - Oni też pochodzili z Bośni?

- Nie - odparł Sjólander. - To Albańczycy z Kosowa. Ale Aida, ta zamordowana kobieta, mieszkała w tym samym obozie. Co prawda dużo wcześniej, ale pracownicy mówią, że często przyjeżdżała w odwiedziny. Mogła poznać ich obu.

Szef redakcji oparł się na krześle.

- No i co? Co to właściwie za historia?

Wszyscy patrzyli na niego. Milczący, wyczekujący, niepewni. Popatrzył na nich. Wełniana ławica. Autor komentarzy redakcyjnych, szef działu kultury, szef działu społecznego, ważny publicysta, Torstensson, szef działu sportowego, szef działu fotoedytorów.

- Mamy pięć zabójstw w ciągu nieco ponad tygodnia - powiedział. - Wszystkie nad wyraz spektakularne. Najpierw dwaj młodzi mężczyźni we Frihamnen, postrzeleni w głowę z dużej odległości, z broni myśliwskiej dużego kalibru. Potem te biedne dwa gnojki w ciężarówce, torturowani na śmierć, bici do upadłego, kawałek po kawałku. No i wreszcie kobieta na Sergels Torg, zabita strzałem w kark w tłumie pięciu tysięcy świadków. Co nam to mówi?

Nadal wszyscy wpatrywali się w niego.

- Władza - powiedział. - To walka o władzę. O pieniądze, być może, albo o wpływy, zarówno polityczne, jak i mafijne, o panowanie nad śmiercią i życiem. Nie sądzę, żeby to był koniec. Sjölander, chcę, żebyśmy ciągnęli ten wątek.

Wszyscy pokiwali głowami. Wszyscy się z nim zgadzali, widział to.

Władza. Zaczynał pojmować jej znaczenie.

Sufit falował jej nad głową, lśnił w ciemności. Leżała i przez sekundę zastanawiała się, gdzie jest. Przepęłniało ją upojenie, uczucie absolutnej błogości. Potem zrozumiała, co jest nie tak.

Wyprężyła się na łóżku jak struna, położyła rękę na poduszce obok, żeby się upewnić, że go naprawdę nie ma. Pustka wbiła jej się w serce, ostra i zimna.

Pojechał. Pojechał do domu, do żony, do Eleonor Sa-muelsson.

Poderwała się, żeby sprawdzić, czy nie zostawił jakiejś wiadomości, kilku słów o tym, co się stało albo obietnicy, że zadzwoni. Szukała w kuchni, w holu, w salonie, zdarła pościel, aby zobaczyć czy nie położył czegoś na poduszce, jakiejś kartki, która spadła i gdzieś się zapodziała. Odsunęła łóżko, sprawdziła pod nim.

Nic.

Próbowała uporządkować swoje uczucia. Szczęście, rozczarowanie, pustka, otucha, buzujące odurzenie.

Położyła się wśród kołder i poszew i znów wpatrzyła się w sufit.

Błogość. Nigdy przedtem nic takiego nie czuła, nie tak. Ze Svenem na dnie miłości zawsze czaiła się jakaś ciemna rysa, przymus wykazywania się, oczekiwanie szczęścia.

Z nim było inaczej. Ciepło, lekko, osobliwie, fantastycznie.

Położyła się na boku i podciągnęła nogi. Jego nasienie wciąż kleiło się jej między udami. Naciągnęła na siebie prześcieradło, chłonęła jego zapach.

Thomas Samuelsson, facet z urzędu gminy.

Zaśmiała się głośno. Pozwoliła, żeby to buzujące uczucie owładnęło nią do końca.

Thomas Samuelsson, z lśnącymi włosami i szeroką klatką piersiową, z ustami, które potrafią całować i pieścić, ssać i gryźć.

Zwinęła się w małą kulkę. Kołysała się, nuciła cicho.

Wiedziała. Była zupełnie pewna. Chce go. Thomasa Sa-muelssona, faceta z urzędu gminy.

Usiadła i wzięła do ręki telefon.

-Thomas Samuelsson jest chory - powiedziała recepcjonistka w urzędzie gminy Vaxholm. - Został napadu lcty. Wszyscy tutaj jesteśmy tym poruszeni.

Annika uśmiechnęła się do siebie. Wiedziała, że nie jest z nim tak źle. Podziękowała i rozłączyła się. Kilka sekund siedziała ze słuchawką w ręku, wahała się. Potem wykręciła jego numer, domowy, ośmiocyfrowy. Czekwała na sygnały w słuchawce z dudniącym sercem. Niedługo znów do niej przyjdzie, niedługo, niedługo, niedługo. Uśmiechnęła się, zrobiło jej się ciepło.

- Samuelsson.

Była w domu. Eleonor nie była w banku, była w domu, z nim.

- Halo? Kto mówi? Co to ma znaczyć?

Annika powoli odłożyła słuchawkę. Miała sucho w ustach, cholera, cholera, cholera. To miłe, rozświetlające ją uczucie przygasło, do jej serca zapukała samotność.

Widziała ich razem, wyraźnego mężczyznę i zamgloną kobietę, młodzieńcze marzenie. Przelknęła ślinę. Była zawiedziona. Włożyła dres do joggingu, przeszła się po mieszkaniu, zeszła na dół, do łazienki, potem weszła do kuchni, zrobiła sobie kawę i usiadła w salonie z notatkami i telefonem.

Thomas Samuelsson i jego żona, cholera, cholera, cholera.

Zadzwoiła do Annę. Nie było jej w domu. Do swojej mamy, nie odebrała. Do szpitala Kullbergska - babcia spała.

- Przyjadę wieczorem - powiedziała do siostry oddziałowej.

Potem zadzwoniła do Berit Hamrin, nie odebrała. Spróbowała się dodzwonić do Andersa. Słuchała kolejnych sygnałów. Już miała odłożyć słuchawkę, kiedy odebrał, lekko zdyszany.

- Zajęty? - spytała.

- Wracam właśnie z zebrania - powiedział. - Jak się czujesz?

Zrobiło jej się głupio, przecież miała być chora.

- Tak sobie - powiedziała. - Byłam wczoraj w Jarfalli, zajrzałam do domu Raju. Było ciekawie.

W tle usłyszała hałas, tak jakby zderzyły się jakieś meble. Ktoś głęboko westchnął.

- Mówiłem ci, że masz dać temu spokój.

- Dobrze się czułam - powiedziała. - Więc wybrałam się na spacer. Informacje z mojego źródła wyglądają na prawdziwe. Przeszukałam biuro. Nie udało mi się znaleźć żadnych śladów jakiegokolwiek działalności, z wyjątkiem faktur. Umieją tylko brać pieniądze. Wszystkie segregatory były puste...

- Poczekaj chwilkę - przerwał jej szef redakcji. - Rebecka wpuściła cię do biura?

Przymknęła oczy, zacisnęła na chwilę zęby.

- No, niezupełnie - powiedziała. - Ale nie włamałam się, jeśli można tak powiedzieć. Byłam zaproszona, dostałam klucze.

- Od Rebecki?

- Od jej lokatorki. A kiedy tam byłam, wróciła Rebecka z jakimś mężczyzną. Może to jej brat...

- A ty byłaś w ich domu?

Annika wstała, nagle zirytowana.

- Posłuchaj mnie - powiedziała. - Schowałam się i kiedy tam byłam, przyjechał Thomas Samuelsson, gość z gminy Vaxholm. Był strasznie wściekły z powodu faktury, którą Rebecka przysłała mu rano. Klientka, za którą miał zapłacić, już wtedy nie żyła!

Zapadło milczenie. Annika słyszała, jak imię Thomas w odbija się echem w ciszy. Wiedziała, że jej głos brzmiał jakoś szczególnie, kiedy je wymawiała, dziwnie miękko i ciepło.

- Mów dalej - powiedział Schyman. - Co się stało?

Chrząknęła.

- Pobili tego gościa z gminy. Zamknęli go w schowku i poszli po samochód, żeby go wywieźć. Uwolniłam go i zawiozłam na pogotowie.

- Boże mój, przecież oni są niebezpieczni! Annika, nie pojedziesz już tam, słyszysz?

Podrapała się w czoło, dotknęła śladów po sprężynach łóżka. Zawahała się. Postanowiła, że nie powie nic o Aidzie.

- W porządku.

- Musimy szybko opublikować tę historię - powiedział Schyman. - Czego potrzebujesz, żeby móc zacząć pisać?

Annika zastanawiała się chwilę.

- Komentarzy ludzi, rozmów z prawnikami i z pracownikami socjalnymi. Działalność Raju trzeba przedstawić w szerszym kontekście. To pewnie trochę potrwa. Rebecka też musi odpowiedzieć na krytykę.

- Ten facet z gminy... myślisz, że będzie mówił?

Przełknęła ślinę, głos jej zmiękł.

- Thomas Samuelsson? Może będzie.

- Masz jeszcze inne dojścia do urzędników?

Przymknęła oczy, zastanawiała się chwilę.

- Widziałam kilka faktur. To nie było całkiem legalne, ale zdążyłam zapamiętać kilka nazwisk. Helga, Helga Axelsson, chyba, z... Ósteraker. I ktoś z Naćka, Martin coś tam -Hus, coś takiego, nie może być wielu o podobnym nazwisku. Więcej nie zdążyłam przejrzeć, było trochę nerwowo.

- Takie coś nazywa się karalną samowolą i nielegalnym wtargnięciem - powiedział Schyman.

Annika nie umiała ocenić, czy jest zadowolony, czy zmartwiony.

- Tak, jak się nie ma rozumu - odparła. - Miałam klucz i nie zostawiłam żadnych śladów.

- Miałś rękawiczki?

Nie odpowiedziała. Nie miała rękawiczek, a przecież figurowała w rejestrach policji.

- Nie sądzę, żeby Rebecka zadzwoniła na policję - powiedziała.

- Potrzebujesz pomocy? - spytał.

Nie Evy-Britt Qvist w każdym razie, pomyślała.

- Chętnie skorzystałabym z pomocy Berit Hamrin - powiedziała.

- Poproszę ją, żeby do ciebie zadzwoniła - odpowiedział.

- Dobrze.

Cisza, wyczuwała wahanie na drugim końcu linii.

- Zrobimy tak - powiedział Schyman. - Zwalniam cię z pracy w nocy w najbliższym czasie. Odpoczywasz do końca tygodnia. Przyjdiesz tu w poniedziałek i będziesz pracować w dzień, aż wszystko będzie gotowe. Możemy się tak umówić?

Annika przymknęła oczy i odetchnęła. Poczowała, że się w środku uśmiecha.

- Jassne.

Prawie frunęła na dworzec, tańczyła, nie dotykając ziemi, nie zauważała smagającego ją wiatru. Była tam, osiągnęła to, czego pragnęła, *yes, yes, yes*. Znowu będzie reporterką,

czuła to w kościach. Będzie robić wywiady, pisać artykuły, przyglądać się ludziom władzy, ujawniać korupcję i skandale, patrzeć z perspektywy przeciętnego człowieka, stać po stronie poszkodowanych.

Mogła wybrać miejsce: albo z widokiem na półkę na bagaż, albo na uciekające za szybą brązowozielone iglaki. Zamknęła oczy, pociąg dudnił.

Thomas, Tho-mas, Tho-mas, Tho-mas, Tho-mas, Tho--mas.

Uczucie szczęścia zniknęło. Do jej serca wdarła się złość, poczucie krzywdy. Nie zadzwonił. Nie zostawił żadnej wiadomości. Zostawił ją śpiącą w łóżku, nie mówiąc ani słowa. Popatrzył chociaż na nią, zanim wyszedł? Pogładził ją po policzku? Co myślał, co czuł? Wstyd? Skrucę? Błogość? Upajające szczęście?

Bolało ją fizycznie, że tego nie wie. Palilo w piersiach, wprawiało w drżenie.

Zacisnęła zęby i wyjrzała przez okno.

Bab-cia, bab-cia, bab-cia, bab-cia, bab-cia, bab-cia.

Stabilność i miłość. Kim byłaby bez tego? Babcia nadawała wszystkiemu sens, była jej zakotwiczeniem w rzeczywistości, która wciąż była chwiejna. Powinna jej pomóc, tyle musiała dla niej zrobić, ale nie miała siły, nie chciała. Zawstydzila ją ta myśl. Zwinęła się na siedzeniu, marzła.

Nareszcie jest u celu. Studia, pańszczyzna w lokalnej gazecie, psie życie na nockach. Przyszedł czas zbiorów. Miałaby to wszystko zostawić, żeby robić coś, co jest obowiązkiem społeczeństwa? Czy to rzeczywiście obowiązek społeczeństwa? Co jesteśmy sobie wzajemnie winni?

Pociąg dudnił, śnieg przyklejał się do szyby. Kiedy wysiadła w Katrineholmie, zaczęło mocno wiać. Niepogoda uderzyła ją w twarz ostrym podmuchem. Była coraz bardziej zła, coraz mocniej czuła, że to niesprawiedliwe. Dlaczego właśnie tu, właśnie teraz?

Człapała przed siebie, przez Stationsplan do Tradgards-gatan. Szła pod wiatr. Dość szybko zrobiło się ślisko. Niskie ciśnienie sprawiało, że ciemność stawała się gęsta, tłumiała dźwięki. Mijały ją skąpo oświetlone samochody, trzaskały opony z kolcami. W końcu gmach szpitala Kullbergska wyłonił się w górze po prawej stronie, szary i kanciasty. Weszła ciężko do holu, strząsnęła z siebie śnieg i oparła się o ścianę, żeby odsapnąć. Z budynku wychodziły dwie młode kobiety. Obie w ciąży, ubrane w kolorowe pikowane płaszcze.

Annika odwróciła wzrok. Udawała, że ich nie widzi.

Prędzej umrę, niż zamieszkać w tym mieście.

Poszła wolno na górę, na oddział. Widziała przed sobą mijające powoli godziny, bełkotliwą opowieść babci o tym, co było, twardą pryczę, na której będzie spała.

Korytarz był opustoszały, kapał się w migającym niebieskawym świetle jarzeniówek. Wychwyciła sączącą się z pokoju pielęgniarek rozmowę. Minęła go, nie informując nikogo o swoim przybyciu. Niektóre drzwi były uchylone. Słyszała pochrząkiwanie i pokasływanie staruszków. Drzwi pokoju babci były zamknięte. Kiedy je otworzyła, uderzył ją chłodny powiew. Było ciemno, babcia leżała w swoim łóżku. Annika podeszła do niej i zapaliła małą lampkę przy zagłówku. Światło padło na żółty szpitalny koc.

Uśmiechnęła się i podniosła rękę, żeby pogłaskać babcie po policzku.

- Babciu?

Staruszka leżała na wznak. Annika widziała jej zapadniętą twarz i już wiedziała, od razu, nie miała wątpliwości. Zbyt spokojna, zbyt blada, zbyt miękka. Mimo to dotknęła jej skóry, zimnej, szarej. Poczowała nagłe uderzenie w piersi, potem w głowę, potem w płuca. Zaczęła krzyczeć. Krzyczała i krzyczała, i krzyczała. Przybiegły pielęgniarki, przyszła lekarka. Annika krzyczała, krzyczała, krzyczała.

- Ratujcie ją... musicie ją ratować... masaż serca... elektrowstrząsy... respirator... róbcie coś, róbcie coś...

Lekarka z końskim ogonem przysunęła się do niej, poważna, z jasną twarzą.

- Anniko - powiedziała. - Pani babcia nie żyje.

- Nie! - krzyknęła Annika. - Nie!

Odsunęła się. Coś się przewróciło, nie widziała co, zapanaował chaos.

- Anniko...

- Musicie ją reanimować... zróbcie coś... operujcie...

- Umarła we śnie, spokojnie i cicho. Była bardzo chora. Anniko, może tak jest dla niej lepiej...

Annika zamarła. Wpatrywała się w lekarzkę, wlepiała w nią wzrok.

- Lepiej? Jest pani nienormalna? Lepiej? Nie doglądaliście jej, pozwoliliście jej tu leżeć i umierać. Zaniedbana na śmierć. Podam was do sądu, wy cholerni....

Muszę stąd wyjść, muszę uciec. Ruszyła do drzwi. Jacyś ludzie stanęli jej na drodze. Zawróciła, zderzyła się z pielęgniarką, lekarka chwyciła ją za ramiona.

- Anniko, proszę się uspokoić, histeryzuje pani. Byłyśmy u pani babci zaledwie pół godziny temu. Spała spokojnie.

Annika wyrwała się.

- Nie mogła tak po prostu umrzeć, przecież jest w szpitalu. Dlaczego *jej* nie doglądaliście, dlaczego pozwoliliście jej tak leżeć i umierać, przekłęci, przekłęci...

Ktoś ją chwycił. Wyrwała się, krzyczała. Chcą ją zabrać od babci, chcą popsuć jeszcze więcej, nie uda im się.

- Zostawcie mnie, dajcie mi do niej pójść. Pozwoliliście jej umrzeć, pozwólcie mi się nią zająć...

Twarze przemykały obok niej, nie chciała ich widzieć. Rzuciła się do tyłu, krzyczeli do niej: Anniko! Wyła, nie chciała słyszeć, nie chciała słuchać.

- Cholerni mordercy! - krzyczała. - Zostawiliście ją, żeby umarła.

Położyli ją siłą na leżance, przytrzymywali. Teraz dobiegają się też do niej, wyła i wyrwała się.

- Coś na uspokojenie - mówiły głosy. - Musimy jej dać sobril...

Nagle opuściły ją siły. Opadła bezwładnie na leżankę. Czowała, jak ściska ją żal. Światło zniknęło, nie miała już siły krzyczeć. Nie czuła ciepła, nie mogła zaczerpnąć powietrza, walczyła o tlen, oddychała, oddychała, ktoś inny krzyczał: hi-perwentylacja, przynieście worek, mgła, mgła, ciemność...

Matka siedziała przy niej. Futro z nerek leżało na krześle obok. Annika leżała na twardej leżance, dostała leki. Pokój odpłynął, tonął, kołysał się. Spojrzała w okno, na zewnątrz było zupełnie czarno.

Nie wiem, która godzina, pomyślała.

Babcia leżała na swoim łóżku, spokojna i biała. W pokoju paliły się dwie świece, po jednej z każdej strony łóżka. Tworzyły w ciemności dwa złociste koła.

Annika usiadła. Mama płakała.

- Nie zdążyłam - chlipała. - Zadzwonili. Mama już nużyła, kiedy przyjechałam. Umarła we śnie, podobno wszystko odbyło się bardzo spokojnie.

Annika poczuła, że pokój kołysze się jak na pełnym morzu, miała sucho w ustach.

- Tego nie mogą wiedzieć - powiedziała. - To ja ją znałam. Nie będą się tu paliły żadne świece.

Wstała. Stąpiła po podłodze, chwiała się, potykała, chciała podejść do babci, zdmuchnąć świece, odegnąć śmierć, tchnąć w nią życie.

Matka podniosła się i chwyciła ją.

- Usiądź. Nie psuj tej chwili. Pożegnajmy się z mamą spokojnie i godnie.

Zaprowadziła Annikę z powrotem na leżankę.

- Lepiej, że tak się stało - powiedziała matka i wytarła oczy. - Nie miałyby już nic z życia. Tak bardzo lubiła być w lesie i na polu. Wyobraź ją sobie leżącą jak kłoc. Nie chciałaby tego.

Annika siedziała na leżance. Nie mogła utrzymać równowagi, widziała, jak matka się pochyla, wstaje, kołysze.

- Zamordowali ją - powiedziała Annika.

- Przestań gadać głupoty - przerwała jej matka. - Lekarze powiedzieli, że miała kolejny wylew, prawdopodobnie w tym samym miejscu. Nie mogli już nic zrobić.

Annika patrzyła na babcię. Miłość, siła, poczucie przynależności. Taka mała, taka biała, taka delikatna. Niedługo jej nie będzie, już na zawsze. Została sama.

- Jak ja sobie dam radę? - szepnęła.

Matka wstała i podeszła do zmarłej. Stała i spojrzała w starą twarz.

- Miała swoje wady - powiedziała Barbro. - Potrafiła być niesprawiedliwa, potrafiła potępiać, ale teraz, gdy jej nie ma, trzeba zapomnieć o takich rzeczach. Musimy pamiętać dobre chwile.

Annika szukała słów. Nie mogła się rozeznaczyć w swoich myślach, nie chciała na siłę wygłaszać banałów. Nie miała siły brać udziału w tej grze. Siedziała cicho i patrzyła na swoje ręce. Pamiętała zimno skóry, martwej skóry. Włożyła rękę pod ciepłą pachę.

- Nie była doskonała - ciągnęła Barbro. - Nikt z nas nie jest. Chciałam mieć mamę, która by się o mnie troszczyła, opiekowała się mną. Wszystkie inne dziewczynki miały takie mamy, kiedy byłam mała.

Annika nie odpowiedziała, próbowała nie słyszeć. Matka mówiła dalej, głównie do siebie.

- Choć mamę zawsze się kocha, mimo wszystko. Mama jest tą osobą, która jest nam najbliższa.

- Dla mnie najbliższa była babcia - szepnęła Annika. Czuła, jak łzy wylewają się jej z oczu i spływają po policzkach. Nie robiła nic, aby je powstrzymać, pozwoliła im płynąć, pozwoliła, by przeszywał ją ból.

Matka spojrzała na nią, ale wzrok miała nieobecny.

- Czy to nie typowe, że musiałas to powiedzieć właśnie teraz? - wycodziła.

Odeszła od zmarłej i zbliżyła się do Anniki. Miała czerwone oczy, usta zaciśnięte w kreskę.

- Mama zawsze za tobą stała - szepnęła. - Ale teraz nie może już tego robić.

Annika zamknęła oczy. Czowała, że matka zaczyna pi

skrać ją do muru.

- Przez wszystkie te lata stawiała cię na pierwszym miejscu, przed Birgittą, a ty zagarniałaś wszystko dla siebie. Jak sądzisz, jak się z tym czuła twoja młodsza siostra? Co?

Annika ukryła twarz w dłoniach.

- Birgittą miała ciebie - powiedziała.

- A ty nie miałaś, to chciałaś powiedzieć? Czy zastanawiałaś się kiedykolwiek dlaczego? Może to miało coś wspólnego z tobą, z tym, jaka jesteś? Spójrz na mnie!

Annika podniosła wzrok, zamrugowała. Matka stała przed nią, ponad nią. Spojrzenie kobiety było ciemne, twarz wykrzywiona. Ból, pogarda.

- Zawsze wszystko nam psułaś - szeptała Barbro. - Przy nosisz pecha, coś jest z tobą nie tak. Odkąd się urodziłaś, robiłaś tylko piekło, wszystkim wokół.

Annika zadrzała, przesunęła się w głąb leżanki.

- Ale, mamó - powiedziała - ty nie wiesz, co mówisz.

Matka pochyliła się w przód.

- Bylibyśmy szczęśliwą rodziną - powiedziała. - Gdyby nie ty.

Otworzyły się drzwi. Weszła lekarka, zapaliła jarzeniówkę pod sufitem.

- Przepraszam, czy mamy wyjść?

Matka wyprostowała się, wpatrywała się w oczy Anniki.

- Nie - powiedziała. - Nie trzeba. Właśnie miałam wychodzić.

Wzięła torebkę, futro, wyciągnęła rękę i podziękowała lekarce. Mruknęła coś pod nosem, ostatni raz spojrzała na zmarłą i wyszła.

Annika wciąż siedziała z otwartymi ustami. Łzy rysowały na jej twarzy mokre strużki. Czuła się zmiażdżona. Czy dobrze słyszała? Czy matka naprawdę wypowiedziała te słowa, te wcześniej niewypowiedziane, ale zawsze wyczuwalne, te zakazane słowa - słowa klucze, które określiły jej dzieciństwo?

- Jak się pani czuje? - spytała lekarka i usiadła obok niej na leżance.

Annika przechyliła głowę. Dyszała, łapała powietrze.

- Dostanie pani zwolnienie do końca miesiąca - powiedziała lekarka. - Dostanie pani też receptę, dwadzieścia pięć piętnastomiligramowych tabletek sobrilu. Nie da się tego przedawkować, ale nie można ich mieszać z alkoholem, bo wtedy stają się niebezpieczne.

Annika zakryła twarz dłońmi, próbowała powstrzymać drżenie. Lekarka przez chwilę siedziała przy niej w milczeniu.

- Była pani blisko z babcią? - spytała.

Annika skinęła głową.

- Doznała pani wielkiego wstrząsu - powiedziała. - A właśnie ciwie dwóch. To pani znalazła babcię w domu, prawda?

Znów skinęła.

- Przez pewne etapy przechodzą wszyscy, którzy tracą bliskich - mówiła dalej lekarka. - Różnie to znoszą. Pierwszym jest szok, to właśnie pani przeżywa, potem może przyjść agresja, potem zaprzeczanie i w końcu akceptacja. Musi pani teraz być dla siebie wyrozumiała. Może pani odczuwać głęboki lęk, mieć problemy z żołądkiem lub ze snem. To normalne, to minie. Ale jeżeli to się okaże zbyt trudne, musi pani poszukać pomocy. Proszę brać leki, jeśli będzie zbyt ciężko. Zawsze może pani zadzwonić do kogoś

tutaj, w szpitalu, jeśli będzie pani chciała porozmawiać.

Może pani umówić się z terapeutą, jeśli pani chce.

Pokręciła głową.

- Żadnego terapeuty - powiedziała Annika.

Lekarka pogładziła ją po plecach.

- Proszę dać znać, jeśli będzie pani czegoś potrzebowała. Teraz przeniesiemy pani babcię. Czy potrzebuje pani pomocy, żeby wrócić do domu?

- Sofia Katarina - szepnęła Annika. - Dostałam po niej imię na chrzcie. Jestem Annika Sofia.

- Annika Sofia - powiedziała lekarka. - Musi pani teraz o siebie zadbać.

Annika podniosła na nią wzrok. Tuż obok, a tak daleko.

Nie odpowiedziała.

Część trzecia

Grudzień

To, co najbardziej zakazane, to wstyd

Możemy mówić o wszystkim, tylko nie o tym, czego się wstydzimy. Inne uczucia, nawet te trudne, można wyrazić i ujawnić, ale wstydu - nigdy. Tak już z nim jest. Wstyd to nasza największa tajemnica, jest karą sam w sobie.

Dla wstydu nie ma litości. Wszystko inne można wybaczyć: przemoc, zło, niesprawiedliwość, winę, ale dla tego, co najbardziej haniebnego, nie ma rozgrzeszenia. Nie jest ono wstydowni dane.

W moim przypadku wina i wstyd wynikają jedno z drugiego. To powszechne, choć nie jest to regułą. Zawiodłam. Przez ostatnie lata nie robiłam nic innego - tylko pokutowałam za swoje tchórzostwo. Dlatego wstyd jest jednak twórczą siłą, nawiązującą do działania i zemsty.

Nie potrafię sobie radzić ze swoim wstydem. On mnie unicestwia, do spółki z przemocą. Nie rośnie, nie kurczy się, jak rak tkwi na dnie mojej świadomości.

Czeka na swój czas.

Draży.

Poniedziałek, 3 grudnia

MEŻCZYŻNA W CZARNYM UBRANIU wyskoczył bezszelestnie na peron. Jego kolana ugięły się i prawie stłumiły odgłos, resztę wchłonęły gumowe podeszwy butów. Odetchnął i rozejrzał się wkoło. Tylko on wysiadał. Odwrócił się szybko i zamknął za sobą drzwi. Nie chciał, żeby ktoś zauważył, że wysiadł.

Powietrze było rześkie i zimne. Triumfował.

Wrócił do Szwecji. Wszystko poszło dokładnie tak, jak zaplanował. Wystarczyło mieć napęd, niepowstrzymaną wolę, bezkompromisowość. Myśleli, że go mają, myśleli, że trzymają go w szachu.

Do diabła.

Konduktor otworzył drzwi z przodu pociągu. Ratko szedł cicho, nieprzesadnie szybko w kierunku dworca. Nocny wędrowiec na stacji kolejowej w Nassjő, niespokojny duch.

Rzucił okiem na zegarek, trzecia czterdzieści osiem, pociąg przyjechał prawie planowo.

Obchodząc dworzec, obejrzał się przez ramię. Konduktor stał plecami do niego, nie zauważył go. Dlaczego miałby zauważyć?

Odwrócił się w kierunku miasta. Spało. Obywatel Norwegii Runar Aakre powinien nadal leżeć w wagonie sypialnym i jechać do Sztokholmu.

Poszedł wzdłuż Esplanaden, dawno tu nie był. Nagle poczuł niepokój. Może coś poszło nie tak, nie wolno mu jeszcze cieszyć się ze zwycięstwa. Przecież coś mogło się stać z samochodem, mógł zostać skradziony, mógł zamarznąć, akumulator mógł się rozładować.

Mówię hop, zanim przeskoczę, pomyślał zirytowany. To ostatnie, co powinienem robić.

Przeciął Stortorget, już zmarł. To będzie długi, zimny spacer. Przed domem kultury przy Radhusgatan stały rowery. Obejrzał je szybko i znalazł niezabezpieczoną damkę.

Będzie jeszcze zimniej, ale szybciej. Szybko popedało-wał na północ, w kierunku Jónkópingsvagen.

Jechało się okropnie, pod wiatr. Ślisko, ciemno, od razu dostał zadyszki.

Zaraz, myślał, zaraz będę na miejscu.

Był wyczerpany. Fałszywy paszport palił go w kieszeni. Denerwował się przy każdej kontroli granicznej, był bliski szaleństwa. Wiedział dlaczego.

Nie miał już żadnej kontroli. Zabrano mu władzę. Pozwolili mu zatrzymać nocny klub, ale reszta przywilejów zniknęła. W takim mieście jak Belgrad takie rzeczy zauważa się błyskawicznie. Szacunek podział się nie wiadomo gdzie, żona chciała się rozwieść. Nawet jego sława bohatera wojennego już nie robiła wrażenia. Dla innych był człowiekiem z przeszłości, kimś, kto nie wziął odpowiedzialności za Kosowo, dla zwierzchników był człowiekiem, który zgubił wart pięćdziesiąt milionów towar. Robotnicy z fabryki produkującej podrabiane papierosy nie dostali pensji. Cała organizacja straciła grunt pod nogami. Wszyscy byli zmuszeni pracować podwójnie, żeby odrobić straty po wpadce, po jego wpadce. Czym były w porównaniu z tym trwające dziesięć lat czystki? Pedalował, cholera, co za pagórki. Zapomniał już, jak tu jest. Te porośnięte mchem diabelskie pagórki.

Myśleli, że się podda, że list gończy z Hagi zagoni go do jakiejś gównianej dziury na przedmieściach, że będzie co

tydzień chodził na mecze piłki nożnej, pieprzył smarkuli i pił śliwownicę przez resztę życia. Do diabła.

Teraz jest panem samego siebie, swoim własnym szefem. Robi to, na co ma ochotę.

Niech sobie tam siedzi ta cholerna dziwka, żona zdraj-czyni, i zastanawia się, kto teraz będzie płacił za jej ubrania i drinki.

Miesiąc temu dojechał do Belgradu zgodnie z planem. Nikt nic nie miał do jego paszportu, czekali na niego w Sko-pju, tak jak zostało ustalone. W drodze do Belgradu było strasznie nudno. Podróż mu się dłużyła, jak zawsze, ale dzięki śliwownicy minęła szybciej. Kiedy dojechali na miejsce, wszyscy byli tak pijani, że zapomnieli mu zabrać paszport.

Potem został sam na zimnie. Zwierzchnicy już się z nim nie skontaktowali. Jeśli chciał mieć ochroniarzy, mógł ich zatrzymać, ale musiałby im płacić z własnej kieszeni.

Był coraz bardziej rozgoryczony, pedałowal ostro.

Delikaciki, pomyślał. Nie mają pojęcia, jak to jest pracować w terenie. Nie wiedzą, jak to jest żyć w obozie wroga.

Teraz miał z górki, odetchnął. Jechał na przeszywającym wietrze i czuł, że ich przechytrzył.

Ależ ich oszukał! Po prostu wyjechał, nie mieli o tym pojęcia. Nikt nie wiedział, gdzie się podział. Po prostu się rozplynął.

Pracownik Czerwonego Krzyża Runar Aakre wynajął w Belgradzie samochód, żeby się udać na Węgry. Na przejściu granicznym wyjaśnił po angielsku, że musi załatwić kilka spraw w Szeged, nie będzie go tylko kilka godzin. Wszystkie papiery miał przy sobie, zieloną kartę, międzynarodowe ubezpieczenie. Celnicy przyglądali mu się, świecili

latarką do samochodu. Na miejscu pasażera leżała norweska popołudniówka „Verdens Gang” sprzed dwudziestu pięciu dni. Tego celnik oczywiście nie zauważył. Ratko wziął ją z lotniska pod Oslo, wiedział, że kiedyś na pewno mu się przyda.

Puścili go.

Nie zatrzymał się, rzecz jasna, w Szeged. Pojechał dalej, do Budapesztu. Tam przespał się kilka godzin na tylnym siedzeniu, a potem porzucił samochód na parkingu przed sklepem meblowym.

Bilety czekały na niego w skrytce pocztowej w centrum. Zamówił je przez telefon, w barze, zapłacił bezpieczną kartą kredytową i podał skrytkę jako nadawcę. Już kiedyś z niej korzystał.

Wiatr skręcał i nasilał się, napierał na niego z boku. Koła ślizgały się w śnieżnej brei, Ratko jęczał. Cóż, zimno mógł jeszcze znieść. Niedługo będzie je miał z głowy, na zawsze. Tego, co zamierza robić nie będzie robił tam, gdzie pada śnieg. Trzeba tylko wszystko dobrze pozszywać: finanse, klientów, współpracowników.

Oczywiście opuszczenie Serbii nie było dobrym pomysłem, miał przecież na karku Hagę. Nikt nie sądził, że to zrobi. Wszyscy spodziewali się, że zgnije w tej dziurze na przedmieściu. Ale przez Europę Zachodnią można przejechać niezauważenie, pod warunkiem że jedzie się lokalnymi pociągami ekspresowymi. Pociągi ze wschodu nie wchodziły w rachubę, ale kolejki dla biznesmenów kursujące między stolicami prawie nie zwalniały na granicach. Musiał jechać okrężną drogą. Musiał jechać do Szwecji i spotkać się z przyjacielem ze wschodu.

Denerwował się w pociągu, ale nic się nie wydarzyło. Wiedeń, Monachium, Hamburg, Kopenhaga. Zszedł na ląd w Limhamn poprzedniego wieczoru, wraz z czterystoma wracającymi do domu Szwedami. Wszyscy z wózkami pełnymi kartonów piwa. Sam taszczył skrzynkę, żeby się wtopić w tłum. Przechodząc przez kontrolę paszportową, śpiewał razem z jakimś pijanym gościem z Trelleborga.

Nocny pociąg do Sztokholmu odjechał o dwudziestej drugiej siedem, dokładnie o czasie. Spał jak zabity aż do trzeciej trzydzieści.

Potem jechał na rowerze. Minął Ang, pedałowal szybko i cicho, nie chciał, żeby go ktoś go zobaczył. Cała miejscowość była pogrążona we śnie. Wreszcie skręcił w prawo, między drzewa, pod górę. Otoczyły go pnie, znów był niewidoczny. Droga była gorsza, trudniej się jechało. Dwa razy się przewrócił. W końcu zobaczył zjazd w lewo. Zatrzymał się i zdał sobie sprawę, że jest wykończony. Nogi trzęsły mu się z wysiłku, ręce zdradzały oznaki odmrożenia. Zauważył, że z nosa zwisają mu smarki. Odpoczął chwilę oparty o rower, dyszał. Rzucił go, przekłętego, między drzewa. Rdzewiej sobie, cholero. Po czym dużymi krokami przedarł się przez zaspę zlodowaciałego śniegu do garażu.

Jest, szczyt budynku, czerwony. Serce zaczęło mu bić szybciej. A co będzie, jeśli coś poszło nie tak? Co wtedy zrobi?

Drżącymi palcami przesuwiał po tylnej ścianie. Ubzdurał sobie, że go nie ma, czuł, że wpada w panikę, ale w końcu znalazł. Klucz leżał tam, gdzie go zostawił.

Zataczając się, obszedł budynek. Przekręcił klucz w zamku i pchnął drzwi. Musiał pomóc sobie ramieniem, żeby odepchnąć cienką warstwę śniegu. Stał i spojrzał na starego

grata. Naprawdę nie było się czym chwalić: dwudrzwiowy fiat uno z 1987 roku. Wyjął naklejkę potwierdzającą zapłacenie podatku, którą zdrapał z szyby ciężarówki w Malmö. Numer rejestracyjny oczywiście się nie zgadzał, ale nikomu to nie przyjdzie do głowy. Przykleił go dwustronną taśmą, którą miał w kieszeni.

Nadeszła chwila prawdy.

Obszedł samochód, zaczął czegoś szukać po omacku przy prawym przednim kole. Znalazł kluczyki. Otworzył samochód, wszedł, przekręcił kluczyk.

Silnik odpalił, zaciął się, zakaszłał, zamarł.

Ratko przełknął ślinę.

Przekręcił kluczyk jeszcze raz. Silnik się zaciął, zakaszłał, ruszył. Ratko odetchnął z ulgą. Nagle zauważył, że mimo zimna ma spocone czoło. Podgazował kilka razy, poczekał w garażu, pozwolił silnikowi i płynom się rozruszać.

Podczas gdy samochód powoli tajał, Ratko pochylił się do przodu. Otworzył schowek, szukał w ciemności małego mosiężnego kluczyka. Był na miejscu.

Przymknął oczy, odpoczywał. Poczul, jak ogarnia go spokój.

Pieniądze są bezpieczne. Leżą w skrytce w piwnicy Banku SE na Starym Mieście w Sztokholmie. Nigdy nie miał zamiaru ruszać ich na własny użytek, były przeznaczone na nieprzewidziane wydatki związane z przrzucaniem papierosów. To ich wybór. Wysłali go na to zimno, teraz muszą zapłacić.

Nie rozumiał, dlaczego zostawili go na lodzie. Ten cholerny zaginiony towar był wprawdzie sporo wart, ale nie musieli przecież tak całkiem się od niego odwracać. Nawet list gończy trybunału wojennego nie jest wystarczającym

powodem. W Serbii roi się od zbrodniarzy wojennych, I cieszą się szacunkiem.

Musiało chodzić o coś jeszcze. Nie umiał powiedzieć o co. Może ktoś próbował się go pozbyć, ktoś potężny, kto chciał przejąć jego władzę i uprawnienia.

Nigdy nie zajmą mojego miejsca, pomyślał. Nikt inny nie ma takiego doświadczenia, takich kontaktów.

Wcisnął gaz, rozpędził samochód. Po kabinie zaczęło się rozchodzić ciepło.

Poza pieniędzmi miał w Sztokholmie wiele niedokończonych interesów. Ładunek mógł sobie zaginać, ale on nie miał zwyczaju nie kończyć swoich spraw.

Powoli ruszył w ciemną noc.

W wynajętym mieszkaniu naprzeciwko krzywo wisały gwiazdy adwentowe. Jakaś kobieta z firmy budowlanej była tam w piątek. Krzątała się i dekorowała. Annika przyglądała się im: słomiane gwiazdy kołysały się lekko od unoszącego się z elektrycznych grzejników ciepła. Zastanawiała się nad ludzką skłonnością do zajmowania się bezsensownymi rzeczami, do poświęcania czasu i energii na robienie świątecznych dekoracji.

Poszła do sypialni i położyła się z powrotem do łóżka. Wpatrywała się w ścianę, skupiona na wzorze z małych medalionów pod cienką warstwą farby. Oficyna była opuszczona, w domu był tylko hardrockowiec z samego dołu. Zamknęła oczy, pozwoliła basowi wibrować w swoim ciele.

Dłużej tak być nie może, pomyślała. Nie mogę tak dalej.

Przekręciła się na plecy i wbiła wzrok w sufit. Zobaczyła pajęczynę tańczącą w powiewie od wybitej szyby w salonie.

Przebiegła wzrokiem wzdłuż pęknięć, odnalazła wśród wzorów motyla, samochód, trupa czaszkę. Odgłos samotności w lewym uchu. Rzuciła się znów na bok, położyła na głowie poduszkę. Nie ucichł. Nigdy, przenigdy nie uda jej się schować. Ogarnęła ją rozpacz. Jej ciało zwinęło się jak twarda piłka, głowę odchyliła do tyłu. Słyszała jakiś dźwięk, swój własny głos, niekontrolowany płacz. Poznała go i nie wystraszyła się, pozwoliła mu się rozrywać. Wiedziała, że to się skończy, że jej ciało nie może tego znieść w nieskończoność.

Potem była zupełnie wykończona i obolała z wysiłku. Chciało jej się pić. Najbardziej bolały ją plecy. Ból nigdy do końca nie ustępował, czuła mulące napięcie w żołądku. Leżała chwilę, dysząc. Czuła się ciężka, pozwoliła łzom wyschnąć na policzkach.

Ciekawe, co sobie myślą sąsiedzi. Może uważają, że jestem na prostej drodze do obłędu.

Wstała, zakręciło jej się w głowie. Szła do kuchni, trzymając się ściany. Słomiane gwiazdy kołysały się. Kran ciekł. Lodówka była pusta.

Usiadła przy kuchennym stole. Ręce opadły na zimny blat, złożyła na nich głowę i wpatrywała się w mosiężny świecznik po babci. Prezent, który Sofia Katarina i Arvid dostali, kiedy się pobrali. Przez wszystkie te lata stał na kredensie w Lyckebo.

Annika zamknęła oczy. Babci nie ma. Prawie nic nie pamiętała z pogrzebu, tylko rozpacz, płacz, bezradność. Przyszło dość dużo ludzi. Wpatrujące się w nią oczy, szepty, pełne wyrzutu spojrzenia.

Z prochu powstałeś...

Wstała i poszła usiąść na kanapie w salonie. Kiedy siał l.i.l.i. wzbija obłok kurzu. Spojrzała na telefon. Birgitta dzwoniła p > pogrzebie, pytała, dlaczego była taka niedobra dla matki.

Nigdy się nie poddacie, krzyczała Annika. Kiedy będziecie mieli dość? Jak długo będę karana za to, że ktoś mnie kochał? Kiedy będziecie zadowoleni? Kiedy umrę?

Jesteś nienormalna, powiedziała Birgitta. Ludzie mają rację. Biedna jesteś.

Babcia nie miała zbyt wiele, ale nawet o to się pokłóciły. Annika poprosiła tylko o świecznik, na niczym innym jej nie zależało.

Podciągnęła nogi. Kołysała się, kołysała, kołysała. Papierowa torba w oknie to unosiła się, to opadała, unosiła się i opadała.

Thomas nie zadzwonił. Ani razu. Tej nocy nigdy nie było, upojenie było wspomnieniem snu. Płakała cicho nad miłością, która nigdy się nie spełni. Kołysała się, kołysała. Poniedziałek, piąty listopada, to był ich dzień, ich noc, ta noc, która przestała istnieć dwadzieścia osiem dni temu, a ona sama jest teraz o miesiąc starsza. Babcia umarła dwadzieścia siedem dni temu, a ona czuje się o dwadzieścia siedem lat dłużej samotna. Zastanawiała się, jak długo będzie tak liczyć: rok, odkąd babcia umarła, dwa lata, siedem, odkąd została sama.

Ból brzucha nie mijał, młące klucie w plecach wciąż dokuczało. Przestała się bujać, spojrzała na stół. Mieszkanie ją pochłonęło. Siedzi tak od czterech tygodni, przeważnie sama. Lekarka z Katrineholmu dała jej zwolnienie do końca roku. Annę zaglądała kilka razy w tygodniu. Przynosiła jedzenie, przyniosła wideo i wielki radiomagnetofon.

- Wzięłam je z pracy - wyjaśniła. - Pożyczyłam na jakiś czas.

Cisza i pustka miały konkurencję w postaci filmów wideo z wypożyczalni i Jima Steinmana i Andrew Lloyd Web-bera na taśmie magnetofonowej.

Pragnęła go. Miała go przez jedną noc, dwadzieścia osiem nocy temu. Niedługo nie będzie tego pamiętała.

Poczuła, że skręca ją w brzuchu. Znane uczucie, dostała okres. Westchnęła i poszła do sypialni poszukać podpaski.

Opakowanie było puste. Stała z rozdartą foliową torebką w rękę i zastanawiała się. Może mam podpaski gdzie indziej?

Wyszła do przedpokoju i wygrzebała torbę. Luźne podpaski w zniszczonych jednorazowych opakowaniach, pełne okruchów i paprochów. Nagle zakręciło jej się w głowie, chciało jej się wymiotować. Usiadła na podłodze i zajrzała do majtek.

Nic. Żadnego okresu.

Dwadzieścia osiem dni temu.

Jęknęła. Ta myśl przyprawiła ją o kolejny zawrót głowy. Wyjęła mały kieszonkowy kalendarz. Imieniny Oskara i Ossiana, księżycyca ubywa, Wigilia przypada w tym roku w poniedziałek.

Liczyła, myślała. Kiedy? Weekend, dwudziesty, dwudziesty pierwszy października? Nie pamiętała.

A jeśli...

Wirowało jej od tego w głowie. Patrzyła w kalendarz, mimowolnie przesunęła ręką po brzuchu. Spoczęła poniżej pępka.

To nie może być prawda.

*

- Masz chwilę?

Anders Schyman podniósł wzrok. Sjólander i Berit Hamrin stali w drzwiach, przestępowali z nogi na nogę. Wskazał im krzesła.

- Jesteśmy gotowi opublikować artykuł o Raju - powiedział szef działu kryminalnego. - Berit przejrzała notatki Anniki i dopisała resztę. To prawdziwa zbójcka historia.

Schyman rozparł się na krzesle, Berit Hamrin położyła na biurku plik papierów.

- To są szkice artykułów - powiedziała. - Możesz je przejrzeć później. Nie podaję nazwiska Rebecki Björkstig. Sjólander chce, żebyśmy je ujawnili i zamieścili zdjęcia, ale myślę, że o tym możemy podyskutować, dopiero jak wszystko opowiem.

Schyman czekał. Berit rozkładała wydruki na kupki.

- Najpierw sama historia - wyjaśniła. - Informacje, które zdobyła Annika, wydają się prawdziwe co do joty. Było trochę problemów z urzędnikami z Načka i Osteraker, ale kiedy ten facet z Vaxholmu opowiedział, co wie, zgodzili się mówić.

Wzięła do ręki pierwszy artykuł i przebiegła go wzrokiem.

- Dzień pierwszy - powiedziała. - Informujemy o istnieniu fundacji Raj, wersja Rebecki, przedstawiamy dowody, że kłamie.

- Kogo cytujemy? - spytał Schyman.

- Przede wszystkim faceta z Vaxholmu, przemiłego urzędnika Thomasa Samuelssona. To on jest tu bohaterem, można powiedzieć. Został pobity, kiedy próbował dyskutować z Rebecką na temat faktury.

- Wiem - powiedział Schyman. - Annika mi mówiła. Zgłosił pobicie na policję?

- Tak. Mamy też innych urzędników. Chcieli pozostać anonimowi, ale potwierdzają, że Raj nie prowadzi żadnej działalności.

- Ile im zapłacili?

- Jedna gmina dziewięćset pięćdziesiąt pięć tysięcy pięćset, druga milion dwieście siedemdziesiąt cztery tysiące, z kilku różnych faktur. Vaxholm nie zgodził się zapłacić, ich klientka już nie żyła, kiedy faktura przyszła.

Szef redakcji gwizdnął.

- Tę część historii znasz dość dobrze - powiedziała Berit. - Co do reszty mamy trochę wątpliwości.

Berit wzięła do ręki kolejny tekst.

- Rebecka Björkstig może być winna nakłaniania do morderstwa - powiedziała.

Broda Schymana opadła.

- Nie, do cholery - powiedział.

Berit podała mu kartkę.

- Ta kobieta, Aida Begović, straszyla ją, że opowie o wszystkim w swojej gminie. Rebecka jej groziła. To nie było właściwie nic niezwykłego. Robiła to wiele razy. Wszystkie kobiety, które trafiły do fundacji, wiedziały od razu, że nie uzyskają żadnej pomocy. Wiele z nich było, rzecz jasna, oburzonych i wściekłych, zarówno osoby związane ze sprawą z Osteraker, jak i z Načka powiedziały, że o wszystkim opowiedzą urzędnikom z pomocy społecznej.

- Skąd się dowiedzieli o istnieniu Raju? - spytał Schyman.

- W obu przypadkach wszystko zaczęło się od spotkania z Rebecka, w towarzystwie któregoś z urzędników opieki

społecznej. Usłyszeli tę samą niesamowitą historię, dziwne, że w nią uwierzyli. Kiedy pierwsza faktura została uregulowana, klienci mogli pojechać do domu Raju w Jarfalli. Tam na miejscu Rebecka przejmowała wszystkie dokumenty, przeglądała je, sprawdzała, czy zawierają wszystkie potrzebne informacje, a potem mówiła im, że mogą sobie już pójść.

- Klientom?

Berit pokiwała głową, z zaciśniętymi ustami.

- Jeden przypadek to samotna matka z dwójką dzieci, drugi - z trójką. Rebecka groziła im: wiem, kto cię ściga, jak piśniesz w gminie jedno słowo, powiem twojemu prześladowcy, gdzie jesteś.

- Boże - westchnął Schyman.

-1 Aida zginęła - powiedział Sjólander. - Jest świadek, który słyszał, że Rebecka jej groziła. Dzień później Aida nie żyła.

- Co na to policja?

Berit wzięła do ręki trzeci tekst.

- Właśnie z nimi rozmawiałam. Wydział przestępstw gospodarczych szuka Rebecki od jakiegoś czasu, ale w związku z tą sprawą podejrzeń jest więcej, i są poważniejsze. Policja chce ją zatrzymać natychmiast, więc musimy to jak najprędzej opublikować.

- W porządku - powiedział Schyman. - Pierwszego dnia dajemy tekst o działalności, blefie, groźbach. A drugiego?

Berit przerzuciła wydruki.

-Opowieści zastraszanych kobiet. Annika, zanim zachorowała, spisała historię Marii Eriksson. Mam te dwa pozostałe przypadki i ich historie. Musimy być przygotowani na to, że znajdzie się ich więcej po pierwszej publikacji.

Schyman notował.

- Dobrze, będziemy przygotowani. Dzień trzeci?

- Reakcje - powiedziała Berit. - Mam kilka gotowych, od profesora z katedry prawa karnego, docenta psychologii społecznej, rzecznika Pogotowia dla Dręczonych Kobiet. W tej sytuacji na pewno możemy liczyć na reakcję policji, być może ministra zdrowia i opieki społecznej, ministra sprawiedliwości. Możemy chyba liczyć, że na policję zgłosi się wiele innych gmin.

- Jak ona to tłumaczy? - zapytał Anders Schyman.

- Rebecka Björkstig utrzymuje, że wszystkie nasze informacje są ciężkim i okrutnym pomówieniem. Nie rozumie, dlaczego ktoś chce ją tak skrzywdzić. Jej działalność jest nadal w fazie rozbudowy, ale to, że kogoś oszukała lub straszyla, to czyste kłamstwa.

- A my możemy udowodnić, że tak nie jest - powiedział Schyman. - Czy ona nas straszy podaniem do sądu, jeśli opublikujemy te informacje?

Dziennikarka westchnęła.

- O, tak! Wymieniła nawet wysokość odszkodowania. Trzydzieści milionów.

Schyman uśmiechnął się.

- Nie może nas podać do sądu, jeśli nie opublikujemy jej nazwiska i zdjęć. Jeśli nie można człowieka rozpoznać, to nie doszło do żadnej spowodowanej publikacją krzywdy.

- Uważam, że mimo wszystko powinniśmy opublikować nazwisko i zdjęcia - powiedział Sjölander. - Powinna poczuć, jak to jest wpakować się w bagno.

Schyman spojrzał na niego chłodno.

- Od kiedy ta gazeta zajmuje się wymierzaniem sprawiedliwości? - zapytał. - Rebecka Björkstig nie jest osobą

publiczną, nie jest znana. Oczywiście, opiszemy, co robiła, jak zmieniała tożsamość, napiszemy o jej podejrzanych interesach i dziwnych groźbach. Ale ta historia nie będzie lepsza dzięki temu, że się dowiemy, jak jej bohaterka się nazywa.

- To tchórzostwo nie napisać o wszystkim, co wiemy - powiedział Sjölander. - Dlaczego mamy mieć dla niej jakieś względy, skoro jest taką cholerną świnią?

Anders Schyman pochylił się do przodu.

- Dlatego że chodzi nam o prawdę, a nie o walkę z przestępcą. Dlatego że po naszej stronie jest odpowiedzialność etyczna i publicystyczna, dlatego że władza, jaką mamy, i za ufanie, jakim się cieszymy, umożliwiają nam tworzenie obrazy rzeczywistości dla ludzi w naszym społeczeństwie. Nie będziemy tej władzy używać do niszczenia kogokolwiek, bez względu na to, czy ten ktoś jest politykiem, czy kryminalistą, czy gwiazdą. Znalezienie się w gazecie nie jest jednoznaczne z wdepnięciem w gówno.

Policzki Sjölandera zaczerwieniły się delikatnie, Schyman widział, że nic złego się nie dzieje. Sjölander niejedną raz uporał się z gównianą sprawą. Tym razem też mu się udało.

- Okej - powiedział. - To ty decydujesz.

Szef redakcji znów rozparł się na krześle.

- Nie - powiedział. - To nie ja decyduję, tylko Torstensson.

Wszyscy troje patrzyli na siebie przez chwilę, a potem wybuchnęli głośnym śmiechem. Torstensson, co za cholerny żart.

- A poza tym? - spytał Schyman.

- No, do diabła - powiedział Sjölander i westchnął. - Trochę za spokojnie jest. Już dawno nic się nie działo.

Zastanawiamy się, czy nie podjąć na nowo sprawy zamordowania Palmego. Nils Langeby dostał nowy cynk.

Między brwiami szefa redakcji pojawiła się zmarszczka.

- Sprawdź te jego cynki, nie mam do nich zaufania. A co z tą jugosłowiańską historią z Frihamnen?

Sjólander znów westchnął.

- Rozpłynęła się. Gość, którego podejrzewali, Ratko, najprawdopodobniej opuścił kraj.

- To on to zrobił?

Szef działu kryminalnego kręcił się na krześle, wahał się. Pamiętał, co mówił wcześniej.

- Nie ma pewności - powiedział. - Ratko nigdy nie był skazany za morderstwo, ale to cholernie nieciekawy typ. Napady na banki, zastraszanie, maltretowanie, a przede wszystkim, z tego co wiemy, pracował na zlecenie. Jego specjalnością było zastraszanie ludzi, zmuszanie ich do mówienia. Wkładał im do ust lufę pistoletu maszynowego i większość zaczynała mówić.

- No i zbrodnie wojenne - przypomniała Berit.

- Musiał mieć problemy z przekraczaniem granic - powiedział Schyman.

- W południe szóstego listopada trybunał wojenny w Hadze wysłał list gończy za Ratkiem. Podejrzewają go o popełnienie zbrodni przeciwko ludzkości w początkowej fazie wojny w Bośni.

- Najprawdopodobniej zapije się na śmierć w jakiejś dziurze pod Belgradem - powiedział Sjólander.

Schyman westchnął.

- Kobieta z placu. Co z nią? Mamy jakiś ślad?

Berit i Sjólander pokręcili głowami.

- Jutro jest pogrzeb - powiedziała Berit. - Straszna, 11.1
giczna historia.

- Okej - powiedział Schyman. - Przejrzę to. Jeśli się nie
odezwę, masz zielone światło.

Reporterzy wstali i wyszli z pokoju.

Annika przeglądała czasopismo „My, rodzice” sprzed
dwóch lat. Przeczytała trzy numery „Amelii”, dwie broszu-
ry o AIDS i wczorajszy numer „Metra”. Nie miała siły iść do
domu, nie chciała być sama. Powiedziała, że posiedzi w po-
czekalni, aż będzie wynik. Położne dziwnie na nią popatrzy-
ły, ale nie protestowały.

Czas stał się nawiasem, czymś, co obserwowała, jak po-
woli przepływa obok niej. Nie potrafiła sobie wyobrazić, co
zrobi, kiedy dostanie wynik.

Kiedys myślała, że jest w ciąży ze Svenem. To było pod
koniec ich związku, kiedy zastanawiała się, jak z nim zerwać.
Okropnie się denerwowała, dziecko byłoby katastrofą. Wynik
testu był negatywny, ale nie czuła ulgi. Do tej pory nie potrafiła
zrozumieć swojego rozczarowania, uczucia pustki.

- Annika Bengtson?

Puls rozszalał się w jej ciele. Poczula go aż w krtani,
przełknęła ślinę. Wstała. Kobieta w białym fartuchu po-
prowadziła ją do recepcyjnego kontuaru w przychodni dla
przyszłych matek.

- Wynik jest pozytywny - powiedziała kobieta cicho
i powoli. - To znaczy, że jest pani w ciąży. Kiedy ostatnio
miała pani miesiączkę?

Wszystko się zakołysało. W ciąży, będę miała dziecko,
mój Boże, dziecko...

- Nie pamiętam, chyba dwudziestego października.

Suchość w ustach.

Położna zakręciła jakimś bąkiem.

- To znaczy, że jest pani w siódmym tygodniu. Liczy się od pierwszego dnia ostatniej miesiączki. Jest więc jeszcze bardzo wcześnie. Zamierza pani donosić ciążę?

Podłoga znów się zakołysała. Annika chwyciła się biurka.

- Ja... nie wiem.

Przelknęła ślinę.

- Jeśli zdecyduje się pani przerwać ciążę, to im wcześniej, tym lepiej. Jeśli zamierza pani urodzić, ustalimy termin pierwszej wizyty u położnej, tutaj, w przychodni. Wizyta trwa ponad godzinę. Ta sama położna będzie potem panią prowadziła przez całą ciążę. Mieszka pani na Kungsholmen?

- Czy to pewne? - spytała Annika. - Jestem w ciąży? Czy to nie jest czasem pomyłka?

Kobieta uśmiechnęła się.

- Jest pani w ciąży - powiedziała. - Na sto procent.

Annika odwróciła się i ruszyła w kierunku drzwi. Bolało ją i rwało w plecach. A gdyby poroniła?

- Poronienie. - Odwróciła się w kierunku biurka. - Jak często to się zdarza?

- Dosyć często - powiedziała położna. - Największe ryzyko występuje do dwunastego tygodnia włącznie. O tym porozmawiamy w czasie pierwszej wizyty, jeśli zdecyduje się pani urodzić. Proszę zadzwonić i dać znać, co pani zamierza.

Annika wyszła na klatkę schodową i zeszła po pięknych szerokich schodach starego szpitala Serafimer. Tu teraz była jej przychodnia, jej lekarz rodzinny, tu będą się opiekować jej dzieckiem.

Jej dziecko.

Kiedy schodziła, czuła szarpanie i ciężar w brzuchu.

Żeby tylko nie poroniła. Żeby tylko nic się nie stało dziecku.

Rozszłochała się. Mój Boże, będę miała dziecko, ja i Thomas. Przepęliło ją szczęście, całą, do samego środka. Dziecko! Małe dziecko, powód, żeby żyć!

Podeszła do ściany. Oparła się o nią i wybuchnęła płaczem, płaczem ulgi, jasnym i miękkim.

Dziecko, jej dzieciątko.

Wyszła w mrok. Przez cały dzień nie zrobiło się jasno. Chmury przewalały się po niebie jak ciemnoszare beczki. Znowu będzie padał śnieg. Szła ostrożnie w kierunku domu, nie chciała się pośliznąć, zrobić krzywdy dziecku.

W mieszkaniu było zimno, włączyła grzejniki. Zapaliła wszystkie lampy i usiadła na kanapie z telefonem na kolanach.

Powinna zadzwonić natychmiast, zanim wyjdzie z pracy. Nie chciała dzwonić do domu i znowu usłyszeć Eleonor. Puls dudnił. Co ma mu powiedzieć?

Jestem w ciąży.

Będziemy mieli dziecko.

Będziesz ojcem.

Przymknęła oczy, wzięła kilka głębokich wdechów, próbowała uspokoić serce. Wykręciła numer.

Zachrypniętym głosem poprosiła o połączenie. Coraz bardziej szumiało jej w głowie, drżały jej ręce.

- Thomas Samuelsson - powiedział. Nie mogła oddychać, nie mogła mówić.

- Halo? - powiedział zirytowany.

Przelknęła ślinę.

- Cześć - powiedziała najciszej, jak się dało. - To ja. Jej serce oszalało. Dyszała, on nie odpowiedział.

- Annika Bengtson - powiedziała. - To ja, Annika.

- Nie dzwoń do mnie - powiedział zduszonym głosem. Zadrżała.

- To znaczy?

- Proszę - powiedział. - Zostaw mnie w spokoju. Bądź tak dobra i nie dzwoń do mnie.

Usłyszała kliknięcie, rozłączył się. Pustka odbijała się echem na linii, wypełniała ją.

Odłożyła słuchawkę. Ręce trzęsły się jej tak, że nie mogła trafić na widelki. Dłonie miała zupełnie mokre. Zaczęła płakać. O Boże, on mnie nie chce, nie chce naszego dziecka, och, pomóż, proszę, pomóż...

Telefon zaterkotał na jej kolanach, otrząsnęła się. Dzwoni, mimo wszystko dzwoni.

Poderwała słuchawkę.

- Annika? Cześć, tu Berit, z redakcji. Chciałam ci tylko powiedzieć, że jutro zaczynamy publikować twoje teksty o fundacji Raj... Co się dzieje?

Annika płakała do słuchawki. Wyła, aż spływały po niej łzy.

- Kochana moja - powiedziała przerażona Berit. - Co się stało?

Annika wzięła głęboki wdech i stłumiła płacz.

- Nic - powiedziała i wytarła nos ręką. - Smutno mi po prostu. Przepraszam.

- Przecież nie masz za co przepraszać. Wiem, jak byłaś zżyta z babcią. Chciałam ci tylko powiedzieć, że zaczynamy publikować twoje teksty.

Annika przyłożyła dłoń do ust i nosa, dusiła płacz.

- To dobrze - wykrztusiła. - Fajnie.

- Najgorsza dla mnie jest ta sprawa z Aida. Nie mogę przestać o tym myśleć - powiedział Berit. - Jutro jest jej pogrzeb, biedna kobieta. Nie miała żadnych krewnych, nikt nie pytał o ciało. To będzie krótka ceremonia, na cmentarzu Norra...

- Przepraszam cię, Berit, ale muszę kończyć - powiedziała Annika.

- Słuchaj - powiedziała Berit. - Jak ty się właściwie czujesz? Potrzebujesz pomocy?

- Nie - szepnęła Annika. - Wszystko dobrze.

- Obiecuj, że dasz znać, jak będziesz chciała porozmawiać.

- Jasne - odetchnęła Annika.

Słuchawka wylądowała z powrotem na widelkach, ciężka, gorąca.

On jej nie chce. Nie chce ich dziecka.

Na całym Kungsholmen nie było gdzie zaparkować. Thomas krążył po całej dzielnicy dwadzieścia minut, bez skutku. Nie szkodzi. Nie miał nic do załatwienia, jeździł zupełnie bez celu. Scheelegatan, w prawo w Hantverkargatan, powoli obok bramy numer 32, pod górę w Bergsgatan. Miął Komendę Główną Policji, zjechał w dół Kungsholmsgatan, wrócił tam, skąd wyruszył.

Dobrze zrobił, to jedyne słuszne rozwiązanie. Eleonor jest jego żoną, dotrzymał przyrzeczenia, nie zawiedzie jej zaufania, jest odpowiedzialny.

Tylko ten głos Anniki dziś w słuchawce. Stracił panowanie nad sobą, nie chciał się tak zachować, tak fizycznie, tak gwałtownie. Nie mógł już pracować. Uciekł z ratusza i pobiegł truchtem nad wodę. Mocno wiało, zaczął sypać śnieg. Słyszał jej głos, pamiętał ciało. Och, Boże, co on zrobił? Dlaczego wspomnienie wraca tak nieubłagane, nie daje się odegnąć?

Stał na wietrze, aż włosy i płaszcz przemokły od morza i śniegu. Wciąż słyszał jej cichy, smutny głos. Potem wolnym krokiem poszedł do pustego domu. Eleonor była na szkoleniu z przywództwa. Wziął samochód i pojechał do miasta. Nie zastanawiał się, nie chciał myśleć, po prostu jechał.

Zjem coś, mówił sobie, zatrzymam się w jakiejś knajpie, poczytam popołudniówki, wypiję piwo.

Knajpa na Kungsholmen.

Nie zadzwoni do niej. Wytrzyma. Chce tylko zobaczyć, jak to by mogło być, jak to życie by wyglądało, z jakimi ludźmi by się spotykał, co by jadł.

To, co zrobił Eleonor, było niewybaczalne. Wstyd palił go w twarz przez cały pierwszy tydzień. Zmuszał się, żeby mówić normalnie, chodzić normalnie, kochać się normalnie. Eleonor nic nie zauważyła. A może jednak?

Na początku Annika śniła mu się po nocach, ale ostatnio wspomnienie o niej zaczęło przygasać, aż do dziś. Uderzył dłonią w kierownicę. Do diabła, po co ona zadzwoniła? Dlaczego nie zostawi go w spokoju? I bez tego jest mu wystarczająco trudno.

Nagle poczuł, że jest bliski płaczu. Zacisnął zęby, wcisnął gaz i popędził ulicą. Musi coś zjeść. Skręcił w Agnega-tan i zaparkował na miejscu do nawracania na końcu ślepej uliczki, a co tam!

Zamknął samochód, blip-blip, to jej dzielnica. Stał i spojrział w górę, na rozpadającą się fasadę. Powinni ten dom wyremontować dwadzieścia lat temu.

Może jest w domu. Może siedzi w swoim mieszkaniu na trzecim piętrze, białym i zwiewnym, może czyta książkę, może ogląda telewizję.

Poczuł suchość w ustach, serce zaczęło bić szybciej.

W bramie świeciło się światło. Była otwarta, wystarczyło wejść. To takie proste. Powoli ruszył w kierunku budynku. Widział to, na co ona codziennie patrzy, malunki na ścianie, odpadający tynk.

A jeśli ona wyjdzie? Zatrzymał się, nie może go zobaczyć. Stał tuż przy domu, patrzył w górę.

Dwa okna, oświetlone, prawe z papierową torbą zamiast szyby na samej górze. Jej mieszkanie. Jest w domu.

Wtedy ją zobaczył. Przeszła obok okna i wzięła coś z parapetu, po lewej stronie. Przez chwilę ją widział, czarną sylwetkę na tle jasnego pokoju. Włosy, szczupłe ciało, pełne gracji ruchy rąk. Potem się odwróciła, światła zgasły.

Może zamierza wyjść.

Odwrócił się na pięcie i pobiegł z powrotem do samochodu. Wsiadł i odjechał, nie zwalniając hamulca ręcznego. Dopiero teraz poczuł rozszalały puls.

Nigdy więcej się z nią nie spotka.

Wtorek, 4 grudnia

ANNIKA UNIKAŁA PATRZENIA NA PLAKATY reklamujące dzisiejsze wydanie gazety. Były bardziej żółte niż

kiedykolwiek, wprost krzyczały, nagłówki tak wielkie, jakby zapowiadały wojnę światową. „Kvallspressen” ujawnia: Raj oszukuje ludzi, którym ktoś grozi śmiercią.

Annika szybko przeszła obok. Nie miała siły teraz o tym myśleć. Otuliła się kurtką i ścisnęła w rękę portfel. Marzyła. Biegła drobnymi krokami w górę schodów do Rosetten. Chłopak siedzący w kasie nie zdążył jeszcze rozpakować paczek z gazetami. Rozerwała plastikowe taśmy i spojrzała na rezultat swojej pracy.

Na pierwszej stronie widniało zrobione z ukrycia, z daleka, zdjęcie kobiety, prawdopodobnie Rebecki. Włosy i twarz zamaskowano małymi kwadracikami. Annika zmrużyła oczy. To stary sposób, żeby zobaczyć, co przedstawia zdjęcie. Obraz stał się nieco wyraźniejszy, ale kobiety mimo to nie dało się zidentyfikować.

Zważyła gazetę w rękę. Była taka lekka, tak mało ważyła jej wysiłki. Zwinęła ją i włożyła do koszyka. Poczyta później, jak wróci do domu. Poszła do działu spożywczego. Wzięła jogurt, chleb tostowy, ser i kielbasę na grilla. Zapłaciła, włożyła gazetę pod pachę i wyszła. Powietrze było przejrzyste i chłodne, słońce stało na horyzoncie. Pospieszenie przeszła przez Hantverkargatan, pośliznęła się. Serce tłukło jej się w piersi, nie potrafiła nic na to poradzić. Raj to przecież jej sprawa.

Postawiła torbę z zakupami na podłodze w holu, wyjęła gazetę i usiadła na kanapie w salonie. Jeszcze raz przeczytała czołówkę artykułu na pierwszej stronie. Odsyłacze do stron szóstej, siódmej, dziewiątej, dziesiątej i jedenastej. Poczula, że ma gęsią skórę na ramionach. Od razu widać, że to nie byle co.

Szybko przerzucała kartki, omijając komentarze redakcyjne i wydarzenia kulturalne. Na pierwszej stronie pisano o działalności fundacji, o Rebecce, o tym, jak funkcjonuje Raj. Zrobione z ukrycia zdjęcia ukazywały Rebeckę i kilka innych osób, prawdopodobnie jej rodzinę. Anni-ce zdawało się, że w tle dostrzega należący do Raju budynek w Ölovslundzie, ale zdjęcia mogły być zrobione gdziekolwiek. Przeczytała wszystko dokładnie. Teksty napisała Berit, ale całkowicie na podstawie zdobytych przez nią informacji. Widniały pod nimi dwa nazwiska - Anni i Berit.

Długo wpatrywała się w swoje nazwisko. Próbowła zrozumieć, co czuje. Duma, być może. Trochę strachu, będą konsekwencje. Pewna doza dystansu. Nie miała siły wszystkiego do siebie dopuścić.

Westchnęła, przerzucała strony gazety. Zadrzała.

Z czarno-białej fotografii zamieszczonej na ósmej stronie patrzył na nią Thomas Samuelsson. Zdjęcie zrobiono w jego biurze w ratuszu w Vaxholmie, poznała półkę na książki. To on udowodnił, że to blef, głosił tytuł. Tekst Berit miazdzył argumenty Rebecki, wyciągał na światło dzienne kłamstwa, długi, zmiany tożsamości. Thomas Samuelsson jawił się jako bohater, człowiek, który rozbił organizację przestępczą. Miał szramę u nasady włosów. Tekst pod zdjęciem wyjaśniał, że urzędnik opieki społecznej został pobity, kiedy próbował udaremnić próbę oszustwa. Wypowiadali się również urzędnicy z innych gmin, co prawda anonimowo, ale poświadczali, że działalność Raju jest czystym blefem. Ich urzędy wypłaciły Rebecce niebotyczne sumy, w sumie ponad dwa miliony koron.

Nie mogła już czytać, chciała tylko popatrzeć na zdjęcie, na tego mężczyznę. Wyglądał poważnie, zacięty wyraz

twarzy, opadające na twarz włosy. Zapięta marynarka, nie-
nagannie zawiązany krawat, ręka spoczywa na biurku. Jego
ciepła, silna ręka.

Ścisnęło ją w gardle. O Boże, jaki on cudowny, prawie
zapomniała, jak wygląda. Jej oczy wypełniły się łzami, wyle-
wała je wprost na gazetę.

Będziemy mieli dziecko, szepnęła do zdjęcia. Małego
chłopczyka. Wiem, że to chłopiec, ale ty nas nie chcesz.
Wolisz swój zawiązany krawat i szefową banku, i luksusową
willę przy ulicy snobów.

Przejechała palcem po zdjęciu, wzdłuż jego podbródka,
po jego włosach.

Nie mogę go urodzić, jeśli ty nie chcesz.

Odłożyła gazetę, nie mogła się powstrzymać od płaczu.
Kiedy nie miała już sił i wylała wszystkie łzy, wzięła do ręki te-
lefon i zadzwoniła do szpitala Sódra. Może przyjąć jeszcze dziś.

Ratko przybył wystarczająco wcześnie. Poprzedniego dnia
rozejrzał się w terenie. Chodził z grabiami i udawał, że sprzą-
ta na grobach. Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Miał na so-
bie ciemne, anonimowe ubranie. Fiata uno zaparkował przy
Banvaktsvagen, tuż przy ogromnej przerwie w ogrodzeniu.
Przypuszczał, że wycięli ją rowerzyści, żeby móc jeździć na
skrót przez cmentarz. Do bagażnika włożył sportową torbę.
Wśród sportowych ubrań można było dostrzec rakietę teni-
sową. Pod nimi schował pieniądze i ciężką broń.

Był zdenerwowany, czuł się niepewnie, nawet trochę
idiotycznie. Czy tracił kontrolę nad sytuacją?

Poszedł do głównego wejścia przy Linvavarvagen. Tutaj
pomniki były wiekowe, okazałych rozmiarów. Większość

z pierwszej dekady dziewiętnastego wieku, utytułowani mężczyźni z rodzinami. Okolica powinna być bardzo spokojna i cicha, ale nie była - pięćdziesiąt metrów dalej dudniła autostrada. Oparł się o grabie i patrzył na uśpiony zimową aurą park. Przycięte tuje, ogromne dęby z nagimi koronami, sękate sosny, kuty żelazny płot. Trochę inaczej niż na cmentarzach wojennych w Bośni. Oparł się o płot, westchnął. Wspomnił lata siedemdziesiąte, kiedy pracował w UDBA, jugosłowiańskiej służbie bezpieczeństwa, wszystkich polityków opozycji, których uciszeli. Niemcy, Włochy, Hiszpania, napady na banki, lata spędzone w więzieniu.

Nigdy więcej, pomyślał i westchnął. Było mu zimno.

Ruszył wolnym krokiem w kierunku Kaplicy Północnej, dużej jak kościół, świeżo odrestaurowanej, z brązową, błyszczącą w słońcu dachówką. Stała na wzgórzu w tylnej części cmentarza. Za nią wznosiło się gigantyczne bladoniebieskie osiedle mieszkaniowe, trochę jak koszary, Hagalundsga-tan. Kojarzyło mu się z Łysą Górą. Obszedł mały zagajnik, wyszedł na niewykorzystany jeszcze na groby, płaski teren w zachodnim rogu, kwatera 14E. Zatrzymał się na skraju lasu, patrzył w dół, na miejsce ostatniego spoczynku Aidy. Jej grób oddzielał od ulicy bezlistny żywopłot. Po drugiej stronie znajdowała się stacja benzynowa i McDonald. Odwrócił się i chwycił grabie. Wolnym krokiem poszedł w kierunku grobów żydowskich.

Ceremonia pogrzebowa rozpocznie się o czternastej, dzwonił i sprawdził. Zostało jeszcze mnóstwo czasu. Czy miał urojenia? Czy wyobrażał sobie niestworzone rzeczy? Czy zwierzchnicy naprawdę zareagowali ostrzej, niż oczekiwał?

I dlaczego miałyby to mieć cokolwiek wspólnego z Aida z Bijeliny?

Tak naprawdę miał to wszystko w nosie. Jediną rzeczą, która go interesowała, była jego własna przyszłość. Chciał być świadomy swoich możliwości, wiedzieć, co go ogranicza, móc rozpoznać swoich wrogów. W tym miała mu pomóc Aida, już po śmierci.

Zapalił papierosa. Zaciągnął się kilka razy, poczuł, jak powietrze wypełnia mu płuca i pompuje do mózgu nikoty-
nę. Cholerny kraj, tak zimno.

Jeśli wszystko pójdzie tak, jak trzeba, nie będzie już musiał tu przyjeżdżać. Będzie mógł opuścić ten przeklęty kraj, nie zostawiając za sobą żadnych nieposprzątanых brudów.

- Thomas! Jesteś w gazecie!

Urzędniczka, która zajmowała się sprawą Aidy Begović, wyszła w podskokach ze swojego pokoju. Wyglądało to na nieudaną próbę uprawiania joggingu. Policzki miała czerwone, czoło błyszczące, na twarzy cielecy uśmiech. W podnieceniu machała porannym wydaniem „Kvallspressen”.

Thomas zmusił się do uśmiechu.

- Wiem - powiedział.

- Napisali o tym, że ty...

- Wiem!

Wszedł do swojego pokoju i z trzaskiem zamknął za sobą drzwi. Nie wytrzymał. Opadł na stojące przy biurku krzesło i oparł głowę na rękach. Rano ledwo zdołał tu przyjść. Budżet został przyjęty, wszystkie raporty kwartalne były gotowe, zdążył na czas. Pora zacząć od początku, ósmy raz, co roku mniej środków i więcej wydatków, redukcje personelu,

dotknięci nimi pracownicy odwołują się do mediów, wściekli, zrozpaczeni, smutni, zrezygnowani. Zwiększała się liczba osób przebywających na długotrwałych zwolnieniach, a środki na ich rehabilitację kurczyły się.

Westchnął i przeciągnął się. Jego wzrok padł na rozłożoną gazetę, zobaczył jej nazwisko. Przed publikacją dostał artykuły do przeczytania, ale nie wiedział, że to ona je napisała. Dzwoniła do niego jakaś inna kobieta, starsza, Berit Hamrin. Dlaczego nie Annika?

Odrzucił tę myśl z irytacją. Nie chciał, żeby dzwoniła. Rozprostował gazetę. Wyglądał na tym zdjęciu strasznie. Włosy opadające na twarz, co za niechlujstwo. Przeczytał teksty raz jeszcze, teksty Anniki. Rozpoznał te informacje, rzeczywiście opowiedziała mu wszystko, była uczciwa.

Ktoś zapukał do drzwi. Odruchowo złożył gazetę i wepchnął ją do najwyższej szuflady biurka.

- Mogę wejść? Szefowa.

Przełknął ślinę.

- Oczywiście. Usiądź.

Kobieta popatrzyła na niego z zadumą. Podeszła i usiadła na krześle, na którym siedziała kiedyś Annika. Poczł ukłucia niepewności wzdłuż kręgosłupa. Rozmawiał z nią o tym, co ma powiedzieć, a czego nie. Nie czytała artykułów, ale nie powinno w nich być nic takiego, do czego mogłaby mieć zastrzeżenia.

-Wiem, że miałeś trudny okres - powiedziała. - Ale chcę, żebyś wiedział, że jesteś tu bardzo ceniony.

Była uprzejma i poważna, patrzyła mu w oczy. Spust, it wzrok, wpatrywał się w leżący na biurku dokument.

- Jestem bardzo zadowolona z twojej pracy. Wiem, że przeszedłeś trudny okres, ale mam nadzieję, że teraz, kiedy prace nad budżetem zostały zakończone, będzie lepiej. Jeśli poczujesz, że musisz z kimś porozmawiać, zawsze możesz przyjść do mnie.

Spojrzał na nią, nie potrafił ukryć zdziwienia. Teraz ona spuściła wzrok.

- Chciałam tylko, żebyś to wiedział - powiedziała i wstała. Thomas także podniósł się z krzesła, mruknął coś w podziękowaniu.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi, usiadł na swoim krześle. Był zdumiony. O co właściwie chodzi?

W tej samej sekundzie zadzwonił telefon. Thomas podskoczył aż pod sufit.

- Thomas Samuelsson?

Dyrektor Szwedzkiego Związku Gmin. Jezu, czego może od niego chcieć? Odruchowo wyprostował się za biurkiem.

- Być może mnie pan nie pamięta, ale spotkaliśmy się na ubiegłorocznej Konferencji Służb Socjalnych na Langholmen.

Thomas pamiętał tę konferencję, ciężkostrawne referaty na temat pomocy społecznej ciągnące się przez trzy dni. Ale twarz dyrektora zupełnie mu umknęła.

- Myśleliśmy o panu od tego czasu wiele razy, a dzisiaj zobaczyliśmy pana w gazecie i stwierdziliśmy, że jest pan odpowiednią osobą.

Thomas chrząknął, wydał pytający odgłos.

- Szukamy kogoś, kto pokieruje grupą, która przeanalizuje różnice w wypłatach zasiłków socjalnych w gminach. To nie musi być praca na pełen etat. Jeśli zdecyduje się pan

to robić na pół etatu, liczymy, że zabierze to około roku. Jest pan zainteresowany?

Przymknął oczy, oniemiał. Odgarnął do tyłu włosy. Był oszołomiony. Pracować w centrali, być kierownikiem grupy badawczej. Boże, przecież o tym marzył.

- Tak, oczywiście - wykrztusił. - Wygląda to na coś bardzo ważnego i interesującego.

Powstrzymał się, byle nie za dużo entuzjazmu.

- Chętnie porozmawiam o warunkach - powiedział bardziej opanowanym głosem.

- Wspaniale! Może pan przyjechać w czwartek?

Odłożył słuchawkę i przez minutę patrzył wprost przed siebie. Propozycja szumiała mu w głowie jak wiosenny strumyk. Co za szansa, co za wyzwanie! Jego uśmiech wyrażał najgłębsze uczucia. To wyjaśnia dziwną wizytę szefowej, ktoś musiał do niej wcześniej dzwonić.

Widzieli jego nazwisko w gazecie.

Wyciągnął najwyższą szufladę biurka i wyjął gazetę. Przeczytał jej nazwisko i odetchnął.

Zapomni o niej. Wszystko będzie dobrze. Musi tylko wytrzymać.

Podjął słuszną decyzję.

Annika mimowolnie wstrzymała oddech. Na jej brzuchu wylądował lodowaty niebieskawy żel. Kobieta w białym fartuchu machała jakimś kablem i wielką głowicą. Annika patrzyła szeroko otwartymi oczami.

- Żel jest po to, aby uzyskać wyraźniejszy obraz z ultradźwięków - powiedziała lekarka.

Annika leżała w napięciu na obitej zieloną skórą leżance. Kobieta usiadła obok niej, włożyła głowicę w mały rozmiar na jej brzuchu i zaczęła zataczać kółka. Annika znów wstrzymała oddech. Do licha, jakie to zimne, i tak nisko, właściwie we włosach łonowych. Brzeg jej majtek zrobił się lepki. Lekarka kręciła jakąś gałką przy małym szarym monitorze. Białe paski wiły się po ekranie jak dżdżownice. Głowica się zatrzymała.

- Tu - powiedziała lekarka i wskazała palcem.

Annika podniosła się i spojrzała na ekran. Małe białe kółko w prawym górnym rogu.

- Tu mamy ciążę - powiedziała lekarka i pokręciła gałką.

Annika patrzyła na plamkę nieufnie. Trochę się ruszała, przekręcała się, pływała.

Jej dziecko. Dziecko Thomasa. Przełknęła ślinę.

- Chcę usunąć - powiedziała.

Ginekolożka uniosła głowicę i obraz znikł, znikła mała pływająca bańka. Pielęgniarka podała Annice kawałek zielonego szorstkiego papieru, żeby sobie wytarła brzuch.

- Chcę panią najpierw zbadać - powiedziała lekarka i oddała pielęgniarce głowicę do umycia. - Proszę, niech pani będzie tak uprzejma i przejdzie na fotel.

Uprzejma, obojętna. Annika zamarła.

- Czy na pewno muszę robić jakieś... badanie? - spytała.

- Już jesteśmy opóźnieni - powiedziała cicho pielęgniarka.

Lekarka westchnęła.

- Proszę się położyć.

Annika zdjęła spodnie i majtki i wdrapała się posłusznie na fotel ginekologiczny, narzędzie tortur. Lekarka stanęła między jej nogami i założyła rękawiczki.

- Może się pani trochę opuścić. Jeszcze. Jeszcze! I proszę się rozluźnić.

Nabrała powietrza i zamknęła oczy. Lekarka włożyła jej palce do pochwy.

- Proszę się rozluźnić, w przeciwnym razie będzie bolało.

Zaciskała mocno powieki. Lekarka uciskała i obmacywała jej brzuch, jedną ręką w środku, drugą od zewnątrz. Ból, nudności.

- Ma pani tyłozgięcie macicy - powiedziała. - To rzadkie, ale niegroźne.

Wyjęła palce. Annika usłyszała mlaśnięcie i zawstydziała się.

- Dobrze. Może się pani ubrać. Proszę potem do mnie przyjść.

Wyrzuciła rękawiczki do kosza i szybko przeszła do pokoju obok. Annika rozpaczliwie próbowała opuścić kolana gdzieś znad uszu. Czuła się pozostawiona samej sobie, obrzydliwa. Coś kleiło się jej między nogami, nie miała odwagi prosić o coś do wytarcia. Szybko wciągnęła majtki i dzinsy. Całe podbrzusze miała lepkie. Poszła za pielęgniarką do pokoju obok.

- Jest pani w siódmym tygodniu - powiedziała lekarka.

- Chce pani usunąć ciążę?

Annika skinęła głową. Przełknęła ślinę, chrząknęła, usiadła.

- Może pani porozmawiać z psychologiem. Chce pani?

Pokręciła głową. Ręce miała jakby za duże, wcisnęła je między uda.

- Dobrze. Może być piątek, siódmy grudnia. Odpowiada pani?

Nie, pomyślała, natychmiast. Natychmiast! Do piątku zostały trzy dni, nie dam rady, nie mam siły, nie mogę no-
sić tego dziecka jeszcze przez trzy dni, nie chcę czuć cięża-
ru, nudności, pulsującego życia, nie chcę mieć obrzmiałych
piersi.

- To może być ten siódmy grudnia? - spytała lekarka.

Spojrzała na nią znad okularów.

Annika kiwnęła głową.

- Proszę przyjść o siódmej rano. Musi pani być na czczo
od północy, dostanie pani lekką narkozę. Najpierw umieść
cimy w ujściu szyjki macicy szyft, który spowoduje jej
otwarcie, potem zostanie pani uśpiona. Zrobimy tak zwaną
aspirację podciśnieniową. Oznacza to, że szyjka macicy zo-
stanie rozszerzona, a zawartość macicy wyszana. To potrwa
jakiś kwadrans, po południu będzie pani mogła wrócić do
domu. Potem musi się pani przez dwa tygodnie wstrzymać
ze współżyciem, z powodu ryzyka infekcji. Ma pani jakieś
pytania?

Kwadrans. Zawartość zostanie wyszana.

- Nie, żadnych pytań.

- Dobrze, więc zapraszam w piątek.

Wyszła na korytarz, długi i szary. Minęła młodą kobie-
tę, przyszła na badania. Unikały swojego wzroku. Annika
usłyszała, jak lekarka ją wita. Znow kołysanie, nudności, ból
pleców. Musi stąd wyjść.

Autobus linii 48 przechylał się i skręcał, Annika omal
nie zwymiotowała na podłogę. Chwiejąc się na nogach,
wysiadła przy Kungsholmstorg i szybko weszła w bramę

numer 32. Stała na podwórzu i walczyła z nudnościami. W końcu z trudem wdrapała się po schodach.

Zakupy wciąż stały przy drzwiach, nie miała siły się nimi zająć. Zwinęła się na kanapie i wpatrywała przed siebie.

Mała bańka, małe białe kółko.

Wiedziała, że to chłopiec, mały blondynek, jak Thomas. Zamknęła oczy i rozplakała się. Wyrwała z gazety stronę ze streszczeniami seriali i wysmarkała się. Znow przejrzała artykuły o Raju, przebiegła wzrokiem tekst z ostatniej strony. Rebecka jest podejrzana o podżeganie do morderstwa, tak mówi policja. Groziła klientce, Aidzie Begović, która dzień później została zamordowana na Sergels Torg. Pogrzeb odbędzie się dziś o czternastej.

Upuściła gazetę. Miała dojmujące poczucie klęski. Pochyliła się w przód. Bolał ją brzuch, kółko pływało w niej, serce kołatało coraz mocniej, kołysała się, kołysała. Usłyszała echo wczorajszych słów Berit: „Nie miała żadnych krewnych, nikt nie pytał o ciało. To będzie krótka ceremonia, na cmentarzu Norra...”.

Nikt nie powinien być tak całkowicie opuszczony, pomyślała Annika. Każdy powinien mieć kogoś, kto go pożegna.

Przymknęła oczy i oparła się o kanapę.

Jeszcze trzy dni z dzieckiem w brzuchu.

Spojrzała na zegarek.

Jeśli wyjdzie teraz, zdąży na pogrzeb Aidy.

W środku siedzieli jacyś ludzie.

Annika zatrzymała się w drzwiach, nagle niepewna. Rozejrzała się ostrożnie. Kilka kobiet i młody chłopak siedzący w ławce z tyłu nagle obejrżeli się i spojrzeli na nią.

Na samym przodzie stała mała trumna, biała i błyszcząca, z trzema czerwonymi różami na wieku.

Przełknęła ślinę. Było jej niedobrze, drżała. Zrobiła kilka kroków, zdjęła kurtkę i usiadła w pustej ławce z tyłu. Zapomniałam kupić kwiaty. Nagle uświadomiła sobie, że ma puste ręce.

Panowała absolutna cisza. Do środka przez witrażowe okna pod kopułą wpadało snopami blade światło. Tworzyło kolorowe plamy na ścianach i podłodze. Żółte ściany przybierały od słońca ognisty odcień.

Annika usłyszała ciche nucenie. Spróbowała niepostrzeżenie zerknąć na pozostałych żałobników. Większość z nich to kobiety, połowa wygląda na Szwedki, pozostałe to prawdopodobnie Jugosłowianki. W sumie dwanaście, czternaście osób, wszyscy z kwiatami.

Zdziwienie ustąpiło irytacji.

Gdzie wy wszyscy byliście, kiedy Aida potrzebowała pomocy?

Tak cholernie łatwo jest być pod ręką, kiedy jest za późno.

Dzwony kościelne zaczęły dudnić nad jej głową. Dźwięk sączył się w dół między rzadko obsadzone rzędy ławek, głuchy i zdecydowany. Wstrząsał jej ciałem. Czowała, jak łyżki przesłaniają jej wzrok.

Dzwony przestały bić i zapanowała cisza. Słysząc było pociągnięcia nosem, pochrząkiwania i szelest książeczek do nabożeństwa. Ktoś włączył płytę CD, Annika poznała pierwszą część *Requiem* Mozarta. Zaczęła płakać. Wypełniła ją muzyka, wolne takty skomponowane przez umierającego Wolfganga Amadeusza.

Muzyka ucichła. Mężczyzna w szarym garniturze, ofi-cjant, stanął przed trumną. Przemawiał, mówił o życiu i śmierci. Banaly. Po chwili Annika zamknęła oczy. Słuchała jego słów, przenikały jej umysł jak muzyka. Ach, jak pięknie, gdy pojawia się ciemności, niebo pełne jest miłości, tymi słowami rozbrzmiewała ta muzyka, najlepiej mi jest w przestworzach, Annika znów się zdenerwowała.

Jakie znów, do cholery, przestworza? Sergels Torg to są przestworza? Czy Aidzie tam się podobało najbardziej? Kto, do diabła, napisał tę pieśń?

Ze złością wytarła łzy. Wszyscy zdawali się płakać. Patrzyła na oficjanta. Stał z głową rutynowo pochyloną w kierunku pierwszego rzędu ławek. Co on wiedział o Aidzie? Nie miał o niej do powiedzenia nic osobistego, bo nigdy jej nie poznał.

Zamknęła oczy, próbowała przypomnieć sobie Aide. Widziała ją przed sobą, chorą, wystraszoną, zaszczutą.

Kim byłeś?, myślała. Dlaczego umarłeś?

Mężczyzna w garniturze przemówił znów. Rytmicznie recytował wiersz Edith Södergran. Jedna z kobiet z pierwszego rzędu stanęła przy ołtarzu i zaśpiewała. Sama, czysto i wyraźnie. Annika nic nie rozumiała, śpiewała po serbsko--chorwacku. Dźwięki unosiły się, wirowały pod sufitem, żyły i rosły. Smutek wypełniający kaplicę stał się nagle prawdziwy, szarpał i rozrywał. Dlaczego, dlaczego?

Annika płakała w dłonie. Smutek ciążył jej w piersi jak głaz, był taki oczywisty.

Robimy to dla siebie, pomyślała, nie dla Aidy. Ona miałaby to w nosie.

Zabrzmiał psalm, który znała. Śpiewano go również na pogrzebie babci. Niemymi ustami powtarzała słowa: piękna

jest ziemia, piękne jest niebo Pana, podążmy do raju unoszeni pieśnią.

Opuściła głowę i zagryzła wargi.

W kaplicy zapanowała cisza, Annika nie mogła oddychać. Dzwony znów zaczęły dudnić. To koniec, Aida odchodzi, znika. Nagle chciała zaprotestować, zatrzymać mężczyzn, którzy podeszli, by podnieść trumnę, którzy unieśli ją na barkach wzdłuż głównej nawy, obok niej. Minęli ją zaledwie o metr. Jeszcze z nią nie skończyłam, muszę się dowiedzieć!

Annika wstała, było jej niedobrze. Poczekala, aż reszta żałobników ją minie, dostrzegła ich ukradkowe spojrzenia. Wyszła jako ostatnia.

Uderzył ją chłód. Powietrze było przejrzyste i rześkie. Śnieg migotał w słońcu. Mężczyźni stawiali trumnę na katafalku. Widziała, jak żałobnicy zbierają się na schodach i wzdłuż ścieżek, wycierają nosy, pomrukują.

Wszyscy znali Aida. Wszystkich coś z nią łączyło. Wszyscy wiedzą więcej ode mnie.

Podeszła powoli do stojącej kilka stopni niżej kobiety.

- Przepraszam - powiedziała i przedstawiła się. - Nie znam tu nikogo. Kim była dla pani Aida?

Kobieta uśmiechnęła się miło i starła papierową chusteczką łzy spod oczu.

- Jestem szefową ośrodka dla uchodźców, do którego trafiła Aida, kiedy przyjechała do Szwecji.

Przywitały się.

- Jestem dziennikarką - powiedziała Annika. - Przyjechałam, bo myślałam, że Aida była zupełnie sama.

Kobieta pokiwała głową.

- Była zupełnie sama. Wielu z nas próbowało się z nią kontaktować, ale trudno było ją złapać. Myślę, że wybrała samotność.

Annika przełknęła ślinę. Cholernie łatwo zwalić wszystko na Aide, nawet w chwili śmierci.

- A oni wszyscy? - spytała. - Skoro nie miała żadnych przyjaciół, to kim są ci ludzie?

Kobieta spojrzała na nią zdziwiona.

- To uchodźcy z ośrodka, tam ją poznali. Czasami przychodziła w odwiedziny. Poznają też jej sąsiadkę z Vaxhol-mu, jest też przedstawicielka stowarzyszenia Bośniaków. To ona śpiewała. Prawda, że pięknie?

- Czy nikt nie mógł jej pomóc? - spytała Annika. - Naprawdę nie miała się do kogo zwrócić?

Kobieta spojrzała na nią ze smutkiem.

- Nie znała jej pani zbyt dobrze, prawda?

Mężczyźni postawili trumnę na katafalku, wózek powoli ruszył w stronę grobu. Kobieta poszła za nimi, Annika za nią.

- To prawda - odpowiedziała cicho. - Nie znalazłam jej do brze. Poznałam ją kilka dni przed jej śmiercią. Kiedy przyjechała do Szwecji?

Kobieta spojrzała na nią przez ramię, zawahała się.

- Pod koniec wojny - szepnęła w końcu. - Miała wiele ran postrzałowych, kawałki granatów w całym ciele. To był straszny widok. Wspomnienia, drżenie, pocenie, zachwiane poczucie rzeczywistości. Sporo piła. Zrobiliśmy naprawę wszystko, żeby jej pomóc. Lekarze, kuratorzy, psychologowie. Nie sądzę, żeby to coś zmieniło. Aida nosiła w sobie straszne demony.

Annika otworzyła szeroko oczy.

- Co pani chce przez to powiedzieć?

Jakaś kobieta podeszła do szefowej ośrodka i szepnęła jej coś do ucha. Podeszły do jednej z kobiet, zapłakanej, bliskiej załamania. Annika rozejrzała się, czuła się zagubiona. Pośliznęła się na zamarznętej kałuży i omal nie upadła. Było jej niedobrze, katafalk trzeszczał na mrozie. Trumna sunęła między drzewami, między cienie, w zasięgu jej ręki. Powstrzymała impuls, żeby podbiec i zapukać w wieko.

Jakie demony w sobie nosiłaś? Co one z tobą zrobiły?

Grób był straszny, ginał w ciemności i zimnie. Dlaczego wykopali tak cholernie głęboki? Annika schyliła się i patrzyła w dół. Zobaczyła własny znikający cień. Szybko się cofnęła.

Trumna stała obok grobu, na kilku belkach. Wszyscy zebrali się dookoła, czerwoni od płaczu. Oficjant znów przemówił. Annika dygotała z zimna, chciała już iść. Aida nie leżała w trumnie, Aidy nie było, Aida odpłynęła wraz ze swoimi demonami i tajemnicami.

Annika kątem oka dostrzegła, że coś nadjeżdża. Dwa duże czarne samochody, przyciemnione szyby, niebieskie tablice rejestracyjne. Zahamowały, przystanąły, silniki zamarły. Annika patrzyła zdziwiona.

Nagle wszystkie drzwi otworzyły się równocześnie i wysiadło sześciu, może siedmiu mężczyzn. Oficjant przestał czytać, wszyscy patrzyli na siebie zdziwieni. Mężczyźni mieli na sobie szare płaszcze. Rozejrzeli się, spojrzeli na uczestników pogrzebu, z zaciętymi twarzami.

Nagle jeden z nich oderwał się od grupy. Był stary. Annika patrzyła z półotwartymi ustami. Był żołnierzem. Szedł

ciężkim krokiem, przygarbiony, twarz miał ściągniętą, wzrok wbił w trumnę. Jego mundur zdobiło mnóstwo odznaczeń, w ręku trzymał małą papierową torebkę. Wszyscy rozstąpili się przed nim. Annika stała po drugiej stronie grobu i zdumiona patrzyła, jak staruszek pada na kolana, zdejmując czapkę z daszkiem i zaczyna coś bełkotać, zupełnie niezrozumiale. Włosy miał szare i rzadkie, prześwitywała łysina. Klęczał i modlił się długo, oddychał ciężko.

Annika nie mogła przestać patrzeć, słuchała jego rważącego się głosu.

Mężczyzna wstał z trudem, wziął papierową torebkę, włożył do środka rękę, wyjął coś i rzucił na trumnę. Ziemia! Garść ziemi!

Bełkotał głośniej. Annika słuchała jak urzeczona. Jeszcze jedna garść ziemi, kolejne słowa, smutne, ciężkie, żarliwe, trzecia garść. Słowa ucichły, mężczyzna schował torebkę z ziemią do kieszeni i wytarł rękę.

Wiesz wszystko o Aidzie, pomyślała Annika. Znasz jej demony.

Obiegła grób dookoła. Mężczyzna odchodził w stronę samochodów i pozostałych mężczyzn. Złapała za rękaw jego płaszcza.

- *Please, sir!*

Zatrzymał się, był zdziwiony. Spojrzał na nią przez ramię.

- Kim pan jest? - zapytała po angielsku. - Skąd pan znał Aide?

Mężczyzna popatrzył na nią, próbował wyrwać rękę z jej uścisku.

- Jestem dziennikarką - powiedziała Annika. - Poznałam Aide kilka dni przed jej śmiercią. Kim pan jest?

Nagle mężczyźni w szarych płaszczach byli wszędzie. Stanęli między nią a starym żołnierzem, byli wzburzeni. Zapytali go o coś, powtarzali to samo kilka razy. Żołnierz machał ręką w odmownym geście, odwrócił się do niej plecami. Podążyli do samochodów, szara masa. Wsiedli, odpalili silniki i odjechali między drzewa.

Annika patrzyła za nimi, spocona i blada.

Zrozumiała jedno słowo z tego, co mężczyzna bełkotał przy grobie, jedno jedyne. Wypowiedział je wiele razy, była absolutnie pewna.

Bijelina.

Kobiety podchodziły do grobu, jedna po drugiej, mówiły coś i kładły kwiaty na trumnie. Annika czuła, że ogarnia ją przerażenie. Nie miała kwiatów, nie miała nic do powiedzenia, tylko przepraszam, przepraszam, że cię zwiódłam, przepraszam, że wydałam cię na śmierć.

Odwróciła się i potknęła. Musi już iść, nie może zostać przy grobie.

Starszy mężczyzna musiał być Aidzie bardzo bliski, może to jej ojciec.

A jeśli, przeleciało jej przez myśl, a jeśli on wie, co zrobiłam?

Przecież próbowałam pomóc, broniła się, chciałam dobrze.

Ruszyła w kierunku przystanku, oszołomiona wstydem i poczuciem winy. Mdlilo ją, chciało jej się wymiotować.

Zdążyła przejść kilka metrów obok przerwy w ogrodzeniu, kiedy ktoś zasłonił jej ręką usta.

W pierwszej chwili pomyślała, że mężczyźni w szarych płaszczach wrócili po nią. Stary żołnierz chce wyrównać rachunki.

- Przyłożyłem ci pistolet do kręgosłupa - wysyczał mężczyzna. - Dalej, idź.

Annika nie mogła się ruszyć. Stała jak wryta na chodniku z Ratkiem wiszącym u ramienia.

Wsunął rękę w jej włosy, odciągnął w tył głowę.

- Do przodu!

Zaraz umrę, pomyślała, zaraz umrę.

- No idź, zdiro!

Przymknęła oczy, ze strachu nie mogła oddychać. Potykając się, powoli ruszyła. Mężczyzna dyszał jej w szyję, śmierdział. Po kilkudziesięciu metrach zatrzymał się.

- Do samochodu! - powiedział.

Rozejrzała się ze sztywnym karkiem. Paliła ją skóra na głowie. Do którego samochodu?

Uderzył ją prosto w twarz, poczuła ciepło przy ustach. Od razu pojaśniało jej w głowie, poznała to. Do bicia była przyzwyczajona, potrafiła sobie z tym radzić.

- A jeśli powiem nie? - powiedziała. Wargi już zaczęły puchnąć.

Uderzył ją jeszcze raz.

- To zabiję cię na miejscu - powiedział.

Spojrzała mu w twarz, czerwoną z zimna, z cieniami zmęczenia. Czowała, jak jej oddech przyspiesza, staje się płytki i szybki. Pole widzenia zaczęło się zwężać. Nie ma siły, nie chce.

- To zaczynaj - powiedziała.

Coś się z nim stało. Wyszarpnął jakiś sznur, przycisnął ją do stojącego tuż obok samochodu, małego, niebieskiego,

wykręcił *je*) ręce na plecy, związał je. Przycisnął jej zimną lufę pistoletu do karku.

- Wiesz, jak skończyła Aida.

Zamknęła oczy, włączył się mechanizm obronny. Nie czuła nic, zamknęła się w sobie, wyłączyła się. Musi robić, co każe.

- Właź, do diabła.

Szarpnął drzwi niebieskiego samochodu. Potykając się, usiadła na tylnym siedzeniu. Jak skamieniała patrzyła, jak obchodzi samochód dookoła, uruchamia silnik, rusza. Wpatrywała się w jego kark. Czerwona popękana skóra, łupież na ciemnym kołnierzu kurtki. Czuła się odcięta od rzeczywistości, płyta z pleksi między nią a światem. Patrzyła na przemykające obok budynki. Żadnych ludzi, nikogo, kto by się nią przejmował.

- Mam broń na kolanach - powiedział Ratko. - Zastrzeżę cię, jeśli spróbujesz coś wykombinować.

Słońce zachodziło na czerwono, było zimno. Łysa Góra mignęła za szybą, Solnavagen, samochody, ludzie, nikogo, kogo mogłaby zawołać, nikogo, kto by pomógł. Była skrzypowana na tylnym siedzeniu małego brudnego samochodu, siedziała na swoich rękach, bolało. Próbowała się przesunąć, żeby tak nie cisnęło.

Mężczyzna odwrócił się, rzucił szybkie spojrzenie przez ramię.

- Siedź spokojnie, do diabła.

Zamarła.

- Niewygodnie mi.

- Zamknij się!

Obwodnica północna do Norrtull, Sveaplan, Ceders-dalsgatan. Taki ruch dookoła, tysiące ludzi, a jednak jest sama, zawsze sama.

Zamknęła oczy i zobaczyła trumnę Aidy, pochylone plecy mężczyzny, słyszała jego szept.

Może teraz na mnie kolej.

Stanęli w korku tuż przed Roslagstull. Zajrzała do innego samochodu, mama z małym dzieckiem. Patrzyła na kobietę, próbowała ściągnąć jej spojrzenie. W końcu kobieta poczuła się obserwowana, spojrzała. Annika otworzyła szeroko oczy, poruszała przesadnie ustami.

Pomocy, powiedziała bezgłośnie. Pomocy!

Kobieta szybko odwróciła głowę.

Nie!, pomyślała Annika. Spójrz na mnie! Pomóż mi!

- Pomocy! - wrzasnęła jak opętana, uderzając głową w szybę. - Pomocy! Pomocy!

Uderzenia odbijały się echem w jej głowie. Zupełnie ją to wyczerpało, szyba była twarda i zimna.

Ratko zamarł, ale się nie poruszył. Powoli jechał w kierunku Roslagsvagen.

Annika nabrała tchu, zaczęła krzyczeć co sił.

- On mnie porwał! - wrzeszczała. - Pomocy! Pomocy!

Samochody sunęły obok niej jeden za drugim, mijały ją, były o metr od niej, ale i o tysiące lat. Była sama. Otwierała usta, krzyczała, skakała pod sufit. Spociła się, kręciło jej się w głowie, ochrypla. Rzuciła się do szyby, krzycząc wniebogłosy, waliła głową w szkło. Mężczyzna w nowym volvo spojrzał jej w oczy, popatrzył zmartwiony. Ratko odwrócił się do niego, wzruszył ramionami i uśmiechnął się. Mężczyzna odpowiedział mu uśmiechem.

Annika przestała. Dyszała ciężko, szyderstwo było jak uderzenie w twarz.

To nie ma sensu. Ludzie mają dość swoich problemów. Dlaczego mieliby się zajmować idiotką krzyczącą w korku w samochodzie?

Zamilkła. Głowa jej pękała, rozplakała się. Ratko się nie odezwał. Wyjechali z korków przy Roslagstull, minęli muzeum Naturhistoriska, skręcili przy Albano. Annika pozwoliła łzom spływać po policzkach. To już koniec. Czy tak to wszystko miało się skończyć?

Samochód krążył małymi uliczkami, zdążyła dostrzec tablice, Björnnavagen, Fiskartorpsvagen, las, drzewa. W końcu się zatrzymali. Annika patrzyła przed siebie. Za szybą widziała starą szopę. Ratko obszedł samochód, wyjął coś z bagażnika, otworzył drzwi pasażera, odchylił przednie oparcie.

- Wylaż - powiedział.

Posłuchała, bolało ją gardło.

- Czego ode mnie chcesz? - spytała zachrypniętym głosem.

- Do szopy - rozkazał.

Pchnął ją. Zataczając się, ruszyła z miejsca. Było jej niedobrze, była bliska omdlenia.

W drewnianej szopie było ciemno. Gasnący dzień nie przebijał się przez szpary, zostawił drewniane belki i pajęczyny na pastwę ciemności i cieni.

Pchnął ją na stojący w rogu pień. Czują, jak strach pełnie jej wzdłuż kręgosłupa. Ściany kołysały się, przechylały. Ratko owinał pień sznurem i przywiązał jej stopy. Potem pochylił się i twardym, niskim głosem wysyczał jej do ucha:

- To ja tu zadaję pytania, ty odpowiadasz. Nie ma sensu zgrywać twardzielki, wszyscy prędzej czy później zaczynają mówić. Zaoszczędzisz sobie mnóstwo bólu, jeśli zaczniesz mówić od razu.

Oddychała szybko. Była coraz bardziej przerażona. Ratko przyciągnął do siebie sportową torbę, pogrzebał na dnie i wyjął pistolet maszynowy. Stał przed nią, wznosił się wysoko jak góra, trzymał broń przy jej twarzy.

- Towar - powiedział. - Gdzie jest?

Przełknęła ślinę. Oddychała, oddychała, przełknęła.

- Towar! - krzyknął. - Gdzie on jest, do diabła?

Zaczęła się trząść, od razu cała. Zamknęła oczy, straciła zdolność mówienia.

- Gdzie?!

Czuła, jak lufa pistoletu wbija jej się w czoło. Z przerażenia zaczęła płakać.

- Nie wiem! - wybełkotała łamiącym się głosem. - Wi działam się z Aida tylko raz.

Odsunął broń i wymierzył jej siarczasty policzek.

- Przestań gadać głupoty - powiedział i szarpnął łańcuszkiem na jej szyi. - Masz jej złoty naszyjnik.

Annika drżała, łzy ciekły jej po brodzie i szyi.

- Dała mi - szepnęła.

Siedziała cicho, niezdolna do myślenia, sparaliżowana ze strachu. Ratko puścił łańcuszek, chwilę milczał. Czuła na sobie jego spojrzenie.

- Kim jesteś? - spytał cicho.

Nabrała powietrza.

- Jestem... dziennikarką. Aida zadzwoniła do gazy ty. Potrzebowała pomocy. Spotkałam się z nią w pokoju

hotelowym. Wtedy przyszedłeś i ja... oszukałam cię. Potem dałam Aidzie numer telefonu do kogoś, kto miał jej pomóc...

- Dlaczego mnie oszukałaś? - Okrzyk przerwał wypowiedziane bez tchu wyjaśnienia.

- Chciałam uratować Aide - szepnęła.

Poczuła, że się poruszył. Zobaczyła jego twarz, wynurzyła się tuż przed nią.

- Kim był ten mężczyzna na pogrzebie? - zapytał. Oczy mu błyszczały.

Annika wpatrywała się w niego, nie rozumiała.

-Kto?

- Wojskowy! - krzyczał. - Ty cholerna, głupia dziwko! Kim, do diabła, był ten wojskowy?!

Zacisnęła powieki, poczuła, że splunął jej w twarz.

- Nie wiem - szepnęła, nie otwierając oczu.

- O czym, kurwa, z nim rozmawiałaś?

Dyszała.

- Zapytałam go... właśnie... kim jest... skąd znał Aide.

- Co powiedział?

Trzęsła się, nie odpowiedziała.

- Co powiedział?!

- Nie wiem - płakała. - Powtarzał Bijelina, kiedy stał przy grobie, Bijelina, Bijelina, jestem tego pewna...

Dopiero po kilku minutach zauważyła, że zamilkł.

- Bijelina? - powiedział, nie dowierzając. - Jej rodzinne miasto?

Annika przełknęła ślinę i skinęła głową.

- Tak myślę.

- Co jeszcze?

- Nie znam serbsko-chorwackiego.
- Co powiedziały psy? Spojrzała na niego zdumiona.
- Jakie psy?
Pomachał bronią tuż przy jej twarzy.
- Ochroniarze, chłopaki z RDB z ambasady, szare płaszcz! Co mówili?
Annika szukała w pamięci.
- Nie wiem! Nic, co bym zrozumiała.
- Mam gdzieś, co rozumiałaś! Co powiedzieli?
Znów przyłożył jej lufę pistoletu do czoła. Annika skuliła się, zamknęła oczy, dyszała z na wpół otwartymi ustami.
- Jeśli nie możesz mówić - powiedział Ratko - to nie ma sensu, żebyś miała gębę, prawda?
Wsunął jej lufę do ust i uderzył w zęby. Poczowała metaliczny smak, zimno, mrok załagł jej się w mózgu. Zachwiała się.
- Co powiedziały psy? Powiesz mi?
Ciemność, zimno, miała zamknięte oczy. Czy dzień się skończył?
- Ostatni raz: co powiedzieli ochroniarze do wojskowego? Powiesz mi?
Pokiwała głową, powoli. Lufa przesunęła się, znów uderzyła ją w zęby. Znów mogła oddychać, chciało jej się wymiotować.
- Powtórzyli coś kilka razy - szepnęła. - Paru... coś. Panic... paruc...
- Parucnik? - spytał Ratko ze ściśniętym gardłem.
- Możliwe - szepnęła Annika.
- Co jeszcze? Co jeszcze powiedzieli?
- Nie wiem...

Broń znów przyłgnęła do jej ust.

- Mi... Miś... Miść.

- Miść?

Broń zniknęła, Annika pokiwała głową.

- Tak to brzmiało. Powiedzieli Miść.

Ratko popatrzył na tchórzliwą, głupią babę. Triumf, który poczuł, wyrażał się naprężeniem na podbrzuszu. Co za piękny strzał! Bezbłędny! Wiedział, zrozumiał, zobaczył wszystko jak na dłoni w tej ciemnej szopie.

Porucznik Miść.

Szybko spakował swoje rzeczy, schował broń. Linę zostawił, można taką kupić w każdym sklepie metalowym w całej Szwecji, nie zostawił odcisków palców.

- Wiem, gdzie cię szukać - wyrecytował zwyczajową formułkę. Zawsze to mówił do tych, którzy mogli się okazać zbyt gadatliwi. - Jeśli kiedykolwiek piśniesz choć słówko o tym, co się tutaj wydarzyło, załatwię cię. Rozumiesz?

Zdawała się nie słyszeć, siedziała zwinięta w kłębek, z głową między kolanami.

- Rozumiesz? - krzychał jej do ucha. - Zabiję cię, jeśli się wygadasz, zrozumiano?

Cała się trzęsła. Ratko nagle poczuł, że ma dość. Rzucił okiem na zegarek i stwierdził, że pora się zbierać.

- Jedno piśniecie i nie żyjesz. Włożę ci pistolet do gęby, cały mózg rozchlapie ci się na pół Djurgarden, okej?

Otworzył drzwi i ostatni raz rzucił na nią okiem. Nie wygada. A jeśli nawet, *so whaf?* Gdyby go kiedykolwiek złapali, oskarżą go o mnóstwo gorszych rzeczy niż to.

Wyszedł w zimową noc, puścił za sobą drzwi. Odetchnął.

Porucznik Miszić albo Miśic, tak się prawidłowo pisze.

I pomyśleć, że się udało. Ledwie mógł uwierzyć w swoje szczęście.

Otworzył bagażnik, wyszarpnął broń z torby i przykrył ją brudnym kocem.

Szczęście, pomyślał i parsknął. Wprawa! Przesłuchanie zaczyna się od czegoś, co tak naprawdę ma się gdzieś, a jak delikwent zmięknie, przechodzisz do wyciskania tego, co naprawdę chcesz wiedzieć.

Wsiadł do samochodu, torbę rzucił na siedzenie pasażera. Silnik wystartował tak, jak powinien. Zawrócił i odjechał w stronę Frihamnen.

Porucznik Miśić, legenda KOS-u, kontrwywiadu jugosłowiańskiej armii. Człowiek, który przeżył wszystkie czystki, którego słuchał sam Milošević.

Ratko włączył ogrzewanie, zaraz zrobi się ciepło.

Nie wiedział, co Aide z nim łączyło, ale musieli sobie być bardzo bliscy. Miał gdzieś, co i dlaczego, nie był zainteresowany ich pieprzoną znajomością, ale dowiedział się, czego chciał. Wiedział, co poszło nie tak, dlaczego odebrano mu władzę.

Aida miała opiekuna i musiała mu przekazać jakąś wiadomość, zanim zginęła.

Wzruszył ramionami, potrząsnął nimi. Były sztywne. Ma teraz gdzieś Aide Begović z Bijeliny, niech zgnije w tym swoim cholernym grobie przy stacji benzynowej w Solnej.

Skręcił z Tegeluddsvagen, kluczył, jechał w stronę portu. Zobaczył tablicę z napisem Tallin, Kłajpeda, Ryga, St. Petersburg. Zaparkował na wolnym miejscu. Zarezerwowane, ale kto by się, do diabła, tym przejmował? Wziął torbę

z dresem i pieniędzmi, wystawił twarz na gryzący wiatr wiejący od Bałtyku i odetchnął.

Przestrzeń między magazynami tonęła w żółtozłotym świetle reflektorów. Spojrzał na parking dla przyczep tuż nad wodą.

To tu się wszystko zaczęło.

Albo raczej tu się skończyło.

Rzucił okiem na zegarek.

Nadszedł czas.

Słyszała, jak rusza i odjeżdża, gdzieś daleko. Wciąż miała w ustach smak metalu. Siedziała pochylona do przodu. Zrobiło się cicho, spokojnie, ciemno.

Było jej zimno. Ciało miała zdrętwiałe, myśli sparalizowane. Wciąż siedziała na pieńku, bliska zaśnięcia, nieomal spadła na ziemię. Robiło się coraz zimniej, chciało jej się spać.

Tak lekko. Tak cudownie po prostu odpłynąć.

Wyplątała przywiązane do pieńka stopy - sznur nie był zaciśnięty zbyt mocno - i położyła się na klepisku. Niewygodnie. Leżała spokojnie z policzkiem przyciśniętym do ziemi, czuła, jak marzną i grabieją jej ręce. Usłyszała dźwięk samotności w lewym uchu. Raz głośniejszy, raz ciszej.

Niedługo, pomyślała, już niedługo będzie po wszystkim. Niedługo zrobi się cicho.

Myśl uciszyła dźwięk.

Będzie po wszystkim.

Ta myśl ją ożywiła. Ziemia pod jej twarzą była zamrznięta i grudkowata, cuchnąca. Leżała na jednym ramieniu, ścierpła od łokcia w dół.

Westchnęła.

Jeśli będzie tu leżeć, na tym zimnie, szybko zrobi się nieskończenie cicho.

Podciągnęła się i oparła o pień. Zimno przenikało przez dzinsy, zaczęła tracić czucie.

A jeśli on wróci?

Ta myśl przyspieszyła jej oddech, który po chwili wrócił do normy.

Znów zaczęła płakać, była wyczerpana.

Chcę do domu, pomyślała. Chcę do domu, przecież kupiłam kiełbasę.

Płakała chwilę, trzęsła się od płaczu i zimna.

Muszę uciekać.

Wstała, sznur wpijał jej się w nadgarstki. Tego też nie związał mocno. Przez kilka minut kręciła rękoma we wszystkie strony. Udało jej się uwolnić lewą rękę, linka spadła. Stała w gęstej ciemności, szukała wzrokiem jasnych szpar w drzwiach, nie widziała nic.

A jeśli zamknął?

Potyknąwszy się, podeszła do ściany. Po omacku dotykała desek, poczuła drzazgi pod palcami. Wreszcie ściana ustąpiła, drzwi się otworzyły. Szarpnął nimi wiatr, powiało wściekłym zimnem od strony Vartan. Zobaczyła drzewa i wąską dróżkę.

Boże, gdzie ja jestem?

Oparła się o futrynę, przymknęła oczy, potarła czoło.

Jechali Roslagsvagen, zjechali z autostrady tuż przed uniwersytetem. Więc jest gdzieś w północnej części Djurgarden, za Stora Skuggan. Przetarła oczy, były suche i zaczerwienione.

Autobus 56, pomyślała, jedzie ze Stora Skuggan do Kungs-holmen.

Chwiejąc się, wyszła na zewnątrz. W dole biegła jakaś droga. Przystanąła i spojrzała w niebo. W dole po prawej niebo było jasne. Zobaczyła rozświetlony horyzont, różo-wo-żółty.

To nie słońce, pomyślała, to światła miasta.

Ruszyła w drogę.

Środa, 5 grudnia

SPOTKANIE MIAŁO SIĘ ZACZAĆ O JEDENASTEJ. Zaczęli z dziesięciminutowym opóźnieniem, jak zwykle. Schyman był coraz bardziej zirytowany. Myśl, która od jakiegoś czasu powracała coraz częściej, teraz na dobre zapuściła korzenie.

Kiedy przejmę władzę, wprowadzę tu zwyczaje, których trzeba będzie przestrzegać.

Właśnie usiadł i uciszył wełnianą ławicę, szefów działów społecznego, fotoedycji, sportowego, kryminalnego, komentarzy redakcyjnych, kultury, kiedy do pokoju zapukał Torstensson.

Schyman podniósł brwi. Naczelny rzadko bywał na codziennych zebraniach.

- Witamy - powiedział szef redakcji z lekkim sarkazmem. - Spotkanie już się zaczęło.

Zmieszany Torstensson rozejrzał się w poszukiwaniu wolnego krzesła.

- Tam, w rogu - powiedział Schyman, wskazując palcem. Naczelny chrząknął, nie usiadł.

- Mam wam do przekazania coś ważnego - powiedział lekko piskliwie.

Schyman nie zrobił żadnego ruchu, nie podniósł się i nie zaproponował naczelnemu swojego miejsca u szczytu długiego stołu.

- Proszę, usiądź - powiedział i jeszcze raz wskazał krzesło na końcu.

Torstensson poczłapał w kierunku krzesła. Zaszurał nim, usiadł. Cisza aż dzwoniła, wszyscy wpatrywali się w niskiego mężczyznę. Chrząknął jeszcze raz.

- Moje nowe zadania w Brukseli zostały odłożone na czas nieokreślony - powiedział. - Właśnie otrzymałem od sekretarza partii informację, że problematyka jawności życia publicznego nie jest już priorytetem. W tej sytuacji nie odchodzę z gazety.

Zamilkł. W powietrzu wisiało rozgoryczenie. Redaktor działu komentarzy redakcyjnych wydał odgłos współczucia, reszta spoglądała na szefa redakcji.

Schyman siedział niewzruszony, jak przygwożdżony do krzesła. W głowie miał pustkę. Zupełnie nie był na to przygotowany. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że partia może wycofać się z decyzji o synekurze dla naczelnego.

- Ach, tak - powiedział obojętnym tonem. - Czy może my w takim razie zacząć?

Wszyscy zaczęli szeleścić papierami, przeglądać gazety i zdjęcia, mruzcili z zadowoleniem albo niezadowoleniem. Torstensson siedział na swoim krześle z pustymi rękami.

- Pelle - powiedział Schyman. - Pokaż zdjęcia oszustki.

Fotoedytor pokazał kilka zdjęć zrobionych rano w Jarfalli. Przedstawiały Rebeckę Björkstig w kajdankach, prowadzoną do radiowozu przez trzech policjantów.

- Torstensson - powiedział Schyman. - Co sądzisz o tym, żebyśmy opublikowali nazwisko w tej sytuacji?

Naczelnny zamrugał oczami.

- Słucham?

- Publikujemy nazwisko i zdjęcie? Uważasz, że warto za ryzykować, że Rebecka Björkstig poda nas do sądu za ciężkie pomówienie?

- Kto? - spytał zupełnie zagubiony Torstensson.

Jestem złym człowiekiem, przemknęło Schymanowi przez głowę. Wiem doskonale, jak niewiele wie o różnych sprawach, i wystawiam go na pośmiewisko.

- I tak nie możemy tego jutro puścić na pierwszej stronie - powiedział Schyman miłszym tonem. - Więc co sądzisz, Torstensson?

- Dlaczego nie możemy na pierwszej stronie? - spytał naczelnny.

Schyman pozwolił, żeby cisza mówiła sama za siebie. Chciał, żeby członkowie wełnianej ławicy sami to przetrwali. Wiedzieli, dlaczego nie można pisać o tym samym na pierwszej stronie i na plakatach reklamowych przez trzy dni z rzędu. Trzeciego dnia sprzedaż prawie zawsze spada, bez względu na to, jak dobry jest materiał. Zmiana tematu w trzecim dniu jest absolutnie konieczna. Wszyscy o tym wiedzieli - poza naczelnym.

- To znakomite zdjęcie - powiedział Schyman. - Proponuję skybox, mocno przycięty, nadal spiksłowany. Nie podajemy nazwiska, chyba że uważasz inaczej. - Spojrzał na naczelnego. Torstensson pokręcił głową. - Okej. Co damy zamiast tego?

Przedstawiciele wełnianej ławicy zaczęli energicznie szeleścić papierami. Cieszyli się, że coś z ich działu może wylądować na czołówce.

- Jak zarobić na nowych akcjach Telii - powiedziała wełniana marynarka z działu „To i Owo”.

Komentarze nie były specjalnie przychylne. -Nie widzę, żeby ktoś skakał z radości - powiedział Schyman z uśmiechem. - Coś jeszcze?

- Znaleźliśmy kolejnego polityka, który płacił za prywatne zakupy służbową kartą - powiedział Ingvar Johansson.

Wszyscy westchnęli. Do diabła, przecież wszyscy politycy tak robią. Znajdźcie takiego, który tego nie robi. To by było coś.

- Gmina cofnęła etat opiekuna upośledzonego chłopca w Motali - powiedział szef działu wiadomości. - Dzieckiem zajmuje się teraz samotna matka, pobiera zasiłek socjalny. Dzwoniła i płakała, powiedziała, że nie ma już siły. Pytanie, czy możemy się tym zająć. Dopiero co opisywaliśmy podobną historię.

- Temat ma związek z historią Raju - powiedział Schyman. - Możemy poczekać, najpierw opublikujemy cały materiał o nim. Coś jeszcze?

- Musimy mieć oko na pokazowe loty samolotów JAS - powiedział szef działu społecznego. - Pewnego pięknego dnia spadnie nam na głowy samolot.

Cały zespół się obudził. Jak to, jakie samoloty JAS? Co takiego? Kiedy?

- Zaczynają dzisiaj w południe - powiedziała wełniana marynarka ze społecznego. - Przyjechała cała zgraja potentatów zagranicznych. Będą je oglądać przed ewentualnym

zakupem. Poza tym zjawiała się oczywiście cała masa nieproszonych gości, szpiegują, chcą mieć na wszystko oko.

- Musimy to sprawdzić - powiedział Schyman. - Ale czy o tym napiszemy, będzie zależało od tego, czego się dowiemy. Żadnych informacji z odzysku. Co jeszcze?

- Robimy dzisiaj materiał o nowej prowadzącej „Kvin-nosoffan” - powiedział szef działu kultury. - Laska nazywa się Michelle Carlsson, cholernie atrakcyjna.

Rozległy się okrzyki zainteresowania.

- Duże cycki?

- A chętnie pokazuje?

- Czy wiemy, co będzie w tym roku najpopularniejszym prezentem gwiazdkowym? - zapytał Schyman. - Albo czy w składance filmów rysunkowych Disneya w telewizji, tradycyjnie rozpoczynającej obchodzenie Wigilii, mają nastąpić duże zmiany?

Wszyscy zmarszczyli brwi. Pamiętali, jaka afera wybuchła, kiedy ze składanki wycofano Byczka Fernando. Zaczęła się bezładna paplanina. Schyman pozwolił im się wyszumieć. Spojrzał na naczelnego siedzącego w rogu stołu. Miał spoczone czoło i był całkiem zagubiony.

Znów pomyślał: jestem złym człowiekiem.

Z drugiej strony, pomyślał, przynajmniej wiem, co robię. Czy to naprawdę w porządku, pozwalać rządzić niekompetentnym? Mam pozwolić, żeby błazen Torstensson obniżał poziom gazety, narażał kilkaset osób na utratę pracy i w konsekwencji pozbawiał społeczeństwo ważnego medium?

- Co powiesz, Torstensson? - spytał spokojnie. - Jak uważasz, co powinniśmy wstawić?

Naczelny wstał.

- Muszę się przygotować do spotkania - powiedział, szurnął krzesłem i wyszedł.

Kiedy drzwi się zatrzasnęły, Schyman wzruszył znacząco ramionami.

- Okej - powiedział. - To na czym stanęliśmy?

Annika wstała z łóżka, zmarznięta, niezdolna do myślenia. Poszła do kuchni, wciąż czuła w ustach smak metalu, gorzki, przypalony. Umyła zęby, szorowała i szorowała. Wylała na talerz jogurt, próbowała jeść, zebralo jej się na wymioty. Przez chwilę siedziała cicho przy stole, wpatrywała się w świecznik po babci. Oddychała, oddychała, widziała, jak tańczą słomiane gwiazdki.

Niezbyt dobrze pamiętała, jak wróciła do domu. Wspomnienia były niewyraźne i urywane. Z szopy poszła w kierunku drogi. Nie wiedziała, jak to daleko, chyba nieszczególnie. Wyszła na tyły jakiegoś gospodarstwa, dostrzegła przystanek autobusowy. Prawie zasnęła na ławce, czekając na autobus. W końcu nadjechał, 56. Ludzie wyglądali zupełnie normalnie, nikt nie zwrócił na nią uwagi, nikt nie zauważył, że jest napiętnowana, naznaczona śmiercią.

W nocy śniły jej się koszmary, budził ją własny krzyk. Mężczyźni ze Studia 6 próbowali ją dusić. Nagle poczuła, że nie może oddychać. Wstała, ściany zdawały się na nią spadać, poszła do salonu. Nogi jej się plątały. Usiadła na podłodze, objęła łydki, pozycja embrionalna. Oddychała coraz płycej, konwulsyjnie. Potem leżała wyczerpana, cała obolała, nie wstała. Zasnęła. Obudził ją telefon, nie odebrała.

Usiadła na sofie i zamknęła oczy. Biała trumna tańczyła pod powiekami, bełkot wojskowego odbijał się echem, w ustach czuła smak metalu.

Wzięła kilka głębokich wdechów. Ściany to unosiły się, to opadały. To minie, to minie. Poszła do kuchni. Świecznik babci błyszczał. Napila się wody, mnóstwo wody. Chciała się pozbyć metalu, płakała. Otworzyła szafkę i kolejny raz wbiła wzrok w opakowanie tabletek. „Dwadzieścia pięć sztuk piętnastomiligramowych tabletek sobrilu - usłyszała głos lekarki. - Nie da się tego przedawkować, ale nie można ich mieszać z alkoholem, bo wtedy stają się niebezpieczne”.

Wyjęła listki z opakowania i lekko nacisnęła plastik. Zatrzeszczał, kiedy tabletki zatańczyły w swoich bąbelkach. Trzymając listek nad kubkiem, wycisnęła jedną. Zadzwoiła o porcelaną. Przesunęła listek, wycisnęła następną, i następną, i następną, wszystkie.

Dno kubka pokryło się pastylkami. Powąchała, nic. Spróbowała jedną, gorzka. Pokręciła pastylkami w kubku i zamknęła oczy. Poczowała ucisk w piersi, wcisnęła powietrze na dno płuc. Łapała je z trudem, dyszała, łzy lały jej się z oczu i spływały po szyi.

„Nie można ich mieszać z alkoholem”. Odstawiła kubek na szafkę, wyszła do przedpokoju, wciągnęła buty i wytarła łzy. Kurczowo trzymając się poręczy, szła na dół. Poszła wzdłuż ścian domów przy Agnega-tan i Garvargatan, skrótem do sklepu monopolowego przy Kungsholmstorg. Było prawie pusto, zastała tylko kilka babć i grupkę pijaków. Stała plecami do nich, na ławce znalazła wymięty egzemplarz „Kvallspressen”. Uparcie, niewidzącym wzrokiem, wpatrywała się w czarne tytuły. Trzęsła się i jękała. Gdy nadeszła jej kolej, chłopak siedzący w kasie przyglądał jej się podejrzliwie. Kupiła wódkę, dużą butelkę. Wracając do domu tą samą drogą, chwiała się na wąskim

chodniku. Torba zwisała i dyndała. Kurczowo ścisnęła pod pachą gazetę. Kiedy wróciła do domu, była zmarznięta i wykończona. Poszła do kuchni, postawiła kubek z pastylkami, gazetę i butelkę na stole, obok świecznika. Usiadła i rozpłakała się.

Nie chce już. Nie ma siły. Ofiary Raju opowiadają, strony ósma, dziewiąta, dziesiąta i jedenasta.

Wtuliła głowę w ramiona, zamknęła oczy, słuchała własnego oddechu. Dla Aidy to już koniec, nie musi już walczyć.

Annika wstała i sięgnęła po wódkę. Zerwała banderolę z nakrętki.

Nie ma sensu dłużej tego odwlekać. Lepiej mieć to za sobą.

W jednej ręce trzymała alkohol, w drugiej kubek z pastylkami. Zamknęła oczy. Butelka była zimniejsza niż porcelana.

Nie mam już nic, pomyślała.

Otworzyła oczy.

„Wpadliśmy z deszczu pod rynnę. Mia Eriksson, jedna z kobiet oszukanych i wykorzystanych przez Raj, tylko w «Kvallspressen» opowiada o terrorze uprawianym przez fundację. Dziś ciąg dalszy”.

Annika odstawiła kubek i butelkę, zawahała się. Wzięła tabletki, alkohol i gazetę i poszła do salonu. Usiadła na sofie.

Na ósmej stronie był jej artykuł o Mii, na dziewiątej rozmowy Berit z urzędnikami z Načka i Ósteraker. Na dziesiątej i jedenastej oświadczenia innych ofiar. Prawdopodobnie nadeszły wczoraj.

Opuściła gazetę i opadła na oparcie. Miałam swój udział w śmierci Aidy. Rebecka się wygadała, wydała, gdzie się

ukryła. To jej wina, że Rebecka mogła to zrobić. Zakryła oczy rękoma. Przypomniła jej się pogrzeb, światło pod sufitem, najlepiej mi jest w przestworzach.

Parućnik Miśić, parućnik Miśić, parućnik Miśić.

Znów zadzwonił telefon. Nie odebrała, poczekała, aż przestanie. Zapadła gęsta, ciężka cisza. Wyprostowała się na kanapie i odkręciła nakrętkę. Coś poruszyło się w jej brzuchu, pewnie dziecko. Pokręciła pastylkami w kubku, pulsował w niej żal nad samą sobą.

Cholera, jak to jest, pomyślała. Wszyscy mają takie paśkudne życie. Biedna Aida, biedna Mia. Wzięła do ręki gazetę, wygładziła stronę, czytała własne słowa.

Mężczyzna, który był ojcem pierwszego dziecka Mii, maltretował ją, straszył, prześladował, gwałcił. Kiedy wyszła za męża i urodziła kolejne dziecko, prześladowania jeszcze się nasiliły. Wybił wszystkie szyby w jej domu. Napadł w nocy jej męża. Próbował przejechać Mię i jej dzieci. Próbował poderżnąć gardło swojej córce, straciła potem mowę. Władze były bezsilne. Zrobiły, co mogły, ale to nie wystarczyło. Mia wstawiła kraty w okna. Kiedy wychodziła z domu, towarzyszyli jej pracownicy socjalni. W końcu opieka społeczna stwierdziła, że rodzina powinna się ukrywać, to jedyne wyjście. Przez dwa lata poniewierali się po kiepskich motelach. Nikomu nie mogli zdradzać, gdzie są. Powiedziano im, żeby nigdzie nie wychodzili. Nawet rodzice Mii nie wiedzieli, czy żyją, czy nie. Niedawno Sąd Skarbowo-Administracyjny orzekł, że nie mogą w najbliższym czasie normalnie żyć w Szwecji. Zostali zmuszeni do emigracji, pytanie tylko, dokąd. Rebecka twierdziła, że znajdzie rozwiązanie, ale okazało się, że wpadli z deszczu pod rynnę.

Annika położyła gazetę na kolanach. Łzy ciekły jej z oczu.

Ludziom przytrafiają się straszne rzeczy, okropne. Dlaczego młode dziewczyny muszą odnosić rany na wojnie i być zmuszane do uciekania przez całą Europę? Dlaczego nie ponosimy odpowiedzialności? Dlaczego pozwalamy tym, których kochamy, umierać? Dlaczego Mia nie mogła żyć normalnie? Dlaczego nie mogła żyć jak inni, mieć dobrego męża i pracy, wysyłać dzieci do przedszkola?

Wstała, poszła do kuchni po szklanę wody. Znów zatonęła w lekturze.

Problemy powinny się ograniczać do tego, jakie ozdoby powiesić w oknie w czasie adwentu, czy odwiedzić babcię w piątek, czy w sobotę, czy próbować awansować, czy mieszkać w mieszkaniu, czy kupić dom. Mia pragnęła mieć takie problemy, ale nie było jej to dane.

Annika wpatrywała się w tekst, w swoje słowa, w swoje wnioski.

Prawo do posiadania męża, dzieci, pracy i normalnego życia.

Nie tylko Mia i Aida, także ona sama.

Nabrała w płuca powietrza, a ta myśl rozchodziła się po jej ciele. Patrzyła na kubek z pigułkami i butelkę z wódką, siedziała zupełnie nieruchomo. Jasność otulała całe jej jestestwo.

Wyrzeczenie było jej własną decyzją. Zamierzała odpuścić, poddać się, odejść, zanim wszystko się poukłada, pozwolić, żeby świat szedł do przodu bez niej, miała nie wiedzieć, co będzie dalej.

Usłyszała głos matki: „Nigdy niczego nie robisz do końca. Nic ci się nie udaje. Jesteś tchórzem, jesteś leniwa i niezdolna!”.

Annika przyłożyła rękę do policzka. Wciąż czuła, jak pali ją na nim ręka matki. Po dwudziestu latach.

Nie, mamo, pomyślała. Nie miałaś racji, to nie było tak. Oczywiście, że chciałam kończyć swoje sprawy, ale zawsze myślałam do przodu, wpadałam na nowe pomysły. Wtedy się wściekałaś, uważałaś, że wszystko robię byle jak. Birgitta nigdy taka nie była.

Siedziała nieruchomo. Nie myślała o swoim dzieciństwie od kilkudziesięciu lat, dlaczego teraz?

Kiedy kazałaś nam narysować ptaka, Birgitta narysowała ptaka, a ja cały las pełen ptaków i innych zwierząt. I wtedy się wściekałaś, bo zrobiłam źle. Nigdy nie robiłam tego, co kazałaś.

Przed oczami przewijały jej się kolejne sceny. Złość matki w czasie wypadków na narty, wakacji nad wodą, sobotniego sprzątanania. Zawsze znalazła powód, żeby na nią nakrzyczeć. Jeśli sprzątała szybko, to robiła to po łebkach. Jeśli robiła to dokładnie, to się za bardzo guzdrała. Kiedy się turlała w dół stoku, to psuła cały wyjazd. Kiedy zjeżdżała przed wszystkimi, to uciekała. Kiedy jechała tak jak inni, zawadzała.

Nigdy nie potrafiłam nic zrobić dobrze, pomyślała. Była zszokowana tą myślą. Nie miała pojęcia, skąd jej przyszła do głowy.

Ale to nie była moja wina.

Odczuła tę myśl wręcz fizycznie. Poruszyła czubkami jej palców.

Te wybuchy nie miały nic wspólnego z nią, to był problem matki. To ona nie radziła sobie ze swoim życiem i kazała za to płacić jej, Annice.

Patrzyła przed siebie na wpół otwartymi oczami. Zobaczyła, jak rozsuwa się przed nią jakaś zasłona. Nagle rozciągnął się przed nią krajobraz, o którego istnieniu nie miała pojęcia. Widziała przyczynę i skutek, konsekwencje i okoliczności.

Matka nie miała siły jej kochać. Było to smutne i bolesne, ale nic nie mogła na to poradzić. Robiła, co mogła, ale nie udawało jej się. Pytanie tylko, jak długo jeszcze Annika ma się za to karać. Pytanie, kiedy zamierza wziąć odpowiedzialność za swoje życie, przerwać to błędne koło i przestać powielać stare wzorce, dorosnąć.

Mogła nadal pozwalać matce decydować, trzymać się roli, którą jej narzucano: Annika, ta beznadziejna, ta, która wszystko innym psuje, która zawsze przeszkadza, której nic się nie udaje.

Jej życie należy do niej, ma prawo dostać wszystko. Kto ją przed tym powstrzymuje, jeśli nie ona sama?

Rozpłakała się znowu. Nie był to szloch, raczej ciepły i smutny płacz.

Poczucie bezpieczeństwa było już tylko wspomnieniem. Nikt nawet nie spodziewałby się, że jeszcze dziesięć lat temu to było dobrze funkcjonujące skupisko ludzi.

Ratko szedł szybko, świadom, dokąd idzie, rękę trzymał w kieszeniach. Kiedy nazywało się jeszcze Leningrad, nie było w nim nawet ani cienia gangstera. Dzielki mogły bezpiecznie spacerować nocą po centrum. Dzisiaj wszyscy, nawet on, muszą mieć oczy dookoła głowy. Namnożyło się gangów, każdy kmiot może zrobić karierę na morderstwach i napadach.

Kapitalizm, pomyślał z pogardą. Oto najlepszy dowód na to, że nie działa.

Próbował się odprężyć, Newski Prospekt był jednak dość bezpieczny. Tak zwykle jest z głównymi ulicami. Jeszcze tylko dwie przecznice i skręci w Majakowskiego, i będzie na miejscu.

W bocznej ulicy było ciemniej, widział sylwetki migające wśród cieni. Przebiegł truchtem na drugą stronę, żeby się z nimi nie spotkać. Zawstydził się, stwierdził, że wpada w paranoję.

Brama była zamknięta na klucz. Wcisnął przycisk domofonu. Drzwi się otworzyły, nie musiał nic mówić. Rzucił tylko ukradkowe spojrzenie na ukrytą nad drzwiami kamerę.

Na klatce cuchnęło. Na każdym półpiętrze stały blaszane pojemniki na śmieci. Ze ścian zwisały płyty farby, w kątach piętrzył się pokruszony tynk.

Niektóre rzeczy się nie zmieniły, pomyślał. Dlaczego ci ludzie nie potrafią utrzymać porządku?

Ostatnie piętro, windy nie ma. Dzwonek przy drzwiach nie działał. Zapukał delikatnie w zniszczone, obdarte z farby drewniane drzwi. Otworzyły się bezszelestnie, od środka były opancerzone stalą.

- Ratko! Ty stary diable, słyszałem, że cię szukają!

Stary przyjaciel ze wschodu przytył jeszcze bardziej. Uściskali się i ucałowali w policzki.

- To trzeba uczcić. Postawcie na stole kilka głębszych!

Kilku młodych mężczyzn biegało jak szczury, tam i z powrotem, nosząc wódkę, kieliszki i cygara. Poszedł za przyjacielem korytarzem wyłożonym zniszczonymi welurowymi tapetami, klepki pod linoleum skrzypiały im pod stopami. Weszli do środkowego pokoju i usiedli. Kiedy wódka znalazła się na swoim miejscu, przyjaciel krzyknął do szczurów, żeby ich zostawili samych.

Drzwi się zamknęły. Stuknęli się kieliszkami, wypili, i nagle zrobiło się poważnie.

- Potrzebuję pieniędzy - powiedział Ratko cicho. - Planuję dużą inwestycję.

Opowiedział przyjacielowi o swoich planach, o tym, jak wszystko zorganizuje, o klientach, kontaktach, współpracownikach.

Przyjaciel słuchał, nie przerywając. Siedział z rozstawionymi nogami i pochyloną głową, w rękę trzymał kieliszek.

- Mam siedem milionów szwedzkiej gotówki - powiedział Ratko. - Ale, jak pewnie rozumiesz, potrzebuję więcej, żeby ruszyć z miejsca. Muszę znaleźć odpowiednich ludzi.

Przyjaciel wypił łyk i skinął głową.

- A zyski?

Ratko się uśmiechnął.

- Ta branża jest jeszcze w powijakach. Będzie się rozrastać jak cholera. Trzeba się wkręcić od razu na początku.

- Warunki jak zawsze?

- Oczywiście - powiedział Ratko.

Przyjaciel westchnął astmatycznie.

- Jak się tam dostaniesz?

- Bezpośredni lot do Kapsztadu. Paszport mam jeszcze ciepły, norweski. Sporo mnie kosztował przyjazd tutaj. Wyjazd będzie jeszcze droższy. Muszę jechać już dziś w nocy.

Przyjaciel nie odpowiedział, nie poruszył się. Wypili.

- Ile potrzebujesz?

Ratko znów się uśmiechnął.

Czwartek, 6 grudnia

SIEDZIBA ZWIĄZKU GMIN stała w dyskretnym odosobnieniu, kilka przecznic od Slussen. Thomas przez chwilę wpatrywał się w otynkowane na żółto surowe fasady, przybytek władzy, tu rodziły się najważniejsze decyzje. Jego cel, a przynajmniej jeden z celów. Odetchnął głęboko, miał wilgotne dłonie.

Cholera, tak bardzo chcę dostać tę pracę.

Hol był przestronny i jasny. Za szybką siedziała kobieta ze słuchawkami na uszach, wyglądała na zajętą. Zameldował się i usiadł z aktówką na kanapie przy wejściu. Usiłował czytać „Metro”, ale nie potrafił się skupić.

- Thomas Samuelsson, cholernie się cieszę.

Wstał, próbował się uśmiechnąć. Dyrektor szedł w jego kierunku od strony wind. Chwycił jego prawą dłoń, lewą ręką poklepał go po ramieniu.

- Jak dobrze, że mógł pan do nas tak szybko przyjść. Był pan tu już?

Nie czekał na odpowiedź. Pociągnął Thomasa za sobą po schodach. Szli korytarzem, wyszli na podwórze, wsiedli do windy i pojechali kilka pięter w górę.

Nigdy nie wyjdę z tego labiryntu, pomyślał Thomas.

Mijali drzwi, zamknięte, otwarte. Wszędzie ludzie, rozmawiali, dyskutowali, czytali.

Co oni wszyscy robią?, zastanawiał się Thomas. Był oszołomiony.

Dotarli do biura dyrektora, pięknego pokoju na siódmym piętrze z widokiem na domy na Hornsgatan. Usiedli naprzeciwko siebie w wygodnych fotelach. Jakaś kobieta

wśliznęła się i natychmiast zniknęła, zostawiając kawę, francuskie ciastka i biszkopty.

Thomas przełknął ślinę, próbował się rozluźnić.

- Zasiłki socjalne kosztują gminy ponad dwanaście miliardów koron rocznie - powiedział dyrektor i nalał kawy do dwóch kubków z emblematem związku. - Wydatki rosną z roku na rok, podczas gdy politycy najchętniej by je obniżali.

Rozparł się w fotelu i podmuchał w kawę. Thomas napotkał jego wzrok, badawczy i inteligentny.

- Osoby pobierające zasiłek to grupa, której interesy mają dla polityków samorządowych najniższy priorytet - powiedział dyrektor. - Mówiąc dosadnie, są traktowane jak wstrętne pasożyty. Ponad dwie trzecie polityków twierdzi, że uzyskanie zasiłku socjalnego jest zbyt łatwe. To ma zgubne skutki dla obywateli. Proszę, są świeżutkie!

Thomas posłusznie ugryzł francuskie ciastko. Było okropnie słodkie.

- Samorządy przeanalizowały, jak działała opieka społeczna w ubiegłym roku - mówił dalej. - Nie wygląda to do brze. Uważam, że musimy to przyjąć do wiadomości.

Podał mu raport. Thomas otworzył go i zaczął przeglądać.

- W kilku słowach można powiedzieć, że większość ludzi postrzega pomoc socjalną jako nieprzychylną i bezduszną. Już nawet na spotkanie z pracownikiem bardzo trudno się umówić. Wiele ubiegających się o pomoc osób w drzwiach lub przez telefon informuje się, że nie mają prawa do zasiłku. Ponieważ nie ma oficjalnej decyzji, nie mogą złożyć odwołania. To nie do przyjęcia, to sprzeniewierzenie się praworządności.

Thomas przerzucał strony.

- Coraz więcej ludzi uważa, że w ośrodkach pomocy społecznej się ich poniża. Ale to nie wina pracowników. Większość pracowników socjalnych robi, co może, mają coraz więcej pracy, a to grozi wypaleniem, mogą przez to popełniać błędy. Dalej tak być nie może.

Thomas zamknął raport i położył go na kolanach.

- Szczerze mówiąc - mówił dalej dyrektor - jestem bardzo zmartwiony. Nie mamy żadnej kontroli nad postępującą segregacją społeczeństwa. W terenie, w gminach moglibyśmy przełamać negatywne i ciągle spadkowe trendy, ale nie mamy do tego ani umiejętności, ani wystarczających środków. Dziś rano zadzwoniła do mnie roztrzęsiona kobieta z Motali. Od dziesięciu lat opiekuje się opóźnionym w rozwoju synem, żyje z zasiłku. W październiku gmina zlikwidowała etat osobistego opiekuna chłopca. Od tego czasu zajmuje się nim sama, przez całą dobę. Nie mogła przestać płakać. Jestem cholernie, rozpaczliwie bezsilny w takich sytuacjach.

Dyrektor przetarł oczy. Thomas zauważył z niejakim zdziwieniem, że jest autentycznie, głęboko wzburzony.

- To chyba sprzeczne z prawem - powiedział Thomas. - Od takiej decyzji można się przecież odwołać.

- Próbowałem jej to wytłumaczyć - powiedział dyrektor. - Ale ona nie ma nawet siły się rano ubrać. Czytanie jej przepisów i wyjaśnianie, jak ma się odwołać, byłoby kpina. Zadzwoniłem na dyżur opieki socjalnej w Motali i opowiedziałem im o tej rozmowie. Mają się tym zająć.

Thomas patrzył na raport. Do diabła, ludzie naprawdę mają problemy.

- Musimy skoordynować nasze umiejętności i środki - powiedział dyrektor. - Tu właśnie zaczyna się pańskie zadanie. Osoby ubiegające się o zasiłek są traktowane bardzo różnie. Zależy to od tego, gdzie mieszkają, jak wyglądają nasze wewnętrzne procedury i z jakim pracownikiem mają do czynienia. Potrzebujemy jasnych wytycznych, wspólnej strategii dla wszystkich gmin. Musimy regularnie, w szerszym gronie omawiać poszczególne sprawy, ewentualnie zmienić nasze zasady przyjmowania interesantów. Poza tym potrzebne jest wyraźne kierownictwo, procedury wewnętrznej kontroli w załatwianiu spraw, dobrze rozwinięta współpraca, zarówno wewnętrzna, jak i zewnętrzna, i cholernie rzetelna dokumentacja.

Dyrektor westchnął i uśmiechnął się lekko.

- Jest pan naszym człowiekiem? Thomas uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Absolutnie - powiedział.

Annika wyszła spod prysznic, ciało miała obolałe po joggingu. Zapomniała już, jak bardzo lubiła biegać, jak uskrzydlało ją fruwanie nad asfaltem. Przemknęła przez podwórze w szlafroku i kaloszach, weszła na górę, puls się rozszalał.

Zjadła obfite śniadanie, zrobiła sobie kawę i usiadła z gazetami w salonie.

Kiedy zobaczyła pierwszą stronę „Kvallspressen”, zaszumiało jej w głowie. Cholera, Rebecka została zatrzymana, aresztowali ją.

Historia Raju nie poszła na pierwszą stronę, ale zrobili mały odsyłacz nad tytułem gazety. Drżącymi palcami otworzyła na stronach szóstej i siódmej. Rebecka, nadal

anonimowa, z twarzą pokrytą kwadratami, eskortowana przez trzech policjantów. *Yes!*

Wpatrywała się w zdjęcie, skupiała się na szczegółach, na jasnym ubraniu Rebecki, na eleganckich kozakach, na rozrośniętych drzewach w tle. To musi być dom w Olovs-lundzie. Przyniosła jeszcze kawy i usiadła z telefonem na kolanach. Po chwili wahania wykręciła numer policji.

- Nie, do diabła - powiedział Q. - *Long time no see.*

Annika uśmiechnęła się.

- Miałeś okazję spotkać się z moją koleżanką Rebecką Björkstig?

- Ona cię kocha - powiedział policjant. - Naprawdę potrafiś zdobywać przyjaciół.

Annika przestała się uśmiechać.

- Co masz na myśli?

- Jeśli to, co napisałaś w gazecie, jest prawdą, to może powinnaś się rozejrzeć dookoła - powiedział. - Tylko ty sypnęłaś, czym się ta pani zajmuje.

- Myślałam, że jest teraz zajęta czymś innym - odparła Annika. - Rozmową z tobą na przykład.

- Na przykład - powiedział Q. - Czego chcesz?

- Jest winna?

- Winna czego? Długi, zmiany nazwiska, nierzetelność wobec gminy? Tak, zdecydowanie, o ile to przestępstwo. Współdziałał w morderstwie? Nie jestem tego taki pewny jak ty.

- Wiecie, czy w ogóle coś robiła?

- Tak, jedno: udało jej się wykasować samą siebie. Ona nie jest głupia. Pytanie tylko, czy chciała dobrze, czy próbowała popełnić przestępstwo.

- A te zmiany tożsamości? To chyba mocno podejrzane?
- Tak uważasz? Najpierw przyjęła nazwisko panieńskie matki i zmieniła imiona, potem wymyśliła zupełnie nowe nazwisko. Takie rzeczy zdarzają się codziennie.

Zapadła cisza.

- Coś jeszcze? - spytał.

- Morderstwa we Frihamnen - powiedziała Annika.
- Wicie już coś?

Głębokie westchnienie.

- Odpowiedź brzmi: nie. Nie jesteśmy na sto procent pewni. Ma to coś wspólnego z mafią jugosłowiańską i zagnionym ładunkiem papierosów, ale nie wiemy dokładnie co. To nie zwykły przemyt, jest tu jeszcze coś, i nie możemy się w tym połapać.

Annika nabrała powietrza.

- Ma to coś wspólnego z Aida Begović? Q
zamilkł.

- Prawdopodobnie - powiedział krótko.

- Ma to coś wspólnego z Rebecką Björkstig?

- Sprawdzamy to.

- Kiedyś mi powiedziała, że była prześladowana przez mafię jugosłowiańską. Tak było?

Policjant westchnął.

- Jest tak: mafia jugosłowiańska dopuszcza się mnóstwa wykroczeń, o których w ogóle nie słyhać, ale oskarża się ich również o całą masę rzeczy, których nie zrobili. Björkstig opowiedziała nam tę historię. Chodzi najwyraźniej o jakieś starego wierzyciela nazwiskiem Andersson. Straszyl ją swoimi kontaktami z mafią.

- Więc nie ma żadnego związku między Rebecką a Serbami?

- *Niet.*

Annika przymknęła oczy, wahała się chwilę.

- A Ratko? Boss mafii papierosowej? Wiecie, gdzie teraz jest?

- W Serbii prawdopodobnie. To jedyne miejsce w Europie, gdzie może się czuć w miarę bezpieczny. Gdzie indziej raczej nie może poruszać się swobodnie.

- A może być w Szwecji?

- Jeśli już, to z cholernie krótką i podejrzaną wizytą. Dlaczego pytasz?

Z trudem przełknęła ślinę, zastanawiała się, poczuła w ustach smak metalu.

- A właśnie, co znaczy „parućnik Miśić”?

- Co takiego? - spytał policjant.

- Parućnik Miśić. To po serbsko-chorwacku zdaje się.

- Przykro mi - powiedział Q. - Nie jestem biegły we wszystkich językach świata.

- To ważne - powiedziała Annika. - Znasz kogoś, kto może wiedzieć?

Jęknął.

- Mamy tu tłumaczy - powiedział. - Jak bardzo ważne?

- Strasznie.

W uchu Anniki rozległ się trzask - policjant położył słuchawkę na stole. Wsłuchiwała się w jego kroki, gdy wychodził z pokoju. Usłyszała dalekie: „Nikola, co, u diabła, znaczy «parućnik Miśić»?”

Kroki zbliżyły się.

- To stopień wojskowy i nazwisko - powiedział. -
Paruc-nik to porucznik, Miśić to dość często spotykane
nazwisko.

- O cholera - powiedziała Annika.

- Co? Teraz ja jestem ciekaw.

- Mężczyzna o tym nazwisku przyszedł wczoraj na po-
grzeb Aidy. Miał na mundurze mnóstwo orderów i innych
rzeczy.

- Aha - powiedział Q. - Może to ktoś z rodziny. I co?

- Przyjechał samochodem ambasadora. Czy to nie
dziwne?

- Pewnie jest tu w związku z pokazami JAS-ów, jak
wszystkie inne podejrzane typy. Co to były za ordery?

Annika myślała gorączkowo.

- Liście - powiedziała.

- Liście?

- Tak, liście, i pełno medali.

- Widziałś, co było na nich napisane?

Zamknęła oczy i westchnęła.

- Na jednym było napisane Santa. Chyba.

Q gwizdnął.

- Jesteś pewna?

- Oczywiście, że nie. Myślisz, że jestem jakimś cholernym
komputerem?

- Może być z KOS-u - powiedział Q. - Tyle że oni zostali
wybici prawie do nogi.

Położyła się na kanapie i spojrzała w sufit.

- Jaki KOS? O czym ty mówisz?

- Dla ciebie to pewnie miejsce, gdzie się jeździ na wy-
cieczki, co nie? KOS to jugosłowiański kontrwywiad woj-
skowy. Milošević rozmontował ich prawie
całkowicie.

Ostatnich piętnaście lat to zażarta walka o władzę między KOS-em i RDB. Przegrał KOS. Starzy wojskowi po dziś dzień są bardzo rozgoryczeni.

- RDB? - spytała zagubiona Annika.

- Chłopcy Slobodana, służba bezpieczeństwa, elita elit. Kontrolują zarówno serbskie kręgi przestępcze, jak i policję. Twardzi goście.

Annika przetrwała tę informację przez kilka sekund.

- Przepraszam - powiedziała w końcu - ale gdzie ty pracowałeś, zanim trafiłeś do wydziału kryminalnego?

- *Thafs calssified* - powiedział. Słyszała, jak chichocze.

- Gdzie mieszka porucznik KOS-u, kiedy przyjeżdża do Sztokholmu na pokazy JAS-ów?

- Jeśli lubi pracujących w ambasadzie chłopców z RDB, to mieszka tam. Jeśli nie, to na pewno w którymś z dużych hoteli w centrum.

- Na przykład?

- Zacząłbym od Royal Viking.

- *I love you forever* - powiedziała Annika.

- Daruj sobie - powiedział i odłożył słuchawkę.

Porucznik Miśić mieszkał przy Sergel Plaža. Annika stała pod drzwiami jego pokoju kilka minut, z ręką podniesioną do pukania. Puls szalał w jej żyłach. W końcu pozwoliła pięści dotknąć drzwi. Usłyszała pytające *Da?* i zapukała jeszcze raz.

Drzwi się otworzyły, wąska szczelina.

-*Da?*

Dostrzegła starą, nieogoloną twarz, owłosiony bark, podkoszulek.

- Porucznik Miść? Nazywam się Annika Bengtson.
Chciałabym z panem porozmawiać.

Uśmiechnęła się niepewnie.

Mężczyzna spojrział na nią. Jego twarz kryła się w cieniu, nie potrafiła odczytać jej wyrazu.

- O czym? - spytał ochrypłym głosem.

- Znałam Aide - powiedziała zbyt wysokim głosem, zbyt nerwowo.

Nie odpowiedział, ale nie zamknął drzwi.

- Widziałam pana na pogrzebie - powiedziała. - Rozmawialiśmy.

Zawahał się.

- Czego pani chce? - spytał.

- Tylko porozmawiać - powiedziała szybko. - Chcę porozmawiać o Aidzie z kimś, kto ją znał wcześniej.

Stary porucznik zrobił krok do tyłu i otworzył szerzej drzwi. Stał boso, zdążył wciągnąć tylko spodnie. Szelki zwiślały, dyndały mu u kolan.

- Proszę wejść i usiąść - powiedział. - Włożę koszulę.

Annika weszła do małego pokoju z dwoma wąskimi łózkami, telewizorem, minibarem, biurkiem i krzesłem z chromowanymi nogami. Drzwi zatrzęsły się za nią, usłyszała, jak przełyka ślinę. Mężczyzna zniknął w łazience, na chwilę ogarnęło ją przerażenie.

A jak wyjdzie z pistoletem maszynowym?

Albo nożem?

Może to on zamordował Aide?

Poczuła, że puls przyspieszył jej jeszcze bardziej. Już miała zamiar wybiec na korytarz, gdy wyszedł z łazienki w rozpiętej białej koszuli i z parą skarpetek w ręku.

- Jak dobrze znałaś Aide? - spytał kiepską angielszczyzną.
Annika spuściła wzrok.

- Niezbyt dobrze - powiedziała. Spojrzała na niego, patrzyła w mętne oczy starego człowieka. - Ale chciałabym znać ją lepiej.

- Ma pani na szyi jej naszyjnik - powiedział. - To lilia bośniacka. Serce za miłość. To ja go jej kupiłem. Zdjęła bre-loki z serbskimi orłami.

Ręka Anniki powędrowała do naszyjnika. Czują, że robi się coraz bardziej czerwona.

Mężczyzna usiadł na jednym z łóżek. Położył stopę na kolanie i założył skarpetkę.

- Proszę usiąść - powiedział.

Usiadła na łóżku naprzeciwko niego. Kolana jej drżały, torba spadła na podłogę obok łóżka.

- Czego pani chce? - spytał.

Annika spojrzała na niego, na szare policzki, opuszczone ramiona, masywne ciało, koszulę, którą ledwo mógłby zapiąć na brzuchu, rzadkie włosy.

Zupełnie się załamał z żalu, pomyślała. To taki żal, który może wpędzić w chorobę.

Czy ktoś czułby taki żal, gdyby ona umarła?

Nagle poczuła, że po twarzy spływają jej łzy. Ukryła ją w dłoniach.

Mężczyzna stał bez ruchu, nie odzywał się.

- Przepraszam - szepnęła w końcu i wytarła twarz wierzchem dłoni. - Niedawno zmarła moja babcia. Ostatnio nie jestem sobą.

Mężczyzna wstał, poszedł do łazienki i wrócił z rolką papieru toaletowego.

- Dziękuję - powiedziała Annika. Wzięła od niego pa-
pier i wytarła nos.

Obserwował ją, uważnie, ale bez niechęci.

- Dlaczego nosi pani łańcuszek Aidy?

Annika otarła łzy spod oczu.

- Poznałam ją kilka dni przed jej śmiercią - powiedzia-
ła. - Była chora i przerażona. Jestem dziennikarką. Aida
zadzwoiła do gazety, w której pracuję, błagała o pomoc,
próbowałam jej pomóc...

-Jak?

Annika wzięła głęboki wdech, bezgłośnie wypuściła po-
wietrze.

- Była taka samotna. Nie miała nikogo, kto mógłby jej
pomóc. Ścigał ją jakiś mężczyzna, była śmiertelnie przera-
żona. Spotkałam się z nią, bo wiedziała coś o dwóch morder-
stwach, które niedawno popełniono. A potem nie mogłam
jej zostawić, była chora. Dałam jej numer telefonu organiza-
cji, która nazywa się Raj... Myślałam, że jej pomogą.

Zerknęła na niego ukradkiem. Słuchał jej uważnie, ale
nazwa fundacji nie zrobiła na nim wrażenia.

- Kobieta, która stoi za Rajem, okazała się oszustką -
mówiła dalej. - Miałam ogromne poczucie winy, że wysła-
łam do niej Aida.

Pochyliła głowę. Czuli, że łzy znów zaczynają płynąć.

Czekała, aż się wścieknie. Nie wściekł się.

- Dobrze jest pomagać przyjacielom - powiedział.

-Aida musiała być pani wdzięczna za tę próbę, inaczej nie
dałaby pani tego łańcuszka.

- Tak strasznie mi przykro - szepnęła Annika.

Stary żołnierz wstał i podszedł do okna. Spoglądał na Sergels Torg.

- Tutaj umarła - powiedział cicho. - Tutaj umarła Aida.

Cisza gęstniała. Annika czuła jego rozpacz, widziała, jak trzęsą mu się ramiona. Siedziała niepewnie, ręce miała zimne i sztywne. Wreszcie oderwała kawałek papieru, wstała i podeszła ostrożnie. Łzy leciały mu po policzkach, zatrzymywały się w zarostie na brodzie. Nie zrobił żadnego gestu, nie wziął papieru.

- Przepraszam - powiedziała cicho. - Myślałam, że jej pomogłam.

Rzucił jej spojrzenie, a potem znów patrzył na plac.

- Dlaczego ma pani wyrzuty sumienia? - spytał.

- Kobieta z fundacji Raj, obawiam się, że ona...

Odwrócił się szybko, podszedł do lodówki, wyjął butelkę śliwowicy i wlał trochę do szklanki.

-Aida sama wybrała śmierć - powiedział, wyciągając do Anniki rękę z butelką.

Potrząsnęła głową. Zakręcił butelkę i wstawił ją z powrotem do lodówki. Kołysząc się, podszedł do łóżka. Usiadł, materac zatrzeszczał pod nim.

- Kim właściwie była Aida? - spytała Annika. - Skąd ją pan znał?

- Urodziłem się w Bijelinie - powiedział. - Tak jak Aida.

Annika usiadła naprzeciwko niego.

- Zna pani Bijelinę?

Spróbowała się uśmiechnąć.

- Nie, ale widziałam zdjęcia z Bośni. Bardzo tam pięknie, góry i palmy...

- W Bijelinie nic takiego nie ma - powiedział. - Leży na zboczu góry, na północny wschód od Tuzli. Zimy są tam ciężkie, wiosną ciągle pada.

Wpatrywał się w jakiś punkt nad głową Anniki.

- Nawet rzeka nie jest zbyt piękna.

Westchnął, spojrzął na Annikę.

- Na pewno widziała ją pani na zdjęciach. Drina płynie wzdłuż granicy z Serbią, chociaż zdjęcia zazwyczaj robią niżej, pod Gorazde.

Pokręciła głową.

- Stosy trupów - powiedział. - Ciała, które wrzucono do Driny, utknęły na wysokości Gorazde. Jakiś duński fotograf przedostał się przez nasze granice i sfotografował je. Zdjęcia opublikowano na całym świecie.

Annika przełknęła ślinę. Tak, pamięta, czytała o tym powieść. A „Kvallspressen” kupiła prawa autorskie do tych zdjęć.

Mężczyzna zamilkł, jego wzrok znów stał się nieobecny. Annika czekała.

- Więc jest pan... Serbem? - spytała.

Spojrzął na nią zmęczonymi oczami.

-W tamtych czasach dorastaliśmy, nie myśląc o tym, kim jesteśmy - powiedział. - Byłem jedyńskim, mój najlepszy przyjaciel z dzieciństwa był dla mnie jak brat. To był ojciec Aidy. Jovan był bardzo inteligentnym człowiekiem, ale ponieważ był muzułmaninem, drogi kariery w administracji były dla niego zamknięte. Został piekarzem, bardzo dobrym piekarzem.

Przestał mówić, przetarł oczy. Owłosione ręce, owłosione palce.

- Ale pan nie został piekarzem - powiedziała Annika cicho.

- Zrobiłem karierę w wojsku - odparł. - Tak jak kiedyś mój ojciec i dziadek. Nigdy się nie ożeniłem. Za to Jovan miał wspaniałą rodzinę, piękną żonę i troje utalentowanych dzieci. Odwiedzałem ich przez wszystkie te lata, latem i w Boże Narodzenie. Aida była moją ulubienicą. Była śliczna jak anioł, śpiewała czysto jak dzwonki...

Wypił wódkę jednym haustem, otarł usta grzbietem dłoni.

- Dlaczego interesuje się pani Aida? - spytał.

- Jestem dziennikarką - powiedziała. - Moja praca polega na pisaniu prawdy o sprawach ważnych i o ludziach, którzy za nimi się kryją...

- Ha! - powiedział nagle. - Dziennikarze są lizusami, tak samo jak żołnierze. Walczycie kłamstwami zamiast bronią.

Annika zamrugała oczami, nie była przygotowana na jego złość.

- To nieprawda! - zaprzeczyła. - Moim jedynym zleceniodawcą jest prawda.

Spojrzał w pustą szklanekę.

- Ach, no tak, więc ma pani dobre intencje? Nie dostaje pani pieniędzy za swoją pracę?

Rozłożyła ręce.

- Oczywiście, że dostaje. Pracuję w niezależnej gazecie, nie mam związanych rąk...

- Komercyjna gazeta, sprzedawana za pieniądze? Jak taka gazeta może być niezależna? Głos takiej gazety jest do kupienia, skorumpowania, jest kłamliwy.

Znów wstał i napelnił szklanę. Tym razem nie zaproponował Annice. Kiedy usiadł naprzeciwko niej, zobaczyła w jego oczach jakiś błysk. Kiedyś uwielbiał dyskutować, a za jego władzą nad słowem podążał rodzaj realnej władzy.

- Kapitał to prawda sama w sobie - powiedział. - Dbaj tylko o to, żeby się pomnażać, za wszelką cenę.

- To nieprawda - odparła, zdziwiona własną walecznością. - Tylko wolna i niezależna prasa gwarantuje demokrację...

- Demokracja, ha! Ona tylko stwarza konkurencję i prowadzi do niestabilności, politycy sprzedają się wyborcom jak dziwki, kapitaliści wykorzystują i eksploatują bliźnich. Nie dam grosza za demokrację.

- To jaka jest alternatywa? - spytała Annika. - Totalitarne państwo z cenzurowaną prasą?

Mężczyzna pochylił się do przodu, prawie się uśmiechnął.

- Tylko państwo może wziąć odpowiedzialność za ludzi - powiedział. - Państwu nie powinien przyświecać żaden inny cel, tylko dobrobyt obywateli. Prasa powinna informować i uświadamiać, nie czerpać korzyści finansowych. To nie głosy wolnych ludzi przemawiają w waszych gazetach i w telewizji, to kapitalizm.

Annika pokręciła głową.

- Jest pan w błędzie - powiedziała. - Czy bardzo zabawnie żyje się wam w Serbii, ze Slobodanem Miloševiciem?

Twarz mu pociemniała. Powinna była ugryźć się w język. Co ona właściwie wygaduje?

- Przepraszam - szepnęła. - Nie chciałam pana urazić...

- Milošević to wieśniak - powiedział zduszonym głosem. - Proszę zobaczyć, co zrobił z moim krajem! Zniszczył

KOS, jedyną organizację, która mogła zaprowadzić prawo i porządek. Obniżał coraz bardziej nasz budżet, aż nic z niego nie zostało, a pieniądze poszły do RDB.

Uderzył pięścią w nocny stolik. Annika aż podskoczyła na łóżku.

- Cholerne RDB. Niech pani spojrzy, co zrobili z moim krajem! Pozwolili wsiowym kryminalistom doprowadzić do zguby Serbie! Gdyby władzę miał KOS, Jugosławia na dal byłaby mocarstwem. Jedną niepodzielną Wielką Serbią. Nigdy byśmy nie dopuścili do rozpadu kraju.

Siedział bez ruchu. Głowa mu zwisała, łokcie oparł na kolanach. Annika nie śmiała się poruszyć.

- Do końca lat osiemdziesiątych Bałkany miały morale - powiedział cicho. - Proste normy i wartości etyczne, ale po tem wdarło się barbarzyństwo. Władzę przejęli tacy ludzie jak Ratko. To kryminaliści, idioci.

Annika oblizwała wargi. Wciąż ten smak metalu.

- Kim właściwie jest Ratko?

Mężczyzna westchnął, wyprostował się.

- Pochodzi z zamożnej rodziny. Stracili wszystko w czasie przeprowadzonego przez komunistów wywłaszczenia, odbierania bogatym i oddawania biednym. Jego ojciec został odlewnikiem, uczciwym robotnikiem, ale dla rodziny było to poniżające. Ratko postanowił zostać kimś. Przyjechał tutaj, do Szwecji, żeby szukać szczęścia, a wylądował jako robotnik w fabryce ciężarówek. Widział, jak jego rodacy kończą marnie z powodu chorób zawodowych, i wybrał inną drogę: zawodowego przestępcy.

Wypił łyk śliwownicy.

- Ratko i jego ojciec uważali, że nowe prawo w ogóle ich nie dotyczy. Uważali, że komunizm okradł ich ze wszystkiego, co mieli, zabrał im ich historię i godność. Prawo było ich wrogiem, podporządkowanie się mu oznaczałoby utratę wszystkiego. Jediną siłą napędową człowieka jest chciwość, żądza zwycięstwa, gromadzenia dóbr.

- To nieprawda - powiedziała Annika.

- Jedynie państwo może wziąć odpowiedzialność za ludzi - powtórzył.

- Ale państwo to my - powiedziała. - Nigdy nie jest lepsze od ludzi, których reprezentuje.

Spojrzał na nią.

- Społeczeństwo stoi zawsze na pierwszym miejscu przed narodem, uważanie się za oddzielne jednostki oznacza zwycięstwo egoizmu.

- Nie byłabym taka pewna - powiedziała Annika. - Państwo to obywatele. Nie możemy zrzucić odpowiedzialności na kogoś innego niż na siebie samych. To my kształtujemy swoją przyszłość. Państwo to my. Odpowiadamy za siebie nawzajem i nie wolno nam się od tego uchylać. Jeden człowiek może wiele zdziałać!

- Ale wtedy wszystko idzie w diabły! - zawołał mężczyzna i znów uderzył w nocny stolik. - Proszę spojrzeć na Serbię! Kiedy na czele państwa stanął Milošević, wszystko szlag trafił! RDB nie ma wiedzy, której tam potrzeba, mimo że dostali mnóstwo środków. Źle je wykorzystują, nadużywają władzy, wspierają przestępczość...

Umilkł, był zdyszany.

Annika wpatrywała się w niego. Na jego łysinie błyszczały krople potu.

- Jak dużo pan wie? - spytała cicho.

- Wiem wszystko.

- Wszystko?

- Wszystko.

- O mafii też?

Spojrzał na nią przenikliwym wzrokiem. Przyglądał się jej twarzy, włosom, rękom.

- Orędowniczko wolnego słowa - powiedział. - Może pani pisać prawdę o wszystkim?

Annika zamrugła oczami.

- Tak, jeśli mogę to skontrolować i jest to interesujące dla ogółu.

- Aha! - powiedział. - Kto to ocenia?

- Najpierw ja sama, potem szefowie.

- Cenzura - skonstatował.

- Nie! - powiedziała Annika. - Nie jesteśmy na niczyich usługach - oprócz prawdy.

- O mojej prawdzie nikt nie odważy się napisać. Tego, co wiem, nikt nie opublikuje.

- To się okaże. Nie wiem, co pan wie.

Spojrzał na nią. Patrzył długą chwilę. Poczula, że robi się jej gęsia skórka, czuła się naga.

- Ma pani długopis? Papier? Więc niech pani spíše moją opowieść. Zobaczymy, czy się pani odważy ją opublikować.

Annika pochyliła się, przyciągnęła do siebie torbę, wyjęła notes i długopis.

- Słucham.

- Mafia to państwo - powiedział. - Państwo to mafia. W Belgradzie wszystko kontroluje władza. RDB, służba bezpieczeństwa, trzyma wszystko w ręku. Przemysł broni jest

największym i najważniejszym źródłem dochodu. Trzy czwarte pieniędzy pochodzi ze sprzedaży broni. Wyczyścili z broni całą byłą Jugosławię, trzymają ją w ogromnych magazynach, mogą prowadzić wojnę do dnia sądu ostatecznego albo sami go zorganizować. Prowadzą dużo interesów z Bliskim Wschodem, Irakiem. Korea Północna jest bardzo zainteresowana prowadzeniem wojny chemicznej, w czym Belgrad może jej pomóc. Podsycają wiele konfliktów w Afryce, zaopatrują afrykańskie rządy w broń. Korzystają z polskich statków wychodzących z Gdańska. Ładują je w Serbii i przeprawiają się przez Kanał Sueski. Celnicy są przekupieni.

Annika wpatrywała się w niego. Nie napisała ani jednej linijki.

- O czym pan mówi? - spytała. - To prawda?

- Przemysł papierosów to druga, bardzo ważna działka -kontynuował. - I oczywiście alkohol, narkotyki i prostytutka. Pirackie papierosy produkuje się w wielkich fabrykach, zaopatruje w fałszywe etykiety Marlboro, ładuje do ciężarówek, plombuje i przewozi przez całą Europę docelowo do Finlandii. W Szwecji plomby są zrywane, ciężarówki rozładowywane, i potem jedzie się do ambasady, po nowe plomby. To jest możliwe dlatego, że stoi za tym państwo. Potem wszystko jedzie do Finlandii i tam rozładowuje się kilka kartonów. Reszta zostaje w Szwecji. Annika pochyliła głowę.

- Chwileczkę - powiedziała. - Może pan powtórzyć od początku? O broni, Afryce i Korei Północnej?

Stary żołnierz powtórzył cierpliwie kilka szczegółów.

- Jeśli chodzi o prostytutkę - dodał po chwili - to kobiety pochodzą głównie z Ukrainy i Białorusi i są eksportowane

do burdeli w Europie Środkowej, głównie do Niemiec, na Węgry, do Czech i do Polski. Narkotyki pochodzą głównie z Afganistanu. To nie Talibowie są producentami, tylko opozycja. Trasa wiedzie przez Turcję. Obecnie to Albańczycy z Kosowa mają w rękach tę działkę. Albańczycy dostają surowiec, a potem sprzedają go Serbom. Serbowie z kolei uszlachetniają go na narkotyki. Biorą w tym udział całe szpitale, a także spora część przemysłu rolniczego.

Annika przełknęła ślinę, kręciło jej się w głowie. Pisała, rozboleła ją ręka. Czy to może być prawda?

- Alkohol wytwarza się w dużych fabrykach i opatruje fałszywymi etykietami, robi się na przykład dwunastoletnią szkocką whisky, fińską wódkę. Jeśli to padnie, kraj ru nie w ciągu kilku dni. Pracownicy nie otrzymają pensji, cały system się załamie. - Westchnął. - RDB wystawia wszelkie możliwe paszporty: skandynawskie, francuskie, amerykańskie. Mają swoją sieć w całej Europie, pod przykrywką barów, dyskotek, serbskich stowarzyszeń kulturalnych i klubów szachowych.

Roześmiał się, nie było w tym śmiechu wesołości.

- Serbski wywiad ma jeden osobliwy zwyczaj - powiedział. - Przeprowadza akcje i zatrzymania tylko w środy. Jeśli uda się przetrwać środę, ma się czas do następnego tygodnia. Grupy uderzeniowe działają w trójkach lub piątkach. Jeśli mają coś do zrobienia zagranicą, uciekają przez ambasadę albo konsulata. W konsulacie w Trelleborgu bardzo dużo się dzieje.

Umilkł. Annika zapisała wszystko, siedziała z długopisem przy kartce.

- Jak mogę to sprawdzić? - spytała.

Mężczyzna wstał, wyszedł do małego przedpokoju, otworzył drzwi garderoby i ustawił kombinację kodu zamka małego sejfu. Kiedy wrócił, trzymał w dłoni kilka dokumentów. Niektóre były niebieskie.

- Ukradłem je z ambasady - powiedział. - Dwie plomby celne. Wkrótce będą ich szukać.

Położył je na łóżku obok Anniki. Wpatrywała się w nie, spojrzała na mężczyznę. Była coraz bardziej skonsternowana.

- Jak to możliwe? - spytała.

Mężczyzna usiadł ciężko.

- Wszędzie, w całej Szwecji, znajdują się skrytki z bronią - powiedział. - Magazyny pełne narkotyków, alkoholu, papierosów... całe domy, w których gnieźdzą się Serbowie bez pozwolenia na pobyt, przyczepy ciężarowe, samochody, łodzie.

Annika przełknęła ślinę.

- Wie pan gdzie?

Spojrzał na nią i skinął głową.

Zaczął opowiadać.

Kiedy skończył, Annika poczuła, jak buzuje w niej adrenalina. To było niesamowite.

- Co się stanie, jeśli podpiszę to w gazecie swoim nazwiskiem? Czy mafia będzie mnie ścigać?

Mężczyzna spojrzał na nią zmęczonym wzrokiem.

- Boi się pani o swoją skórę? Jest pani ważniejsza od prawdy? Czy pani państwo wolnych obywateli nie może się panią zająć? Ochronić pani?

Annika spuściła wzrok, zaczerwieniła się.

- Musi pani zrozumieć - powiedział wojskowy. - To nie jest sprawa osobista, to po prostu biznes. Ratko nie ma już przyjaciół, nikt pani nie sprzątnie w ramach osobistej zemsty. Jeśli spowoduje pani, że cała ta struktura runie, nie będzie już nikogo, kto mógłby pani zrobić krzywdę, nikomu nie będzie to potrzebne.

Annika podniosła wzrok.

- A ambasada? Jeśli to prawda, co pan mówi, że stoi za tym wszystkim.

- Ambasada serbska będzie pani najlepszym ubezpieczeniem na życie. W ich interesie będzie leżało to, żeby nic się pani nie stało. Nie polecałbym natomiast jeździć na Bałkany przez jakiś czas. Tam mogłaby pani trafić na kogoś nieodpowiedniego.

Zajrzała do notatek, chrząknęła.

- Co się stanie z Ratkiem?

Mężczyzna zawahał się.

- Ratko wyjechał, nikt nie wie dokąd. Dzień, kiedy pokaże się w Europie, będzie dniem jego śmierci. Ja stawiam na to, że pojechał do Afryki, do któregoś ze swoich odbiorców broni.

- Co się stanie z panem?

Mężczyzna długo na nią patrzył.

- Ja już zrobiłem swoje - powiedział. - Wszyscy, którzy coś dla mnie znaczyli, nie żyją. Aida była ostatnia.

- Co się stało? - szepnęła Annika.

Mężczyzna znowu wstał. Podeszedł do okna i spojrzał na plac, szary w zapadającym zmroku.

- Ratko zamordował całą rodzinę, oprócz Aidy. To było preludium do przemocy w Bośni. W marcu 1992 roku.

Annika zadrzała.

- Boże mój, całą rodzinę?

- Jovana, jego żonę, synową, która była w ciąży, ich najmłodszego synka, który miał tylko dziewięć lat. Starszy syn był w wojsku i zginął na froncie pół roku później.

- Zamordował ich?

Mężczyzna mówił ze wzrokiem utkwionym w trójkąt na Sergel Plaža.

- Ratko i jego Pantery. Od dawna panowało napięcie polityczne, w Chorwacji trwały walki, ale masakra w Bijelinie była pierwszą, o której było głośno w Bośni.

- I zaczęło się właśnie od rodziny Aidy?

- Nie wiem, dlaczego przeżyła. Nigdy mi nie powiedziała.

Annika czuła, że łzy znów spływają jej po twarzy. Boże, jakie to straszne.

- Co się z nią stało? Jak się tu dostała?

Mężczyzna wpatrywał się w plac. Z nieba zaczęły spadać płatki śniegu.

- Miała wtedy siedemnaście lat i, o ile wiem, zaraz potem poszła pieszo do Tuzli. Złapała okazję do Sarajewa i zaciągnęła się do Armii BiH. W Sarajewie spotkała się z wujem, młodszym bratem Jovana. Wziął ją do swojej *speciale diversanskijskij group*.

Annika czekała na dalszy ciąg. Z zapartym tchem, ze łzami kapiącymi obok ust. -I?

- *Speciale diversanskijskij group* - powiedział, akcentując każde słowo. - Została snajperem. Kiedy o tym usłyszałem, odwróciłem się od niej, zerwałem wszelkie kontakty.

Annika zamrugwała, nie rozumiała.

- Snajperem - powtórzył stary człowiek, bezgranicznie zmęczony. - Wyszkołiła się na snajpera, leżała na dachach domów i strzelała do ludzi na ulicach, do mężczyzn, kobiet, dzieci, bez różnicy.

Annice zabrakło tchu.

- Nie...

Odwrócił się i spojrzał na nią.

- Zapewniam panią - powiedział. - Była w tym bardzo dobra. Tylko Bóg wie, ilu ludzi zabiła.

Znów usiadł naprzeciwko.

- Nie wiedziała pani? - spytał.

Annika pokręciła głową.

- Jak... - powiedziała i przełknęła ślinę. - Jak tu trafiła? Do Sztokholmu?

Mężczyzna przetarł oczy.

- Została ranna. Wyniesiono ją tunelem z Sarajewa, a po tem na górę Igman. Załatwiła sobie pozwolenie na dołączenie do grupy kobiet i dzieci, które zebrał Czerwony Krzyż. Kiedy opuszczali Bośnię, były jakieś problemy. W pewnym momencie transport został zatrzymany, kilka młodych kobiet wywlekli z autobusu pijani żołnierze. Barbarzyńcy. Nie wiem, co się stało, ale kiedy autobus odjechał, w budce strażników znaleziono dwóch zabitych żołnierzy. Strzelono im w usta, z ich własnej broni. Nie mógł to być nikt inny, tylko Aida.

Spuścił głowę. Annika czuła, że robi się jej coraz bardziej niedobrze.

- Dlaczego chciała przyjechać do Szwecji? - szepnęła.

- Dowiedziała się, że jest tu Ratko. Przysięgła, że się zemści. Tylko to się dla niej liczyło. Zabrał jej rodzinę, całe życie. Nie miałem od niej znaku życia od wielu lat. Bardzo

mnie to bolało. Popeliłem błąd. Powiniennem być podtrzymać kontakt. Człowiek nie daje rady sam. A Aida potrzebowałyby mnie.

Annika poczuła nagle, jak łańcuszek pali ją w szyję, ciężki i gorący, wdzięczność mordercy.

- Ni stąd, ni zowąd napisała do mnie - powiedział mężczyzna zduszonym głosem. - W sobotę, 3 listopada tego roku. Jej zadanie było prawie zakończone, pisała. Skontaktowała się z Ratkiem, mieli się spotkać. Jedno z nich miało umrzeć.

- Ona się skontaktowała? - spytała Annika. - Spotkali się z jej inicjatywy? Nikt jej nie zdradził?

Mężczyzna pochylił głowę.

- Chciała się raz na zawsze z nim rozprawić - powiedział cicho. - Gdyby jej się nie udało, prosiła, żebym ja to za nią zrobił. Przeżyłem wszystkie czystki, nadal cieszę się zaufaniem Miloševicia. Mógłbym zniszczyć Ratkowi życie.

Jego ramiona zatrzęsły się, zasłonił oczy ręką.

- Niech pani już idzie - poprosił.

Annika przełknęła ślinę.

- Ale...

- Proszę już iść.

Pochyliła się, schowała do torby notes i długopis. Wahala się przez chwilę, w końcu zdecydowała się schować niebieskie dokumenty, plomby celne z ambasady jugosłowiańskiej.

- Dziękuję za wszystko - wyszeptwała.

Mężczyzna nie odpowiedział.

Zostawiła go samego. Poszła cicho do przedpokoju, otworzyła drzwi i wyszła na korytarz.

Stary żołnierz siedział na łóżku. Zapadła noc. Bolały go ramiona, plecy, ręce. Stopy zrobiły się zimne, ścierpły. Dzien-
nikarka wzięła ze sobą plomby, to dobrze. Nigdy mu nie udo-
wodniła, że to on je zabrał. Nawet jeśli by się tego domyślali.

Postanowił się wykapać. Poszedł do łazienki, zapalił świa-
tło, zatkał wannę korkiem i puścił wodę, gorącą. Siedział na
sedesie, wanna napełniała się wodą. Poczul chłód posadzki,
przenikający powoli całe nogi. Skupił się na związonym z tym
ból. Kiedy woda przelała się przez brzeg wanny i dotknęła
jego palców, zakręcił kran. Poszedł do pokoju. W ciemności
zdzjął ubranie, złożył je porządnie i położył na krześle.

Zanurzył się w gorącej wodzie aż po brodę i zamknął
oczy. Leżał tak długo, pozwolił, żeby jego ciało unosiło się
na wodzie.

Kiedy woda ostygła, wstał, wytarł się dokładnie, ogolił,
uczesał, wyjął z szafy paradny mundur z orderami i medala-
mi za specjalne zasługi. Ubrał się powoli, starannie, przesunął
rękoma po połach munduru, założył na głowę czapkę z dasz-
kiem. Następnie podszedł do sejf. Wyjął służbową broń.

Widział się w szybie okiennej. Odwrócony w odbiciu pokój
wisiał nad trójkątnymi płytami Sergel Plaża. Spojrzał we własne
oczy pod daszkiem, spokojny, zdecydowany. Zmienił ostrość
i spojrzal na plac. Utkwił wzrok w miejscu, gdzie umarła.

Razem, pomyślał. Włożył lufę do ust i nacisnął spust.

Eleonor przetarła czoło wierzchem dłoni.

- Filet gotowy - powiedziała. - Jak tam zapiekanka?

Thomas otworzył piekarnik i wbił patyczek.

- Jeszcze chwilka.

- Położymy na wierzch folię, żeby się nie przypaliła?
- Myślę, że się obejdzie - powiedział Thomas.
Eleonor opłukała rękę pod kranem i wytarła ją w fartuch. Odetchnęła.

- Mam rumieńce? - spytała i uśmiechnęła się.

Przełknął ślinę i uśmiechnął się.

- Urocze - powiedział.

Rozpięła fartuch na plecach, powiesiła go na wieszaku i poszła do sypialni zmienić buty. Thomas zaniósł do jadalni sałatkę. Postawił ją wśród kryształowych kieliszków, angielskiej porcelany i srebrnych sztuczków. Rzucił okiem na stół: zimna przystawka, serwetki, woda mineralna, sałatka, wszystko na miejscu, jeszcze tylko wino.

Westchnął. Był zmęczony. Wolałby leżeć, oglądać telewizję i myśleć o czekających go zadaniach. Całe popołudnie przeglądał raport, w którym ludzie opowiadali, jak to jest żyć z zasiłku, jak trudno jest ciągle żyć na marginesie, jak nieprzyjemnie jest tłumaczyć, dlaczego dziecko potrzebuje nowych tenisówek, jak niemilo traktują ich urzędnicy, o tym, że ciągle czują się poniżeni, czują, że proszą o jałmużnę. Że zmuszeni są wybierać między leczeniem zębów a wykupieniem leków. I jak to jest nigdy nie móc sobie pozwolić na mięso na obiad albo wysłuchiwać błagań dzieci o łyżwy albo rower.

Ich rozpacz wwiercała mu się w mózg, nie potrafił przestać o tym myśleć. Bolała jak rana.

Gdybym mógł to zmienić, pomyślał. Zamknął oczy, odychał głęboko.

Nagle usłyszał, że ktoś zatrzaskuje drzwi samochodu na podjeździe. Czekał na odgłos kroków na przysypanym zwierem lodzie.

- Przyjechali! - zawołał w stronę sypialni.

Dzwonek u drzwi wyśpiewał swoją melodyjkę. Thomas wytarł ręce i poszedł do holu, żeby otworzyć.

- Witam, proszę wejść. Proszę się rozebrać. Mogę wziąć futro?

Nisse, kolega z banku, szefowie biur z Taby i Djursholm, szef regionu ze Sztokholmu. Trzech mężczyzn i kobieta.

Eleonor zjawiała się, gdy serwował drinki. Chłodna, uśmiechnięta, piękna.

- Jak miło was gościć! Witam!

- Mamy co świętować - powiedział szef regionu. - Jak pięknie mieszkanie!

Ucałował ją siarczyście w oba policzki. Thomas z irytacją zauważył, że się zarumieniła.

- Dziękuję, bardzo nam tu dobrze.

Zerknęła ukradkiem na Thomasa. Uśmiechnął się z pewnym przymusem. Wzniesli toast.

- Może pokażemy państwu dom? - zaproponowała Eleonor.

Entuzjastyczne okrzyki. Towarzystwo wyszło. Thomas został w salonie sam. Słyszał jasny głos żony dźwięczący między ścianami.

- Chcemy przerobić kuchnię - szczebiotała radośnie.

- Wstawimy piec gazowy, tak bardzo lubimy gotować. Jest coś szczególnego w otwartym płomieniu... Będziemy mieli ogrzewanie podłogowe. Marmur, najlepiej zielony, daje takie poczucie wolności... A tu, na dole, mamy suterene. Planujemy urządzić w niej piwnicę na wina. Czujemy, że musimy znaleźć lepsze miejsce dla naszej kolekcji...

Thomas odstawił drinka. Poczuł, jak drży mu ręka. Jaka, do cholery, kolekcja? Rodzice Eleonor mieli piwnicę na wino w domku na wsi, dobrze wyposażoną, ale oni sami nawet nie zaczęli, nie mieli czasu.

Nagle ogarnęło go przerażenie. Poczuł chłód w całym ciele.

Nie, pomyślał, nie teraz, chcę przetrwać przynajmniej ten wieczór. To dla Eleonor ważne.

Poszedł do kuchni, otworzył czerwone wino, żeby się wietrzyło, odkorkował wino musujące i napełnił kieliszki.

- Jaki piękny dom! - zawołał szef regionu, kiedy wyszli z bawialni. - Cudownie mieć tyle pięt.

Thomas próbował się uśmiechnąć. Nie wyszło mu zbyt dobrze.

- Usiądziemy? - zaproponował.

Eleonor się uśmiechnęła. Była zdenerwowana.

-W całej tej naszej prostocie - powiedziała. - Oboje z Thomasem bardzo dużo pracujemy. Thomas jest szefem ekonomicznym w urzędzie gminy Vaxholm.

- Urzędnikiem w biurze opieki społecznej - sprostował.

Eleonor wyszła do jadalni. Poprosiła gości, by usiedli przy stole.

- Nisse, usiądź tam, proszę, Leopold tutaj, koło mnie, Gunvor...

Goście chwalili jedzenie i wino. Szybko zrobiło się wesoło. Thomas słyszał strzępy rozmów. Rozmawiali o zyskach, wynikach, rynku. Próbował jeść, ale wszystko rosło mu w ustach. Czuł się wyczerpany, kręciło mu się w głowie. W końcu szef regionu zadzwonił w kieliszek.

- Chciałbym wznieść toast za Eleonor - powiedział uroczystym tonem. - Za gospodynię tego miłego wieczoru, za jej fantastyczne wyniki banku w mijającym roku. Musisz wiedzieć, Eleonor, że kierownictwo docenia twoje sukcesy, twoje podążanie do celu i twój entuzjazm. Na zdrowie!

Thomas spojrział na żonę. Od pochwał zaróżowiły jej się policzki.

- Żeby postawić kropkę nad i już dziś zdradzę, w jaki sposób kierownictwo wyrazi to zadowolenie.

Wszyscy czterej dyrektorzy bankowi wyprostowali się. Thomas wiedział, że nadszedł czas na gwóźdź programu. Teraz będą mogli rzucić się na swoją kość.

- Reprezentujecie oddziały mające najlepsze wyniki w Svealandzie - powiedział szef regionu. - Stopa zysku z własnego kapitału znów rośnie w tym roku, sondaże przeprowadzone wśród firm i klientów indywidualnych świadczą o uznaniu naszej pracy.

Zrobił przerwę.

- Mogę również zdradzić, że mamy już wyniki badania opinii pracowników o szefach i również jeśli o to chodzi, jesteście na topie. Dlatego też - powiedział i uśmiechnął się przymilnie - kierownictwo z wielką radością postanowiło podwyższyć wasze premie i zwiększyć udziały w zyskach.

Eleonor aż podskoczyła. Oczy błyszczały jej z zachwytu.

- I... - ciągnął szef regionu i pochylił się ponad stołem - otrzymacie dodatkową premię w postaci dołączenia do przyszłorocznego programu przydzielania kierownictwu pakietu opcji!

Dyrektorzy bankowi nie mogli już milczeć, musieli wydać okrzyki zachwytu.

- Poza tym - mówił dalej szef regionu - otrzymacie bardzo korzystne ubezpieczenie zdrowotne. Zapłaci za to bank. Nie tylko wy unikniecie kolejek do opieki zdrowotnej, ale również wasi współmałżonkowie!

Eleonor spojrzała na Thomasa. Wprost oszalała z radości.

- Słyszałeś, kochanie? Czy to nie fantastyczne?! - Po czym zwróciła się do szefa regionu: - Och, Leopoldzie, czy będziemy w stanie sprostać takiej hojności ze strony krowarstwa? Co za odpowiedzialność!

Szef regionu wstał.

- Za wspólne sukcesy! Pozostali poszli w jego ślady.

- Za wspólne sukcesy!

Thomas nagle poczuł, że chce mu się wymiotować. Wypadł z jadalni, pobiegł korytarzem do łazienki i zamknął drzwi. Padł na podłogę przed muszlą i oddychał konwulsyjnie. Na czoło wystąpiły mu krople potu, czuł, że zaraz zemdleje.

Eleonor zapukała do drzwi. Była zaniepokojona,

- Kochanie, jak się czujesz? Co się stało?

Nie odpowiedział, chciało mu się płakać.

- Thomas!

- Niedobrze mi - powiedział. - Idź do gości, pójdę się położyć.

- Ale myślałam, że zrobisz kawę!

Zamknął oczy. W przełyku palił go gorzki smak wymiocin.

- Nie mogę - szepnął. - Dłużej nie dam rady.

Piątek, 7 grudnia

ANNIKA OBUDZIŁA SIĘ TRZY MINUTY PRZED SZÓSTĄ. Chciało jej się pić i była głodna jak wilk. Za oknami nadal panowała nieprzenikniona zimowa noc, czarna i zimna. Leżała na boku, patrzyła na fosforyzujące wskaźniki budzika. Miał zadzwonić za osiemnaście minut.

Musi być w szpitalu Sódra o siódmej. Nie wolno jej jeść ani pić przed narkozą. Włożą jej do szyjki macicy sztyft, żeby otworzyć ujście i wyssać zawartość.

Chłopiec, pomyślała. Jasny jak jego tato.

Położyła się na plecach, spojrzała w sufit. W ciemności nie dostrzegła żadnych wzorów.

Nie ma pośpiechu, zdążę.

Zamknęła oczy i wsłuchiwała się w rodzący się, zaczynający oddychać dzień. O szóstej włączył się wentylator na podwórzu, na ulicy zapiszczały hamulce autobusu 48, usłyszała sygnał radia „Eko” u sąsiada piętro niżej. Niósł się po belkach podłogowych. Znajome odgłosy, miłe, przyjazne. Wyciągnęła w górę ramiona, podłożyła je pod głowę i wpatrywała się w ciemność.

Przed oczyma mignął jej stary żołnierz, przytłoczony, zgorzkniały, samotny. Nie wierzył w człowieka, tylko w państwo, tak wybrał. Każdy ma wybór.

Aida była snajperem, morderczynią, tak wybrała. Okoliczności kształtują nas wszystkich, ale wybór zawsze należy do nas.

Nagle poczuła w rękach ciężar łańcuszka. Usiadła, namacała zamek, odpięła z trudem i położyła przed budzikiem

na nocnym stoliku. Fosforyzujące cyfry rzucały na metal jasnozielone refleksy.

Nie chciała wdzięczności morderczyni.

Wyłączyła budzik, odrzuciła koldrę, założyła szlafrok i kalosze, złapała kosmetyczkę i zbiegła do łazienki, na drugą stronę podwórza. Umyła głowę, wypluła wszystko dokładnie, kiedy umyła zęby, żeby nie połknąć wody przed narkozą.

Wróciła do domu. Może jednak powinna zaprenumerować poranną gazetę, fajnie byłoby poczytać przy śniadaniu. Otworzyła lodówkę: sok, jogurt, jajka, bekon, świeży ser czosnkowy, włoska szynka suszona na powietrzu. Wczoraj zrobiła zakupy w tym obskurnym Ice. Wpatrywała się we wnętrze lodówki. Jedną ręką trzymała za uchwyt, druga powędrowała do brzucha.

Wybór należy zawsze do nas.

Nabrała powietrza. To przecież takie proste, roześmiała się nagle. Nie ma w tym nic trudnego.

Wyjęła sok i nalała sobie do dużej szklanki. Włączyła palnik, postawiła na nim patelnię.

Piła. Piła.

Wybiła na patelnię jajka, wkroiła bekon. Zrobiła grzanki. Posypała serem czosnkowym, Jadła, mieszając omlet.

Jadła. Jadła.

Czuła, jak jedzenie wpada do żołądka. Napiała się gorącej kawy, ciepło rozeszło się po całym jej ciele, kofeina dała kopa. Zapaliła świeczkę w stojącym na stole świeczniku. Prezent ślubny babci, mosiężny świecznik z Lyckebo. Patrzyła na tańczący i trzepoczący płomyk. Uśmiechnęła się do swojego odbicia w oknie, do kobiety w szlafroku, z mokrymi włosami, do kobiety, która wkrótce będzie miała dziecko.

Poszła do sypialni, zapaliła światło pod sufitem i spojrzała na złoto połyskujące na nocnym stoliku. Ubrała się, wzięła łańcuszek i zważyła go w rękę.

Ciężki. Cholernie ciężki.

Pierwszy raz od miesiąca poszła do pokoju za kuchnią, pustej służbówki. W rogu stał stół i krzesło ze złamanym oparciem, nic więcej. Nie używała jej, wciąż myślała o niej jako o pokoju Patricii.

Tutaj, pomyślała. Tutaj można siedzieć i pisać.

Spojrzała na zegarek. Dochodziła siódma, złotnik po drugiej stronie ulicy otwierał swój sklep. Weszła tam kiedyś przypadkiem, kiedy szukała kolczyków dla Annę na urodziny. Jej oczom ukazał się duży łysy mężczyzna w skórzanym fartuchu, z obciążkami w rękę. Chrząknęła i spytała, czy dobrze trafiła. Owszem, dobrze, sprzedawał złote kolczyki. Bez zastanowienia kupiła okropne złote lezki dla starych babć.

Zdmuchnęła płomień, wysuszyła ręcznikiem włosy, założyła czapkę, kurtkę i buty i zeszła na dół.

W nocy spadł śnieg. Na chodnikach wciąż leżała miękka śnieżna pierzynka. Jej stopy zostawiały ślady: od bramy, przez ulicę, do niego.

Już otworzył. Miał na sobie ten sam gruby fartuch, powitał ją z tym samym radosnym wyrazem twarzy.

- Wcześniej pani wstała - powiedział wesoło. - Prezenty gwiazdkowe?

Uśmiechnęła się, potrząsnęła głową i wyjęła naszyjnik Aidy.

- No, niezły łańcuch - powiedział i zważył naszyjnik w rękach.

Annika patrzyła, jak pobłyskuje w jego ogromnych dłoniach. Na pewno może z dowodu wdzięczności morderczynie zrobić coś pięknego.

- Czy to złoto? - spytała.

Mężczyzna poskrobał naszyjnik w okolicy zamka, odwrócił się i pomajstrował przy nim.

- Przynajmniej osiemnaście karatów - powiedział. - Chce się go pani pozbyć?

Annika skinęła głową. Złotnik położył łańcuszek na wadze.

- A to dopiero ciężki diabeł - powiedział. - Sto dzie wiedziesiąt gramów, czterdzieści osiem koron za gram.

Przeliczył na kalkulatorze.

- Dziewięć tysięcy sto dwadzieścia koron. Będzie dobrze? Znow skinęła głową. Złotnik wyszedł na zaplecze. Wrócił z pieniędzmi i kwitem.

- O, tutaj, proszę. Proszę nie przepuścić wszystkiego od razu.

Uśmiechnęła się lekko.

- Właśnie to mam zamiar zrobić.

Komputerowcy zza rogu otwierali sklep dopiero o dziewiętej, ale zobaczyła, że jeden z nich siedzi na zapleczu i stuka w klawiaturę. Zapukała w szybę, chłopak podniósł wzrok. Uśmiechnęła się i pokiwała do niego. Wstał i otworzył drzwi.

- Wiem, że jest wcześniej - powiedziała Annika. - Ale chcę kupić komputer.

Wpuścił ją i zaśmiał się.

- I nie może pani wytrzymać do otwarcia?

Uśmiechnęła się.

- Macie jakiś za dziewięć tysięcy sto dwadzieścia koron?
- Mac czy pecet? - spytał.
- Obojętne - powiedziała. - Byle nie nawalał co chwilę.

Chłopak rozejrzał się po bałaganie. Sprzedawali komputery, nowe i używane. Naprawiali, programowali, serwisowali, zapewniaли wsparcie i tworzyli strony internetowe. Tak było napisane na szyldzie wiszącym w oknie. Annika przechodziła koło ich sklepu mniej więcej osiem razy dziennie. Przeważnie grali w gry komputerowe.

- Ten tutaj - powiedział informatyk i podniósł ze stołu duże szare pudło. - Jest trochę używany, ale ma nowy procesor i cholernie dużo pamięci. Do czego będzie go pani używać?

- Jako maszyny do pisania - odparła Annika. - No i trochę do surfowania.

Chłopak poklepał pudło.

- To będzie dobry. Wszystko już jest w środku, wszystkie programy typu Word, Excel, Explorer...

- Biorę - przerwała mu Annika. - I monitor, i inne takie rzeczy.

Informatyk zawahał się.

- Chcesz wszystko za dziewięć tysięcy?

- Dziewięć tysięcy sto dwadzieścia. Twardy dysk jest przecież używany.

Westchnął.

- No, okej, ale tylko dlatego, że jest tak cholernie wcześniej. Zostawił ją w sklepie i poszedł na zaplecze. Wrócił z małym monitorem.

-Nie jest duży, ale ma certyfikat bezpieczeństwa dla użytkownika - powiedział. - Nie promieniuje tak strasznie,

a z tym trzeba uważać. Ja dostaję zawrotów głowy od starych monitorów, mózg się buntuje. Coś jeszcze? Dyskietki?

- Mam tylko dziewięć tysięcy sto dwadzieścia koron.

Znów westchnął. Wyjął papierową torbę i wrzucił do niej dwa głośniki, myszkę, podkładkę pod myszkę, kilka opakowań dyskietek, kable i klawiaturę.

- Jeszcze drukarka - powiedziała Annika.

- Nie no, teraz pani przegina - odparł chłopak. - Za dziewięć tysięcy sto dwadzieścia koron?

- Może być używana - powiedziała.

Poszedł jeszcze raz na zaplecze i wrócił z wielkim kartonem z napisem Hewlett.

- Dostaje pani twarde dyski gratis - powiedział. - Czy czegoś jeszcze sobie pani życzy?

Annika roześmiała się.

- To wystarczy. Ale jak się z tym zabiorę do domu?

- No - powiedział informatyk. - Tego już za wiele. Musi pani sobie zanieść sama. Wiem, że mieszka pani w pobliżu. Widywałem już panią.

Annika zarumieniła się.

-Tak?

Uśmiechnął się lekko zażenowany. Był całkiem miły, miał ciemne kręcone włosy.

- Przechodzi pani tędy co chwilę - powiedział. - I za wsze się pani spieszy. Musi pani mieć bardzo ciekawe życie.

Annika wzięła głęboki wdech.

- Tak, to prawda. Ale nie jestem zbyt silna. Chyba jednak będę potrzebowała pomocy.

Chłopak jęknął i przewrócił oczami. Chwycił mocno drukarkę i podszedł do drzwi.

- Mam nadzieję, że mieszka pani blisko.
- Na samej górze, bez windy - powiedziała i uśmiechnęła się.

Niebo było już jasne, kiedy Annika usiadła z notesem przy stole w służbówce. Wyrzała przez okno, zobaczyła tańczące przed oczyma, błędne gwiazdy.

To przecież całkiem fajny pokój, pomyślała. Dlaczego nigdy wcześniej z niego nie korzystałam?

Przejrzała wszystko jeszcze raz, i jeszcze raz. Zapisywała, wymazywała, zmieniała. Osiągnęła taki stan świadomości, w którym czas i miejsce przestają istnieć, pozwoliła, by słowa płynęły, litery tańczyły.

Nagle poczuła, że znów jest głodna. Zbiegła na dół i kupiła pizzę za rogiem. Zjadła przy komputerze.

Drukarka atramentowa była cholernie wolna. Kiedy wydruk był gotowy, zaczynało się już ściemniać. Włożyła kartki do foliowej koszulki, zapisała wszystko na dyskietce i poszła na posterunek policji.

- Nie możesz sobie tutaj przychodzić ot tak - powiedział z irytacją Q, kiedy spotkali się przy recepcji. - Czego chcesz?

- Napisałam artykuł i chcę, żebyś go przeczytał.

Jęknął głośno.

-1 jest to oczywiście tak samo ważne jak zawsze?

-Yes.

- Idziemy na kawę.

Usiedli w barze kanapkowym za rogiem, zamówili kawę i kanapki. Annika wyjęła foliową koszulkę.

- Nie wiem, czy to zostanie opublikowane - powiedziała.

- Jak tylko porozmawiamy, pojedę do redakcji i dam im to.

Policjant przyglądał się jej badawczo. Wziął do ręki wydruki.

Czytał w milczeniu, przerzucał kartki, przeczytał jeszcze raz.

- To - powiedział - jest dokładny opis działalności mafii jugosłowiańskiej, zarówno na arenie międzynarodowej, jak i w Szwecji. Wszystkie magazyny, siedziby, pojazdy, kontakty, zwyczajnie...

Przytaknęła. Przyglądał się jej.

- Ty jesteś zupełnie niezwykła - powiedział. - Jak, do diabła, zdobyłaś takie informacje?

- Mam też dwie plomby celne.

Policjant oparł się nagle na krześle, zwiesił ramiona przez oparcia.

- Teraz rozumiem - powiedział. - Masz naprawdę zdolność niszczenia ludzi.

Annika zeszywniała, poczuła, jakby ją dźgnięto nożem.

- Co masz na myśli?

Patrzył na nią dłuższą chwilę. Myślał o raporcie leżącym na jego biurku: samobójstwo w hotelu Sergel Plaža, wczoraj wieczorem, jugosłowiański porucznik z paszportem dyplomatycznym.

- Nie, nic - powiedział.

Pochylił się do przodu, napił się kawy.

- Nic. To było głupie. Przepraszam.

- Jak sądzisz? - spytała. - Czy wszystko się zgadza?

Zastanawiał się chwilę.

- Muszę to sprawdzić, zanim się wypowiem. Ta pizza w Göteborgu na przykład nie musi mieć nic wspólnego z mafią.

Annika westchnęła bezgłośnie.

- Kiedy możesz to sprawdzić? - spytała cicho.

- Mam nadzieję, że zanim to opublikujesz. Obawiam się, że potem te informacje nie będą całkiem aktualne.

- Najpierw muszę mieć potwierdzenie - powiedziała.

- Mam tylko jedno źródło.

Przyglądał jej się chwilę.

- A jeśli odmówię?

Pochyliła się do przodu i jeszcze zniżyła głos.

- Jedyne, czego chcę, to żebyś posprawdzał tu i tam i powiedział mi, czy to się zgadza, czy nie.

- Żeby ci odpowiedzieć, musiałbym pójść w te miejsca

- odparł. - A jak tylko zapukam do pierwszych drzwi, rozlegnie się alarm. I będzie za późno.

Annika skinęła głową.

- Rozumiem - powiedziała. - Pomyślałam o tym. Po wiedzmy tak: mam szczegółowe informacje o melinach mafii, o jej głównej kwaterze i magazynach, ale ponieważ nie są potwierdzone, nie mogę ich opublikować. Ale mogę je opisać w ogólnym zarysie, nie wchodząc w szczegóły. Adresy nie są przecież najważniejsze. Kiedy wszystko sprawdzisz, będziemy mieli pewność, prawda?

Zawahał się, po chwili przytaknął.

Annika uśmiechnęła się nerwowo.

- Można się spodziewać, że policja planuje przeprowadzenie pewnego wczesnego ranka skoordynowanej akcji kontrolnej? Może tego dnia, kiedy pierwsza część tej historii pójdzie do druku?

- A kiedy to nastąpi?

- Trudno powiedzieć, jaki to będzie dzień, ale wydania lokalne zawsze muszą być gotowe do druku tuż po szóstej.

- Ile osób widzi artykuły do tej chwili?

Pomyślała chwilę.

- Mniej niż dwadzieścia. Nocna zmiana i chłopcy przygotowujący arkusze w drukarni.

- A więc nie ma ryzyka, że to wycieknie? Okej. W takim razie mogę powiedzieć, że kontrola odbędzie się w któryś z najbliższych dni o szóstej zero zero.

Annika spakowała swoje rzeczy.

- Mogę chyba zdradzić, że tego ranka będziemy mieli w gotowości paru fotografów. W chwili kiedy to pójdzie do druku.

Q odsunął filiżankę i wstał.

- Pracujemy dla społeczeństwa - powiedział. - Dla nikogo innego.

Annika założyła kurtkę i wstała.

- Ja też - powiedziała.

Anders Schyman przerzucał świeżą gazetę. Przyglądał się zdjęciu z pierwszej strony. Anneli z Motali z opóźnionym w rozwoju synem Alexandrem, zrozpaczeni, pozostawieni przez gminę samym sobie. Carl Wennergren przeanalizował wszystkie wykroczenia przeciwko prawu regulującemu działalność gminy, które popełniła opieka społeczna, i wyliczył wszelkie wykrety rady gminy.

Cholera, ludzie to mają problemy, pomyślał Schyman. Tęsknił za whisky. Tęsknił za żoną, psem, fotelem w domu w Saltsjöbaden. To był ciężki tydzień. Ponowne objęcie stanowiska naczelnego przez Torstenssona było dla niego

większym problemem, niż chciał sam przed sobą przyznać. Ale Torstensson musi odejść. Jeśli gazeta ma przetrwać, nie ma innej możliwości.

Rwał włosy z głowy, wzdychał. Uważał, że mają trzy lata, aby zamienić straty w zyski, nie więcej. To, czy gazeta sprosta nowym wyzwaniom, odnajdzie się w nowych czasach, będzie zależeć od niego. Ma zamiar o to walczyć i potrzebuje do tego whisky. Dużej. Natychmiast.

Ktoś zapukał do drzwi. Nie, do cholery, nie mam już siły. O co znowu, do diabła, chodzi?

Annika Bengtson wsunęła głowę do pokoju.

- Masz chwilkę?

Przymknął oczy.

- Właśnie idę do domu. O co chodzi?

Zamknęła za sobą drzwi i stanęła przed jego biurkiem. Upuściła torbę na podłogę, na nią kurtkę.

- Napisałam artykuł - powiedziała.

Alleluja, pomyślał.

-No i?

- Myślę, że powinieneś go przeczytać. Można powiedzieć, że jest kontrowersyjny.

- No proszę - mruknął i wziął od niej dyskietkę.

Obrócił się na krześle i włożył dyskietkę do stacji. Czekając, aż na ekranie pojawi się ikonka. Kliknął dwa razy. Pójdzie szybko.

Zrzedła mu mina.

- To przecież trzy artykuły - powiedział.

- Zacznij od pierwszego - poprosiła Annika i usiadła na jednym z niewygodnych krzeseł dla gości.

Tekst był długi. Dokładny opis struktur jugosłowiańskiej mafii w Belgradzie, obszarów jej działania, odpowiedzialności poszczególnych grup.

W drugim tekście zestawiała zasięg i działalność mafii jugosłowiańskiej w Szwecji. Podała dokładne adresy, pod którymi miały się mieścić bazy handlarzy narkotykami, papierosami, nielegalnym alkoholem, ośrodki zajmujące się przemytem ludzi, prostytutką...

Artykuł numer trzy był podobny, ale nie podawała w nim adresów.

- Czy ty nie jesteś na zwolnieniu? - spytał.

- Trafiłam na niezły temat - odparła.

Przeczytał wszystko raz jeszcze. Westchnął.

- Nie możemy tego opublikować.

- Czego? - spytała.

Westchnął jeszcze raz.

- Tego o plombach celnych - powiedział. - Stwierdzenie, że ambasada ma do nich dostęp, jest absurdem. Jak mielibyśmy coś takiego udowodnić?

Annika schyliła się, pogrzebała w torbie i położyła na jego biurku zwitek dokumentów.

- Dwie plomby - powiedziała. - Ukradzione z ambasady jugosłowiańskiej.

Poczuł, jak opada mu szczęka. Annika szukała w torbie czegoś jeszcze.

- Jeśli chodzi o ich działalność w Szwecji - mówiła dalej - to wiem, że policja organizuje dużą akcję. Zjawi się pod wszystkimi tymi adresami, jednocześnie. O szóstej rano, w najbliższych dniach.

- Skąd to wiesz?

Spojrzała mu w oczy.

- Bo dałam listę policji - powiedziała. - Musimy zgrać publikację z obławą.

Schyman pokręcił głową.

- Co ty wyprawiasz? W co ty się wpakowałaś?

- Mam te informacje z pewnego źródła, ale tylko z jednego. Wiem, że nie możemy wydrukować tego tak, jak jest, że musimy mieć potwierdzenie tego wszystkiego, żeby to zrobić. Tylko policja może to potwierdzić, a żeby mogli to zrobić, muszę ich o to poprosić. Czy nie?

Schyman złapał się za czoło.

- Pierwszego dnia wypuszczamy artykuły jeden i trzy - powiedziała. - Ogólny opis międzynarodowej organizacji mafii i jej szwedzkiej gałęzi, bez szczegółów. W momencie wypuszczenia gazety do druku towarzyszymy policji w czasie jej akcji. Stąd mamy artykuły na następny dzień. „Kvalspresen” odkryło... bla bla bla... wiesz. Trzeciego dnia publikujemy reakcje i komentarze, zarówno strony szwedzkiej, jak i serbskiej. Oficjalnie ambasada będzie entuzjastycznie nastawiona do tej akcji. Informację, jakoby miała brać udział w działalności przestępczej uzna za złośliwą propagandę. Powie, że plomby są sfalszowane.

Schyman patrzył na nią.

- Skąd to wszystko wzięłaś?

Wzruszyła ramionami.

- Zrobisz, jak zechcesz. Napisałam to w wolnym czasie i nie żądam zapłaty. Policja zrobi obławę bez względu na to, czy będą tam nasi fotoreporterzy, czy nie. Ty decydujesz, czy gazeta ma być na fali, czy nie. Ja jestem na zwolnieniu.

Wstał.

- Wiesz, gdzie mnie szukać - powiedziała.

- Poczekaj - poprosił Schyman.

- Nie. Mam dość twoich półsłów. Nie chcę już odrabiać pańszczyzny po nocach. Kupiłam komputer i mogę siedzieć w domu i pisać, być wolnym strzelcem, jeśli nie mogę być reporterem w tej gazecie. Jesteś, do cholery, szefem redakcji. Musisz przecież być w stanie podejmować decyzje i ich bronić.

Wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

Patrzył za nią, widział, jak przemyka przez biuro, nie rozmawiając z nikim, nie kłaniając się nikomu. Trudno ją rozgryźć, jest niezależna i mówi poważnie. Nadaje się na reportera, ale on nie może nikogo zatrudnić. To idiotyczne tak pozwolić jej odejść. W dodatku w porównaniu z innymi reporterami zarabia cholernie mało.

Wziął do ręki telefon i wybrał numer do ochroniarza dyżurującego przy wejściu. To był Torę Brand, jak zwykle na piątkowej zmianie.

- Annika Bengtson zaraz będzie wychodzić. Możesz ją dla mnie złapać?

- Czyja wyglądam na zawodowego wędkarza? - wysyczał ochroniarz.

- To ważne - powiedział Schyman.

- Wszyscy tam na górze jesteście tacy cholernie ważni...

Siedział ze słuchawką w ręku, myśli tłukły mu się po głowie. Historia jest wątpliwa, ale cholernie dobra. Współdziałanie z policją jest kontrowersyjne, ale to najszybszy i najpewniejszy sposób sprawdzenia jej autentyczności. Sposób, w jaki się to odbędzie, z pewnością wzbudzi burzliwą dyskusję, ale to akurat dobrze. Chętnie posiedzi w Klubie Publicystów, żeby bronić gazety i wolności słowa. Czas zabrać głos. Niech się dzieje, co chce, pomyślał.

- Bengtson! Telefon do ciebie!

W słuchawce trzaskało i trzeszczało. Torę Brand podawał ją Annice przez okienko.

- Co? - spytała Annika.

- Jesteś reporterem od pierwszego stycznia - powiedział Schyman. - Możesz wybrać: reportaż na trzynastą, redakcja nocna, dział kryminalny albo „To i Owo”.

Pomijając mruczenie Torego Branda, po drugiej stronie linii było zupełnie cicho.

- Halo? - powiedział Schyman.

- Kryminał - powiedziała Annika. - Chcę pracować w dziale kryminalnym.

Pociągęli mnie do odpowiedzialności

Dogonili mnie. Razem wydają na mnie wyrok, osądzają, wyznaczają karę.

Przemoc, wina i wstyd. Moi trzej rycerze, moja siła napędowa, moje gwiazdy przewodnie.

Witajcie!

Przemocy, ty weszłaś w moje życie pierwsza. To ty wyznaczyłaś mój los. Przyjęłam cię do serca, uznałam za swoją.

Była wiosna, całe przedpołudnie padał deszcz. Było szaro i mokro. Po południu się przejaśniło i miasto z ukosa oświeciłło słońce.

Pobiegłam po zakupy na targ. Warzywa były okropne, długo wybierałam.

Między domami zobaczyłam mężczyzn: czarne ubrania, czarne berety.

Nie wiedziałam, że to ty. Nie znalazłam twarzy przemocy.

Stałam przed kawiarnią Stojilkowicia, kiedy mężczyzna znany jako Ratko wywlókł z piekarni mojego ojca. Widziałam,

jak przystawia pistolet do jego skroni i naciska spust. Widziałam, jak Papi pada na ziemię, słyszałam krzyk mamy. Drugi mężczyzna w czarnym ubraniu strzelił w pierś mojej mamy. Moja szwagierka Mariam, żona mojego brata, była tylko o rok starsza ode mnie. Strzelali jej w brzuch, raz za razem. Była w ciąży.

Potem wyprowadzili Petara, mojego młodszego brata, promyk słońca w moim życiu. Miał dziewięć lat. Krzyczał. Boże, jak on krzyczał. I nagle mnie zobaczył przed kawiarnią Stojiljkovicia. Wyrwał się, biegł i krzyczał: Aida, Aida, pomóż mi, Aida. Jego wyciągnięte rączki, jego nieskończony strach.

A ja się schowałam.

Wczołgałam się za parkan przy kawiarni Stojiljkovicia. Widziałam spomiędzy sztachet, jak Ratko podnosi broń, jak celuje i strzela.

Mój Petarze, mój braciszku, czy kiedykolwiek dostanę rozgrzeszenie?

Leżałeś w błocie na ulicy i wołałeś mnie: Aida, Aida, pomóż mi, moja Aido, a ja nie odważyłam się podejść, nie miałam odwagi, płakałam za płotem koło kawiarni Stojiljkovicia i widziałam, jak Ratko odchodzi. Widziałam, jak odwracasz się w jego stronę, widziałam, jak celuje i strzela.

Wybacz, Petar, wybacz.

Nie musiałeś umierać sam.

Wybacz, że cię zawiodłam. Witaj, wino, witaj, wstydzie.

Teraz wasza kolej.

Stosowałam przemoc, żeby dać wam radę.

Poczucie winy leczyłam śmiercią, odpowiednim rodzajem śmierci, śmiercią Serbów. Nie pomogło. Każda śmierć przynosiła nową winę, nową nienawiść, wstyd kogoś innego, kto tym razem zawiódł.

Wstyd tkwił we mnie nieustannie, mieszkał w każdym oddechu, w każdym momencie mojego życia. Dzięki niemu czułam, że żyję.

Któregoś dnia dowiedziałam się, że Ratko, lider czarnych Panter, jest w Szwecji. Kiedy zostałam ranna, nadszedł czas.

Musiałam być silna, żeby zdobyć się na przemoc wobec tego, który spowodował, że musiałam jej użyć, tego, który zasiał ją w moim sercu. Poznałam jego środowisko, sypiałam z jego ludźmi, sypiałam z nim, ale śmierć nie wystarczyła. Musiał poznać też poczucie winy i wstyd. Dokonałam sabotażu na jego dziele, zniszczyłam mu życie.

Żał mi tych młodych chłopaków z Kosowa, tych biednych idiotów, których za sobą pociągnęłam. Mieli tylko odjechać z przyczepą, wszystko inne by się ułożyło, ale oni wzięli nie ten samochód, co trzeba. Przyczepa z papierosami nadal stoi w porcie w Sztokholmie. Co za ironia.

Ale przemoc mnie zdradziła, odmówiła posłuszeństwa.

Zaczęło się od tego strasznego huraganu. Szarpał i walił w budynki i ludzi.

Musiałam działać bardzo ostrożnie. Wspięłam się na dach i wciągnęłam torbę.

Kolba i mechanizm były w jednej przegródce. Lufa, celownik, tłumik, zamek w drugiej. Wyjęłam kolbę i przykręciłam lufę. Zamontowałam podstawę i przymocowałam celownik. Na koniec przykręciłam do lufy tłumik. Przy tak małej odległości nie potrzebowałam statywu.

Lewą ręką podparłam się na kalenicy, remingtona z plastikową kolbą oparłam na ręce.

Przyszli razem. Było ich trzech, czarnych w żółtym świetle. Ratko nieco z tyłu za tamtymi, zmagał się z wiatrem od morza.

Strzeliłam do pierwszego, w głowę. Trafiłam dość wysoko z boku. Sekunda, szybki ruch i padł drugi. W następnej sekundzie Ratko zniknął, wchłonięty przez sztorm.

Zsunęłam się z dachu, z bronią naprędce wciśniętą do torby. Zbiegałam szybko, żeby nie wpaść w zasadzkę.

Ale przemoc mnie zawiodła. Musiałam uciekać. Choroba pozbawiła mnie sił.

Poczekalam na odpowiednią chwilę i stanęłam na nogi.

A potem się z nim skontaktowałam. Umówiliśmy się na spotkanie.

Wiedziałam, że przyjdzie.

Ale przemoc nie była mi przychylna.

Plac był pełen ludzi. Z mojego miejsca na dachu Domu Kultury tym razem nic nie dało się zobaczyć.

Musiałam go dopaść z bliska.

Kiedy przyłożył mi lufę do karku, wiedziałam, że wygrałam. Bez względu na to, co się wydarzy.

- To już koniec - szepnął. - Nie żyjesz.

Był w błędzie. Wysyczał coś jeszcze, coś patetycznego.

- Bijelina - wyszeptał potem. - Pamiętasz Bijelinę?

Wyrwałam się, wyjęłam broń, drogę zastawiał wózek dziecięcy, Ratko uderzył mnie i upuściłam pistolet. Potoczył się daleko po kamieniach. Widziałam, jak szansa mi umyka, poczułam w szyi twardą kulę.

Wygłosiłam wyrok, dziedzictwo przemocy, winy i wstydu.

- Nigdy nie wygrasz - wyszeptałam. - Zniszczyłam ci życie.

Widziałam go kątem oka.

Uśmiechał się. Oskarżenie,

wyrok, kara.

Rozgrzeszenie.

Epilog

ZNÓW ZACZAŁ SYPAĆ ŚNIEG. Duże miękkie płatki tańczyły powoli i spadały na asfalt. Annika szła w kierunku Ralambshovsvagen, spokojnie, ociężale. Cały dzień jadła. Coś ją ciągnęło i szarpało w krzyżu, było jej trochę niedobrze. To dziecko, chłopiec z kręconymi lokami. Poszła na postój taksówek przy kiosku z kielbaskami. Wskoczyła na tylne siedzenie i poprosiła kierowcę, żeby ją zawiózł do Vax-holmu.

- Są straszliwe korki - powiedział.

- Nieważne - odpowiedziała Annika. - Mam mnóstwo czasu.

Wyjechali z miasta po czterdziestu minutach. Annika siedziała na ciepłym tylnym siedzeniu. Z radia cicho płynęły stare przeboje Madonny, obok przemykały świątecznie udekorowane witryny sklepów, dzieci z uporem pokazywały palcami mechanicznych świętych mikołajów i plastikowe zabawki. Próbowwała spojrzeć w niebo - zasłaniał je śnieg i lawina kolorowych świateł.

Ciekawe, czy na innych planetach też obchodzą jakieś Boże Narodzenie.

Na autostradzie ruch zelżał. Droga 274 prowadząca na wybrzeże była prawie pusta. Droga była biała, rozświetlała

ciemne popołudnie. Drzewa w ciężkich sukniach przyginały gałęzie do ziemi.

- Gdzie panią wysadzić? - spytał taksówkarz.

- Ostra Ekuddsgatan - powiedziała. - Proszę najpierw przejechać ulicą. Chcę zobaczyć, czy są w domu.

Pokazała, gdzie ma skręcić. Kiedy skręcił w prawo, pod górę, nagle poczuła, że się denerwuje. Zaszło jej w ustach, dłonie miała spocone, serce zaczęło walić jak młot. Wyciągnęła szyję. Który to dom?

Tam. Zobaczyła go. Meksykańska cegła, jego zielona toyota na podjeździe. W środku paliło się światło, ktoś był w domu.

- Mam tu stanąć czy jak? - spytał kierowca.

- Nie! - powiedziała. - Proszę jechać!

Rzuciła się na oparcie. Odwróciła się, kiedy przejeżdżali przed domem. Schowała się.

Ulica się skończyła, wyjechali na dużą drogę.

- A teraz? - spytał taksówkarz. - Wracamy do Sztokholmu?

Annika zamknęła oczy. Trzymała pod nosem zaciśnięte pięści, puls dudnił, była zdyszana.

- Nie - powiedziała. - Jeszcze jedno okrążenie.

Taksówkarz westchnął i rzucił okiem na taksometr. To nie jego pieniądze.

Zrobili jeszcze jedną rundę. Annika przyglądała się willi. Jaka brzydka. Co prawda, z dostępem do morza, ale z płaskim dachem, z lat sześćdziesiątych.

- Proszę stanąć za następnym rogiem - powiedziała.

Wyszło drogo, zapłaciła kartą kredytową. Została na ulicy i patrzyła, jak samochód odjeżdża w ciemność i znika

w padającym śniegu. Zapalające się światła stopu, migacz wskazujący drogę powrotną. Odetchnęła głęboko, żeby uspokoić oddech i serce. Nie udało się. Wepchnęła mokre z nerwów ręce głęboko w kieszenie. Szła wolno z powrotem, w kierunku domu, Willi Thomasa i jego żony. Ostra Ekudds-gatan, ulica snobów.

Drzwi były brązowe, dobrze zabezpieczone olejem. Po obu stronach wstawiono w nie kolorowe, oprawione w ołów szybki. Przycisk i tabliczka: Samuelsson.

Zamknęła oczy. Ledwo mogła oddychać. Nagle zachciało jej się płakać.

W środku zadźwięczała jakaś idiotyczna melodyjka.

Nic.

Zadzwoiła jeszcze raz, ding-dong-ding-dong.

Nagle otworzył, z włosami w nieładzie, w rozpiętej koszuli, w samych skarpetkach, z długopisem w ustach.

Z trudem wciągnęła w płuca powietrze, łyzy cisnęły jej się do oczu.

- Cześć - szepnęła.

Thomas wpatrywał się w nią, zupełnie bladą. Wyjął z ust długopis.

- Nie jestem duchem - powiedziała. łyzy pociekły jej po policzkach.

Zrobił krok w tył, przytrzymał drzwi.

- Wejdz - powiedział.

Weszła do przedpokoju. Nagle stwierdziła, że jest jej zimno.

Zamknął drzwi, chrząknął.

- Co jest? - zapytał ostrożnie. - Co się stało?

- Przepraszam - powiedziała zachrypniętym głosem.

-Przepraszam, nie chciałam się rozbeczeć.

Zerknęła na niego ukradkiem. Cholera, jestem taka brzydka, jak się mażę.

- Potrzebujesz pomocy? - spytał.

Annika przełknęła ślinę.

- Czy ona... jest w domu?

- Eleonor? Nie, jeszcze jest w banku.

Annika zdjęła kurtkę, zrzuciła buty. Thomas zniknął gdzieś po prawej, Annika została w holu. Rozejrzała się. Meble z R.O.O.M, jakieś odziedziczone przedmioty, brzydkie obrazy. Schody na piętro poniżej.

- Mogę wejść?

Nie czekając na odpowiedź, poszła za nim do kuchni. Stał przy szafce, nalewał kawę.

- Chcesz? - spytał.

Kiwnęła głową, usiadła.

- Nie pracujesz?

Postawił na stole dwa kubki z kawą.

- Owszem - powiedział - ale dzisiaj siedzę w domu. Do stałem zadanie przeprowadzenia szeregu analiz dla Związku Gmin, będę pracował częściowo w domu i częściowo na mieście.

Annika schowała ręce pod stołem, próbowała powstrzymać ich drżenie.

- Czy coś się stało? - spytał. Usiadł i spojrzał na nią. Spojrzała mu w oczy, oddychała. Nie umiała przewidzieć, jak zareaguje. Nie miała pojęcia.

- Jestem w ciąży.

Thomas zamrugał oczami, w jego twarzy nic się nie zmieniło. -Co?

Chrząknęła, splotła pod stołem dłonie. Nie spuszczała z niego wzroku.

- Ty jesteś ojcem. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Nie byłam z nikim innym odkąd... umarł Sven.

Spuściła oczy, czuła na sobie jego wzrok.

- W ciąży? - powiedział. - Ze mną?

Skinęła głową. Łzy znów zaczęły ją palić.

- Chcę urodzić to dziecko - powiedziała.

W tym momencie otworzyły się drzwi. Czuła, jak Thomas sztywnieje, jej puls szalał.

- Halo! Kochanie?

Eleonor wytarła buty, strząsnęła śnieg z płaszcza i zamknęła za sobą drzwi.

- Thomas?

Annika spojrzała na Thomasa, on spojrzał na nią, błądy, oniemiały.

- Jestem w kuchni. - Wstał i wyszedł do przedpokoju.

- Co za pogoda - powiedziała Eleonor. Annika słyszała, jak całuje męża w policzek. - Zacząłeś już przygotowywać kolację?

Odburknął coś. Annika wyglądała przez okno, była sparaliżowana. W oknie zobaczyła wchodzącą do kuchni Eleonor. Stała jak wryta.

- To jest Annika Bengtzon - powiedział Thomas drżącym głosem. - Dziennikarka, która napisała artykuły o fundacji Raj.

Annika wzięła głęboki wdech, podniosła wzrok na Eleonor.

Żona Thomasa. Kostium ze stójką, w kolorze mchu, cienki złoty łańcuszek na szyi.

- Miło mi - powiedziała żona Thomasa. Uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę na powitanie. - Wie pani chyba, że pani artykuły spowodowały prawdziwy zwrot w karierze Thomasa?

Annika przywitała się. Rękę miała wilgotną i zimną jak lód, usta suche jak wiór.

- Ja i Thomas spodziewamy się dziecka - powiedziała.

Eleonor nadal się uśmiechała. Trwało to dłuższą chwilę. Thomas stał za jej plecami, zbladł. Zasłonił twarz dłońmi i skurczył się.

- Co? - spytała Eleonor, wciąż się uśmiechając.

Annika puściła *)t* rękę, utkwiała wzrok w podłodze.

- Jestem w ciąży. Będziemy mieli dziecko.

Eleonor przestała się uśmiechać. Odwróciła się, wbiła wzrok w Thomasa.

- Czy to ma być żart?

Thomas nie odpowiedział. Zaczesał do tyłu włosy i zamknął oczy.

-W ostatnich dniach lipca przyszłego roku - powiedziała Annika. - Myślę, że to będzie chłopiec.

Eleonor znów się odwróciła, spojrzała na Annikę. Wszystkie kolory odpłynęły z jej twarzy, białka oczu zwięzły się i zabarwiły na czerwono.

- Co ty zrobiłaś? - wyszczała. Annika wstała i cofnęła się. Eleonor odwróciła się znów w kierunku Thomasa. - Co ty zrobiłaś? Spałeś z tą tutaj?

Podeszła do Thomasa. Nie odsunął się, patrzył w podłogę.

- Do diabła! - powiedziała zduszonym głosem. - Przy nosić do domu choroby i wszelkie brudy, do mojego domu.

Thomas spojrzał jej w oczy.

- Eleonor, ja... tak wyszło.

- Tak w y s z ł o? Jak to się mogło stać, Thomas? Czym ty myślisz?

Thomas przetarł czoło. Annika czuła, jak kurczy się jej mózg. Zaraz umrę. Przytrzymała się stołu, żeby nie upaść.

- Czy ty rozumiesz, co to oznacza? - powiedziała Eleonor, próbując się pozbierać. - Będziesz płacił przez osiem naście lat, przez całe dorastanie tego dzieciaka będziesz obciążony finansowo. Było warto? Co?

Thomas patrzył na żonę, jakby jej nie poznawał.

- Jesteś zupełnie nieprawdopodobna - powiedział.

Eleonor spróbowała się roześmiać.

- Ja? - spytała. - Czy to ja zrobiłam coś nie tak? Zdradziłam cię i przychodzisz tu z bękartem. Sądziłam, że ja to zwyczajnie przyjmę do wiadomości?

Annika poczuła, że nie może oddychać. W tym domu nie ma powietrza. Musi wyjść, iść stąd, do domu. Zmusiła się, by ruszyć z miejsca. Okrążyła stół, wyszła do przedpokoju, podeszła do drzwi. Kolana jej drżały. Eleonor widziała ją kątem oka. Na jej twarzy malowała się gorycz.

- Wynocha z mojego domu! - krzyczała.

Annika przystanąła. Przestała bronić się przed nienawiścią. Uchwyciła spojrzenie Thomasa, podtrzymała je.

- Idziesz ze mną? - spytała. Thomas wpatrywał się w nią.

- Znikaj, ty zdiro!

Eleonor zrobiła krok w jej stronę, Annika stała w miejscu.

- Thomas - powiedziała. - Chodź ze mną.

Thomas poruszył się. Wyszedł do przedpokoju, wziął płaszcz i kurtkę Anniki.

- Co robisz? - spytała oszołomiona Eleonor. - Co ty wy czyniasz?

Podszedł do żony, wciągnął płaszcz, założył bury.

- Musimy to sobie wyjaśnić - powiedział. - Zadzwoń do ciebie.

Zadrżała, złapała go za kołnierz płaszcza.

- Jeśli wyjdiesz... - powiedziała - jeśli wyjdiesz tymi drzwiami, możesz nigdy nie wracać.

Thomas westchnął.

- Eleonor, nie bądź taka...

- Zdrajca! - krzyczała. - Jeśli teraz wyjdiesz, możesz n i g d y nie wracać!

Annika stała przy drzwiach, z ręką na klamce. Widziała plecy Thomasa, jego włosy opadające na kołnierz, błyszczące, zdrowe. Widziała, jak podnosi ręce i chwyta dłonie żony.

Och, nie, on zostaje. Łączy ich zbyt wiele, nie potrafi odejść.

- Odezwę się - powiedział.

Odwrócił się. Stał ze wzrokiem utkwionym w podłogę, z zaciśniętymi ustami.

W końcu spojrzął na Annikę, oczy miał szeroko otwarte.

- Chodź, idziemy - powiedział.

Biuletyn Szwedzkiej Agencji Prasowej TT data:
13 marca dział: krajowe

Oskarżona o oszustwo kobieta mówi w sądzie

SZTOKHOLM (TT). Trzydziestojednoletnia kobieta stojąca za fundacją Raj zdecydowała się wreszcie mówić.

W poniedziałek zapadnie wyrok w głośnej sprawie. Kobieta jest oskarżona między innymi o nakłanianie do zabójstwa.

- Proces był koszmarem - mówi. - „Kvallspressen” zrujnowało mi życie.

W grudniu ubiegłego roku „Kvallspressen” opublikowało serię artykułów o fundacji Raj i jej działalności. Szefowa Raju, trzydziestojednoletnia kobieta, została oskarżona przez dziennik między innymi o próbę oszustwa, groźby karalne, maltretowanie i nakłanianie do zabójstwa.

- Nie miałam szans się bronić - mówi kobieta. - Nie zdążyłam się pozbierać, zanim numer poszedł do druku. To wszystko nieporozumienie. Mogłam wszystko wyjaśnić.

- Gazeta rozmawiała w kilkoma kobietami. Powiedziały, że je pani oszukała.

- Trzeba pamiętać, że to są bardzo doświadczeni przez życie ludzie. Nie zawsze wiedzą, co jest dla nich najlepsze. Byliśmy na najlepszej drodze, żeby pomóc jednej z tych rodzin, kiedy postanowili uciec.

- Również inne gminy twierdzą, że próbowała je pani oszukać.

- Nasza działalność jest zupełną nowością. Nie wszystko funkcjonowało bezbłędnie, to prawda. Ale cały czas

chodziło o pomaganie ludziom. To nie był żaden oficjalny zakład opiekuńczy. Założenie naszej pracy było takie, aby władze nie miały zbyt dużej możliwości wglądu w naszą działalność. Wiele ośrodków pomocy społecznej nie potrafiło dostosować się do tej sytuacji.

- Jest pani oskarżona o nadużycie zaufania, wykroczenia w prowadzeniu ksiąg, poważne oszustwo podatkowe, poważne przestępstwo podatkowe oraz utrudnianie kontroli podatkowej.

- Próbowałam prowadzić firmę w tym kraju, stworzyć miejsca pracy. Czasami ludzie, z którymi pracowałam, zawodzili mnie, oszukiwali. Ale ja nigdy nie próbowałam nikogo naciągnąć na pieniądze, ani państwa, ani gminy, ani żadnego prywatnego wierzyciela. Miałam problemy finansowe, to prawda, ale większość moich długów umorzono.

- Prokurator uważa, że zleciła pani zamordowanie Aidy Begović na Sergels Torg w listopadzie ubiegłego roku.

- To jest najgorsze ze wszystkiego - mówi kobieta łamiącym się głosem. - Nie rozumiem, jak ktoś może być tak okrutny, żeby oskarżać mnie o coś takiego. Zrobiłam dla Aidy wszystko, ale ona była zbyt wyniszczona wojną, żeby można jej było pomóc.

- Jest pani również oskarżona o współudział w pobiciu i bezprawne uwięzienie urzędnika wydziału pomocy społecznej Thomasa Samuelssona.

- To on zachował się jak kryminalista. Wdarł się do budynku fundacji i straszył nas. Ja i mój brat broniliśmy się tylko, ale przesadziliśmy, i tego żałuję.

- Niedługo zapadnie wyrok. Denerwuje się pani?

- Właściwie nie, wierzę w sprawiedliwość. Ale czuję się znieważona. Niezrozumiana. Zniszczona. Pracowałam trzy lata, by stworzyć Raj, dlatego moja sytuacja finansowa była tak kiepska. Postawiłam na Raj wszystko, moim celem było wyłącznie pomaganie innym ludziom. Społeczeństwo, które wpędziło mnie w tę sytuację, nie jest godne nazywać się cywilizowanym.

(nnnn)

copyright: Szwedzka Agencja Prasowa TT

Depesza Associated Press

data: 18 kwietnia

dział: wiadomości ze świata

Zbrodniarz wojenny zakłada prywatną armię

Afryka Południowa (AP). Jak podają źródła z Kapsztadu, serbski zbrodniarz wojenny Ratko, prawdopodobnie zamieszany w masakry w Vokuwarze i Bijelinie na początku wojny w Bośni, założył prywatną zawodową armię w Afryce Południowej.

Armia działa na terenie całej środkowej i południowej Afryki, na zlecenie rządów i grup międzynarodowych przedsiębiorców.

Uważa się, że Ratko stworzył swoją armię dzięki pieniądzom pochodzącym z przemytu serbskich papierosów do Skandynawii oraz środkom pożyczonym od rosyjskiej mafii.

(nnnn)

copyright: Associated Press

Londyn, 4 lipca

Anniko!

Mam nadzieję, że Noc Świętojańska była wspaniała.

Ja i moja rodzina świętowaliśmy tradycyjnie, w domu w lesie, który wynajęliśmy po opuszczeniu Raju. Wszyscy czujemy się dobrze.

Piszę do Ciebie tych kilka zdań z lotniska Gatwick pod Londynem. Za kilka godzin ruszymy dalej.

Mamy już pozwolenia na pobyt w naszej nowej ojczyźnie. To nasze ostatnie międzylądowanie. Ciężko nam opuszczać Szwecję, ale tam, dokąd jedziemy, będzie lepiej, szczególnie dzieciom.

Pozdrawiam

Mia Eriksson

Artykuł z gazety „Kvallspressen”

dział: kraj autor: Sjölander data: 10

sierpnia strona: 1 z 2

Rosjanie przejmują ster

Wolność nie trwała długo.

Przestępczość nie spadła, jest tak samo, jak było przed obławą policji na mafię jugosłowiańską.

- Rosjanie przejęli ster - powiedziało „Kvallspressen” policyjne źródło.

13 grudnia ubiegłego roku „Kvallspressen” ujawniło, jak działa mafia jugosłowiańska w Szwecji. Artykuły doprowadziły do największej w historii obławy policji na zorganizowaną przestępczość. W czasie trwającej całą dobę obławy przeszukano lub skonfiskowano ponad trzydzieści pięć budynków, samochodów, łodzi i przyczep. Przejęto ogromne ilości broni, narkotyków, alkoholu i pochodzących z przemysłu papierosów. Deportowano ponad pięćdziesiąt osób.

Przesłuchania podejrzanych trwały całe lato. Zanim zapadnie jakikolwiek wyrok, śledczych czeka jeszcze mnóstwo pracy.

- Śledztwo idzie bardzo opornie, wszyscy podejrzani za przeczają wszystkiemu - mówi policyjne źródło.

- Nie możemy zacząć wysuwać oskarżeń, dopóki nie mamy całościowego obrazu sytuacji.

Rosjanie przejmują ster

Spadek poziomu przestępczości w statystykach, który odnotowano po obławie, jest już historią, twierdzi policja.

- Doszliśmy do wniosku, że pustka po Jugosłowianach została wypełniona szybciej, niż się spodziewaliśmy. Przeniosła się do nas mafia rosyjska. Przejęła ster.

- A więc zatrzymania nic nie dały?

- Nie można tak na to patrzeć. Skazanie każdego przestępcy jest zwycięstwem społeczeństwa.

(cd. str. 2)

„Bundsförvanten”, nr 9, 21 września
biuletyn wewnętrzny Szwedzkiego
Związku Gmin

strona 13

Nowo zatrudnieni:

Thomas Samuelsson, szef niedawno zakończonej akcji badania jakości działalności urzędów socjalnych, został zatrudniony na stanowisku członka komisji negocjacyjnej.

Thomas Samuelsson siedem lat pracował jako urzędnik pomocy społecznej w gminie Vaxholm. Mieszka na Kungs-holmen w Sztokholmie wraz z narzeczoną i nowo narodzonym synem.

Podziękowania autorki

WSZYSTKO, O CZYM OPOWIADA TA KSIĄŻKA, JEST FIKCJĄ. Wszyscy bohaterowie są wytworem mojej wyobraźni, z jednym wyjątkiem: Marii Eriksson. Mia istnieje naprawdę, jej losy opisałam w powieści dokumentalnej *Gómda* (Ukryci). Mia przeczytała tę książkę przed drukiem i zgodziła się na takie ukazanie jej postaci.

Wszelkie inne podobieństwa do osób żyjących naprawdę są dziełem przypadku. Nie istnieje też dziennik „Kvalls-pressen” ani fundacja Raj. Wzorowałam się na wielu organizacjach, lecz ta opisana w powieści jest produktem mojej wyobraźni.

Poczynania Serbów, zarówno w rozpadającej się Jugosławii, jak i w Szwecji, także są moim wymysłem.

Wiedzę o innych grupach przestępczych i obszarach ich działalności zaczerpnęłam z artykułów prasowych, szczególnie z dziennika „Aftonbladet”.

Zmieniłam niektóre szczegóły, przebieg dróg i układ pomieszczeń w naprawdę istniejących miejscowościach i budynkach. Jako autorka powieści miałam do tego prawo.

Chciałabym podziękować wszystkim, którzy mi pomogli, odpowiadając na czasami dziwne pytania. Oto oni:

Johanne Hildebrandt, korespondentka wojenna, producentka telewizyjna i moja przyjaciółka - dziękuję jej za podzielenie się ze mną wiedzą na temat wojny i sytuacji na Bałkanach.

Shajptar Oseku, rzecznik biura informacyjnego Kosowa w Skandynawii - dziękuję mu za uwagi na temat działalności różnych grup z krajów bałtyckich.

Peter Rónnerfalk, lekarz i doradca medyczny - podzielił się ze mną wiedzą medyczną.

Ann-Sofie Martensson, szef działu informacji w Portach Sztokholmskich - udzieliła mi informacji i pokazała port Frihamnen w Sztokholmie, opowiedziała o tym, jak działa, o stojących na jego terenie budynkach, o jego historii i działalności.

Rolf Holmgren, inspektor celny w jednostce ochrony pogranicza w Sztokholmie - udzielił mi informacji na temat procedur celnych przy transporcie towarów, opowiedział i zademonstrował, jak się przemyca różne rzeczy i jak się przemyt wykrywa.

Hassę Ek, dyrektor banku, i Petra Nordin, bankowiec - podzieleni się z mną wiedzą.

Jonas Gummesson, szef redakcji wiadomości z kraju w TV4 - udostępnił mi informacje o wewnętrznej polityce partii socjaldemokratycznej.

Lotta Snickare, trener kadry kierowniczej w Förenings-sparbanken - opowiedziała mi, jak wygląda praca w banku i jak działają gminy i samorządy.

Thomas Snickare, szef grupy w firmie telekomunikacyjnej Telia - podzielił się ze mną wiedzą na temat funkcjonowania systemu opieki społecznej.

Par Westin, szef regionalny zarządu cmentarzy w Sztokholmie, i jego pracownicy - opowiedzieli mi o szczegółach ceremonii pogrzebowych i pochówku.

Birgitta Elvas - wprowadziła mnie w zagadnienia zarządzania w gminach i administracji.

Catarina Nitz, reporterka z „Katrineholms-Kuriren” - dziękuję jej za informacje o regionie Södermanland.

Linus Feldt z Bajoum interaktiv AB, genialny i nagradzany programista komputerowy - zawsze ratuje mnie, kiedy nawala mi komputer.

Jan Guillou, pisarz i dziennikarz - który opowiedział mi o broni i amunicji.

Kaj i Maria Hallström - opowiedzieli mi o Södermanlandzie.

Ann-Marie Skarp, Jessica Órner i Elisabeth Bredberg - moje przyjaciółki i koleżanki z wydawnictwa Pirat.

Karin Kihlberg - sprawia, że wszystko działa jak należy.

Sigge Sigfridsson, mój fenomenalny wydawca - sprawił, że wszystko stało się możliwe.

I wreszcie osoba najważniejsza - mój genialny redaktor, dramaturg Tove Alsterdal.

Dziękuję wam wszystkim.

Za wszelkie błędy winę ponoszę ja sama.